



WILHELM FELDMAN

WSPÓŁCZESNA  
LITERATURA  
POLSKA

1880-1904

*J.F.*

WARSZAWA 1905

KSIĘGARNIA J. FISZERA

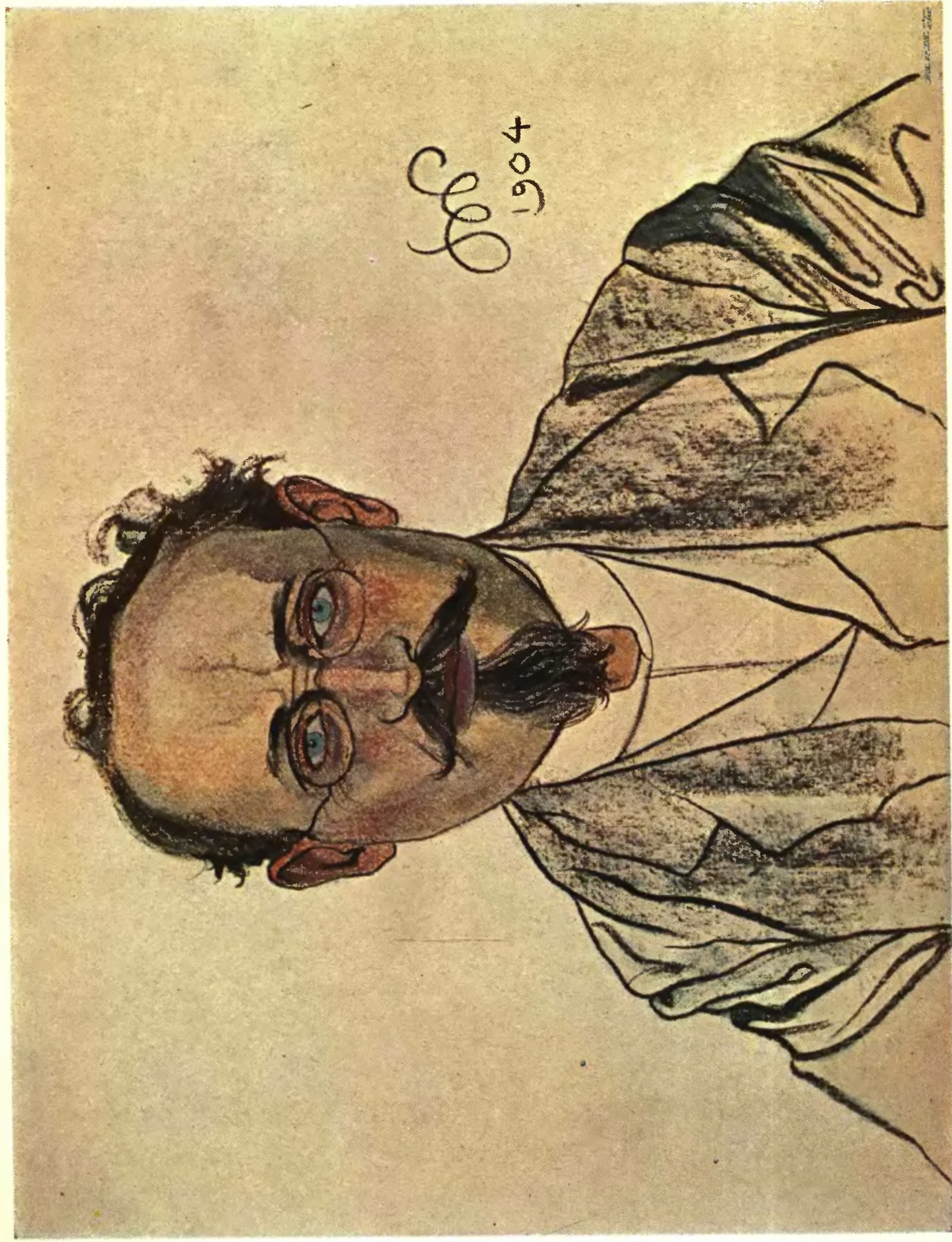




WSPÓŁCZESNA LITERATURA  
POLSKA 1880—1904

OKŁADKA RYSUNKU STANISŁAWA WYSPIAŃSKIEGO  
CZCIONKAMI DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE





St. Wyspiański: Portret Wilhelma Feldmana.



WILHELM FELDMAN

# WSPÓŁCZESNA LITERATURA POLSKA 1880-1904

TOM PIERWSZY.

Z 35 ILUSTRACYAMI W TEKSCIE I 2 RYCINAMI KOLOROWEMI

WYDANIE TRZECIE.

WARSZAWA  
NAKŁADEM JANA FISZERA  
1905.

MIEJSKA BIBLIOTEKA I ODDZIAŁ	
w Zabrzu 884/091)	
P	7N KLAS. 884/091)
	NR INW. <del>420246</del> /1

15073



*Żonie mojej*

*Maryi*

*pracę tę poświęcam.*



Znikną od prądów chwilowych zawiśli  
Za widmem sławy goniący sztukmistrze,  
Lecz nie zaginie siew szlachetnych myśli  
I nie przepadną natchnienia najczystsze.

*A. Asnyk.*





## Przedmowa autora do wydania trzeciego.

Niema chyba zadania wdzięczniejszego nad pisanie historyi współczesnej. Nie wykluczając — o ile to leży w siłach ludzkich — obiektywnego, sprawiedliwego traktowania wszystkich zjawisk, jakie omawia, przede wszystkim pozwala ono brać bezpośredni udział w dokonywującej się budowie dzieł wielkich, pozwala współpracować z ludźmi czynu, współtworzyć.

Charakter ten posiada książka niniejsza o polskiej literaturze współczesnej. Autor, pracując nad nią, pamiętał, że pisze historię; że jeśli krytyka literacka nie jest i być nie może nauką, gdyż decydującym w niej czynnikiem — odczucie osobiste i intuicja, to historia powinna o tyle do nauki się zbliżać, że dane zjawiska pragnie nietyle sądzić, ile poznawać i rozumieć, następnie wiązać je węzłem przyczynowości z sobą i z gruntem, z którego wyrosły. Warunkom tym starał się autor uczynić zadość w najszerszej mierze; o ile sił i wiedzy starczyło, niczego nie pomijał, nikomu nie uchybił, baczył bezustannie na krzyżowanie się wpływów zewnętrznych i wewnętrznych, wśród chaosu zjawisk szukał łączności i nici przewodnich. Stąd szerokie traktowanie tła, nietyle politycznego, ile kulturalnego; stąd szerokie uwzględnianie prądów artystycznych, płynących do nas z zagranicy.

Czynników tych wpływ jest silny, jednakowoż nie rozstrzygający; w sztuce decydują przede wszystkim indywidualności artystów, i o ich poznawanie, o ich odczucie chodziło w pierwszym rzędzie. Dopiero łączność obu tych czynników: indywidualności i tła, pozwala malować obraz dziejowy pełny, pozwala wykreślać drogę rozwoju; prowadzi do syntezy.

I tu zaczyna się praca autora budownicza. Doszedłszy na drodze poszukiwań, rozbiorów i roztrząsań do pewnych idei syntetycznych, uważa nie tylko za potrzebę, ale i za obowiązek, wyrażać je z całą mocą, na jaką go stać, wlać w czytelnika tę siłę przekonania, ten zapał, które sam odczuwa. A że książka przysłała w czas przełomowy, stąd charakter jej poniekąd bojowniczy. Nie trzeba zapominać, że kilka lat temu, kiedy była pisana, talenty wielkich twórców doby ostatniej nie miały jeszcze tego uznania, co dzisiaj, dzieła ich nie były tak dobrze rozumiane; wogóle co do charakteru i dążności t. zw. »Nowej Sztuki«, »Młodej Polski«, najfałszywsze a przede wszystkim chaotyczne panowały pojęcia. Jeśli praca ta zrozumieniu współczesnej twórczości drogę w części utorowała, jeśli roztrząsaniem krytycznym uczyniła częściowo to, co niejeden z twórców swoim dziełem — zadanie swoje spełniła. Nie poczuwa się ona przytem do zarzutu, jakoby dla jutra poświęciła wczoraj, jakoby w czemkolwiek umniejszyła znaczenie twórców doby mijającej; wystarczy wskazać na charakterystyki Jeża, Asnyka, Świętochowskiego, Prusa, Orzeszkowej etc.

Ten charakter książki wpłynął też na jej formę. Poza tłem i liniami ogólnymi uwzględnia o ile możności szeroko poszczególne indywidualności pisarskie; okazała się tedy potrzeba poświęcania każdej osobnego omówienia poza miejscem wyznaczonem jej w obrazie całości. Stąd po każdym rozdziale syntetycznym — mniejszym drukiem ustęp, omawiający analitycznie, szczegółowo działalność każdego pisarza i najwybitniejsze jego dzieła. W ustępach tych znalazło się miej-



sce na dane bio- i bibliograficzne; materiał to pomocniczy nie tylko dla czytelników, lecz także dla badaczy-psychologów, którzy nie zwykli indywidualności oddzielać od dzieła. A jak potrzebny — niech świadczy niesłychana trudność, z jaką te dzieła dały się zestawzić. Co do niektórych, i to nieraz najwybitniejszych autorów, nie udało się mimo najlepszych chęci sporządzić dokładnej bibliografii ich utworów.

W charakterze i układzie ogólnym — pomijając drobne poprawki względami na kompozycję książki i perspektywę czasu wywołane — zasadniczo wydanie niniejsze nie różni się od poprzednich. Ani głosami krytyki, ani głosem życia autor nie uczuł się spowodowanym do zmiany sądów jakichkolwiek lub stanowisk. Twórczość ostatnich lat dwóch, dzielących wydanie obecne od poprzednich, jakkolwiek bogata, mieści się doskonale nie tylko w ramach, lecz także w charakterystykach psychologicznych, objętych poprzednią redakcją dzieła. Natomiast niepodobna było pominąć materiału faktycznego, dostarczonego przez czasy ostatnie. Książka obecna stara się o ile możności wyczerpać go i doprowadzić pogląd na twórczość naszą artystyczną do ostatniej chwili, żadnego nie pomijając zjawiska poważniejszego. Stąd rozszerzenie objętości dzieła; poprzednie dwa tomy obecnie na trzy się rozpadły.

Nowym jest tom czwarty, obejmujący obraz polskiej krytyki literackiej w lat ostatnich. Opracowanie tego działu kierowało się temi samemi zasadami ogólnemi, co przy poprzednich; pewne tylko zmiany zaszły w metodzie. Punktem wyjścia pozostała i nadal indywidualność pisarska, niepodobna jednak było zajmować wobec niej jedynie stanowiska odczucia i rozumienia. Krytyk nie jest artystą-twórcą — szczególnie u nas; nie przedstawia, nie charakteryzuje, nie tylko uczucia wyraża, lecz sądy głosi, sądy estetyczne, psychologiczne, socjologiczne. Tutaj dozwolone i potrzebne jest akcentowanie swojej odrębności; koniecznem nawet ono ze względu na

przełomowy charakter czasu i na małe wyrobienie filozoficzne naszego ogółu. Stąd w tomie ostatnim ton niejednokrotnie polemiczny. Trudności przy opracowaniu tego działu były znacznie większe niż przy poprzednich, gdyż większa część materiału rozproszona jest po czasopismach.

Z tomem tym zostaje ukończone dzieło, omawiające dzieje ducha i sztuki ostatniej ćwierci wieku u nas, z szczególnością, której nie dorównywa żadne, analogiczne przedmiot traktujące dzieło zagraniczne. Oby przyczyniło się do zrozumienia i ukochania naszej literatury w tym stopniu, w jakim poezja polska, najwspanialsza dziś w Europie, na to zasługuje.

*Kraków, w maju 1904.*

## ROZDZIAŁ I.

### POZYTYWIZM TRYUMFUJĄCY.

Pozytywizm tryumfujący. Postęp warszawski a konserwatyzm krakowski zgodne w swej rezygnacyi polityczno-narodowej. *Wskazania polityczne* Świętochowskiego. Pozytywizm w praktyce. Typy młodzieży. Racyonalizm i utylitaryzm w Warszawie. Szkoła krakowska w polityce — religii — historyografii. Świadeztwo prof. Zdziechowskiego. Pseudoromantyzm we Lwowie.

Reakcyja. Ewolucya stosunków bytu. Powstanie kwestyi społecznej. Emancypacya kobiet. Znaczenie prądów „z nad Newy i z Genewy“. Ruch przeciw „stańczykom“ w Krakowie. Rozrost uczucia, jako wspólny mianownik nowych ruchów. Starzy i młodzi.

Pozytywizm tryumfował. Społeczeństwo było ze wszystkich szaleństw uleczone gruntownie. Osłabiony krwi ubytkiem i depresyą nerwową organizm przepisał sobie tryb życia spokojny i systematyczny, dyаметralnie przeciwny namiętnym porywom uczucia, fantastycznym planom i mistycznym zapalom dnia wczorajszego. Pieśń Tyrteusza ustąpiła odzie do młota i kielni.

Kto z chórem tej pieśni śpiewać nie chciał, musiał ustąpić. Miażdżyli go nielitościwie zarówno »postępowiec« warszawski, jak i »konserwatysta« galicyjski; odległe od siebie poglądami filozoficznymi i społecznymi — oba te typy spotykały się na punkcie zgody z faktem dokonanym.

Słumione tajemnicze ogniska rozdmuchano tedy w żar



ogni fabrycznych, wyciągnięte do czynu dłonie chwyciły za młot i kielnię, a z piersi przodowników pieśń wydobywała się jedyna: precz z marzeniami. Miast orłów i skowronków w powietrzu unosiło się z krakaniem jedynie czarne ptactwo reakcyi.

Naród stał się cichym i skromnym, aż zapanowała obawa, że za rezygnacją na zewnątrz idzie też rezygnacja duszy. Stąd wzburzenie gorętszej opinii patryotycznej, gdy po profesorze uniwersytetu jagiellońskiego Walewskim, który przyczynę upadku kraju widział w upadku legitymizmu, po Szujskim, który przyczynę tę widział w słabości katolicyzmu i absolutyzmu w Polsce, przyszedł Michał Bobrzyński (1879) ze swoją apoteozą przedewszystkiem siły w rządzie, ze swem ubolewaniem, że anarchiczni Polacy dla zasady siły nie chcieli poświęcić wolności obywatelskiej, że swą naturalną konsekwencją, że upadek w przeszłości był poniekąd zasłużonym. Stąd wzburzenie części opinii, gdy Świętochowski w swych *Wskazaniach politycznych* (1883) pisał: »Nie na zewnętrznych środkach samodzielności politycznej spoczywa istnienie ludów; naród zatem, który politycznie być przestał, który skutkiem tego zwątpił o swoim istnieniu, jeśli tylko rozwinął swoje siły duchowe i uzdolnienia do najwyższej swej miary, jeśli jego dorobek duchowy przedstawia poważne zasoby cywilizacyjne, może w każdej chwili powiedzieć o sobie z otuchą i dumą: myślę, więc jestem...« Słowa te nigdy nie były ostatnią formułką ideału redaktora i grupy *Prawdy*, na inną ci jednak zdobyć się nie mogli, gdyż leżała w dziedzinie zwalczanego przez nich uczucia, romantyzmu. W życiu codziennem musiała się ta formułka wyrodzić w rodzaj filisterstwa. I tak na całej linii. Młody człowiek lat siedmdziesiątych, dojrzewający w Warszawie, w Krakowie, czy też w Poznaniu, słyszał jedno tylko przykazanie, jeden imperatyw kategoryczny, jedną zasadę życiową: bądź pozytywny, bądź trzeźwy, bądź utylitarny. Utylitarną była nauka, trzeźwą polityka, po-

zytywną także poezya. Hasło to brzmiało ze szpalt dzienników i katedr profesorskich, z desek scenicznych i kazań kościelnych, z za obłoków poezji i z warsztatów pracy codziennej. Krzak gorejący świecił niejednemu, ale dochodziło z niego nie gromkie: ja jestem, który jestem! tylko filisterskie: bądź trzeźwym! Całe pokolenie — z wyjątkiem drobnej garstki epigonów poromantycznych — wszystko, co miało wpływ, powagę, siłę, zdawało się wskazywać na znane główne postacie z »Szkoly Ateńskiej« Rafaela i głosem Kasandry ostrzegać przed Platonem za gest jego ku sferze ideału, a zalecać Arystotelesa: patrzaj ziemi...

Młodzieniec taki jeżeli się wychował w Królestwie, a nie należał do sfery, której drogę życia zakreśla już z góry cień drzewa genealogicznego, wierzył w postęp jak w Boga, a w Świętochowskiego jak w proroka, czytał Buckle'a, Darwina, Büchnera, znał Comte'a i Ochorowicza, jako źródła niesfałszowanej wiedzy i gardził metafizyką, jako zbiorem bredni, oraz romantyką, jako aberacją uczucia. Poezji, jako steku mrzonek i fantasmagoryj, unikał, powieść tolerował o ile zawierała zdrową, t. j. utylitarną dążność i nie kłóciła się z rzeczywistością. Poezyą jego była praca. Ona-to karmiła myśl marzeniami i nadziejami, mówiła o odrodzeniu wewnętrznem od podstaw, wskazywała w perspektywie zdobycze handlowo-przemysłowe, dawała wiarę w żywotność własnego ramienia i kultury własnej, kazała z rezygnacją spoglądać na instytucje polityczne, ufna w hasło, które Świętochowski wypisał na czele wydawnictwa *Prawdy: Cogito ergo sum...*

Nie obniżajmy znaczenia pozytywizmu! Już samo wywieszenie hasła: wiedza to potęga, i popularyzowanie tej wiedzy po latach zastoju umysłowego i cofania się poza poziom Europy, jest niezmiernie doniosłości zasługą kulturalną. Wiedza jest uniwersalną, jest nią także idea postępu, reprezentowana przez liberalne mieszczaństwo. Stąd przy-

świecające tej epoce ideały ogólnoludzkie, ideały łamiące szranki religijne i kastowe. Była epoka taką, jaką być musiała. A jednak nie ulega wątpliwości, że racjonalizm jako teoria już z końcem 18. wieku się był przeżył, a jako praktyka ciasny jest i powierzchowny, dalej że to, co dla reszty Europy może wystarczało, dla nas było niedostatecznym, że trzeba było czegoś więcej, o wiele więcej. Tego *plus* przewodcy umysłowości pokoleniu nie podawali, to też ulegający ich wpływowi młody człowiek urządzał sobie życie człowieka prawego, żadnego wiedzy, nawskróś racjonalnego, ale zawsze pozbawionego wielkości — całe to pokolenie nie wydało ani jednego bohatera! Ogromna zaś większość wyciągnęła z ideałów ogólnoludzkich ideały czysto mieszczańskie, urządziła sobie życie grzęznące w zwyczajnem filisterstwie i sobkowstwie, jako najłatwiejszem zastosowaniu zasady »zgody z losem«.

Jeżeli obcięcie skrzydeł nie doprowadziło do życia płazów, do materjalizmu praktycznego, jako systemu społecznego, to głównie dzięki okoliczności, iż społeczeństwo nie rządzące swymi losami, nie mogło z premis powyższych wyciągnąć wszystkich konsekwencyj. Uczyniło to natomiast społeczeństwo galicyjskie i odrzuciwszy nomenklatury pozytywizmu i materjalizmu, zasady te życiowe przyjęło i w praktykę wcieliło w najsmutniejszy sposób... W Krakowie ów bezustanny, wielkooki strach przed *liberum conspiro*, który był także rodzicem pozytywizmu warszawskiego, owa trzeźwość, praca organiczna i zgoda z losem, zostały odrazu przetłumaczone na język polityczny. Szujski, Tarnowski i inni, rzutem gwałtownej reakcyi znaleźli się na przeciwnym biegunie swej wczorajszej przeszłości demokratycznej i względnie postępowej; z ich ust młody przy każdej sposobności, odpowiedniej, czy nieodpowiedniej, słyszał kazanie o niepoprawnych męczycielach; przeciw tym organizowali »dobrowolną straż pożarną« i ustanowili »rząd moralny«, uzbroiwszy go w dwie

największe powagi: w policyanta i religię. Warszawa teoretyzowała i w tej funkcji nie potrzebowała się opierać o przemoc materyalną, stańczycy krakowscy robili politykę czynną — najbliższymi, wypróbowanymi środkami. »W Krakowie«, pisze profesor Zdziechowski (*Szkice literackie* I, str. 247) »głoszono wprawdzie ze szczerym zapałem zasady chrześcijańskie, ściślej mówiąc katolickie, czuło się jednak, że podstawy tego katolicyzmu były zanadto materyalistyczne; oczywiście był on dla tych, co go głosili, prawdą najwyższą o Bogu i stosunku człowieka do Boga, ale przede wszystkim był opoką Piotrową, z której karna armia w zwartym szeregu zwycięsko odpierała napaście wrogich potęg anarchii i despotyzmu... Jednem słowem, umysły głosicieli katolickiej pracy organicznej mniej przykuwała sama treść słów Chrystusowych, niż ta forma, w której się one wylały w życiu praktycznem, stwarzając potężną instytucję kościoła. Karność stanowiła źródło odpornej siły kościoła, a właśnie jej brak był przyczyną naszych nieszczęść. Stąd to karność zaczęli oni zalecać, jako pierwszą i najważniejszą cnotę, a w hołdowaniu zasadzie tej zaszło się tak daleko, że niektóre codzienne pisma polityczne, przez przewodników katolickiego kierunku stworzone i natchnione, pogrążyły się ze zbytku gorliwości w bałwochwalczej czci dla każdego, kto wyższe stanowisko społeczne zajmował«.

Jak dla celów materyalistycznych użyto wszystkich środków organizacyjnych, tak użyto też nauki, szczególnie tej, do której umysły, jako do »nauczycielki życia« najwięcej się garnęły i z której najwięcej środków karności można było wyciągać: historyi. W żadnej sferze teoretycznej pozytywizm polski nie święci takich tryumfów, jak w krakowskiej hystoryografii. Jako fantastów, marzycieli, uczuciowców odrzucono Lelewela i jego szkołę, i ci sami ludzie, którzy nie mają dość słów wzgardy i arystokratycznego wstrętu dla Zoli i jego naturalizmu, stosując metodę najskrajniejszego naturalizmu do

badani przeszłości, stawiając zamiast ich hipotez i ducha — swoje hipotezy i często bezducha, i to nietyle dla prawdy historycznej, ile — jak to wykazał Schmitt, Smoleński, Korzon i inni — dla celów jednostronnych i więcej, niż tendencyjnych. Wszystko to dla uduszenia resztek »romantyzmu«, »anarchii« i wzmocnienia rządu moralnego, który w rezultacie okazał się nietyle moralnym, ile kastowym.

Innymi trochę prądami przesiąkał młody człowiek we Lwowie. Tutaj upajał się frazeologią mistyczno-narodową, z której duch już dawno był uleciał, śpiewał hymny Ujejskiego, aby po ukończeniu studyów wdziać mundur rządowy, stanowiący zarazem barwę przekonañ. Bohaterskie postacie, które w poprzedzającym czterdziestoleciu z nicości dźwignęły potężny ruch polityczny i literacki, schodziły powoli do grobu — bezpotomne, sprawy ducha zostały pochłonięte przez jałową politykomanję, zastąpione przez puste, przeważnie z osobistej polemiki żyjące dziennikarstwo. Między Lwowem a Krakowem bezustanna wrzała walka; Lwów był nasamprzód anti-ugodowym i chorował na sympatyę słowiańskie, wkrótce jednak pogodził się z istniejącym stanem rzeczy i z Krakowem wiódł już spór o czysto teoretyczną kwestyę: o pogląd na ruch miniony. W zasadzie Lwów był »czerwony« i ze sztandarem jaskrawym wysoko wzniesionym urządzał od czasu do czasu tanie demonstracye, ale zahypnotyzowany przeszłością — nie rozumiał terażniejszości, walcząc ze stańczykami — w praktyce robił to, co oni, z tą różnicą, że tylko oni odnosili stąd korzyści. I tak lwowski demokrat, jak i krakowski konserwatysta mówił dużo o pracy organicznej i nic dla rzeczywistego podniesienia kraju nie zdziałał, obaj byli faktycznie odcięci od masy ludowej, chociaż demokraci na swe obchody sprowadzali regularnie »*Parade-Bauer'ów*«, obaj obniżali systematycznie typ kultury dzielnicy, w której błyskotliwe frazesy były tylko błędnymi ognikami na bagniskach. Za czasów absolutyzmu wychodziło we Lwowie

dobrze pismo literackie (*Dziennik literacki*), czasy swobody są świadkami, jak co dwa lata jakiś śmiałek chce zmusić opinię publiczną do lektury literackiej i po krótkiej walce zostaje jako intruz odrzucony. Poeci giną tu z nędzy (Bartusówna!), emigrują do Warszawy, lub wytwarzają pod wpływem niezdrowej atmosfery typ pseudo-romantycznego farysa, oszalałającego się do zatury siły życiowej szynkownianym haszyszem (Dzierżkowski, Lam, Czerwieski, Stebelski). Wielkości tu jeszcze mniej, niż w Królestwie, ideały pod gęstym nasypem brudu i popiołu ledwie tleją, a filisterstwo i karyerowiczostwo kwitną najbujniej.

A Poznańskie? Nieszczęśliwa ta dzielnica, w której w latach czterdziestych najżywsze, wszechstronne kwitło życie duchowe, zdobywa się w latach 1870—74 na próbę ruchu literackiego, w *»Tygodniku Wielkopolskim«* rozwija śmiały sztandar postępu, aby wkrótce zwinąć go na długie lata. Czas *kulturkampf*u gromadzi wszystkich pod wspólnym hasłem ultramontanizmu; uważany za największego polityka wieku Bismarck osiągnął cel wręcz przeciwny, niż zamierzał: wydaniem tej walki wzmocnił zachwianą siłę katolicyzmu i zapewnił mu panowanie na czas długi.

Walka o byt plemienny, o utrzymanie ziemi i ogniska domowego, zaabsorbowała przytem wszystkie siły. Klerykalizm z jednej strony, rozpaczliwa walka z drugiej, podcięły duchowi skrzydła — i oto prowincya ta jest od dziesiątków lat umysłowo bierną i jałową; talenta naukowe i literackie, jakie czasem jeszcze wydaje, muszą emigrować zagranicę.

W takiej atmosferze wzrosło pokolenie, zrodzone koło r. 1860. Organizmowi narodowemu, konieczność podyktowała była metodę leczenia w rodzaju absolutnego spokoju, gromadzenia sił, unikania wzruszeń. Hygiena ta, stosowana do ciała już zdrowego, zaczęła grozić inną chorobą. Anemia uczuć zbiorowych przerażała gorętsze umysły. Nie było »zdrady«, gdzie ją włąchali Buszczyński, Giller etc., ale program pracy

wyłącznie kulturalnej *Prawdy*, program powstałego w r. 1882 w Petersburgu *Kraju*, polityka austriacka i stanowa stańczyków krakowskich — wszystkie te objawy pozytywizmu politycznego, spowodowały w wielu umysłach zamęt, reakcję. Hygieną szpitalną społeczeństwo długo żyć nie może, szczególnie gdy zamiast schorzałych ojców wystąpili synowie, młodzi, zdrowi, silni.

Smutnem i rozczarowaniem było dojrzewające po r. 1880 pokolenie, jednej zaś części zaczęły »oskubane ze złudzeń i marzeń skrzydła« nanowo porastać, domagać się przestrzeni, prawa lotu...

»Młodości serca i ofiar trzeba«...

Na wszystkich ziemiach dawnej Polski zaszły tymczasem w ostatnich kilkunastu latach zmiany faktyczne, które wymagały od ludzi nie tylko rozumu — jak praca organiczna, — lecz także i serca.

Praca organiczna wydała typowy swój produkt ekonomiczno-społeczny: kapitalizm. W Królestwie w r. 1880 wartość produkcyi fabrycznej równała się już wartości produkcyi rolniczej. Powstały ogromne ogniska, całe okręgi fabryczne. Liczba robotników fabrycznych wynosiła w Królestwie w r. 1871 — 76 tysięcy, w r. 1880 przeszło 130.000. W Galicyi wzmógł się kapitalizm rolny, który koncentrując się — pochłaniał własność mniejszą; dalej rozwijał się tu kapitalizm bierny. Kraj stał się rynkiem zbytu dla fabrykatów zachodnich prowincyj austriackich, które rozkładały zupełnie jego stare formy ekonomiczne; rozdrobnienie gruntów, upadek rzemiosł spowodowały coraz groźniejszą nędzę. Faktom tym zaczęły towarzyszyć wszystkie zjawiska, właściwe okresowi kapitalistycznemu, a przede wszystkim ruch robotniczy. Wyrwał się z pośród młodego pokolenia gwałtowny, krwawo przypięczętowany protest przeciw pracy organicznej, przeciw ideałom mieszczańskim i arystokratycznym, przeciw pozytywizmowi. Protestuje garść, ale stanowi ona tylko przednią straż nowej



armii; protestują młodzi tak namiętnie, że zrywają radykalnie ze starymi, zrywają ze wszystkimi ideałami przez nich dyskredytowanymi. Około 1880 coraz więcej takich jednostek, przejętych prądami »z nad Newy i Genewy«...

Innem zjawiskiem, towarzyszącem okresowi kapitalistycznemu, jest rozluźnienie rodziny. Kobieta uczuwa się wolną jednostką, stosunki ekonomiczne wyrywają ją z patryarchalnej spoistości szlacheckiej i małomieszczańskiej, zjawiają się prądy emancypacyjne. Potęgi społeczne, ukryte w danym systemie gospodarczym, rozkładają go, wytwarzają nowe dążenia, nowe drogi. Młodzi zapaleńcy społeczni i młode emancypantki stają się około r. 1880 zjawiskiem częstym. Wędrują zagranicę i tu dowiadują się ciekawych rzeczy: jako że liberalizm, uważany w Warszawie i we Lwowie za szczyt postępu, w Krakowie za antychrysta radykalizmu, ma poza niespożytą stroną ogólnoludzką zarodek śmierci: brak siły — i dobrej woli do rozwiązywania kwestyi bytu plemiennego i społecznej... Dowiadują się, że praca organiczna, w praktyce przemieniona w Guizotowskie: *Enrichissez-vous*, nie jest ostatnim wyrazem formuły ekonomicznej; że oświata, humanitaryzm itp. słowa, które naiwnym literatom przy zielonem biurku wydawały się najjaśniejszymi gwiazdami na niebie ludzkości, w rzeczywistości ustępują przed jedyną jasnością w obecnym stanie rzeczy: przed blaskiem złota. Czyż tak ma być wiecznie? Rozum ucieka się w tej chwili do innych doktryn, do innych formuł, zimnych, przerażająco zimnych, ale pod nimi tętni gorące, młodzieńcze serce, które jeśli błądzi — to także z nadmiaru miłości, poczucia krzywdy, poczucia ideału bytu lepszego, jaśniejszego: wszechludzkiego dobra...

Antyteza między »starymi a młodymi« powstaje około 1880 r. nasamprzód na tle ekonomicznym, życie upomina się o swoje prawa w formie najprymitywniejszej: protestu głodnego żołądka. Świadczy to, że panujące dotychczas stosunki dobiegają kresu swej żywotności, powstają formacje nowe,

a w ślad za niemi idą nowsze uczucia i dążenia, inne formacje ideowe. Wyraz ich skrajny przyswaja sobie oczywiście garstka, ogół społeczeństwa odczuwa świeże tchnienie, jako zwolnienie wyobraźni od wampira rachunkowego racjonalizmu. Równocześnie wyrывa się z piersi powrotna fala uczuć dawno uśpionych. Przeciw stańczykom pojawia się w r. 1882 w głównej ich twierdzy, w Krakowie pod redakcją Tad. Romanowicza dziennik *Nowa Reforma*, przejęty ideałami romantycznymi; niejako dla uzupełnienia tego organu powstaje w roku śmierci Szujskiego (1883) czasopismo akademickie, zwierciadło postępowej generacji najmłodszej, niejako obraz jutra: *Przyszłość*, o wiele skrajniejszy, zawierający w chaosie prawdziwie studenckim sprzeczne zawiązki różnorodnych a zawsze radykalnych doktryn: więc pozytywizm obok idei Marksa, zdeklarowaną bezbożność obok kultu Słowackiego — płonki, które w najbliższej przyszłości miały bujnie się rozrosnąć. W tajniach dusz wre. Napięcie uczuciowe, tak obce racjonalizmowi pozytywistów w Warszawie i stańczyków w Krakowie, powoli występuje na całą linię. *Trzeźwa* od wielu lat, w atmosferze wiedzy przyrodniczej lub historycznej, pracy organicznej żyjąca dusza narodu zaczyna odczuwać dawno nieznane dreszcze. Na dnie wszystkich tych ruchów i odruchów, jako wspólny mianownik leży tłumiony, często błędzący, coraz szerszy, coraz potężniejszy rozrost uczucia.

Pozytywizm faktycznie tryumfuje, ale z głębin wychodzą już jego grabarze...

Rozumie się, że literatura, odzwierciadlająca owe walki i prądy, czysto artystyczną nie będzie; pisana jest *sub specie* interesów dnia, nie *aeternitatis*; wielkie idee gubią się w lesie tendencyj, bezpośrednie uczucie — w rezonowaniu. Ogólny charakter literatury z tego okresu jest też więcej tendencyjno-społeczny, niż artystyczny; między dziełami jej więcej znajdujemy ciekawych dokumentów kulturalno-historycznych, niż pomników piękna. Wielki talent wyciska jednak swój ślad na

wszystkiem, czego tknie się; apostołstwo społeczne u niektórych znajduje tony prawdziwego natchnienia; miłość i nienawiść wlewają w słowa blaski złota lub siłę brązu... Przodownicy czasu nie przestają być przodownikami sztuki.

Jakże się przedstawiają ich typy, jak ewolucya tych typów w literaturze?

## ROZDZIAŁ II.

### OBNIŻENIE SIĘ IDEAŁÓW.

Obraz literatury polskiej około r. 1880. Ideał narodowy i wszechludzki u romantyków a obecnie. Cofnięcie się wobec nowych prądów. J. I. Kraszewski i ostatnie jego powieści. Jan Zacharyasiewicz i apoteoza filisterstwa. T. T. Jeż. Ideał społeczny Jeża: *Syn Chorażego*.

W Galicyi — Michał Bałucki. Od mieszczaństwa do małomieszczaństwa. Liberalizm galicyjski i Jan Lam. Tragizm światopoglądu humorysty.

Wczorajsi młodzi w Warszawie. Eliza Orzeszkowa i jej powieści przeciw fali socyalistycznej. Przepaść między młodymi a starymi. — Walerya Marenné. Pozytywistyczny męczennik miłości. — Konkurs na ideał mieszczański. Zofii Urbanowskiej *Księżniczka*.

Pozytywizm konserwatywny. Józef Szujski. Jego *Promeusz a Długosz i Kallimach*.

Satyrycy epoki. Satyra we Lwowie. *Szczutek*. Chochlik. Rodoć. Satyra w Krakowie. *Dyabel*. Miecz. Pawlikowski. Kazim. Bartoszewicz. Poza Galicyą. Włodz. Wysocki. Klin. Fejletoniści.

Charakter literatury okresu. Nikt nie przerasta swego czasu. Rzut oka zagranicą. Nowe prądy artystyczne i społeczne. Rosya, Niemcy, Francya. Zola. Ibsen, jego walka z *upiorami* i jej znaczenie. Obniżenie się ideału.

Żywoty i dzieła.

Literatura nasza około 1880 r. dość smutny przedstawia widok. Brak jej skrzydeł. Jakby bez echa skończyły pieśni po-

teżnych bardów narodowych, zgasły zapalone przez nich przewodnie słupy ogniowe. Skonali byli bardowie dawni, z nimi — zdawało się — dzieła ich wszystkie. Miejsce purpury zajęła szarzysta bytu codziennego, miejsce gromów — szcęk młotów, miejsce rozległych widnokręgów — rynek handlowy. Dwóch, trzech pisarzy marzyło o miłości ogólnoludzkiej etc., reszta wyśpiewywała na różne tony niemoc.

Wysoko trzymał był romantyzm sztandar ducha zbiorowego, a także dążeń i praw ogólnoludzkich. W potężnym swym wzlocie dusza traciła z oczu wszystko, co małe i nikczemne, pierś polska piastowała największe ideały ludzkości, wzrok obejmował horyzonty olbrzymie. Mickiewicz »ludzkości całe ogromy« przenikał z końca do końca, z Bogiem samym staczał walkę. Słowacki Leonidasa z grobu wskrzeszał i *Do autora trzech psalmów* słał błyskawice, oświetlające wcielenie ducha demokracji. Krasiniński malował gigantyczne zapasy potężnych światów i wołał: idź i czyn! Co więcej — w świat ten ideałów ogólnoludzkich wieszczę wnosili nutę specjalnie polską, pierwiastek własny, »ton« ów odrębny, różniący romantyzm polski od poezyi innych narodów. Jest nim dążność do utożsamiania życia z duchem, do przemieniania samego życia w poemat wzniosły, do stworzenia nowego typu człowieka o wiele doskonalszego od panującego obecnie, coby jednoczył w sobie najpostępowwsze idee wieku z nastrojem mistycznym wszechmiłości... A gdy słońca tego ideału na niebie naszym zaszły, paliło się ono jeszcze długo wspaniałem odbiciem gasnących ich blasków. Cała poezya poromantyczna a poniekąd i powieść demokratyczna lat pięćdziesiątych ma za zadanie — jak mówi Sowiński:

Rozniecić prawdę społecznym trudem  
I w czyny wcielić królestwo boże...

Gdzie życie nie mogło stać na wyżynie ideału, powstaje walka, będąca tragedią niejednej jednostki (Berwiński, Wolski,

Zmorski etc.), powstaje wichrowatość, chaotyczność, nieraz karykatura, ale nie tępa, bezmyślna rezygnacya, kompromis z marną rzeczywistością, sprzedaż ideału za misę soczewicy, za żywot »fabrykanta niemca przy żonie Niemce«. W takich warunkach byt mógł być ciężkim, gniotącym, ale ducha nie poniżał, nie zabijał. Nawet skromny »lirnik wioskowy« Syrokomla czuł się ogniwem olbrzymiej rodziny walczących i cierpiących i śpiewał:

Ach, czuję, czuję, że jednostki łono  
Z dolą ludzkości ściśle zespolono.

. . . . .  
Czuję ból w sercu — o wielki Jehowo!  
Ulżyj ludzkości, a będzie mi zdrowo...

A szybując wyżej, jeszcze wyżej, romantyzm buduje jedną z najwspanialszych drabin, które duch ludzki wzniósł ku niebu, szereg najwspanialszych objawień »nieświadomego«: duszy, przepaści, zaświatowości, jakie zna twórczość ludzkości...

Drabina ta została złamana, miarka i waga zastąpiła wszelkie manifestacye duszy, człowiekowi tyle tylko wolno objąć świata, ile go może cyrklem wymierzyć. Metafizyka — to wróg! a czegoż do metafizyki nie można zaliczać...

Pojęcia te szły w parze z odpowiednią praktyką.

Oto w okresie panowania »dobrowolnej straży pożarnej« i ód do młota i do kielni, w okresie zupełnego wyczerpania sił — następuje zacieśnienie się w szczupłym kółku, apoteozowanie cnót małych, pełzanie ku drobnym celom szczęścia osobistego i dobrobytu, jako podstaw pracy organicznej. Prometeusz ustępuje miejsca Merkuremu, herosy romantyki dawnej słyszą głos: idź i — zdobywaj targi handlowe, lub: rób karierę rządowo-austriacką! Gustaw czy bohater Słowackiego uważają za pierwszy obowiązek strzedz tradycji i przy kominku rodzinnym wata zatykać uszy na głos wszystkiego, co szumi i dzwoni romantycznością, nowinkami nie-

bezpiecznemi, krzykiem wiecznie żywej i uświadamiającej się duszy...

Odskok między ideałami romantycznymi a nowymi był olbrzymi — inaczej jednak przedstawiał się w Warszawie, inaczej na gruncie galicyjskim. Pozytywizm warszawski dążył do przetworzenia dawnego typu mistycznego w nowoczesnego mieszczanina-racyonalistę, ale tego ostatniego uposażał we wszystkie siły, potrzebne do życia, do życia nowoczesnego, zdobywczego; dawał więc zgłodniałej duszy chleb wiedzy europejskiej i przykazania altruizmu; zamęczał ciało pracą przemysłową, nie zostawiał czasu na marzenia, ale podnosił kraj ekonomicznie, rozbijał kastowość, szerzył myśl wolną, niekrępowaną uprzedzeniami, w żydzie i chłopie widział brata. Inaczej poczynął sobie pozytywizm polityczny krakowski. Tarnowski, Szujski, Koźmian rozwiali gruntownie legendę o Golgocie, o Chrystusie narodów, o misyi szczególnej, ale z nią rozwiali równocześnie wiarę w potrzebę poświęcenia, w ducha miłości i ofiary, w najświętsze spójnie, łączące ludzi; równocześnie odcinali młodzież od żywych źródeł wiedzy europejskiej, anatema obkładali Buckle'ów, Darwinów, Renanów, Millów, skazując umysły na zupełne wyjałowienie; równocześnie nie dbali o rozwijanie potęgi pracy ekonomicznej i szerzyli w ten sposób konserwatyzm najtępszy, trzymający się jedną ręką klamki rządowej, drugą mechanicznie lemiesza i kądzieli; równocześnie duszy zgłodniałej nie dali żadnej syntezy...

Kilka tylko wyjątkowych umysłów snuło plany i idee na rozleglejszą skalę, zresztą pisarze, przejęci nastrojem czasu minionego, pod wpływem ogólnego ciśnienia atmosfery zniżyli swój lot do samej ziemi i piekła — jak w mowie jubileuszowej wyraził się Kraszewski — chleb razowy, dbając jeno, by nie było w nim zakalców.

»Spokój — pierwszy obowiązek obywatela«, zaczynał przybierać cechy martwoty... Widać to najlepiej w usposo-



bieniu pisarzy, którzy wyrażali nastrój »przeciętnej« opinii, stan umysłów dla przeważającej większości społeczeństwa typowy.

Na czele literatury stał niestrudzony pracownik J. I. K r a s z e w s k i, otoczony blaskiem i kadzidłami obchodu jubileuszowego, którym właśnie w r. 1880 naród go uczcił, jak nigdy przedtem i nigdy potem żadnego swego pisarza. I słusznie — jeżeli się weźmie pod rozwagę ilościowe zasługi Kraszewskiego, istotnie nieocenione fakta, że wyparł z domów książki francuskie i zastąpił je polskimi, że więcej napisał książek niż zwykły inteligent w życiu może przeczytać, a przede wszystkim jego gorącą, głęboką, niczem niewstrząśniętą miłość narodu. Poza jednostkami, stworzonymi przez naturę na pionierów, twórców nowych wartości, reformatorów, są inne, które niejako streszczają w sobie swój czas, swe społeczeństwo, ze wszystkim, co w nim wielkim i małym, dobrem i złem. Taką jednostką był Kraszewski — nie był zaś z rodziny orłów, a nie mógł nim być starzec siedmudziesięcioletni. Reprezentował zawsze »złoty środek«, nie skutkiem wyrachowania, lecz dzięki usposobieniu, które czyniło go dalekim od wszelkiej skrajności, zato wyrazem przeciętności ogółu, przeważnie szlacheckiego. Nastrojowi 1863 roku nasamprzód się opierał, potem dał mu się porwać i jako Bolesławita stał się w szeregu powieści jego historykiem; jako Bolesławita wydawał też (1867—1869) swoje *Rachunki*, rachunki niejako sumienia polskiego, w których kontynuował hasła czerwone i niełitościwie smagał wszystkich, którzy im się sprzeniewierzali. Wkrótce jednak Bolesławita przemienił się znowu w J. I. Kraszewskiego, powieściopisarza spokojnych dworzków i salonów intryganckich, a i ten rychło zapomniał *Dzieci wieku*, w których odstrasząco malował zmateryalizowanie, grożące społeczeństwu skutkiem utraty wysokich ideałów, nie wzniósł się też już na wyżyny tendencyjnych a mimo to poetycznych swych powieści z czasów

walki o chłopą. Oderwany od kraju, pozbawiony możności bezpośredniego obserwowania ludzi i stosunków, zwrócił się przede wszystkim ku przeszłości i za przykładem Gustawa Freytaga, na szerszą jednak skalę, zaczął pisać swój cykl powieści historycznych. Pierwsza, *Stara Baśń*, tchnęła prawdziwą poezią, ta prędko jednak ustąpiła oschłym opo-



J. I. Kraszewski w swojej pracowni drezdeńskiej.

wiadaniom kronikarskim. Instynktem swym wiedziony przystosował się przytem szybko do nastroju, przeważającego w kraju — i w powieściach współczesnych jął propagować zwalczane niegdyś przez siebie tendencje antiromantyczne, pozytywistyczne.

Najczęściej bieg myśli powtarza się w nich tensam: jest nim idealizowanie pracy organicznej, cichych cnót, niechęci

ku naturom burzliwym, podlegającym silnym namiętnościom i niebezpiecznym pokusom. W powieści *Dwa bogi, dwie drogi* (1877), przeciwstawia temperamentowi namiętnemu, upajającemu się życiem i użyciem — naturę więcej uduchowioną; pierwsza kończy w dostatkach, obławowując sumienie swe zbrodniami, druga zostaje wynagrodzoną cichem, spokojnem, dość filisterskiem szczęściem. Z *dziennika starego dziada* wyczytujemy rzeczywiście wzruszającą opowieść, o poczciwym, starym optymiście, któremu resztki życia schodzą na cichych, szlachetnych uczynkach i poświęceniach. W *pocie czoła* (1883) jest rehabilitacją dorobkiewicza. Wszędzie *Leitmotiv* tensam. W *Klasztorze* (1882) znajduje kasztelanic Bużewski po życiu, pełnem burz i niedowiarstwa, przystań cichą, ukojenie szczere przy boku zakonników cichych, świątobliwych, słodkich. Na *tułactwie* (1881) widzimy całą galerię próżniaków i frazesowiczów, którzy pomiatają uczciwą pracą i żyją jako pasażerzy; im przeciwstawiony jest ideał w postaci dra Klesza, który dla chleba zostaje zecerem i na tej drodze dochodzi do zamożności i znaczenia. Autor *Poety i świata* przestaje idealizować *Demoną* poezyi a nawet samo uczucie romantyczne i podjąwszy w *Resurecturi* hasło: przez pracę do odrodzenia! nie chciał widzieć, że i ono, jak wszystko na świecie, ulega rozwojowi, że nie może ono zapełnić życia całego narodu, gdyż poza niem rodzi się jeszcze mnóstwo interesów, uczuć, dążeń, mających nieprzepartą chęć i siłę i prawo do życia. Dotknął tej kwestyi w powieści *Szalona* (1880). Tutaj Kraszewski — jeden z pierwszych u nas — wprowadził na widownię typy młodzieży i dążenia emancypacyjno-społeczne, które potępił bezwzględnie samym już tytułem utworu. Zonia, którą poznajemy, jako studentkę w Kijowie, jest poniekąd ofiarą swego temperamentu zmysłowego, wyuzdanego, korzysta też z emancypacji, aby opętać młodego kolegę »chorążycą«, oderwać go od matki, unieszcześliwić i następnie uciec z francuzem. W czasie komuny pa-

ryskiej widzimy ją, jako szalejącą podpalaczkę, nareszcie, jako zapijającą się absyntem dziennikarkę. Pierwszy jej »mistrz« Jewłaszewski okazuje się zwyczajnym szubrawcem, kierującym się najniższymi popędami. Dodatnim typem ma być chorążyc Ewaryst i siostra Zoni, żyjąca na wsi u jego rodziców. Pocziwą tę dziewczynę uczynił jednak Kraszewski tak bajecznie ograniczoną, a wzorowego młodzieńca takim niedołągą, że oni chyba za satyrę mogą być uważani. Nowego typu starzec zgoła nie zrozumiał i odpychał tylko młodzież od starego.

Oburzał na siebie mocniej jeszcze młodzież drugi pseudopostępowy pisarz z starego pokolenia, dość duży wywierający wpływ w tym czasie. »Najwięcej poziomym ze starszych powieściopisarzy pod względem ideału szczęścia — woła jeden z młodych — jest Zacharyasiewicz. Wszystko, co nie zamyka się w ciasnych ramach cnót domowych i cnoty najwyższej, t. j. pokory ducha, uosabia się w takich postaciach, jak Hugo z *Renaty*; »dobroczyńca ludzkości« — »on nie chciał w oceanie czasu zginąć marnie, jak ziarno prochu, jak giną miliony, on chciał wraz z innymi sięść na rydwan pędzącego czasu, chciał dalej toczyć koła jakiejś nowej idei. Wymarzył sobie ideał i w nim się kochał. Była to ludzkość, cała ludzkość. Dla tego ideału chciał się poświęcić. Naostatek zwaryował, wyleczył się i ożenił z Małcią«. Zacharyasiewicz wynalazł odpowiednią moralność, idealizując aplikantów sądowych, marzących o społecznej działalności wtedy, gdy będą mieli z półtora tysiąca rubli pensyi (*Omanka*), i szlachtę, tych »oficerów armii chłopskiej, po wygubieniu których zginęłoby i wojsko«.

Filisterstwo, zaszczerpione i idealizowane w literaturze przez Korzeniowskiego, zataczało coraz szersze kręgi.

Opierał mu się dzielnie i konsekwentnie ten z starszego pokolenia, którego całe życie było protestem przeciw filisterstwu, a czerpało z żywej krynicy myśli wolnej i wiedzy

Europy. To też w jubileuszu Jeża (1883) brali udział pozytywiści warszawscy, by uczcić pioniera postępu; równocześnie przyczynił się ten obchód niemało do podniesienia nastroju gorączkowego młodzieży. Wprzód jeszcze (1881) skryształizował Jeż swój ideał społeczny w powieści, będącej wiernym ciągiem dalszym tendencji Towarzystwa demokratycznego, podległej krytyce, jak każda rzecz tendencyjna, świecącej jednak silną wolą, męską myślą społeczną. Powieść ta jest najszerszą kanwą społeczną, na jaką chwila ówczesna mogła się zdobyć.

Bohaterem jej, *Wnukiem Chorążego*, jest Adam Jeż, ów pra... pra... wnuk Kuźmy Jeża, który w XVII wieku wzięty ze wsi, jako młody parobczak, wyrobił się na dzielnego wojownika, nie przestając do ostatniej chwili być chłopem. Adam jest już nietylko szlachcicem, lecz jako syn generała człowiekiem zamożnym i należącym do kwiatu kultury: przystojny prawdziwie męską pięknoscią, ma wszystkie warunki, aby pędzić życie hulaszczcze i wesołe, jak większa część młodych panów. Dowiedziawszy się jednak o śmierci ojca, wraca z Anglii i Francji do rodzinnych Hrynenek a przed oczyma ma talizman... model wzorowej chaty chłopskiej... ideał ułożenia stosunku »dworu do chaty« w duchu czystej sprawiedliwości i jak najwyższej wspólnej korzyści. Po drodze spotyka go przygoda, która innego zatrzymałaby — na całe życie: ocala życie bankierowi Sonne i zyskuje namiętną, bezgraniczną miłość jego córki-wdowy, pięknej baronowej von Grubenstein, która w nim poraz pierwszy widzi prawdziwego... człowieka. Wyrывa się Adam z objęć tej pokusy i spieszy do Hrynenek. Tam na nowy rok przychodzą doń najpoważniejsi wiekiem gospodarze — traktowani przez »panowie« i »panowie gromada« — z życzeniami, on nawiązuje z nimi rozmowę. Wskazuje na powszechne skargi włościan, na biedę, doskwierającą po uwłaszczeniu i omawia środki zaradcze. Jedni chcą, by odebrano grunta panom i rozdano



T. T. Jeż.

między chłopów; niewiele-by to pomogło, gdyż grunt nie rośnie w odpowiednim stosunku do liczby dzieci, podziały nieustanne sprowadziłyby tedy w krótkim czasie znowu biedę.

Chłopi potakują.

— Doradzają — mówi dalej Adam — odebrać grunt mnie i wam i zrobić z niego własność wspólną tych wszystkich, co go będą uprawiali rękami własnymi... Mają go oni uprawiać, i co się zbierze, tem się podzielić, a z tem niech już każdy robi co zechce... W sposób ten nie mógłby się kosztem drugich bogacić nikt, i byłoby może dobrze przez czas jakiś, przy pracy wszystkich na jednego i jednego na wszystkich... Ale pomyślcie jeno: czy każdy nie wolałby, aby na niego pracowali inni? Z chwilą, w którejby pierwszy tak pomyślał, dobre skończyłoby się wnet: jeden po drugim spu-

szczałby się na wszystkich i gromada uciekaćby się musiała do środków przymusowych. Nastalaby robota niby pańszczyźniana, robota niedbała i licha, sprowadzająca na wszystkich ubóstwo z roku na rok coraz większe. Jedyna pociecha byłaby w tem, że ubóstwo dotykałoby wszystkich zarówno, że wszyscy byłiby nędzarzami, jednakowo wprzagniętymi w jarzmo przymusu i jednakowo przywiązanymi do gruntu... Ten i ów chciałby odejść, ażeby dolę zmienić, ale gdzieżby poszedł, gdyby taksamo było wszędzie, przy roli i przy fabrykach?

— Radę daje chyba... jakiś niespełna rozumu — decyduje chłop.

Załatwiwszy się w ten sposób z ideałem kolektywistycznym, przystępuje Jeź do wyłuszczenia ustami bohatera własnego programu.

— Owoż ot co ja powiem — mówi Adam. — Zdaniem mojem rzecz urządzićby się dała w ten sposób, ażebym ja całym majątkiem swoim i całą osobą pracował na każdego z was i ażeby z was każdy taksamo pracował na mnie. Nazywa się to spółką, do której każdy co chce przystępuje z udziałem swoim i z której zysk ciągnie udziałowi odpowiedni. Dla zysku tego, ażeby mieć takowy jak najwyższym, każdy ze wspólników pracować usiłuje jak najlepiej, dokładając jeden głowy, drugi ręki, co kto ma i co kto może. Najemnictwo robocze w takim razie upada, najmuję bowiem samego siebie i sam pilnuję, ażeby najemnik ten robił jaknajwięcej, jaknajlepiej i jaknajprędzej...

I spółka ta przychodzi do skutku. Nie odrazu i nie bez przeszkód... Jeź zapatruje się jednak na naturę chłopską bardzo optymistycznie. Z Ślimakiem np. z *Placówki* Prusa lub z chłopami Sienkiewicza o takiej spółce rozprawiać-by nie można, chłop Jeża ma jednakowoż stateczność i powagę; w Hrynenkach bowiem, przez potomków Kuźmy Jeża zawsze traktowany z życzliwością braterską, rozwinął w sobie go-

дноść ludzką i myśl krytyczną. Jeżeli ma wady, to ogólnoludzkie, zdarzające się we wszystkich sferach społeczeństwa. Adam je przewycięża, przewycięża jeszcze wroga wewnętrznego: wobec baronowej, która na skrzydłach namiętności na wieś przylatuje, zaręcza się z młodą, pocziwą szlachcianką — i ideał szczęścia osobistego, związanego z szczęściem ogółu, wcielony. Spółka współczesna prosperuje — zapewnia autor — doskonale...

Co prawda, musiał Jeż dla osiągnięcia tego rezultatu uprościć i uróżnić ludzi i stosunki, ale w zgodzie ze swem sercem i całym światopoglądem. Jego chłop był już począwszy od *Wasyła Hołuba* i protoplasty rodu, Kuźmy Jeża, zdolnym do heroizmu, poświęcenia i organicznej pracy społecznej; także rodzina żydowska, stojąc na drodze *Wnuka Chorażego*, jest pozbawiona cech destrukcyjnych: bankier Sonne — to figura zarozumiała i śmieszna — jak na inny sposób nie jeden ze szlachty — a namiętność córki jego, baronowej, jest czystą i połączoną z blaskiem głębokiej, wytwornej kultury. Jeż i dawniej jednak przedstawiał w dodatnim świetle postacie żydowskie, uważając je za zdolne do dodatniej służby obywatelskiej (postacie żydowskie w *Historji o pra... pra... wnuku*, w *Drugim bożem przykazaniu*, *Uroczu*). Smagając niełitościwie pychę, samolubstwo i złą wolę tych, których do odpowiedzialności społecznej pociągać można: wysoką szlachtę i arystokrację, wierzy on niezłomnie w dobre, heroiczne pierwiastki duszy ludzkiej, ciężące ku dobru społecznemu. Środek doń wiodący — spółka gminy z dworem — jest w gruncie rzeczy trawestacją hasła Krasieńskiego, zawsze jednak jaśnieje, jako wysoka idea w dzielnym charakterze męskim ponad karłowatemi myślami i ludźmi...

Karłowaciały duchy...

Oto w Galicyi mogły się wzbijać względnie wysoko, idee, które przed dwudziestu laty zaledwie w marzeniach



najśmielszych się snuły, wcielać w życie, z tego życia czerpać coraz gorętsze natchnienie...

Z pośród pisarzy galicyjskich »postępowych«, największy rozgłos w Krakowie miał Michał Bałucki, we Lwowie — Jan Lam.

Bałucki z orłami nie latał nigdy, ale pierwsze jego wierszyki przepojone były tęsknotą romantyczną, a w powieści *Młodzi i starzy* uderza siłą uczucia, czerwienią kolorytu, ustępami istotnie natchnionymi, jakkolwiek ton ów ku końcowi znacznie się obniża. W tym utworze i w następnym (*Przebudzeni*, pseud. *Elpidon*) jest jeszcze wiernem dzieckiem ideałów romantycznych. W dalszych staje się Bałucki najwierniejszym w Galicyi rzecznikiem i wyrazicielem mieszczaństwa, które zaskoczony w roku 1867 życiem politycznym, poczuło na chwilę swą odrębność od szlachty, idącej w parze z klerem, poczuło szerokie aspiracye i gorączkę walki o ideały demokratyczne i postępowe. Rozpoczęła się na całej linii walka hasel i obozów, liberalizmu zabarwionego z wiedeńska z konserwatyzmem szlacheckim; *Kraju*, redagowanego przez Ludwika Gumplowicza, z *Czasem* i *Przeglądem Polskim*. Bałucki stanął odważnie po stronie ówczesnych postępowców, odcinając się odrazu stanowczo od organizującego się właśnie stronnictwa stańczyków. W utworach swoich z tego czasu zwalcza romantyzm uczuć i wielbi wiedzę, wyszydza niemiłosiernie *Pańskie Dziady* i wspinanie się do pańskich progów, renegackie wędrówki *Z obozu do obozu*, a z ciepłem podnosi zacne uczucia ludzi z gminu, oraz dzielnych, pracą i nauką postępujących coraz wyżej dorobkiewiczów; z nieubłaganą zaciętością prześladuje bigotów, nietolerancyę i świętoszkostwo wszelkiego rodzaju, a z prawdziwą odwagą uderza także na duchowieństwo, nie wahając się przedstawić romansu księdza z zakonnicą przy konfesyjale (*Błyszczące nędze*), motywować, że jeden z bohaterów nie chce zostać księdzem, bo nie chce »być ciężarem społeczeństwu i tuczyć



Michał Bałucki.

się w bezczynności jego kosztem, mogąc pracować i być użytecznym». Tej materii poświęca całą powieść (*Siostrzenica księdza proboszcza*).

Był to »farysowy« okres mieszczaństwa krakowskiego, i Bałucki, rzecznik klasy wolnej, zdobywczej, jest pełen wiary i dufności w swe ramię a pogardy dla przesądów. Bohaterzy pracy są u niego większymi, niż ci, co walczą mieczem, staremu arystokracie każe przyjść do przekonania, że wiedza pozytywna nie wypędma z duszy człowieka szlachetnych uczuć, huk machin nie zagłusza głosu sumienia i fabrykant może mieć więcej poezyi w duszy, niż ci, co się głoszą jej kapłanami. Tę tezę przeprowadza też autor w komedyi *Po śmierci cioci*, w której poeta Juliusz jest pełnym blagi poze-

rem a inżynier Karol herosem dodatnim. Pełno tu zapału, optymizmu, właściwego epoce i klasie rozkwitu...

Wkrótce jednak nastrój ów się łamie, jak się rychło złamały zapędy wolnomysłne i zdobywcze mieszczaństwa krakowskiego. Jak miał autor dalej przedstawiać bohaterów, gdy ich dokoła siebie nie widział? Cofa się też w zacisze domowe, zaczyna unikać wielkich idei, ognistych haseł, uwielbia natomiast ciche cnoty, atmosferę porządku, szarzyzny, wygod — filisterstwa. Postęp przemienia się w zastój, lot śmiały — w niechęć do wszystkiego, co nowe, wstrząsające, w niezgodzie z tą potrzebą spokoju. W r. 1880 pisze Bałucki najlepszą swą komedję: *Grube ryby*, w której falami ciepła i sympatyj obejmuje staruszków Ciaputkiewiczów, żyjących jak para gołąbków. Tyle sympatyj nie okazał i nie zdobył autor nigdy dla młodych. Ich dążenia i zapały przestał malować, a gdzie je dostrzega — odnosi się do nich z niechęcią. W tym samym roku 1880, w którym pojawiło się tyle utworów znamiennych dla momentu historycznego, wydał powieść »250.000«, w której kielkujące zasady społeczno-reformatorskie ośmiesza, zabija, przedstawiając, jak wyglądają w teorii i praktyce. Exemplum — obywatel Tarchała, rezoner, nicpoń, stały gość szynkowni małego miasteczka; dopóki jest nędzarzem, słyszymy w jego kółku poglądy, że »ziemia jest własnością wszystkich i nikt nie powinien rościć sobie większego do niej prawa, niż inny«; wzbogaciwszy się skutkiem łajdactwa, Tarchała zadziera nosa, odtrąca całą swą przeszłość i kamratów i po swojemu używa życia. Dostaje się nareszcie do więzienia i tam jeszcze słyszy »rozwlekłą pieśń z za kraty jakiegoś amatora cudzej własności, w której rozwodził się nad niesprawiedliwością losu i złem urządzeniem świata«. Tarchale przeciwstawia autor ideał dodatni: szewca Ignasia, który z zagranicy nie przywiózł żadnej myśli, nie wzniecił w sobie żadnego szerszego uczucia, za to »cichy, łagodny jak baranek« siedzi cały dzień, jak przykuty

do niskiego stołeczka, a w niedzielę używa szczęścia przy boku równie jak on ograniczonej połowicy.

Ideał mieszczański przemienia się w małomieszczański...

W obronie haseł mieszczańskich w wielkim stylu pomysłanych walczył Jan Lam, piórem satyra, ostrem, morderczem, tem straszniejszym, że nie zabijało, lecz na długie lata ośmieszało. Około r. 1880 minął już był czas, kiedy Galicya była zagrożoną przez Stadionów, Precliczków, system germanizacyjny. Autonomia zdobyta, rządy polskie, językowi nic nie groziło — zagrożonym był zato duch narodu. Galicya przedstawia się więc Lamowi, jako wielka galerya *Głów do pozłoty*, jako »kraj lichych arystokratów, głupich szlachciców i przewrotnych demagogów«. Panującym w powieściach Lama typem jest taki Klonowski, o którym szlachta mówi: »Klonowski? to luminarz, to znakomitość krajowa. Ma w małym palcu więcej rozumu, niż my wszyscy razem w naszych głowach, a przytem jestto patryota, jakich mało, tylko widzisz: rozważny, roztropny, głęboki polityk« — a który w rzeczywistości jest łotrem nad łotrami, fałszerzem i denuncyantem, krzywdzicielem wdów i sierót, zagarniającym przytem najwyższe w kraju godności, aby ze szczera zresztą, polską dobrodusnością tem bezkarniej dusić swe ofiary.

Typ ten nasuwa się Lamowi w każdej powieści pod pióro, a obok niego figuruje stale książę, któremu raz na imię Błaga, a raz Skiergiełło, który raz dopuszcza się najobrzydliwszych szwindłów przy »grynderstwach«, a raz zamąca całą politykę krajową, aby nagle uczuwszy nudy, na redaktora swojego organu codziennego odkomenderować ekonoma i wyjechać na polowanie do Indyj. To są główne osie spraw publicznych, ciągnionych przez takie siły obywatelskie, jak ks. Zygmunt Stodolski, działający na dewotki pochlebstwem, terorem i flirtem, gromady jego owieczek, między którymi obok dewotek, wychowujących świadomie łotrzyce, znajdują się pobożni profesorzy uniwersytetu, dalej jak »doktor« Ema-

nuel Mitręga, przystojny blagier, oszust i nieuk, który umie się wysuwać na naczelnego redaktora dziennika i dyrektora instytucyj finansowych itd. itd. Wszyscy oni trzęsą opinią publiczną, są ojcami kraju, a jeżeli koniec ich jest smutny, to nie dlatego, jakoby społeczeństwo się poznało na ich wartości, lecz ponieważ zepsuci powodzeniem, sami przeciągają strunę, aż ta pęka — ku zdumieniu ogółu »Golicy i Głodomeryi« czyli »Milicyi i Landweryi«, uważającego ich do ostatniej chwili za świeczniki narodu.

A co robią żywioly dodatnie, ludzie reprezentujący ideał?

Nic nie robią. Lam tak dalece tkwił w swoim czasie, a w jego smutnych warunkach uważał dodatnią akcyę publiczną za tak utrudnioną, że czego najwięcej od ludzi żądał — to cnót prywatnych, a bohaterów społecznych nawet wyobrażać sobie nie umiał. Bądźcie dobrzy, bądźcie uczciwi! woła w każdej powieści — reszta sama z siebie przyjdzie. Tak Moulard z *Głów do pozłoty*, jak i spokrewniony z nim Wołodecki z *Dziwnych karyer* (1880) są z natury cisi i skromni pracownicy, ze sporym zapasem sentymentalnej poezyi w duszy, rzuceni jednak w wir walk i interesów publicznych, kręcą się w nim, jak nieporadne dzieci i ani razu nie wznoszą się na wyżynę czynów i ideałów społecznych. Jakież smutne wrażenie wywołują owi *Idealiści* Lama, mający ucieleśniać zasady postępu i pozytywizmu, jak Lam je rozumiał! Zamecki i Skryptowicz są to natury nawskrós szlachetne i wspaniałomyślne i jak wszystkie tego rodzaju dają się łatwo wyzyskiwać i nadużywać; nie cierpią jezuitów i bigotów, ze współczuciem szczerem odnoszą się do ubóstwa i cierpienia, są bez przesądów rodowych i religijnych, śledzą postęp wiedzy współczesnej... zresztą?

Skryptowicz głównie tem się odznacza, że ma zwyczaj kłaść się i wstawać tylko dwa razy w tygodniu, pracuje zaś podobno nad wielkiem jakimś dziełem, nikt jednak nie wie i nigdy się nie dowie, nad czem. Zamecki, pan milionowy,

jest dla swoich chłopów »dobrym«, a działalność jego obywatelska na tem polega, iż z księdzem i doktorem schodzi się codziennie popołudniu na gawędę i partję wista. Do tejsamej rodziny »idealistów« należy Wołodecki z *Dziwnych karier*. Owe typy dodatnie—to epi-



Jan Lam.

kurejczycy życiowi, nie czujący żadnej odpowiedzialności społecznej, nie podnoszący palca, by do ziemi zbliżyć cokolwiek — nieba... Tego nieba, zasianego imionami tylu męczenników, bojowników, marzycieli i badaczy jutra, poprostu jakby nie znali. Prawdziwi pozytywiści: istotą ich indywidualizm; niech kwitnie uczciwość i szczęście jednostek — całość sama się złoży...

Ten pogląd, wynikający z dzieł, był wypływem duszy pisarza, ale też czasu i społeczeństwa, w którym podniosłej-szy ideał przyszłości wcale się nie zarysowywał.

W mieszczaństwie lwowskim, galicyjskim, Lam go

nie dostrzegał... Miał natomiast widać dość modeli na Gruszczyńskich i Mitręgów — miotał więc zabójcze sarkazmy, zalecał oświecony epikureizm i był do dna duszy smutny... W światopoglądzie tego humorysty tkwi tragizm.

Więc: albo cofanie się wstecz, do bagnisk małomieszczaństwa — albo beczynność, kwietyzm w draperyi estetyzmu i filozofii, z gestem niechęci i satyry — oto co około r. 1880 uderza w Galicyi. Wierny-to obraz społeczeństwa, które po krótkich porywach, po konwulsyjnych szamotaniach się jednostek, popadło było w wschodnią gnuśność umysłową i życiową. Pocieszano się, że »idee przewrotu nie mają u nas gruntu podatnego«, jako obce charakterowi narodowemu i sytuacji kraju, narkotyzowano się pustymi frazesami, którym z trudem usiłował nadać życie Mikołaj Zyblikiewicz — dopóki złamany i rozgoryczony nie został usunięty z areny publicznej kraju, toczącego się coraz szybciej na brzeg przepaści...

»Postęp« w Galicyi rychło przybrał charakter reakcyjny kwietyzmu lub małomieszczaństwa; w Warszawie, gdzie podłoże społeczne sprzyjało, okazywał znacznie większą żywotność i większą energię ducha. I tutaj czas około r. 1880 jest punktem zwrotnym; w głębi społeczeństwa odbywa się ewolucya charakterów, wysuwająca na pierwszy plan nowe lub dawno uśpione uczucia: przewódcy pozytywizmu świeżych zjawisk nie rozumieją. Główni przedstawiciele tych, którzy przed laty dziesięciu byli »młodymi« i chcieli naród na nowe prowadzić tory, czują, że dokonywa się jakaś przemiana sił, odwrót do dróg przez nich wskazanych — nie są jednak w stanie falami temi pokierować, nie rozumieją nawet ich biegu. Na tem pograniczu każdy z wybitnych pisarzy zajmuje stanowisko, odpowiednie swemu temperamentowi. Polemiczny, racjonalistyczny Świętochowski stoi wytrwale przy sztandarze mieszczańskim i na młodych odstępców miotą (z łamów *Nowin*, potem *Prawdy*) zatrute strzały swego dowcipu,

by z czasem uczuć się ku nim pociągniętym; estetyczna szlachecka natura Henryka Sienkiewicza odwraca się od teraźniejszości coraz mocniej rażącej jego nerwy artystyczne, cofa się ku purpurze i karabelom przeszłości. Najwięcej duchem altruizmu przejęty Bolesław Prus pierwszy odczuł nowy prąd i pisał właśnie (1880) *Powracającą falę*, która jest także powracającą falą uczucia i zmysłu społecznego w beletrystyce.

Wysoko dzierżyła dotąd sztandar pokolenia Eliza Orzeszkowa. Ona-to długo wciela najwierniej i najrealniej ideały pozytywistyczne, śpiewa najgłośniejsze hymny na cześć postępu, wiedzy, obowiązku, rozwiewa mgły przesądów społecznych, klasowych, wyznaniowych, apoteozuje najpraktyczniejsze, najdemokratyczniejsze działy pracy organicznej. »Inżynier — woła przez usta jednego z bohaterów — to ludzkość cała w swych dążeniach nieprzepartych ku wszystkiemu, co wielkie, piękne i dobre«. Z miłością zgłębiała życie *Różnych sfer*, broniła człowieka w żydzie, śpiewała epopeję walki światła z ciemnością w losach *Meira Ezołowicza*, domagała się pracy i chleba dla nieprzygotowanej do walki o byt *Marty*, a wyżej nad prawa serca, nad miłość i szczęście indywidualne stawiała obowiązek wobec ogniska domowego (*Marya*). Ale nadszedł czas, kiedy te idee przestały wystarczać. Marta umiała już pracować, była szwaczką, ale czuła się upośledzoną, wyzyskiwaną. Marya przysłała do przekonania, że niemoralnem jest życie w związku małżeńskim z człowiekiem, którego się nie kocha — serce jej z siłą rwało się do emancypacji. Ruiny szlacheckich egzystencji, pokryły się fabrykami. Propagowana tak długo, tak niezmordowanie praca organiczna zaczęła nosić owoce, i — jak w całej Europie — powstało i tu pytanie: podziału tych owoców. Nowe kwestye, nowe zagadnienia — za nimi w perspektywie wylaniają się z mgieł i gwiazdy nowe...

Na bruku miejskim, w murach fabrycznych, nawet



w szkółce wiejskiej ukazali się ludzie, którzy się tem pytaniem rozplomienili. Orzeszkowa stanęła przerażona, i jeśli głośno nie wołała: »pali się!« to z obawy, aby straż pożarna więcej nie narobiła szkody i spustoszeń, niż pożytku. Zala-mywała tylko ręce, rzucała spojrzenia, pełne obawy, błagania, to groźby. Jak — podług Orzeszkowej — powstały i do czego dążą te idee?

*Sylwek Cmentarnik* (1880) przedstawia je na tle nawpół fantastycznym, nawpół kryminalistyczno-romantycznym. Mamy tu dopiero zarodki, kielkujące w głowie prostaczka o ewangelicznej intuicji, który zżywszy się ze swemi utopiami o uszczęśliwianiu ludzkości, zaniedbuje dla niej obowiązki najbliższe, znosi nędzę, prześladowanie, śmiech ludzki, przemienia się w dziwaka i maniaka, nareszcie pozyskuje kilku uczniów, którzy jego myśli tłómaczą sobie na język brutalnych swych apetytów; opętany nimi jeden z nich, Sylwek, pchany żądzą rozkoszy, zbytku, marzeń poetyckich, rzuca się w celu rabunku na bogatego szlachcica, którego jest synem naturalnym...

To wyraźne. Tensam problem występuje w powieści *Zygmunt Ławicz i koledzy jego*. Z jednej strony wegetacja w mieście, odciętem od kultury, nie dającym możności rozwoju wrodzonych zdolności, lub zgnuśnienie na wsi, wśród kłopotów i rozkoszy szlachcica-hreczkosieja, z drugiej — praca mrówcza, na zagrożonym posterunku, cicha, wytrwała, pełna upokorzeń, pełna abnegacyi; jedno i drugie pozbawione lotu, nadziei bodaj zbliżenia się do wielkiego celu. Gdy w tych warunkach zjawia się jednostka, marząca o przebudowie podwalin podobnego społeczeństwa, autorka każe jej to czynić z pobudek egoistycznych i kończyć zwyczajną demoralizacją.

W żadnej z tych powieści problem nie został postawiony szeroko i racjonalnie. Autorka czyni to w *Widmach* (1880).

Widma — słyszymy tu — towarzyszą nawet takim słomcom, jak oświata, rozum. Oto mamy pana Leonida Igorowicza, piękne, zdrowe, bezmyślne bydlę, wyzyskujące pracę drugich, biorące z kultury tylko najbrudniejszy materializm. Więc widma — to zwyrodnienie pozytywizmu i przeciw temu autorka wytacza oskarżenie? Nie, dla Igorowiczów ma anielską pogardę, natomiast widmem prawdziwie niebezpiecznym, kuszącym i mamiącym są *utrudy* fałszywego rozumu, widziane przy jaskrawem świetle najgorszego doradcy: rozpalonego uczucia. Widma te opętały Julka i Lusię, parę nawpół dziecinną, wychowaną w dusznej atmosferze nędzy i ludzi poświęcających się, godnych czci, ale o głowach zbiedzonych i ciasnych. Co szepczą te widma? Młodzi »zglądzili przedewszystkiem wszelkie a wszelkie różnice, zachodzące w losach, mieniu i dostojeństwie ludzi pojedynczych; potem przystąpili do różnic tych, które zachodzą nie pomiędzy ludźmi już, lecz ludami«. »Niema greka, ani żyda!« wołali. »Nie będzie pracy ciężkiej, cierpienia i znoju!« »Niema mężczyzny, ani kobiety!« Wolna miłość! Nareszcie młodzi ci rzucają dom, rodzinę — »ołowiane wieko trumny, orszak sennych i splekanych« i idą do wielkiej, kipiącej wówczas jak wulkan ogniem podziemnym stolicy, — aby idee swoje w czyn wprowadzić.

W uchwyceniu głównych rysów tego procesu między młodzieżą autorka okazała dużo intuicji — utwory jej poddyktował ból szczery, ale autorka obdarzona zmysłem psychologicznym i darem widzenia na odległość, po pozorach sądzić nie powinna była. A co najważniejsza — co przeciwstawiała młodym siłom, rwącym się do życia? *Śpiewy historyczne* Niemcewicza. W co chciała obracać zapał, ogień, wszystkie boskie dary młodości? Szeroko pomyślane prace, pozytywne ideały Orzeszkowej, później dopiero się narodziły. Bezwątpienia tkwiło w czynach ówczesnych »młodych« dużo pierwiastków, nad którymi można było ubolewać.



Ideał kultury pozytywistycznej z jego humanitarnością, prawem indywidualizmu, wolnomyślnością — w oderwaniu od podścieliska politycznego i ekonomicznego — odtworzyła raz z powodzeniem autorka z starszego pokolenia, która sympatyzując zawsze z »postępem«, obrała sobie była za specjalność — prawdziwie po kobiecemu — obronę »praw serca«, i przedstawiała w powieściopisarstwie pewne idee Jerzego Sanda bez jego poezyi i siły. Walerya Marrené-Morzkowska odtwarzała w swych romansach świat elegancyi, dostatku i kultury, »dobre towarzystwo«, pełne mężczyzn pięknie wychowanych, o przedelikatnych nerwach i zniewieściałych ramionach, kobiet z atmosfery cieplarnianej, karmionych od dzieciństwa salonowymi kłamstwami, ciągnących za sobą przez całe życie kajdany przesądów stanowych i zabijających konwenansów. Takie roślinki — szczególnie żeńskie — poraz pierwszy wystawione na zimny podmuch rzeczywistości, tembardziej na huragan namiętności, muszą się zachwiać, albo i złamać. Momenta te tragiczne autorka najczęściej widziała w burzach serca; opowiadała też na rozmaite tony raz dzieje serca »omylonego«, to ocknionego zapóźno, lecącego ku drugim pierśiom, w których serca niema, albo spętanego, skazanego na wyschnięcie...

Był to czas, kiedy we Francyi Naquet toczył walkę o prawo rozwodu, kiedy Dumas syn wydał swą sławną *La question du divorce*. I Marrenowa podniosła ten sztandar, dawniej także przez nią wysławiany, w *Januarzym* (1880 r.). I widzimy tu parę kochających się serc, które potargały więzy przysięgi, łączącej Helenę z mężem niekochanym; widzimy ją w związku, niepobłogosławionym przez kościół, pobłogosławionym jednak głębokiem uczuciem, szacunkiem i dążeniem do wzniosłych celów ogólnych; widzimy nareszcie, jak upór gbura nieokrzesanego, który wsparty o brutalną siłę pisanego kodeksu gwałci wolę dwojga szlachetnych serc i nie chce się zgodzić na rozwód, zabija rodzinę, spojona węzłami

prawdziwej moralności, bo nieograniczoną miłością, pobłogosławioną pięknymi plonami pracy kulturalnej...

W takiej krytyce indywidualnych stron życia współczesnego kulminuje ówczesny liberalizm. Tryumfuje ta krytyka w dramatach i nowelach Świętochowskiego.

A oto ideał czasu typowy, wypieszczony i dociągnięty do znaczenia wzoru, stawianego dorastającemu pokoleniu.

W r. 1882 zapragnęły przełożone prywatnych zakładów naukowych żeńskich w Warszawie uczcić pamięć Pauliny Krakowowej i rozpiwały konkurs na »dziełko w formie powieści lub pamiętnika, przedstawiające obraz dziewczęcia i wzór dojrzałej kobiety na tle stosunków społecznych, potrzeb chwili obecnej i wymagań zdrowo pojmowanego postępu. Szło o ukazanie dodatnich i ujemnych stron życia społecznego, wypowiedzenie pragnień, zawodów, przedstawienie walki z okolicznościami i z samym sobą, o wzruszenie i rozgrzanie, zatem zbudzenie zapomocą uczucia szlachetnych dążeń i postanowień. Kobieta przedstawioną być miała na polu właściwego jej działania w rodzinie lub poza jej obrębem, a osoby wchodzące do dziełka winny były należeć przeważnie do średniej klasy społeczeństwa polskiego, będącej najlepszym przedstawicielem bytu narodowego«. Konkurs więc — na ideał mieszczański.

Ideał ten się znalazł. Komitet konkursowy, złożony z Maryi Ilnickiej, Jadwigi Sikorskiej, ks. Zygmunta Chełmińskiego, Piotra Chmielowskiego i Floryana Łagowskiego, więc z wybitnych konserwatystów i pozytywistów, uznał za odpowiadającą warunkom konkursowym powieść Zofii Urbanowskiej pt. *Księżniczka* (I. wyd. 1886 r.).

Jak ów ideał wygląda?

»Księżniczka« — to urągliwe przezwisko nadane przez rodzinę Radliczów Helenie Oreckiej, córce jednego z rozbitków ostatniej burzy, który swą łatwowierność, nieopatrność i przyzwyczajenie do wykwintnego, wystawnego życia szlacheckiego

przypłacił zupełną ruiną majątkową. Helena postanawia tedy pracować — niczego dobrze nie umiejąc i wstępuje do kantoru kupieckiego Radlicza, otrzymując na początek piętnaście rubli pensji i utrzymanie przy jego rodzinie. Helena odbija od tej rodziny, jak księżniczka od gromady plebejuszów, wkrótce jednak okazuje się, że wartością umysłową, moralną, narodową, stoi znacznie od tych plebejów niżej. Każdy z nich jest uosobieniem katechizmu cnót mieszczańskich, a z tego każda pada na delikatną, wytworną duszyczkę dziewczyny ciężarem stupudowym... Życie Radliczów jest od świtu do późnej nocy jednym pasmem surowej pracy, gospodniej oszczędności, kręcenia się z regularnością kółka maszynowego w kole twardo pojmowanego obowiązku. Młody Radlicz kieruje zakładem hodowli nasion, jedna siostra jest kwiaciarką, druga maluje na porcelanie, trzecia fabrykuje »konfekta«, matka chodzi z kluczami u pasa i ceruje skarpetki. Cały tydzień pracują oni niezmiennie, w niedzielę schodzą się na uroczystość rodzinną; czytają, grają, śpiewają, dyskutują o sprawach społecznych i rodzinnych. »Marzycielstwo« mówi Andrzej, »jest rzeczą szkodliwą, jako przytępiające energię i prowadzące do lenistwa duchowego«. Urbanowska każe wszystkim członkom tej rodziny mieć głębokie uczucia artystyczne, ale w muzyce Beethovena podnosi jej »trzeźwość«. Dom to ponury i kwakerski, lecz dusza Heleny podnosi się powoli do tej siły, którą on góruje nad estetycznym, wesołym, a tak słabym w walce o byt dworkiem starego Oreckiego.

Bardzo to ładne i niepozbawione racjonalności. Walka o byt ma prawa niemiłosierne; ignorować je — jak to czynią starzy Oreccy — nie wolno; ale nie wolno też uważać ich za granice naszego poznania, naszej doli, naszych ideałów...

Zobaczmy, jak wyglądają dążenia etyczne, ekonomiczne i społeczne konkursowych wzorów.

»Rachunek« wyklada Helenie Andrzej Radlicz »jest pod-

stawą wszelkiego porządku społecznego, a więc i szczęścia w rodzinie. Miłość nie jest czem innym, jak tylko rachowaniem wzajemnem dwojga ludzi na siebie, popartem wiarą, że żadne nie popełniło omyłki.

»Rachunek — to nasz mentor, nasz historyk, to nasze sumienie. Rachunek to podstawa cnoty takiej doniosłości, jak oszczędność, wiodąca do dobrobytu, z którym znowu idzie w parze moralność«.

Zbliżamy się do klasycznej ekonomii mieszczańskiej.

— Mówiłeś pan — woła piękna Helena do Andrzeja — że trzeba czynem dowodzić miłości dla kraju. Czy pan z pa-tryotyzmu, nie dla własnej korzyści produkujesz i sprzedajesz nasiona? Czy pańska najstarsza siostra dla miłości ojczyzny i zarobienia sobie na nieśmiertelność smaży konfitury i konfekty, że już nie mówię o podkładach do bukietów, wyra-bianych przez młodszą?

— Tak jest, pani — odrzekł Radlicz z niezachwianym spokojem — bo pieniądze, posyłane do Erfurtu, Gandawy i Kwedlingsburga za nasiona, do Moskwy i Kijowa za konfekty, do Paryża za podkładki, w znacznej części pozostaną w kraju. Prawda, że my sami na tem korzystamy, ale korzysta niemniej kraj cały. Gdy jednostki się bogacą, wzrasta bogactwo narodowe.

Wzniosła teoria — i to w blisko 40 lat po śmierci Bastiata! A co owe jednostki idealne, które kochają kraj swój pracą, zbogacaniem się, myślą — dla niego jeszcze robią? nic, nic zgola! Urbanowska nie ukazuje idealnych swoich ludzi ani razu w sferze publicznej, ani jeden ich czyn nie przekracza zakresu osobistego interesu, ani jedno słowo — zakresu pustego, bo nic nie kosztującego frazesu. Prawda, ubogiej, prawie oślepiej staruszce, Radliczowa daje pozbierane ze stołu suche odpadki chleba. To cała działalność społeczna rodziny.

Możnaby to wziąć za ironię ze strony autorki, gdyby

nie była postarała się udowodnić, że — wierne echo swego czasu — wyciąga z programu pozytywistycznego świadomie, zasadniczo, celowo, ostateczne konsekwencje.

Oto Helena spotyka nędzarza, wyciągającego rękę po jałmużnę.

— Nie dawaj mu pani ani grosza, bardzo proszę — zabrzmiał tuż nad nią ostro głos Andrzeja. — On nie wart litości! Wypędziłem go stąd za próżniactwo.

Nigdy go jeszcze nie widziała tak rozgniewanego; żyły mu nabrzmiały na skroniach, oczy ciskały błyskawice, głos grzmiał, jak piorun.

— Nie przeczę, że musiał być bardzo winnym, skoro go pan tak surowo ukarał — odpowiedziała — ale jeżeli jest głodny, czyż mamy mu dozwolić umrzeć bez pomocy?

— Niech zarabia na chleb.

— A jeżeli nie może znaleźć pracy?

— Pracę znajdzie każdy, kto jej szuka — odpowiedział — ale temu zachciewa się żyć kosztem pracy innych. Słowa pani przynoszą zaszczyt dobremu jej sercu, ale dowodzą jego niepraktyczności i braku doświadczenia. Wspierać żebraków jestto podtrzymywać nędzę...

I ostatecznie dla udowodnienia, że ideał miał rację, kiedy mówiąc o robotnikach był rozgniewanym, jak nigdy, autorka każe temu jednemu, figurującemu w jej utworze robotnikowi, »chcącemu żyć kosztem pracy innych« podpalić magazyny... »Światła brak, światła!« wzdycha wtedy Radlicz. »Ale światła rozpalone w różnych punktach — (nie widzieliśmy, aby Radlicze zapalili światło, a wiemy tylko, iż wzbogacenie się osobiste identyfikują z bogactwem społeczeństwa!) — gasi jakby naumyślnie wiatr nieprzyjazny i zasypuje popiołem«...

Autorka każe jednak mieszczaninowi być szlachetnym i przygarnąć do siebie dzieci owego zbrodniarza-robotnika. »Księżniczka« stoi już na szczycie rozwoju, ma charakter i inteligencję ulepioną na obraz i podobieństwo Radliczów,



i zostaje wynagrodzoną: otrzymuje rękę brzydkiego, ale wcielającego ideał wieku, Andrzeja.

Oto światopogląd typowy, skończony w każdym szczególe, przedstawiony z najlepszą wiarą, z miłością ogółu, z zapalem, a tak ciasny, tak samolubny, tak mały. Nie ulega wątpliwości, że ta, co go wygłosiła, jest lepsza od słów swoich; przemawiają za tem bodaj niektóre ustępy książki, niepozbawione podniosłości. Ale one są właśnie wypływem pogardzanych marzeń i fantazyj, i z »rachunkiem« nic nie mają wspólnego. Wyschnięcie serc — indywidualizm samolubny — najfalszywszy pogląd na kwestye publiczne — oto co w prostej konsekwencji wypływa z jej uwiecznionego przez przedstawicieli wszystkich sfer światopoglądu.

Jeżeli podobne sztandary i ideały przyświecają »postępowcom«, to jakie gwiazdy płoną o tej porze na niebie pragnień i nadziei galicyjskich konserwatystów?

Najwyższy z nich duchem i inteligencją w Krakowie, Józef Szuj ski, pochłonięty działalnością profesorską i wielostronną agitacją partyjną, bardzo luźne w owym czasie utrzymywał związku z literaturą. Dawno już minął był czas, kiedy i on był farysem, kiedy i on (w 1858 roku) pisał w dumnej i pełnej siły *Modlitwie prometejskiej*:

Potrzebie niech ugną się mali,  
Niech karły do nóg się jej wala,  
Nie mogąc płynąć za falą —  
Ja niechaj płynę wbrew fali:  
A nie poharbię mych ojców i braci  
W pokornej i skromnej postaci.

Zawracanie  
Wisły kijkiem!

Nie!... wypreżony w męczeńskiej postawie,  
Rozkrzyżowany w dumnej mojej męce,  
Gdy o granit białą pierś pokrwawię  
A w walce z sępem potargam me ręce —

Niech nie pomyślę o rozkuciu przecie,  
Ani o wonnym w Olimpie nektarze:  
Niech nie pomyślę, jak niebios mocarze  
Długim szeregiem szliby w powitanie,  
By mi osłodzić tryumf ich na świecie:  
Niech raczej ginę, — ginę jak Tytanie!

Szujski ginał — nie jak Prometeusz, mimo to, szarpały mu pierś sępy, sępy zwątpienia i trwogi... W ostatnim jego dramacie *Śmierć Władysława IV* (r. 1876), przebija się ton bezbrzeżnego pesymizmu i rozpacz. W epoce, z której Sienkiewicz czerpał nadzieję i otuchę, historyk-mysliciel, symbolizujący obrazami przeszłości zawsze walki, wady, tendencje dnia dzisiejszego, znalazł tylko błoto, miał, gorycz bezdenną... Nie ustawał mimo to w pracy, na obranej raz drodze szedł — do ostatnich konsekwencji.

W r. 1880 odbył się w Krakowie obchód ku czci Jana Długosza. Szujski ukończył był właśnie sławne swe prelekcje o *Odrodzeniu i reformacji* i treść swych dążeń i aspiracji skondensował — przedstawił narodowi w dydaktycznym obrazie historycznym: *Długosz i Kallimach*. W dwóch tych jednostkach chciał dać dwa typy — dwie siły dziejowe. Historyk polski — to kultura i polityka bezpośrednio pochodząca od Zbigniewa Oleśnickiego, wroga wszelkim dążeniom, które nie są oparte na tradycji i ślepej zależności od kościoła; Kallimach zaś reprezentuje pierwiastek renesansowy, ducha rozpinającego orle skrzydła, by szybować w krainę słońca, piękna, potęgi indywidualnej i zbiorowej — niczem nieskrępowanej... Kallimach sławi wielkiego Lukrecjusza, potem Prometeja.

Co z niebios zniósł płomień czerwony,  
Zdobycz, co go rozpięła na Kaukazu skale,  
Ale z bóstwem Olimpu zrównała wspaniale...

#### DŁUGOSZ.

Nietylko rozum ludziom dał Bóg, dał i serce!  
Serca tego pragnienia rozum nie uśmierzy,



Jan Matejko: Portret Józefa Szujskiego.

Prawdy zdobywa rozum, w prawdę serca wierzy...  
Biada tym, co prostaczych przerwą zbożną ciszę,  
Co w morzu ludu zażędz chcą swej piersi burzę,  
Bez słowa, co wszechmocnie panuje naturze!  
Spiętrzy się olbrzymiego lwa pustyni grzywą  
Lud, co nie tylko myśli, ale czuje żywo,  
Lud, którego on chował na mieszkańca nieba  
Zażąda nieba od was. Wy dacie mu — chleba!  
Ducha, ciała, wy trwożni w jego straszne tonie  
Rzucicie, wszystko, wszystko on głodny pochłonie.  
— Nieba w duszy i drogi w niebo mu nie dacie...  
Sam je znajdzie... Lecz wtedy w bólu majestacie,  
W niezuciu drogi błędnej, którą szedł za wami...

KALLIMACH.

Księgi nasze i pisma ułoży stosami,  
W stosach tych apostołów krzywej drogi spali!  
Czy tak?

DEUGOSZ.

Jest stos inny, który bardziej smali...  
Na sławy buntownicze stosem tym są dzieje!

KALLIMACH.

Powiedzcie, gdzie ta wiara, którą niebo dało,  
Kiedy rwą się tu myśli straszne, płomieniste,  
Dumne, wbrew Bogu siły zrywające boże,  
Gdzie jest moc, co tym myślom wędzidło zakłada,  
Co musi dawać spokój, co do modłów składa  
Ręce, powiedzcie, proszę!

DEUGOSZ.

A gdzieżby? W pokorze,  
W zapomnieniu o sobie, w miłości za sobą  
Świata, ludzi, kraju...

Do filozofii wędzideł i pokory doszedł autor *Prometejskiej modlitwy* i pokory uczył narodu. To ostatnie słowo —

ideału. Ostatnie słowo poezyi, przykrojone do użytku codziennego, do agitacyi, do tendencyi. W życiu wielu takich ludzi, jak Szujski, było z pewnością więcej poezyi, niż w ich piśmach, a więcej niż w życiu — w głębi dusz, które spletały się w bratniej miłości z najwyższym poetą tego czasu: Matejką. Doktryna nakładała jednak pęta duszy, doktryna tłumiła tętno serca, polot fantazyi, wobec wybujałości uczucia poprzędników — nałożyła na nie jarzmo odwiecznego autorytetu i zamykała potężne nawet jednostki w ślimaczej skorupie.

I tak literatura tendencyjna karłała, obniżała się miara człowieka, pozytywizm tak liberalny jak i konserwatywny wobec wielkiej spuścizny oraz wzmagających się gigantycznych potęg czasu szedł wstecz...

Obraz doby i jej tendencyj nie byłby zupełny, gdyby pominęto jej satyryków.

Są oni negatywną fotografią czasu, która odwrócona daje portret realny i wierny; są nieodłącznymi towarzyszami czasów i wojen społecznych w literaturze, jak owi kaznodzieje obozowi ze swemi rubasznemi »kapucynadami«.

W Galicyi satyra kwitła bujnie, szeroko; sprzyjała jej swoboda polityczna i — zachwaszczona niwa publiczna. Przez długie lata satyrycy grupują się przede wszystkim koło dwóch pism: we Lwowie koło *Szczutka*, w Krakowie koło *Djabła*.

Założony i prowadzony przez Liberata Zajączkowskiego *Szczutek* był w latach 1867—1880 sui generis potęgą polityczną i odzwierciedla doskonale wszystko, co w ówczesnym Lwowie było dodatniem oraz ujemnem i groteskowem. Więc patryotyzm nieprzejeđnany, połączony z tendencyą słowianofilską i... kultem Heinego, więc zacierziewienie politykomanów, krzykliwych »tromtadratów« obok braku zrozumienia dla ideału odrodzenia od podstaw. Podtrzymywał

*Szczutek* za dobrych swych czasów frazes patryotyczny, gromił »gogów«, »strachajłów«, »kołtunów«, matadorów krakowskich.

Koło *Szczutki*, w r. 1880 także koło *Chochlika* grupowało się kilku pisarzy wesołych, hulaszczych, wykrzesających z nędzy kraju i — własnej skry dowcipu i głębszej nieraz satyry politycznej i obyczajowej. Górował tu niewyczerpanym dowcipem Lam, rzucał błyskawice poezyi Stebel-ski, harce wyprawiał na kawalerskim rumaku Chochlik-Zagórski, przyłączał się truchcikiem Rodoć. Satyra ich jest pozbawiona wielkości, humor ich nowoczesny, nic nie mający wspólnego z staropolskim, sentyment ich Heine'owski.

Chochlik jest typem literata, którego muza przechadza się, a czasem zatacza, zawsze z animuszem, zawsze pod dobrą datą. Po lwowsku śpiewa, jak »rozkoszując w kontuszówce — człowiek strąbił się, jak szwiec«, aby potem »z głową ciężką, niby ołów — zbudzić się w pośród popiołów — wpośród kart podartych talij — z smętnem uczuciem kanalii...« Wtenczas »wstrząsa w sobie anioła«, aby za chwilę z szerokim śmiechem starego knajpiarza śpiewać sentymentalno-drwiące pieśni o dziewczętach i rezonować o »społeczeństwie«. Kpi więc z opastych mnichów, spijających kufy wina, gdyż »in vino veritas«, z arystokratek-bigotek i modnych labusiów, przewracających pobożnie oczkami przy obfitym obiedzie — ad majorem dei gloriam. Bezustannie »nabiera« sawantki, emancypantki, inne »niewiasty« i pean wyśpiewuje na cześć »przezornego człowieka«, który zbrojny we wszystkie cnoty filisterskie będzie mógł »los wyzwąć w zapasy — zbrojny w kielbasy«. Najulubieńsza wszakże jego melodia — to jakby z Wiktora Scheffla lub Baumbacha wzięta pieśń burszowska, po której opanowuje go *katzenjamer* i na myśl przychodzi król Salomon ze swoim *vanitas vanitatum*.

Rodoć późno zaczął nasiąkać atmosferą lwowską, wzoro-  
rował się na Berangerze, od którego się nauczył francuskiej

ciężkości bez sentymentalizmu, wzgardy dla ultramontanów i kręcenia biczów na przeciwników demokracji. Nie dosiadał wielkiego konia, lecz drobnym, poetycznym klusem biega za rycerzami blagi, szalbierstwa, goni pustych, deklamatorskich »patryotników«, obłudnych, świętoszkowskich jezuitów, szarlatańskich, tchórzliwych, samolubnych stańczyków, i gdzie może krótkimi, zgrabnymi ruchami pióra kole ich i rani. Smaga nielitościwie brak charakterów, oportunizm polsko-austriacki:

Wreszcie dożyliśmy ery:  
W Wiedniu jesteście najpierwsi,  
Tytuły, wstęgi, ordery  
Spłynęły nam na sto piersi.  
Wielki i miłosierny Boże!  
Co to kraj, gdy chce — mieć może!

W *Mowie przedwyborczej* charakteryzuje źródło i jakość »zasad polityków galicyjskich«:

Panowie! mam kufry pełne,  
Więc jestem konserwatysta...  
Demokraci, liberały,  
Postępowcy — ten tłum cały  
Nie ma głosu, bo jest goły,  
To są warchoły!

Z powstrzymywanym wybuchem, pod maską dobroduszej maksymy »*trudno i tacy być muszą*« opowiada o pewnym dziwnym człeku, cudackim i ponurym, który »jak żył, tak umarł mizernie«, nie umiał kłaniać się, czapkować, jako kupiec »chciał miłość bratnią zaszcześcić w kupieckie ciało«, jako gospodarz chłopom »rozdął wszystko co do centa«... W nim najwyższy ideał Rodocia.

Inaczej rozwijała się satyra w Krakowie. Miasto stare, konserwatywne, patetyczne, nie sprzyjało lekkim, demokratycznym Arystofanesom. Stańczycy zdobywszy się na dzieło

krwawej satyry w *Tece*, dalej tego kierunku publicystyki zaniechali i tylko Szujski stygnącą już ręką próbował pisać utwory w rodzaju i duchu Opalińskiego. Przeciwnicy tej partii grupowali się około *Dyabła*. Pismo to, w przeciwieństwie do lekkiego, często wyuzdanego tonu, jaki panował we Lwowie, było zawsze pełne patosu i namaszczenia, epigon czasów przedstyczniowych rozwadniał ich namiętność mistyczną w frazes nieprzejednany, na każdym kroku węszył odstępców. »Od Krakowa po Podhajce — sami zdrajce«. Walcząc zacięcie z stańczykami *Dyabeł* rogiem swym tratował też niwę wiedzy i sztuki nowoczesnej; pocziwie mając chęci — ugrzązł w tonie koturnowo-trywialnej deklamacji, odpowiadającym ostatecznie nastrojowi umysłowemu niezbyt wymagającego małomieszczaństwa. Z piszących tutaj — wyżyny artystycznej dosięgał czasem Kazimierz Bartoszewicz.

Na szerokiej kanwie stosunków, przesądów, przywar towarzyskich rozsnuwał swe utwory satyrą i myślą postępową nacechowane Mieczysław Pawlikowski. Autor wydanych w poprzednim okresie znakomitych *Plotek i prawa* nie cierpi przedewszystkiem wszelkich *pseudo*; nie cierpi połowiczności, braku odwagi, aby być tem, czem się jest z natury, nie cierpi pseudo-Polaków, pseudo-demokratów, pseudo-artystów. Świętem mu prawo indywidualności, przyświeca szczerłość i prawość; panowanie *pseudo* nas gubi. W dalszych swych utworach Pawlikowski nie rzuca w utworach beletrystycznych szerokich syntez społecznych, nie przedstawia konfliktów zasad i stronnictw — wydobywa tylko pewne struny duszy i każe ich dźwiękom wywoływać w nas asocjacje szlachetne i dodatnie. *Testament Napoleona* (1880) opowiada jak stary, bogaty oryginał zapisał dobra swe temu z grona sąsiadów i druhów, który innych przeżyje, z warunkiem, by każdy z nich zarządzał majątkiem przez rok i na do rocznej uczcie, w dzień zgonu testatora, zdawał sprawę,





Mieczysław Pawlikowski.

jakie ulepszenia, jakie postępy zaprowadził, jak pomnaża skarb wspólny — dla przyszłego pokolenia. Niestety, ta myśl Napoleona ginie, wypaczona, zagłuszona przez niskie popędy natury ludzkiej. Spadkobiercy nie o pomnożeniu skarbu myślały, nie o braterstwie i idei wspólnej, lecz... jakby reszty współzawodników się pozbyć... W *Drugim tomie* chłosta Pawlikowski fałszywe, zgubne pojęcia inteligencji o honorze, Satyra jego wytworna, głowa pełna kultury — jej pomysły są jednak nieco wymuszone, skłonne do dziwactwa, brak im przytem krwi.

Poza Galicyą rozwija się satyra oczywiście tylko obyczajowa. W Warszawie działa kilku pisarzy, obdarzonych piórem niezwykle satyrycznem: ostry, błyszczący jak stal Świętochowski; więcej dobroduszny, na modłę Dickensowską, Prus; w czasopismach satyrycznych zabawiali Warszawę Kostrzewski i Płaskowski ale w sposób mało wybredny, poziomem duchowym nie dosięgali utworów ś. p. chirurga filozofii.

Około 1880 r. zaczął w Kijowie ogłaszać swe utwory Włodz. Wysocki. Natura łagodna, lirnik czuły, siłą temperamentu, polotem idei się nie odznaczał, widział jednak śmieszności klasy szlacheckiej, zboczenia, błędy, zaś sercem poety czuł niedolę społeczną. W pierwszym swym poemacie uderzył na zdrożności szlachty, która w wybuchu czułości krótkotrwałej, podochocona trunkiem i frazesem, woła buńczucznie: Wszyscy za jednego! a wytrzeźwiawszy i ochłodłszy nieco, wydaje sąsiada na pastwę Niemcowi, co więcej — gremialnie ulega Bismarkowi prowincjonalnemu i sprzedaje mu majątki — szczególnie gdy ten zaprosił wszystkich na suty obiad:

...bo wiedział, że szlacheckie serce nie z kamieni,  
Że nas najłatwiej zwalczyć — nadzieją pieczeni.

Grzeszy szlachta wobec ziemi rodzinnej, grzeszy wobec ludu... *Zakłeta łza* — to kropla krwi, którą szlachcic wypił w winie, a następnie w ślinie wypłuł na twarz chłopca. Zostaje ona przekłętą, dopóki nie wystąpi na czołe szlacheckiem — kroplą potu. Bo

Przeklęty, kto w siłę zamożny i prawo —  
I słabych maluczkich znieważa.

Kropla ta dotąd nie wystąpiła... Na jednorazowe wysiłki szlachta ta potrafi się zdobyć — potem pracy dotąd się nie zalewa...

A praca ta głównym źródłem bytu. Surowo też karci Wysocki szlachtę.

Czy umie tak jak Niemiec roztropnie a skrzętnie  
Prowadzić swoje sprawy, żyć skromnie, oszczędnie?

Nie, ona trwoni ojcowiznę

ani myśląc o przychodzie  
aby był z rozchodem w zgodzie.

W kropli potu leży też rehabilitacya... Więcej, niż autor myślał, jest w jego satyrze — satyry.

Wysocki był w połowie lat ośmdziesiątych prawie jedynym poza Galicyą satyrykiem; szkicował jeszcze od czasu do czasu Klin do narodu orędzia, w których było więcej wątroby, niż serca, a więcej niż wątroby — pretensyj, jednakowoż lubo powtarzał za starym poetą, że zechce kraj czy nie zechce — czytać go musi, wrażenia nie robił; nie satyryk zeń przemawiał, lecz stetryczały mizantrop.

Wszyscy ci satyrycy-artyści lub z pretensyami do artystyzmu, wraz z wspaniałymi satyrykami fejletonistycznymi: Świętochowskim i Prusem, to mają z sobą wspólnego, że nie stoją ponad swoim czasem. Każdy, jak może, służy mu, nikt go nie wyprzedza; każdy tkwi w jego pojęciach i dążeniach, pragnie tylko usunąć drobne jego cienie, właściwe w ogólności naturze ludzkiej, lub rzucane przez wlokących się opieszale maroderów — nikt, prócz zakamieniałych konserwatystów, nie kwestyonował ducha jego... Nawet ta garść satyryków politycznych Lwowa, która w siedmdziesiątych latach opierała się polityce zgody z losem i filisterstwem, z początkiem lat ośmdziesiątych traci na znaczeniu, abdykuje, rozplywa się w fali prądu ogólnego. Z protestem zostają na placu tylko nieliczni a dość smutnego wyglądu epigonowie poromantyczni.

Nikt swego czasu nie przerasta, a pisarze jego najwięksi nie umieli nawiązać nici filiacyjnej z najświetniejszą dobą

literatury ojczystej, odwracają się także od haseł artystycznych i społecznych, które idą z zagranicy.

Gdzieindziej wre już tymczasem walka przeciw najgłębszej istocie tego czasu — przeciw liberalnemu mieszczaństwu i jednostronnemu pozytywizmowi. Około r. 1880 czuć już w całej Europie płomień reakcyi przeciw tym światopoglądom i ich praktycznym konsekwencyom. Otwierają się nowe widnokreśli. Turgeniew maluje głęboki rozłam między »starymi a młodymi«, Dostojewskij i Lew Tołstoj sięgają utworami psychologicznymi dna najrdzenniejszych pierwiastków duszy swego narodu. W Niemczech powstaje w literaturze silny prąd realistyczny, który wywleka na widownię wszystkie nadużycia, całą zgniliznę panujących stosunków, oskarża powieściami Kretzera, pragnie, tętni nadzieją, walczy poezjami Jacobiego, Henckla. We Francyi Zola rozłącza coraz jaskrawszy i potężniej malowany obraz rozkładu społeczeństwa mieszczańskiego i zaczyna właśnie druk *Germinál*. Ze Skandynawii rozbrzmiewa na całą Europę głos, który więcej niż czyjkolwiek w ostatniej ćwierci XIX. wieku wstrząsnął umysłami i sumieniami świata cywilizowanego: Henryka Ibsena. W r. 1880 toczył już z wielu scen walkę z kłamliwemi *Podporami społeczeństwa*, a jako *Wróg ludu* — »z przekłętą, zwartą większością«... Prowadził krucyatę społeczną, uspołeczniał literaturę. »Ibsen — mówi słusznie Edgar Steiger — uczynił kwestye *chwili*, które przynosił świat zewnętrzny, kwestyami życia. Gdy Dumas i jego następcy mówili o upadłej kobiecie, Ibsen zaczął mówić o upadłym mężczyźnie. Gdy tamci dużo hałasu robili z powodu cierpień szlachetnych istot z półświatka, Ibsen wskazał na męczenniczki małżeństwa. Tamci oburzali się z powodu wyjątków, on wskazywał, jak źle jest w regule. I gdy oni obnosili podarte już łachmany liberalizmu, on rzucił między tłum wielkie pytańniki nowoczesnej myśli — *socyalnel*«. Myślami temi przeniknięte wszystkie jego dramaty tego okresu, a siła

ich i znaczenie symboliczne rosną z czasem, aż dochodzą do punktu kulminacyjnego w *Upiorach*, gdzie mamy tragizm nie jednostkowy, symbol nie jednej rodziny: Alvingów, ale olbrzymią, ponurą wizję całego społeczeństwa, całego ustroju współczesnego. Wszystkim tradycjom, wszystkim uświęconym powagom rzuca Ibsen rękawicę. »Gdym słyszała — mówi nieszczęśliwa pani Alving do pastora — Oswalda i Reginę tam rozmawiających, zdawało mi się, iż upiory wstały z grobu. Ja sądzę, pastorze, że my wszyscy jesteśmy upiorami. I nie tylko to, cośmy odziedziczyli po ojcu i po matce »straszy« w nas, bynajmniej! Są tam jeszcze różne rzeczy; stare, umarte poglądy i strupieszale wierzenia i inne, inne zmary. Wszystko to już nie żyje w nas, ale mimo to tkwi w naszym wnętrzu, a my nie możemy pozbyć się tych upiorów. I kiedy biorę do ręki dziennik, by go przeczytać, widzę upiory snujące się między wierszami... W całym kraju musi żyć mnóstwo upiorów... Zdaje mi się, że ciśną się one dokoła nas, że jest ich wszędzie pełno, jak piasku w morzu«... A dr. Stockman grzmi na zgromadzeniu publicznem, że całe społeczeństwo jest zbudowane — na bagnie!

Nie są to pozytywne ideały nowe, nie są to nawet jeszcze ich przecucia, ale jest protest, zrywa się bunt, kłębi się tęsknota i pragnienie. Świat jest trzeźwy, krytykuje, analizuje, nieraz z cynizmem, nieraz z goryczą, ale protestuje przeciw bezprawiom i małości, rozbija martwe formułki oświecenia, szukając głębi dusz, szarpie się nieraz wśród zgrzytów, nędz, ohyd, ale chce czegoś, dąży... A u nas około r. 1880? Gdzie ten ze starszego pokolenia, co by dał ideę, mówiącą słowami Krasińskiego: »jeśli umiesz sięgać w nieskończoność... jeśli kochałeś prawdę i szukałeś jej szczerze... jeśliś człowiekiem na wzór ludzkości, nie na podobieństwo mamczyńnych piosneczek — jeżeliś tem, czem wydawałeś się niedyś — wstań, porzuć dom i chodź ze mną«...

Idei takiej, literatury takiej nie było.

J. I. Kraszewski (ur. 26 lipca 1812 r.) wywierał jeszcze około 1880 r. wpływ znaczny, jako najprzedniejszy dostawca lektury dla setek tysięcy czytelników, artykułami i korespondencyami w czasopiśmie, oraz osobnymi tomami, których ostatnimi czasy nieraz po dziesięć na rok rzucał na półki księgarskie. Nie osłabiły jego twórczości nad wyraz ciężkie i bolesne przejścia, które przed zgonem dały



Z sarkofagu J. I. Kraszewskiego w grobach zasłużonych na Skałce.

mu zakosztować gorzkiego chleba więzień pruskich. Zmarł 19 marca 1887 w Genewie, pozostawiając po sobie na wieki pamięć ożywionego zawsze gorącą myślą obywatelską polihistora i twórcy romansu polskiego. (Zob. Piotr Chmielowski: *J. I. Kraszewski, zarys historyczno-literacki*. Kraków 1888).

Jan Zacharyasiewicz urodz. w Radymnie 1825 roku. Brał za młodu udział w budzącym się ruchu politycznym i umysłowym.

wym Galicyi, zaco musiał dwukrotnie pokutować w więzieniach austryackich (1842—1844 i 1849—1850), pierwsze utwory literackie zaczął ogłaszać z początkiem lat pięćdziesiątych. Odbija on wiernie koleje większej części inteligencji Galicyi: w pierwszej młodości, za „wiosny ludów“, prawie czerwony radykał i romantyk („Postęp“, utwory wierszem, *Sierota wielkiego świata*, *Uczony*), potem pisał powieści polityczne, wymierzając je przeciw zakusom rusińskim i germanizatorom, nareszcie zeszedł na drogę filisterstwa, przedstawiał szkodliwość marzeń, złudność ideałów etc. Nabywszy niezwyklej rutyny pisarskiej stał się na długie lata popularnym dostawcą beletrystyki, t. zw. *Familien- und Sitten-Romane*, banalnych tak w formie, jak i w treści. Utwory te dziś już nie są czytane.

T. T. Jeż (pseud. Zygmunta Miłkowskiego) urodził się 23 marca 1824 w Saracei nad Dniestrem (Podole), z rodziny żołnierskiej, przejętej zasadami demokracji szlacheckiej, a po części i wolteryańskimi. W liceum odeskim ukończył wydział fizycznomatematyczny i studia te kontynuował w Kijowie, który opuścił w r. 1848, by brać udział w kampanii węgierskiej. Życie jego jest od tego czasu pasmem czynów żołnierskich i literackich. Walczył w armii węgierskiej, brał udział w wojnie krymskiej; literatem stał się przypadkowo, w dojrzałym już wieku, skryształizowany mając charakter i ustalone przekonania — im też przedewszystkiem służył. Doświadczenia swe życiowe wzbogacał, włócząc się po całej Europie i Azji Mniejszej, z Londynu do Konstantynopola, po Paryżu i po południowej Słowiańszczyźnie; był robotnikiem fabrycznym i agentem dyplomatycznym, kucharzem i właścicielem pensjonatu, dowódcą legionu i kupcem, a wszędzie i zawsze sobą: całą duszą oddanym ideom demokratycznym, które pogłębił i dla których pracował w Tow. demokratycznym. Ideom tym pozostał wierny, nie zboczywszy nigdy na prawo, ku poglądom arystokratyczno-klerykalnym, ale ani też na lewo, ku radykalnym poglądom socyalistycznym.

Pisma: Wyjątki z *Pamiętników włóczęgi* w *Dzienniku literackim* (1856); *Z pamiętników włóczęgi*, Wyjątek II. w *Dzienniku literackim*, *Korespondencye z Konstantynopola* drukowane w *Gazecie warszawskiej* (1857); *Udział Polaków w wojnie wschodniej 1853—1856*. Wasyl Holub, powieść, w *Dzienniku literackim* (1858); *Wyszczególnienie przez Ob. Zygmunta Miłkowskiego powodów, dla których wystąpił z Centralizacji Tow. Dem. Pol.* (1859); *Handzia Zahornicka*, powieść, Wilno, *Myśl ogólna fizyologii powszechnej Józefa Supińskiego* w *Dzienniku literackim*, *Hrabianka Dynia*, obrazek,

w *Tygodniku ilustr.* (1860); *Do autora Zapisków literackich. Z powodu Programu dziennika Głos w Dzienniku literackim*, Szandor Kowacz, powieść, *Asan*, powieść, *Na placówce*, wspomnienie żołnierskie w *Tygodniku ilustr.*, Bohdan Chmielnicki, ocena w *Dzienniku literackim*, *Pierwsze Boże przykazanie*, powieść (1861); *Krwawe dzieje*, powieść w *Gazecie warszawskiej*, *Sprawa ruska w Galicyi*, powieść w *Dzienniku polskim* (1862); *Historja o pra-pra-pra... wnuku i o pra-pra-pra... dziadku*, powieść (1864); *Wrzeciono*, powieść, *Serbski jubileusz* w *Dzienniku literackim* (1865); *Drugie Boże przykazanie*, powieść, *Pani komisarzowa*, powieść, *O umysłowem życiu w Słowiańszczyźnie zadunajskiej* w *Dzienniku literackim*, *Pamiętniki starającego się*, powieść w *Tygodniku ilustr.*, Edward Kloc, powieść (1866); *Mąż z rezerwy*, powieść (1867); *O umysłowem życiu w Słowiańszczyźnie zadunajskiej* w *Dzienniku literackim*, *Spóźniona wieczerza*, opowiadanie w *Tygodniku ilustr.*, *Urocz*, powieść (1868); *Asan*, powieść historyczna, *Helena*, powieść, *Ojciec Nikon*, powieść historyczna, *Do ogółu zjednoczenia* (Protestacya Bruksela (1869); *Ludwik Mierosławski naszkicowany*, Paryż, *Opowiadanie Stasia*, powiastka, *Urocz*, powieść, *Nihilista*, powieść, *Uskoki*, powieść (1870); *Siostrzane dusze*, powieść, *Derstaw z Rytwian*, powieść, *Narieczona Harambaszy* (1872); *Emancypowana*, powieść, *Belgia i Belgowie*, *Niwa*, *Listy w Tygodniku ilustr.* (1873); *Hryhor serdeczny*, powieść, *Ofiary*, powieść, *Żarnica*, powieść, *Komysznik*, powieść, *Pod szlachecką strzechą*, powieść (1874); *Ostapek*, powieść, *Francya za drugiego cesarstwa w Kłosach* (1875); *Za króla Olbrachta*, powieść, *Hercog słowiański*, powieść, *Dwór w Chrustowie*, powieść (1876); *Wyśniona*, powieść, *Bośnia w Niwie* (1877); *Pod obuchem*, powieść, *Lech-Czech-Rus*, powieść historyczno-społeczna, *Kwestya wschodnia w nowej fazie* *Ateneum* (1878); *Koleje życia*, powieść, *Sprawa ruska, prowodyrowie Rusi społeczni* (1879); *Les congrès de Berlin et les Slaves du sud*, *Galicya i Wschód*, przyczynek do historyi lat niedawnych (1880); *Z ciężkich dni*, powieść, *Wnuk chorążego*, powieść, *Uskoki*, powieść (1881); *List o książce dra Piotra Chmielowskiego i jej krytykach*, Wilno, *Narieczona Harambaszy*, powieść, *Z burzliwej chwili*, powieść (1882); *Dachijszczyna*, powieść, *Odpowiedź na adresy młodzieży polskiej*, Kraków (1883); *Sprawa ruska w Galicyi*, powieść, *Niezaradni*, powieść, *Współczesna Rumunia*, *Ateneum* (1884); *Dyplomacya szlachecka*, powieść, *Listy o edukacyi w Szwajcaryi w Przeglądzie pedag.*, *O oszczędności w dzieciach w Przeglądzie pedag.* (1885); *O edukacyi publicznej w Szwajcaryi w Ateneum*, *Miłość w opałach*, powieść, *Listy ze Szwajcaryi w kwestyi przeciążenia pracą uczącej się młodzieży w Prze-*



głodzie pedag., *Madary i Kroaci w Przeglądzie społ., Sytuacja polityczna na półwyspie bałkańskim w Przeglądzie społ., Nad rzekami Babilonu w Kłosach* (1886); *Lat temu dwieście*, opowieść, *Edukacja kobiet w Szwajcaryi w Przeglądzie pedag.* (1887); *Wspomnienia o J. I. Kraszewskim*, Warszawa (1888); *Rycerz chrześcijański*, powieść, *W Zaraniu*, powieść, *Dni głodu w Bibliotece nowej rodzinnej*, Kraków (1890); *Skandal*, nowela w *Ateneum*, *Jeden z wielu*, nowela, *La question juive* (1891); *Po ciemku*, powieść, *Ze wspomnień odeskich*, *List do redakcyi w Życiu*, Lwów, *Zadania powieści polskiej w Tygodniu*, Lwów (1894); *Żusia*, powieść (1895); *Z wychodźstwa polskiego w Europie w Przeglądzie wszechpolskim*, *Sama*, powieść (1896); *Jerzy Czarny*, *Kara Georgii*, *życie i czyny jego*, *Stanisław August w oświeceniu psychologicznem w Głosie*, Warszawa, *Z Polaków*, powieść (w *Dzienniku krakowskim*) (1897); *Którędy do szczęścia*, powieść (1898); *Nad rzekami Babilonu*, powieść, *Ci i tamci*, powieść, *Zygmunt Miłkowski (T. T. Jeź) do młodzieży w Tece*, Lwów (1899); *Spółczesne wychodźstwo polskie w Przeglądzie wszechpolskim* (1900); *Od kolebki przez życie*, *Rozdziały z pamiętnika w Tygodniku ilustrowanym* (1901); *Opowiadania z wędrówki po koloniach polskich w Ameryce północnej*, *Sylwety emigracyjne*, *O byt*, powieść historyczna na tle dziejów Albanii w XV. wieku, wydanie jubileuszowe.

Już w pierwszych utworach T. T. Jeża rysuje się indywidualność pisarska wyrobiona, pogląd na świat i ludzi skryształizowany, siła męska bujna, szeroka, rubaszna, daleka od subtelności artystycznych, nie *jak*, ale *co* mająca zawsze na oku, i takim Jeź pozostał po dzień dzisiejszy. Powieści jego wszystkie ożywia duch, który bije z dziejów *Wnuka chorążego*, tym samym duchem są natchnione liczne studia etnograficzne i prace publicystyczne Jeża. Ostrą, krwawą nie-raz satyrą chłoszczę wady wyższej szlachty i arystokracji, wierzy w lud prosty i przygarnia do łona narodu żydów, trzyma wysoko sztandar wiedzy niezależnej i nielitościwie smaga obskurantyzm, pasożytnictwo, dezercję, zniewieściałość. Treść ta jest też treścią jego życia, którego formy dalekie były od wymogów estetycznych; Jeź więc nie cyzeluje, nie rozkłada skalpelem, — szablą pisze. Mieszkał od roku 1871 do 1899 w Genewie, obecnie w Zurychu i zajmuje się gorąco sprawami publicznymi.

Michał Bałucki, urodz. 29 września 1837 r. w Krakowie. W młodości ulegał wpływowi Słowackiego i wcześniej zaczął wyzwalać isierki swojej poezyi w dźwięcznych wierszykach i poemacikach;

prędko jednak przeważał w nich ton Heine'owski, a i ten wkrótce ustąpił — żartobliwie-sentymentalnemu tonowi saloników. Po młodości górnej i chmurnej, przeżytej w towarzystwie najlepszej młodzieży swego czasu, po udziale w ruchu ówczesnym, który go zaprowadził do więzienia austriackiego, oddał hołd młodości także w powieściach *Młodzi i Starzy*, *Przebudzeni*, — poczem zatracając w sobie zupełnie poetę, stał się płodnym powieściopisarzem publicystycznym. Powieści jego z lat siedmdziesiątych są punktem kulminacyjnym i kresowym jego rozwoju ideowego; w dalszych latach dawał utwory sceniczne o humorze szerokim, którego rubasność przechodzi często w grubą szarżę, a niewyszukana treść — w zupełną prymitywność tak pod względem pomysłu jak i wykonania; w powieściach motywy sensacyjne i mało artystyczne psuje jeszcze karykaturalnością rysunku i zupełnym brakiem psychologicznego pogłębienia. Małomieszczański w poglądach i artyzmie, ma jednak niezaprzeczone zasługi z czasu, kiedy i środowisko jego: Kraków mieszczański, wyższe dawały natchnienia i ideały — z początku lat siedmdziesiątych. Obrazki z życia małomieszczaństwa w Krakowie, gdzie nieprzerwanie mieszkał, należą też do najcenniejszych jego utworów.

Wobec zmienionych zupełnie kierunków literackich ostatnie powieści i komedye Bałuckiego są anachronizmem. Można było wymagać od krytyków pobłażliwości dla autora i pamięci dla dawnych jego zasług, trudno było nakazać publiczności, by uczęszczała na jego komedye. Niepowodzenia Bałucki brał sobie mocno do serca, a rozgoryczony życiem, rozprężony nerwowo, obawiając się obłędu, samobójstwem położył koniec swemu życiu 17 października 1901 r. Kraków uczcił go wspianiałym, demonstracyjnym pogrzebem.

Utwory Bałuckiego obejmują dziesiątki tomów. Najważniejsze: Poezye: *Ziemowit* (1861), *Cicha Miłość* (1861), *Bez chaty* (1863), *Poezye* (1874 i 1887). Powieści: *Przebudzeni* (1864), *Młodzi i starzy* (1866), *Trzy obrazki*, *Tajemnice Krakowa* (1870), *Błyszczące nędze* (1870), *Żydówka* (1871), *Życie wśród ruin* (1872), *Siostrzenica księdza proboszcza* (1873), *Sabina* (1873), *Z obozu do obozu* (1874), *Byle wyżej* (1875), *Białe murzyn* (1876), *Album kandydatek do stanu małżeńskiego* (1877), *Za winy niepopelnione* (1876), *Romans bez miłości i miłość bez romansu*, *Typy i obrazki krakowskie* (1881), *250.000* (1880), *Pan burmistrz z Pipidówki*, *W żydowskich rękach* (1887), *Całe życie głupi* (1889), *Z mętów społecznych*, *Garbuska* (1892), *Zamki na lodzie* (1896), *Wiś i Dziunia* (1897), *Pamiętnik Munia* (1900). W zbiorowym wydaniu ukazały się *Nowele i obrazki* (4 t. Warszawa, 1885) i *Pisma* (14 tomów, Warszawa, Lewental).

Prace sceniczne Bałuckiego datują się od r. 1867, kiedy przedstawiono w Krakowie *Radców pana radcy*, potem ukazały się: *Połowanie na męża* (1869), *Pracowici próżniacy* (1871), *Emancypantki* (1873), *Młodość pozłacana*, *Na tonie natury*, *Rodzina Dylskich* (1875), *Grube ryby*, *Krewniacy* (1879), *Sąsiedzi* (1880), *Komedye z oświata*, *Teatr amatorski*, *O Józie*, *Nowy Dziennik*, *Dom otwarty* (1883), *Gęsi i gąski* (1887), *Piękna kobieta*, *Ciężkie czasy*, *Klub kawalerów*, *Sprawa kobiet*, *Flirt*, *Niewolnice z Pipidówki* (1896), *Bajki*, *Szwaczki* (1897), *Wędrowną Muza* (1898), *Drużba* (1899), *Blagierzy* (1900).

Jan Lam urodził się 16 stycznia 1838 r. w Stanisławowie, umarł 3 sierpnia 1886 r. we Lwowie. Rozpoczął poematem bohater-skim *Zawichost* (1862), następnie rzuciwszy karabin oddał się dziennikarstwu, które było właściwym żywiołem jego talentu. Przez szereg lat pisywał w *Gazecie Narodowej* Dobrzańskiego, potem w *Dzienniku Polskim* „kroniki lwowskie“, które miały szeroki wpływ i rozgłos. Za *kronikami* poszedł szereg powieści: *Wielki świat Capowic*, *Koroniarz w Galicyi* (1869), *Głowy do pozłoty* (1872), *Idealiści* (1876), *Dziwne karyery* (1880). Powieści te są właściwie także utworami publicystycznymi i służyły swojego czasu jakiejś tendencji politycznej; dlatego obecnie nie wywierają tego wrażenia, które budziły w chwili pojawienia się docinkami, scenami, aluzjami aktualnemi. Powieść *Wielki świat Capowic*, miała torować drogę polityce hr. Gołuchowskiego, *Głowy do pozłoty* i *Dziwne karyery*, poświęcone walce z Sapiehą ojcem i synem i t. d. Jeżeli jednak i dzisiaj mają znaczenie duże, to dzięki okoliczności, że Lam był nie tylko najdowcipniejszym powieściopisarzem polskim, ale że miał też w sobie sporo poezyi i znanstwa duszy ludzkiej. Na dnie wszystkich jego utworów leży cicha, tęskna melancholia, rwąca się ze świata brudów i słabości własnych i cudzych w świetlane krainy ideału, lub z desperacyi — bodaj w nicosć; w galerii zaś jego postaci, dość zresztą jednostajnej, znajduje się kilka typów galicyjskich, będących „dokumentami“ tego kraju na długie lata, i kilka koncepcyj psychologicznych, śmiałych i głębokich. Pisma Lama, niesłusznie zapomniane, szczególnie w Galicyi, wyszły w 5 tomach we Lwowie (1887), osobno *Rozmaitości i powiastki* (1880), tom *Kronik* oraz *Humoreski*.

Walerya Marrené 1<sup>o</sup> voto Morzkowska, urodziła się w Warszawie, działalność powieściopisarską rozpoczęła w r. 1857 po-

wieścią *Nowy gladyator*, poczem nastąpił cały szereg powieści, nowel i rozpraw, pomiędzy któremi ważniejsze: *Jerzy* (1864), *Augusta* (1866), *Życie za życie* (1867), *Mąż Leonory* (1869), *Bożek Milion* (1871), *Nemezys* (1873), *Walka* (1874), *Historja dwóch serc* (1874), *Mężowie i żony* (1874), *Zasady i czyny* (1875), *Błękitna książeczka* (1875), *Smutna swadźba* (1876), *January* (1881), *Panna Felicja* (1882), *Ostatnia fala* (1885), *Emancypowana* (1889), *Dzieci szczęścia* (1892), *Historja zwyczajnego człowieka* (1893), *Symfonia światła* (1898), *Pensyonarki*, nowele (1901) i t. d. Z rozpraw jej zasługują na uwagę rozprószone w czasopismach studia o warszawskich epigonach romantyzmu: Dziekońskim, Wolskim, Norwidzie etc. Hołdowała szczerze zasadom pozytywistyczno-postępowym, w *Przeglądzie Tygodniowym* prowadziła rubrykę „E pur si muove“ w obronie emancypacji kobiet; styl utworów pozbawiony plastyki, niedbałość opracowania, w ostatnich czasach brak pulsu życiowego, odbierały jej poczytność. Zmarła w Warszawie 10 października 1903.

Józef Szuj ski, urodzony w r. 1835 w Tarnowie, umarł w Krakowie 7 lutego 1883. Rozpoczął działalność literacką poezjami w *Dzienniku literackim*, satyrą publicystyczną (*Portrety Nie-Van Dyka*, 1861) i dramatami historycznymi: *Halszka z Ostrogu*, *Jadwiga*, *Twardowski*, *Dzierżanowski*, *Wallas*, *Kopernik*, *Jerzy Lubomirski*, *Maryanna Mniszchówna*, *Dwór królewicza Władysława* i t. d. W r. 1862 podjął wydawnictwo *Dziejów Polski*; pracując nad tem dziełem przyswoił sobie źródłową znajomość i krytyczną analizę historyi polskiej i w roku 1871 zaczął wykladać ten przedmiot na uniwersytecie Jagiellońskim. Więcej niż wykłady profesorskie, niż czynności sekretarza Akademii Umiejętności, niż dzieła historyczne (*Roztrząsania i opowiadania historyczne*, 2 t., jednotomowy podręcznik *Historji Polskiej*), niż wydawanie źródeł (*Scriptores rerum polonicarum*), prace z dziejów literatury (*Literatura świata niechrześcijańskiego*), utwory poetyckie i dramatyczne, oryginalne i tłómaczone (tłómaczył Arystofanesa, Eschylosa, Calderona), więcej niż to wszystko wslawiły go pisma polityczne. Był jednym z trójki (wraz z St. Tarnowskim i St. Koźmianem), która po uzyskaniu przez Galicyę w roku 1867 areny swobodniejszego rozwoju założyła w Krakowie miesięcznik „Przegląd Polski“ i wydała wojnę hasłu *liberum conspiro*, węsząc je, gdzie go też nie było, i po krótkiej fazie demokratycznej zorganizowała potężną partję arystokratyczno-klerykalną, t. zw. stańczykowską. Popychany i nadużywany przez drugich, Szuj ski w najlepszej wierze był głównym

chorążym, publicystą i mowcą tego kierunku. Poetą i to tragicznym był więcej życiem swem, niż w pismach; organizacja jego artystyczna — mówi Tarnowski — „nie była doskonała, myśliciel i człowiek publiczny był w nim potężniejszy od poety“. Dzieła zbiorowe wyszły w Krakowie.

Włodz. Zagórski (Chochlik), urodził się 7 listopada 1834 r. we wsi Czechy (Galicja). Ukończył szkołę wojskową w Krems nad Dunajem i wstąpił w r. 1859 do legii węgierskiej Garibaldiego. Coś z tężyzny wojskowej pozostało też w jego utworach, a najlepsze jego utwory to może piosenki i opowiadania żołniersko-cygańskie, buńczuczne, wesole a tęskne. Redagował pisma: *Różowe domino* i *Chochlik* we Lwowie do roku 1882; w większych utworach satyrycznych (*Pamiętniki starego parasola*) siły nie dopisały. W r. 1883 przeniósł się do Warszawy i po wesołej młodości zaczął pisywać w duchu religijnym i zachowawczym. Poezye: *Zmierchły i świty* (1882), *Piosenki i żarty* (1882), *Król Salomon* (1887), *Wybór poezyj* (2 t.); powieści: *Pamiętniki starego parasola*, *Wilcze plemię*, *O własnych skrzydłach* (1892), *Szalone głowy* (1892), *Nowele* (4 t.), *W XX. wieku*, *Pan radca* (wespół z Antonim Zaleskim).

W nowelach przedstawia stylem nieszczególnym dowcipne dość pomysły, które w powieściach wyradzają się w ciężką, zachowawczą, nieraz pseudo-romantyczną tendencję.

Wrażenie pewne zrobił swego czasu Zagórskiego *Król Salomon*. Potrafił autor strunę, która zawsze w duszy czującej wywołuje echo, poruszył bólów ból — kontrast między głodem ideału: szczęścia, poznania, celu, a pustką życia. Słowami prostemi, w rymach pospolitych, ale dźwięcznych, powtarza odwieczną skargę:

Więc nic? więc nic, jeno znikomość?  
I jeno trosk i żądz omyłność?  
I tylko marność i bezsilność?  
A całem szczęściem — nieświadomość?

Więc nic? napróżno serce krwawię  
W tęsknotach trawiąc się płomiennych?  
I nic! krom nocy mych bezsennych,  
I cięższych jeszcze snów na jawie?

Więc nie! I znikąd nie zaczerpie  
Syn ziemi w smutkach swych otuchy?  
I nie! I celem grób mu głuchy!  
Dlaczegoż kocham? tęsknię? cierpię?

Modna tendencya neozachowawcza kazała autorowi wikłać się w sprzecznościach i przy poemacie sensualistyczno-pesymistycznym wyrzekać się pesymizmu; co więcej — kłaść jego nastrój bolesny na karb „nowożytniej nauki“. Wynikałoby z tego, że król Salomon był zarażony trucizną wiedzy XIX. wieku. O ileż więcej poetą jest Zagórski, gdy mówi:

Przez tę skrę boską, co we mnie zakłęta,  
Tęskni do źródła, stąd wzięła poczęcie...  
Przez ten głód prawdy, co ziemi odjęta  
Przez to wszechdobra i bóstwa pojęcie...  
Przez to, że myślą w nieskończoność płynę —  
Jam duch nad ziemską wywyższony glinę.

Zmarł Zagórski w Warszawie w lutym 1902.

M. R o d o ć — Mikołaj Biernacki, urodz. 1836 r. w Cyganówce Zielenieckiej pod Kamieńcem Podolskim. Od r. 1874 mieszkał w Galicyi, od r. 1880 — we Lwowie. Wykształcony na Berangerze, którego też tłómaczył, był w pierwszych swych satyrach śmiały, męski i krótkimi epigramami oraz dobrodusznie zjadliwemi strofami smagał zakusy klerykalne, roszczenia stańczyków, panoszenie się serwilizmu i bezducha. W ostatnich latach satyra jego straciła żądło, sam zaś rozbity moralnie i rozstrojony odebrał sobie życie 1 września 1901 r. *Satyry* wyszły w 12 tomikach, *Wybór* w Warszawie 1899 roku.

Kazimierz Bartoszewicz, urodz. 1852 r. w Warszawie. Zamieszkawszy w Krakowie oddaje się publicystyce. Obdarzony satyrycznem dowcipnem piórem fejletonisty rozprasza swe siły na mnóstwo drobnych kronik, wierszyków, nie zdobywszy się ani na jedną śmiałą kreację artystyczną; posiadając dużo wiedzy historyczno-literackiej, rozdaje ją w drobnej monecie rozprawek, broszur, polemik, nie stworzwszy ani jednej większej pracy naukowej. W tem, co ogłasza, stoi Bartoszewicz twardo na gruncie swojskim i odznacza się, jak mało pisarzy, czystym i pięknym językiem polskim. Zasłużył się jako wydawca dzieł ojca, Juliana B. i jako autor polemiki z Koźmiał-

nem (*Historja na usługach ludzi i stronnictw*, 1895—6), w której wykazał bałamutność, tendencyjność, fałsze jego kilkutomowych wywodów. W sprawach literackich zajmuje stanowisko wrogie nowszemu prądowi artystycznemu. Poglądy swe wygłaszał w całym szeregu czasopism, których był założycielem (*Na Dziś*, *Kuryer Krakowski*, *Przegląd Literacki*, *Kłosy*, *Kuryerek*), obecnie głównie w warszawskim *Gońcu*.

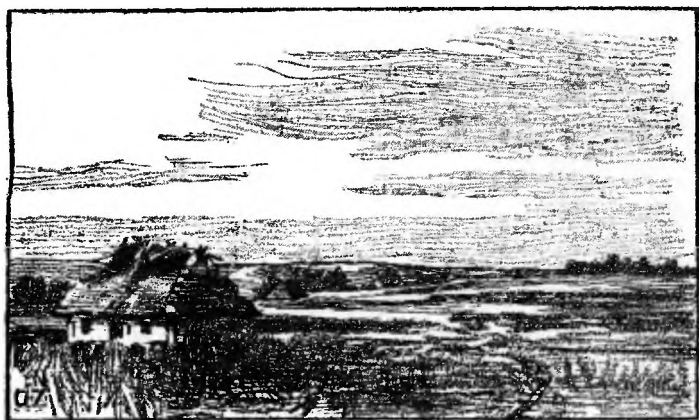
Miecz. Pawlikowski, urodz. w r. 1834, obcował jeszcze w Paryżu z Mickiewiczem. W młodości należał do grona, które skupiało się około *Dziennika literackiego* (ze starszych: Szajnocha, Dzierzkowski, Ujejski, z młodszych: najserdeczniejszy jego przyjaciel Romanowski, Bielawski, Walery Łoziński i t. d.), potem rozwijał w życiu kulturalnym i literackim Galicyi, szczególnie Krakowa, cichą lecz niemniej wybitną i zbawienną rolę. Brał udział w redagowaniu postępowego *Kraju* (1872), walczył z ultramontanizmem, potem hojnie zasilał materyalnie i umysłowo *Nową Reformę*. Natura patrycyusza duchowego, czysta i szlachetna, kochająca dobro dla samego dobra; jedna z tych, których życie jest poematem pięknym, z przewagą pierwiastku dobra, i które czynami i przykładem więcej działają, niż pismami.

Pracował dużo — pisze Tadeusz Romanowicz w przedmowie do II-go wydania *Plotek i Prawdy* — nienasycenie łaknący wiedzy. Ulubionym przedmiotem jego studyów była historia kultury ludzkiej, zwłaszcza zaś historia wszelkich wyznań religijnych. Za młodu pisywał głównie w *Dzienniku literackim* drukowane poezye, osobno: *Pamiętnik pieśniarza* (1855), potem powieści, utwory publicystyczne i wytworne sprawozdania artystyczno-literackie. Osobno: *Plotki i prawdy* (1872), *Ultramontanizm i moderanci* (1872), *Literatura jezuicka w Krakowie* (1873); z belletrystyki: *Tajemnica pani Krzuckiej* (1876), *Testament Napoleona* (1879), *Drugi tom* (1885), *Baczmacha* (1898), mniejsze nowelki w *Nowej Reformie* pod pseudonimem Marka Polnicza i in.

Zmarł 23 grudnia 1903.

Włodzimierz Wysocki, zmarły w młodym wieku w r. 1894 w Kijowie. Pisma: *Wszyscy za jednego*, fraszka (1882), *Laszka*, poemat (1883), *Zaklęta łąka* i *Nowe Dziady* (1884), *Las*, poemat (1886), *Satyry i Bajki* (1894). Lirnik, przesiąknięty dumkami i tęsknotami stepów, wierny starym ideałom poetyckiej szkoły ukraińskiej, ożenionym z zasadami postępu i demokracji, w duchu Aleks. Świętochowskiego.

Rzeczywistość szlachecka i sielska, widziana przez ich pryzmat, musiała pobudzać do satyry. Pierwiastek romantyczno-ukraiński występuje najsilniej w *Laszce*, pełnej szczęku walki z Tatarami, woni stepów, idei Bohdana o stosunkach polsko-rusińskich. Poetycko najwięcej dojrzały, szczęśliwie też łączący pejzaże i miłość natury swojskiej ze zgrzytem satyrycznym jest poemat *Las*. Umysł niezbyt wysoko sięgający, szczerze umiał kochać i oburzać się, a w *Bajkach* rzucał dużo celnych strzałów na obskurantów i „małpy“ wszelkiego rodzaju.





## ROZDZIAŁ III.

### NA WYŻYNACH PARNASU. ADAM ASNYK.

Asnyk jako poeta okresu. — Rok przełomu. — Idee mesyaniczno-romantyczne i reakcja przeciw nim. Poezyja staje się indywidualistyczną i intelektualną. — Zastosowanie teoryj i wyników wiedzy pozytywnej w poezyi. — Wzniosłość charakteru Asnyka i odbitych w nauce jego ideałów. Rezygnacja i harmonia. — Ich niedość stateczność. Rezygnacja wobec sfinksa kwestyi socyalnej.

Wiktor Gomulicki. Poezyja wielkowiejska. Gomulicki, jako parnasowiec. Wirtuozostwo formy — treść poezyi maleje.

Żywoty i dzieła.

Poetą okresu jest Adam Asnyk.

Nikt nie wzniosł się tak, jak on, na wyżyny wieku, nie ogarnął tak orlim wzrokiem widnokładu od końca do końca, nikt z takim mistrzostwem nie wyśpiewał jego treści.

Asnyk — to *magnus parens* poezyi polskiej z końcem wieku. Po wielkich przodkach wziął w dziedzictwie lirę wielostrunną, złotostrunną — i zostawił ją inną. Bogatszą — tak; czy zarazem większą?

W nim samym więcej wielkości, niż w jego poezyi.

Należał do pokolenia, które w młodości przedewszystkiem śniło sen o wielkości, sen duchów, czujących się na siłach, aby bryłę świata na nowe pchnąć tory i z wiążącej oczyścić ją kory. Siły liczył na zamiary i pieśń Juliusza, któ-

rego nad wszystkich ukochał, w życie zakłać pragnął. W błyskawicach kąpało się jego czoło.

Okres farysowski minął, przyniosłszy zwątpienie i upadek. Poeta spadł z nieba — dusza w nim się załamała. Na zawsze Rozpacz swą wygrywa Asnyk jeszcze na lirze wielkiej — Słowackiego. Ziemi ciska w oczy:

Ja dla męczarni twych — wzgardę czuję,  
Bo ty frymarczysz krwią twą, Messalino...

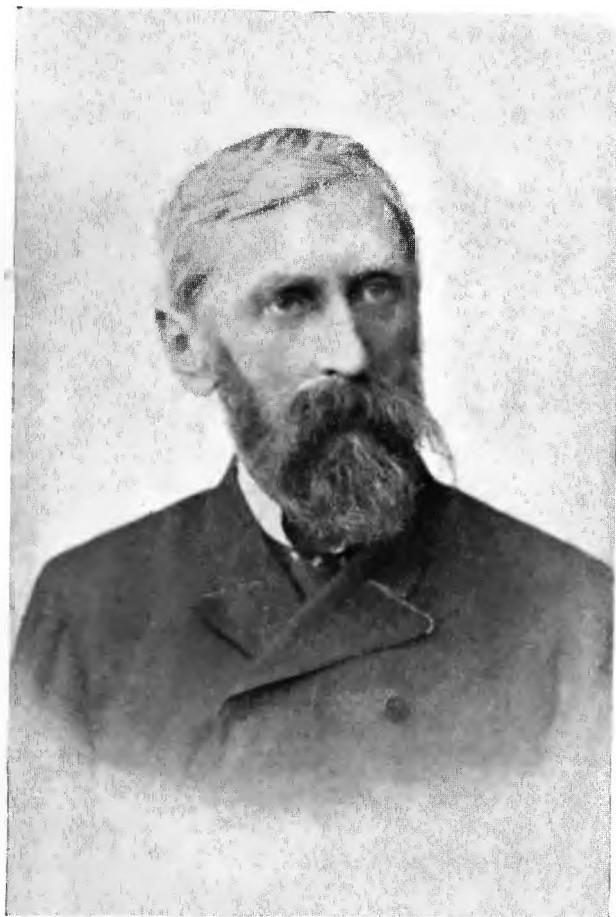
Wierzył w mesyaniczne jej posłannictwo —

Pytam: gdzie w bólach ludzkości poczęta  
A przekazana myśl jednej tobie?

A wobec kokietujących ze śmiercią i cierpieniem, rzucających róże — gdzie należałoby miecze, lzy — zamiast krwi, w nim burzą się ognie wszystkich piekieł ducha:

O precz mi z drogi tej! — ja nie mogę  
Płatnych służalców zwykłą iść koleją,  
Ja widzę hańby znak, w oczach trwogę,  
Ręce, co świata pogrozić nie śmieją,  
Więc rzucam gniewu krzyk i wściekłości,  
I grobu twego znieważam świętości.,.

Wybuchy te niedługo jednak trwały. Natura poety była wyczerpana. Ogień historycznego doświadczenia spalił w niej wiele dawnych nerwów, przegryzł mnóstwo dawnych komórek myślowych. Po ciężkiem cierpieniu, po długiem szamotaniu się, poeta wyszedł z tej smutnej topieli innym człowiekiem. Wziął rozbrat z przeszłością. Zjawiający się w *Śnie grobów* anioł przeznaczeń rzuca klątwę na wiek romantyzmu, zdziera z głowy nimb, z ramion skrzydła, nielitościwie szarpie wszystkie mesyaniczne złudzenia, samozwańcze apoteozy, całą pychę i dumę poezyi, która wierzyła, że »wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie!«



Adam Asnyk.

Długo was pieścił Cherub złotowłosy  
I nad lichemi próchnami się bawił,  
Wmawiając wielkość w strzaskane kolosy,

A przecież z grobów kolumn nie wystawił  
I życia nie wlał w umęczone prochy,  
Tylko je w tęczy krwawej przez świat spławił

Mistyczną pieśnią napawając spiochy,  
A odurzone siedmiu niebios blaskiem  
Rzucił w ciemności...

Tak woła anioł przeznaczeń, Król-duch narodu, który chce go prowadzić do oczyszczenia, do wzniosłości — przez cierpienie dotąd nieznanego jego naturze rycerskiej, butnej, marzycielskiej, rzucające ją na tortury nowej drogi życiowej, karby w nieubłagane racjonalizmu współczesnego.

I poeta w »znojów nieprzebranych kraje« wszedł.

Za progiem zostawił wszystkie insygnia królewskie i arcykapłańskie dawnej romantyki. Asnyk po *Śnie grobów* zmienia zupełnie formę i treść poezji swojej — poezji polskiej. Dotąd był poeta wieszczem, wajdelotą, mistrzem i panem narodu — Asnyk tej roli się zrzeka. W sporze między »publicznością a poetami« woła: »Tacy poeci, jaka jest publiczność!« Nie jest wodzem, co nakazuje, prowadzi, sądzi, karze, jest wyrazem środowiska. Nie jest milionem, lecz jednostką, — cierpi katusze, myśli i dąży nie za naród, lecz za siebie. Oczywiście nie wyrzeka się idei reprezentatywnych, w zasadzie jednak jest indywidualistą. Nieraz jeszcze zabłąka się w pieśń jego echo dawnych lat, szamoce się i targa nałożone sobie więzy; łatwo sobie przepisać: »aby cię znowu nie zbłąkała miłość« — trudniej wykonać. Często też gdy śpiewa »o niej« — nie wiemy, czy śpiewa o dziewczynie, czy też o kochance — ojczyźnie. Opiewa swoje bole, swoje radości, swoje nadzieje i pragnienia. Kopalnią niewyczerpaną mo-

tywów staje się oczywiście miłość. Ale także nie to uczucie romantyczne, często demoniczne, do demona zwrócone, lub z mgieł utkane i woni, które opiewał Słowacki, wulkanem kipiące lub w lód zastygłe, którem brzmiał Adam, lecz miłość nasza współczesna, mieszczańska, salonowa, figlarna i kieteryjna, rzadko zdobywająca się »w różową chwilkę« wezbranego serca na szczerą poezję, pragnącą cały świat przyciskać do łona, jeszcze rzadziej na ekstazę »uwielbienia« — często kaprys, żart, a nawet spekulacja. Używa jeszcze poeta wyrazu »anioł«, ale anioł najczęściej ma skrzydełka motylka. Poeta dawno zeszedł z koturnów i jakby z obawy, by go pokusa do nich znów nie pociągnęła — smaga się ironią, biczuje szyderstwem... Z wielkiej i świętej skarbnicy serca wydobywa »kwiatki«, a nawet — karmelki.

Asnyk nie jest naturą żywiołową, w której ogień wrzałby zawsze, jak w podziemiach wulkanicznych, wybuchając od czasu do czasu płomienną lawą, ale to co w sobie z powinowactwa umysłowego ze Słowackim, w pierwszym okresie życia nawet miał — posłuszny Aniołowi przeznaczenia, siłą stłumił, rozumowaniem zgasił. Taka natura na gruzach »wyobraźni kłamliwych widzeń« i »całej przeszłości marzeń« nie gaśnie i nie łamie się całkowicie; owszem — tam budzi się naczelną jej, najistotniejszą władzą duszy: chłodny, badawczy intelekt. Zrozpaczony ex-romantyk pisze:

Dziś nic z mych piersi skargi nie dobędzie,  
Nic jej nie przejmie zachwytem lub trwogą,  
Nie wyda dźwięku rozbite narzędzie,  
Pęknięte struny zadrzeć już nie mogą...

umysł jego bezustannie jednak pracuje i im bardziej odczuwa próżnię w duszy, brak syntezy, tem silniej będzie pracował nad jej zastąpieniem, Asnyk jest też pierwszym w poezji intelektualistą. Z nim przechodzi ona z okresu bohaterstwa do okresu kultury.

W czasie, gdy większa część epigonów romantyzmu wołała, jak owi poeci na uczcie u Keatsa: precz z Newtonem! bo ten analizą swą naukową rozwiął piękne fantazyje o tęczy — w czasie gdy pozytywiści toczyli boje o prawa wiedzy i zastosowanie ich w życiu, Asnyk w ultramontańskim, zacofanym Krakowie siedział w zaciszu pracowni, schylony nad księgami o zagadnieniach bytu. Natchnienie, intuicja, najgłębsze porywy duszy i święte szaleństwa zbankrutowały — trzeba było uciec się do rozumowań. Poeta przestał odgadywać — zaczął szukać; przestał rzucać światu błyskawicowe objawienia — zaczął dzielić się nim rezultatem długich, logicznych rozmyślań. Twórczość traci zupełnie charakter wizjonerski, impulsywny, z wiekiem coraz więcej się odsuwa także od uczuć erotycznych, które dlań kwestyami życia nigdy nie były — przeważa coraz mocniej przekonanie, że myślowych »znojów nieprzebranych kraje lepsze są... niżli wyobraźni kłamliwych widzeń utracone raje«. Proces ten nie odbył się oczywiście bez bólów i walk, ale strumień krwi zgasił był pierwotną jego egzaltację tak gruntownie, że zmartwychwstać już nie mogła. Wszystkie więc pragnienia idealnej i idealistycznej młodości niemiłosiernie przez los zmrożone, wszystkie tęsknoty i ukochania najświętsze stawiał pod światło kwitnącej w tej epoce wiedzy przyrodniczej i filozoficznej — i o szczęście! nie prysły, nie stopniały, lecz w innej formie ożyły. Uposażona w całą — można powiedzieć — wiedzę swego stulecia poezja Asnyka przedstawia widok wzniosły. Asnyk stoi na szczycie kultury wieku pozytywistycznego. Wszyscy inni przed nim poeci mają coś w sobie z ludzi pierwotnych, on jest pełnym światła mędrcom i świadomym siebie estetą; będące do niedawna w użyciu określenia poety, jako barda, lirnika, gęślarza, wajdeloty, bojana, wieszczka, do niego stosować się nie dadzą. Zbyt poeta, aby opiewać lokomotywę i elektryczność, jak to czyni Sully Prudhomme, albo »romans dwóch komórek w pacierzowym tkwiących rdzeniu«, wziął

z wiedzy niejeden fakt przyrodniczy, ale głównie jej filozofię, więc w gruncie rzeczy także poezję, jej syntezy, to, co najczęściej jego naturze odpowiadało. Wobec bezwzględnych oskarżeń, miotanych potem przeciw nauce pozytywnej, mamy znowu przykład, że nie wiedza urabia człowieka, lecz człowiek wiedzę; stosunek taki sam, jak do religii — co Goethe dawno już wyraził: *Wie ist der Mensch, so ist sein Gott, darum ward Gott so oft zum Spott*. Asnyk widział w wynikach i uogólnieniach potępionych dookoła Darwinów, Haecklów i Spencerów najsilniejsze, jedyne poparcie dla swego idealizmu. Teorya mgławic wzmacnia go w przekonaniu, że piękne marzenia ducha ludzkiego także się skupią w wspaniałe byty słoneczne. Z geologii bierze przykład rzeźbienia łądu przez fale, aby wywieść, że byt pokoleń nie jest bezcelowym, skoro rzeźbi dzieje. Nawet estetykę swoją zmienia zupełnie; w Tatrach odrzuca całą frazeologię romantyczną, używa określeń ścisłych, właściwych nauce i prostym, zdrowym zmysłom górali-przewodników. Czy to nie jakby naukowe motywowanie miłości kraju, kiedy poeta śpiewa do matki-ziemi:

Na twoich błoniach wschodzimy jak kwiaty,  
A ty stosowne nam wyznaczasz grządki,  
Każdy dla siebie znajdzie grunt bogaty,  
Swych poprzedników prochy i pamiątki,  
I każdy tylko na swej własnej niwie  
Może zakwitać silnie i szczęśliwie.

Poeta idzie za wątkiem wiedzy coraz dalej, podnosi się coraz wyżej, w jej uogólnieniach, w zasadzie ewolucyi znajduje najwyższą swą syntezę. Klucz rozwoju staje się też kluczem jego poglądu na świat — podstawą wszystkich myśli. Od chwili, gdy go posiadał, Asnyk przestaje wytaczać procesy »XIX. wiekowi«, nastrój jego poezyi staje się jednolitym, ogarnia ją głębokie ukojenie. Niema dość słów, aby opiewać cu-

downą tę zasadę, która mu zastępuje wszystkie czynniki dawnej wiary. Nią natchniony śpiewa Ode, jakżeż bezbrzeżnie daleką od Ody największego swego imiennika:

Po szczeblach stopniowych przemian,  
Na idealnej podnosząc się zorzy,  
Zwycięska miłość dla ziemian  
Najśłodsze dary swe mnoży.

»Dzisiejszym idealistom« tłumaczy, że powinni akceptować nawet najnielitościwsze prawo Darwina.

Dziś hasłem walka — i trudno już  
Milczeniem przeczyć jej skrycie —

. . . . .  
Naprawdę chcecie wykluczyć gwałt  
Z duchowej sfery istnienia,  
On tylko wyższy przybiera kształt  
W głębiach ludzkiego sumienia.

Lecz i tu walka powszechna trwa,  
Podlega duchów potrzebie —  
A ten zwycięzcą, kto drugim da  
Najwięcej światła od siebie.

Ile tylko szlachetności we wzniosłej duszy, ile miłości i czci dla najwyższych ideałów człowieka i obywatela, ile powagi w umyśle, pochylonym nad głębiami najtajniejszych losów ludzkości — wszystko w Asnyku otwiera się przed nami, odsłania głębokie swe piękności, rozświetlone promieniami wiedzy. Nie przestaje on przytem być poetą najwyższej miary, czerpiącym przedzę i kwiaty twórczości z życia własnej duszy, ze snów boskiej wyobraźni. Bo

Od kolebki biegła za mną  
Czarodziejska baśń tęczowa,  
I szeptała wciąż do ucha  
Melodyjne zaklęcie słowa —



Poezja jego jest jednak inną, nową...

...dawnych marzeń potargane nici  
Przerabia w ciszy na strój inny, świeży;  
W którym znów serca stęsknione zachwyci  
Nowych kochanków i nowych rycerzy.

Ale — czy na długo?

Długoż filozofia tej poezji, stanowiąca jej duszę, może dawać to ukojenie i ciszę, w którą spowijał strudzoną swą głowę rozbitek wielkiego dnia wczorajszego?

Rezygnacya podsunęła znużonemu poduszkę intelektualizmu, oba te czynniki mają jednak w sobie coś boleśnie stłumionego, chorego, starczego.

Młodość, życie, ruch — młodość indywidualna i narodowa, pełnia sił, stawiająca sobie wielkie zadania, absolutne cele, nie pogodzą się nigdy z hasłem rezygnacyi; duch niespokojny, burzliwy, przypuszczający szturm do nieba, szybujący w nieskończoność, bijący skrzydłem o zamknięte przed nami tajemnice, nie zadowolni się czynnością czystego intelektu, która niezwykczona w analizie — może tylko konstatować fakt, a gdzie ten się kończy — stanie bezsilna, nie-twórcza, z teorią względności wszystkich prawideł — znowu zrezygnowana. Asnyk też rzadko porywa — rzadko narzuca nam swą wolę. Czyni to, kiedy jest romantykiem i przemawia czystem uczuciem. Gdy ukazuje:

Stoi wierzba płacząca  
Nad ciemnem jeziorem,  
Drży w promieniach miesiąca  
Kiedy wietrzyk ją trąca  
Wieczorem...

a dokoła tej wierzby stoją upiory i złorzeczą ludzkości i na rozkaz władcy podziemnego idą między żywych, aby roznośić zarazy, występkę, nędzę i ciemność — jesteśmy pod ma-

gicznym jego wpływem, wierzymy. Gdy zaczyna rozumować — jesteśmy również racjonalistami i krytykujemy. Jakżeż uledz, gdy jego wiara jest tylko rezygnacją. Jego »daremne żale, próżny trud« — to tylko refleksja ogólna, nie kategoryczny imperatyw: idź i czyń! *W dwudziestopięcioletnią rocznicę* wspaniałemi strofami czyni spowiedź z tragedii swego życia, które było życiem narodu, ale w rezultacie umie tylko oskarżać, umie, jak uczony historyk-psycholog wytłómaczyć, że biegu dziejów nie odwrócić, że to, co było psychologiczną koniecznością, stać się musiało, że niegodnem jest uragać nieszczęśliwemu i zadawać gwałt uczuciom wrodzonym. I tak trzymając w czystości sztandar miłości kraju akceptuje młode pokolenie, które »w twardej urobione szkole, zrzekło się marzeń zdrażliwych słodczy« i przypomina mu tylko, że

...prawda, której wy szukacie,  
Jest jak Proteusz, kryjący się zdradnie,  
Który wciąż swoje *odmienia* postacie...

Raz tylko z dojrzałych poezji Asnyka brzmi ton spokojnej siły i pewności, gdy opiewa *Heraklesa*. — Zresztą czuć wątpliwości, zastrzeżenia, duszę przegryzioną pewnikiem braku pewnika, względnością wszech idei i rzeczy... Szereg przepięknych sonetów pisanych *W oczekiwaniu jutra* kulminuje nie w jakimś *Credo*, lecz w wyznaniu:

Ciężko! nie mieć na ziemi dla ducha podstawy

i w zupełnie ogólnikowem:

Jednak trzeba zagadkę rozwiązać sfinksową,  
Zgodzić sprzeczne warunki życia...

*Do młodych* pisze apel gorący, pełen wzniosłości i najgłębszej mądrości życiowej, ale zaczawszy wezwaniem:

Szukajcie prawdy jasnego płomienia!

kończy zupełną rezygnacją:

I wasze gwiazdy, o zdobywcy młodzi,  
W ciemnościach pogasną znów.

Czem zresztą jest ta rezygnacja wobec tej najwyższej  
którą akceptuje nawet śmierć:

Śmierć — to ciągłego postępu chorąży!  
Który na nowe świat prowadzi tory,  
Wchodzącym kielkom usuwa zapory...

Filozof, stojący »Nad głębiami«, doszedł do najwyższej  
mądrości i równowagi, wszystko rozumie, a *tout comprendre*  
— *c'est tout accepter...* W jego umyśle wszystkie sprzeczno-  
ści wyrównane, zagadki usunięte, wszystko spływa się  
w wielką, nieskończoną harmonię. Jeżeli go coś razi, odpy-  
cha, to właśnie brak tej harmonii — obraz burzy nieokiełz-  
anej, kipiączki dzikiej, istoty niezrównoważonej, sprzeczności  
dalekiej od pogodzenia. Dlatego mędrzec, co wszystko pojął,  
esteta-harmonista, który żył tylko w sferze ducha, bezradny  
stał wobec tego fermentu niespokojnego, jakim jest nowocze-  
sny ruch społeczny. Raz widzi w nim uprawniony krzyk nę-  
dzy nielitościwej (*Bez odpowiedzi*), to znów go ogarnia trwoga,  
że »tłum barbarzyńców« spustoszy najświętsze dobra ludz-  
kości, nareszcie w jednym z ostatnich swych wierszy, (na-  
pisanym dla *Dziennika krakowskiego* 1896) wyznaje, że stoi  
wobec Sfinksa i czuje tylko trwogę:

Smutni rycerze przeżytej już chwili  
Patrzę z boleścią — kiedy zastęp świeży  
Przeciw ołtarzom, które oni czcili,  
Zwraca się zbrojnie i kruszyć je bieży.

Napróżno serce tych dawnych rycerzy  
Oprzeć się trwodze i zwątpieniu sili..  
Gdyż widzą tylko — to, co w gruzach leży,  
I myślą tylko o tem — co stracili!

Poza walk dzikim zamętem i wrzawą,  
Poza konaniem świata, co już ginie,  
Nie mogą dojrzeć przeszłości obrońce

Tych, co dni nowych stawiają świątynie —  
Ani nie wiedzą, patrząc w jutrznię krwawą,  
Czy to pożarów luna — czy też słońce?

Smutne wyznanie i smutna w istocie swej poezja, ale tym smutkiem, który w duszy pozostawia wielką, artystyczną tragedję. Bo w życiu tego poety więcej jest bohaterstwa, niż w jego poezji, a jej wzniosłość — to kolumna — co prawda: cudownie rzeźbiona, nad grobem. Żywi nie mogą się pogodzić z filozofią rezygnacyi, sztuka — z wyłącznym intelektualizmem. Szukają więc nowych dróg... gwiazd nowych... Tak dobrze znany Asnykowi »krąg przemian« wchodzi w swoje prawo.

Bo

...aby w zgodzie niezmałconej  
Żyć z przeznaczeniem bliskim i dalekiem  
...na to być potrzeba  
Czemś mniej, czemś więcej, lecz już — nie człowiekiem!

Asnyk do tych rozmiarów olimpijskich w ostatnim swym okresie się zbliża — człowiekiem nawskróś jest ten, co pisał powyższe słowa: Wiktor Gomułicki.

Tylko człowiekiem, poetą swojego niewielkiego ja, nie reprezentantem.

Nie kąpał się w ogniu, ogień też z jego oczu nie tryska; nie śnił o rajach — nie przerzucił się też potem do piekła, skąd dopiero na skrzydłach myśli możnaby wylecieć; nie dźwigał na swych barkach losów społeczeństwa — nie upadał też pod tym ciężarem, nie ugiął się pod tą odpowie-

działnością — i nie szukał u wszystkich potęg nieba i ziemi ratunku. Za jego młodości świtały na niebie już ostatnie porbrzaski romantyki Słowackiego i natura prawdziwego poety wpatrywała się w nie z zachwytem, obca z początku i wroga inwazyi pozytywistycznej — wkrótce jednak duch czasu dopomógł wrodzonemu usposobieniu, Gomulicki stał się poetą — racjonalistą.

Dziecko wielkiego miasta rychło przemienia ogrody swojej muzy w park piękny, gdzie rządzi nie natura — uczucie, lecz kunszt, który przyszyja zbyt wybujałe krzewy, kwiaty sadi wytworne, w estetyczne klomby, obliczone na efekty barwne, na ciemne tło drzew rzuca białe półnagie statuy. W parku tym rozlega się często szczebiot wdzięczny subretki i studentów, kokieteryjne lub palące wyznanie donżuanów rozmaitej kategorii — rzadko szept lub krzyk nagięgo serca. Spacerują tu często panie i panowie, wysoce wykształceni, kulturni, w najmodniejszej zapewne toalecie i szermują dowcipami i prowadzą rozmowy o uczuciach, o nieśmiertelności, o sztuce i artystach — rozmowy inteligentne, przerzucające się z tematu na temat, rzadko zbyt oryginalne lub głębokie, zawsze wykwintne w formie i zajmujące. Trudno natomiast spotkać tu wielkiego myśliciela lub potężnego artystę, uciekających od gwaru, choć inteligentnego tłumu.

Syn czasu racjonalistycznego, Gomulicki wszystko, więc i szczerą, wielką poezję wyrozumować sobie doskonale potrafi. Zakreśli jej cele najwyższe, jak romantycy:

...Wspomnij Tyrteusza,  
Za którym lud lawiną potoczył się w pole!  
Bohaterów pieśń tworzy i unieśmiertelnia.

A źródło pieśni?

Lubię krzyk namiętności, kiedy się wyrывa  
Z ust poety, namysłem niespełnionych jeszcze,

Lubię słowa, co w pieklach obudzają dreszcze,  
Dlatego, że je miłość zrodziła prawdziwa...

Jednakowoż w jego poezjach nie tylko nie słyszymy ani jednego tonu Tyrteuszowego, ani jednego dźwięku z bo-haterskiej harfy poprzedników, lecz nie czuć tu nawet tej namiętności, tego krzyku, który poeta tak umie chwalić.

»Wieszcz« przemienił się w artystę, w mistrza słowa, w wykwińskiego »parnasowca«.

Podobnie jak rozumie wysoki rodzaj poezji, a uprawia — estetyczny, tak rozumie wszystkie nastroje czasu. Ale weźmie z nich — tylko formę piękną. Jakaż jego filozofia? Modli się jak chrześcjanin, odczuwa doskonale pesymizm wieku, roztopia się w przyrodzie, jak panteista — ale w gruncie rzeczy wzrok jego wpatrzony raczej w ziemię, niż w oblicze nieskończoności. Metafizyka nie jest tak gwałtowną potrzebą serca, filozofia nie jest kwestią życia. Kto wie, czy nie naj-szczerzej wypowiedział swoją filozofię w obrazku ładnej dziewczyny, która sukienką zakryła przed nim oblicze wielkiego mędrca, w obrazku zakończonym refleksją:

iż za lat trzysta i z naszej mądrości  
Tylko zbutwiałe pozostaną kości —  
Dziewcząt zaś lica zawsze będą świeże.

Obraz tego dziewczęcia »niezbyt może skromnego« — to kobiecość Gomułickiego. Rozstaliśmy się z groźną Aldoną, Lilą Wenedą — kobietą heroiczną, której żywotem trud i ofiara, staliśmy się mieszczanami, nad miłość wolimy miłośćkę, nad owe gigantyczne kreacje — taką sobie pocziwą, przyjemniutką kwiaciarkę »Kocię«. Zna Gomułicki siłę miłości, wielbi jej urok przepięknym aforyzmem:

Kto kocha, bardziej jest z bóstwem zbratany,  
Niż kto kochany —



Wiktor Gomulicki.

opiewa wspaniale jej potęgę :

Pocóż na licach ta Pallady maska?  
Pocóż na sercu ten puklerz ze stali?  
Jeśli pierś z drewna, namiętność ją spali  
A jeśli z głazu — roztrzaska!

Miłością — »przez takie duchów cudowne zameżcie« —  
wznosi się nawet w najwyższą sferę bytu — nad brzeg nie-  
skończoności — prędko jednak z tych wyżyn wraca, jeśli

nie do izdebek studenckich, gdzie spódniczki perkalowe chrzęszczą, to do salonu, do tego świetnego grona piękności miejskich, do owej »Anielskiej«, do tej »Marmurowej«, do tamtej »Wniebowziętej«, do całego tego bukietu uroczych postaci, które zabawiają się czasem także w sentymentalne sielanki i wtenczas nazywają się Chloe, Filis... Chmurnie i górnie zaczyna poeta z wysokiego tonu: przypomni jednej rozbalowanej — dziecko, drugiej z miną bakalarza wytknie lekcję o przeznaczeniu niewieściem — prędko jednak da się porwać ogólnemu nastrojowi salonu, dalekiemu od podobnego patosu, i zacznie mówić madrygały, komplementa, wytworne i upajające, że pozazdrościłby mu sam mistrz Trembecki.

Poeta obiema nogami po ziemi stąpa, skrzydła — organ szczątkowy — zarzucił. Ale jest poetą i nie zamyka oczu na ból ludzki — występujący w formie braku chleba. Zna tę nędzę we wszystkich jej postaciach i szczerze wzdycha: »gdyby poezją karmić można biednych!« — przede-wszystkiem jest jednak parnasowcem, estetą, któremu sprawy sztuki najwięcej na sercu leżą.

O! wznosmy pięknu wspaniałe ołtarze,  
Marmur i złoto niech rzucają blaski,  
Wino niech szumi w kryształowej czarze;

Niech nas pieśń wieszczów dopóty kołysze,  
Aż każdy smutków daremnych zaniecha  
I myśl pograży w olimpijską ciszę;

Wesołe tylko budząc w życiu echa,  
Niechaj ofiary od nas biorą wszędzie:  
Miłość i rozkosz, piękno i uciecha.

Lecz wprzód — niech głodnych pośród nas nie będzie!

Gomulicki przedstawia fakt głodu, nie w ogólności nę-



dzę społeczną — olbrzymiego sfinksa stulecia; poeta nie stoi ponad tym czasem; jestto zaś już własnością jego indywidualną, że w toku czytania utworu każe nam zapominać zupełnie o tytule: *Głodnego nakarmić!* Zapominamy o treści i wołamy: co za cudne tercyny!

Podobne wrażenie zawsze nam towarzyszy...

W społeczeństwie mieszczańskim, bogatem, sytem, stojącym na wyżynie kultury, sztuka jest potrzebą, potrzebą nerwów. Gomulicki zbyt prawdziwym jest poetą, aby tym nerwom zawsze służył — zbyt zaś jest synem wieku, by marzyć seryo o kapłaństwie muzy. Gdy wyrывa się z zakłętego koła mieszczańskiego i idzie, gdzie go czysty duch powiedzie, znajduje jeszcze skarby rzetelnej, głębokiej poezyi: *El mole rachmim... Sub tegmina...* Zresztą cóż znajduje w świecie tym rzeczywistym, do którego należy ciałem i duszą, a z którego wypłoszono mary wielkości? Salon z jego erotyzmem, nie sięgającym duszy, zbiedzone, sponiewierane przez świat jednostki, którym rzuca się współczucie (*Francuzica, Pogrzeb aktora*), kolekcję małomieszczań śmiesznych, stróżównych — kandydatek do rynsztoka, panien wpatrzonych w nagie statuy »o klasycznym karku«, kupców, którzy się dorobili miliona i zbiornika chorób wszelakich... Wobec wszystkich tych istot raz pocziwych, raz mizernych, wypowiada mądrość życia. Mądrość to prawdziwa, jak wszystkie prawdy znane, aż nazbyt uznane, kwiaty na drucianych pręcikach, nawet nie szmaty życia, lecz szmatki poprawne w najmisterniejsze koronki formy. Wpadną w oko — nigdy w serce, pokiwa się nad niemi głową — nie weźmie się ich na drogę życia.

Sztuka-wirtuozka jest wielką — poezya małą.

I tak na długie lata.

A d a m A s n y k, urodzony 24 października 1838 r. w Kaliszu. Studya odbywał w Akademii medyko-chirurgicznej w Warszawie, po pewnym czasie wyjechał do Wrocławia, potem do Heidelbergu dla kontynuowania studyów medycznych, które jednak nie odpowiadały jego naturze. Wyniósł z nich znajomość nauk przyrodniczych, z większem jednak zamiłowaniem oddał się wiedzy filozoficznej i społecznej. W r. 1864 wyjechał zagranicę, bawił we Włoszech, Francyi, w r. 1866 osiągnął w Heidelbergu stopień doktora nauk społecznych. W roku następnym osiadł we Lwowie, jako dziennikarz, w r. 1870 przeniósł się do Krakowa, gdzie mieszkał do końca życia, wyjeżdżając często zagranicę dla poratowania zdrowia; w tym celu bawił w 1895 r. nawet na Ceylonie. Natura głęboko poetyczna, żyjąca życiem wewnętrznem, mało się udzielał światu, nie odmawiał jednak współudziału, gdzie go obowiązek powoływał do pracy publicznej. Stał długie lata na czele demokratycznego dziennika *Nowa Reforma* i pisał mandat poselski do sejmiku.

Poezye jego zaczęły się pojawiać drukiem w r. 1864 w *Dzienniku literackim* podpisane znakiem (✓), literami Y. to *El* — potem stale pod kryptonimem *El.y.* Pierwszy tom wyszedł w r. 1869, budząc odrazu dla poety powszechne uznanie, drugi wyszedł w Krakowie 1872, III — 1881, IV — 1894; wydanie zbiorowe niezupełne zredagował St. Krzemiński w Warszawie (1899) w 5 tomach; zawiera ono także utwory sceniczne. Należą do nich komedye: *Walka stronniectw* (1869), *Gałązka heliotropu* (wierszem, napisana podobno 1869, wyszła 1882), *Przyjaciele Hioba* (1879), *Komedia konkursowa* (1888), *Bracia Lerche* (1888). D r a m a t y: *Cola Rienzi* (1873), *Żyd* (1875), *Kiejstut* („tragedya“, 1878). Dużo poezyj Asnyka rozrzuconych po czasopismach czeka wydania osobnego, podobnie jak Listy z podróży, nowela *Pojedynek* (*Nowa Reforma* 1885) i odczyty o *Antygonie* (1873), o *Trubadurach* (1872), o *Księżu Niezłomnym* (1874), o *Królu Duchu*, o *Bajkach Krasickiego*.

Życie Asnyka właściwie mało jest znane; niewiadomo dobrze, jaką była jego indywidualność przed pierwszym występem poetyckim; czy różnica nastroju między *Snem grobów* a późniejszymi utworami jest wynikiem ogólnego przełomu narodowego, czy tylko powrotem do właściwej swej istoty. W pismach widzimy dwoistość. Pierwsze utwory, pisane od r. 1866, noszą na sobie ślady burzy wewnętrznej, rozpacz, łamanie się z sobą; przechodzi ono całą gamę tonów: od *Apostrofy* w rodzaju *Grobu Agamemnona*, do cichego łkania i bezmiernego żalu; poeta kaja się Bogu (*Asceta*), ale go nie znajduje, wpada więc w zwątpienie, bluźni, ignoruje całe posłannictwo Chry-

stusa (*Julian Apostata*), wpada w szal bachiczny (*Pijąc falerno*). Wiersze te, drukowane bezpośrednio po r. 1864, są związane nicią psychologiczną. Rzecz charakterystyczna, że w pierwszym swym tomie Asnyk tych najznamienniejszych a wczesnych swych wierszy nie umieścił; powcieślał je do zbiorów dalszych, w wiele lat później, gdy miały dla niego już tylko historyczne znaczenie.

Burza minęła, na wypogodzonym niebie zaświeciło słońce racjonalizmu.

Przeszedł on w kość i krew Asnyka, odbił się na treści i na formie. Asnyk prawie wszystkie wiersze układał na spacerach, potem od razu rzucał je na papier. Twórczość jego nie przedstawia też nic spontanicznego, samorządności, żywiołowego natchnienia. Obmyślał wszystko na chłodno — w takt wieczystej melodyi, którą czuł w duszy. Niema też w jego wierszach tego gwałtownego naporu słów, obrazów, uczuć, skłębionych nieraz, goniących się wzajemnie, tworzących chaos, ale także gorączkę, która oślepia, rozpala, porywa, — jak u Słowackiego i innych romantyków; jest natomiast takt i miara. Wiersz układa się w strofy o budowie niesłychanie kunsztownej i urozmaiconej, strofa toczy się językiem spokojnym, trzeźwym, zawsze w takt muzykalnej rytmiki, kolebiąc się na rymie zawsze dźwięcznym, zawsze świetnym, często stanowiącym *unicum* w swej kunsztowności, tak, że chce się istotnie wierzyć pocie, gdy powiada, że

mój każdy rym najprostszy  
Swoim rogiem szatan ostrzy.

Poezja z takiego źródła w podobny sposób powstająca, ma jeszcze cechę ogromnej subtelności; u Asnyka sztuka malowania odcieni psychologicznych, dokładnych analiz, myśli, delikatnych wahań uczucia jest doprowadzona do mistrzostwa; poczynając od *Odpowiedzi*, danej w r. 1864 rozmaitym oportunistom poetyckim, a kończąc na obudzeniu się pragnienia miłości w duszy młodego dziewczęcia — jest wszędzie pełen finezyi, chwytą prawie atomy uczucia, z wyrafinowaniem lubuje się w śledzeniu najdrobniejszej zmarszczki na fali. I jeszcze jedna własność podobnych natur: dowcip. Nie humor, który cechuje ludzi uczuciowych, lecz gra słów, niespodziane skojarzenia, świat antytez, analiza gryząca, satyryczna; spotykamy to w poezjach Asnyka rzadko, ale w rodzaju, zaspakajającym najwybredniejszego estetyka. Takie wiersze, jak *Replika*, *Karnawałowy lament poety*, *Napad na Parnas*, mnóstwo erotyków satyrycznych, należą do najdowcipniejszych utworów polskiego pióra.

Zato będzie tworom podobnej indywidualności zbywać na wszystkich tych znamionach, które wynikają z żywiołowego, skoncentrowanego uczucia i rozległej, plastycznej fantazyi. Niezrównanej melodyjności wiersze Asnyka są w kolorycie blade, w potęgę wyrażenia — retoryczne. Każde uczucie skąpało się w nurcie refleksyi, zostawiło tam puszek świeżości, żar bezpośredniości, a przyległa do niego szara abstrakcyja, a czuwa nad niem ostra, racjonalistyczna logika. Dalej, gdzie brak silnego punktu krystalizacyjnego, którym jest magnetyczną siłę ośrodkową posiadające uczucie, brak też koncentracji; ruch myśli mniej się wyczerpuje, niż napięcie uczucia; stąd w poezyach Asnyka często nienaganne, cudne strofy, a całość rozwlekła i przez to chybiona. Ulubioną formą Asnyka jest też tak nielubiana przez poezję perora.

Naturze tak obiektywnej, wyrafinowanej umysłowo, trudno zatracić swą samowiedzę, rozpylić się w innej, choćby większej potęgze. Nie wcielił się też Asnyk w nierozróżniczkowaną, jednolinijną duszę ludu; poezye ludowe Asnyka są bardzo ładnymi poezyami — Asnyka. Nie rozpyliwa się też w przyrodzie. W obliczu Tatr wchłania rozkosz piękna, ale i tu świadomość w nim zawsze pracuje i często, np. *Podczas burzy*, więcej nasuwa mu refleksyj, niż widoków wspólniały; w arcydziele tem, którem jest *Noc pod Wysoką*, zespala go z wszechświatem, ale i wówczas czując się „jednem łańcucha ogniem rozciągniętego przez otchłań bytu“ — robi zastrzeżenie, że „jest wolny, choć prawom powszechnym podległy“... Jakże innym jest stosunek do przyrody modernistów dzisiejszych. Nie roztopia się też Asnyk w tem z najsilniejszych uczuć, którem jest miłość; w jego lirykach panują czyste, wysubtelizowane stany uczucia, odbiciem tego stanu jest też dlań kochana: nie widzimy jej kształtów, ledwie odgadujemy postać z krwi i ciała; nie ginie nam natomiast ani jeden nastrój, ani jedno drgnienie bogatych dusz...

Dzisiaj racjonalizm poezyj Asnyka chłodem przejmuje najmłodsze pokolenie, gdy brak w nim hasel społecznych odstręcza odeń bojowników zasad. W kilka lat po śmierci pamięć jego okrywa się już cieniem zapomnienia. Niesłusznie, po trzykroć niesłusznie. Dusza jego była tak bogata i tyle szlachetnego piękna wylała z siebie, iż w krynicy tej przeglądać się i czerpać niejedno jeszcze może pokolenie.

Mniejsze znaczenie mają utwory jego sceniczne. Zasługą ich, że w czasie wszechwładnego panowania w teatrze Sardou'a, Dumasa i polskich ich naśladowców, były przepełnione technieniem poezyi i czystości. Zresztą podane wyżej cechy znamienne indywidualności Asnyka nie kwalifikowały go na dramaturga. Potrzeba harmonii kazała mu

być prawie „klasycznym“ w *Rienzim* i *Kiejstucie*, unikać kataklizmów tragicznych nawet w *Braciach Lerche*. *Kiejstut* jest przytem zupełnie pozbawiony kardynalnego warunku dramatu historycznego: ducha, atmosfery epoki. Piękne sceny znajdują się w *Przyjaciółtach Hioba*, a rzeczywiście dowcipną w pomysły i przeprowadzeniu jest satyra: *Komedyja konkursowa*.

Wiktor Gomulicki, urodzony 1851 r. w Ostrołęce. Na uniwersytecie warszawskim studyował prawo i administracyę, od r. 1870 jest współpracownikiem wszystkich wybitniejszych czasopism literackich. Poezję zbiorów pierwszy wydał w r. 1882, nowy tom, zawierający wybór z pierwszego — w roku 1887; *Nowe pieśni* (1896), *Pieśń o Gdańsku* (1900), *Wybór wierszy* (1900). Wiersze. *Zbiór nowy* (1901). Nowele i powieści: *Do niej i do niego*, *Obrazki prawdziwe*, *Obrazki weneckie*, *Kolorowe obrazki*, *Przy słońcu i przy gazie*, *Róże i osty*, *Zielony Kajeł*, *Złote ogniwa*, *Warszawianka*, *Biała*, *Wyzwolona*, *Miecz i łokieć* (1903).

Gomulicki należy do rzędu najprzedniejszych parnasowców. Uprawia przedewszystkiem kult formy, do wysokiej miary doprowadził rzeźbiarstwo słowa, jak zarazy unika wszelkiej pospolitości wyrażenia i rymowania. W kryształ swoje nie wlewa atoli napoju gorącego lub fermentującego, ani też — nieznanego sobie dobrze, nowego, bo by może pękły.

W ograniczonej sferze swej fantazyi i uczucia tworzy nieraz rzeczy mistrzowskie. Nie przemawiając bezpośrednio z serca — przemawia środkami intelektu: rozumowaniem, antytezami. Forma to jego typowa. Tłum głodnych, obdartych nędzarzy rzuca na tło Łazienek. Namaluje nasamprzód podwórze żydowskie, poplamiony baldachim, Icka-waciarza, aby tem skuteczniej odbijać obrazem świetności poezyi starego Izraela. Takimi antytezami posługuje się i w starych obrazkach warszawskich i współczesnych (*Sonety*, wiersz *Warszawianka* itp.). Gdzie przedmiot do traktowania epicznego się nie nadaje, racjonalizm poety ucieka się wprost do kontrawersyj i rozpraw jakby jurydycznych (*Żydzi* etc.).

W ostatnich czasach, pod wpływem silnych wstrząśnień indywidualnych, wytrysnęło z duszy poety kilka utworów głęboko odczytych i niezatarte sprawiających wrażenie. Wytworny parnasowiec i tutaj uczucie trzyma na cuglach, pod kunsztowną a majestatyczną formą wre atoli wieczysty ból życia i śmierci. I nim przejęty wyśpiewuje poeta takie arcydzieło, jak:

Kochałem ciebie i czar twój wszystek,  
Szczytów gąszcz, która pod wiatrem gnie się,  
Każde twe ziółko, każdy twój listek,  
Lesie! Lesie!

Dziś, kiedy serce strute żalobą,  
Wicher mi z płaczem szumy twe niesie,  
I jużbym nie mógł stanąć przed tobą,  
Lesie! Lesie!

Z uciechą niegdyś gonilem fale,  
Co wzrok i myśli niesły daleko;  
Tonęły w tobie me łzy i żale,  
Rzeko! Rzeko!

Dziś spragnionego snu i ochłody,  
Moc jakaś na dno ciągnie przed spieką,  
Więc mi strasznemi są twoje wody,  
Rzeko! Rzeko!

. . . . .

Jak wszystkim ludziom o chłodnej duszy a ostrym, dyalektycznym języku przychodzi Gomulickiemu łatwo, na zawołanie dowcip. Strona ta jego talentu uderza w wielu utworach (*Warszawianka, Pieśń o Gdańsku* etc.).

Osobne znaczenie mają jego Obrazki ze Starego Miasta — Starej Warszawy. Pisał je subtelny znawca, rozkochany w swym grodzie rodzinnym, który z kamieni i dusz jakby krzemiennych, umie wykrześć poezję — nie tylko opisową, lecz i ducha pokoleń.

Pisma powieściowe Gomulickiego[?] wrażenia wielkiego nie wwoływały. Zbyt poeta, aby robić dużo ustępstw na rzecz realistycznych wymagań czasu — zbyt nisko kierując lot, ku małym ludziom i małym rzeczom, by porywać ludzi, spragnionych poezji — nikogo nie zadawałnia. Pięknym stylem umie przykuwać tam nawet, gdzie niewiele ma treści (*Zielony kajet, Obrazki weneckie*); najlepszym jest w niektórych drobnych nowelach, gdzie puszcza wodze fantazyi.

## ROZDZIAŁ IV.

### EPIGONOWIE ROMANTYZMU.

Skarłowacenie romantyzmu. — Ostatni i pogrobowcy. — Romantyzm uczuciowy; Leonard Sowiński, Włodzimierz Stebelski. Autor *Strof.* — Romantyzm salonowy: Czesław. — Romantyzm mistyczny bez wiary mistycznej: Deotyma. — Romantyzm archeologiczny: Belcikowski, Grabowski. — Romantyzm bohaterski: Aureli Urbański. Karol Brzozowski. Mięszaniny romantyczne: Wojciech Dzieruszycki. — Ostatni z wielkiej plejady; Matejko. Jego rozbrat z teraźniejszością.

Żywoty i dzieła.

Pożytywiści byli na bezdrożach — jeszcze bardziej skarleli epigonowie romantyzmu i epigonowie epigonów.

Romantyzm przeżył się był już dawniej — od lat pięćdziesiątych nie wydał był dzieła głębszego natchnienia. Gasły genialne jednostki, które były jego obrazem, gasły stosunki, których był wyrazem. Jeszcze w r. 60 mogła większa część narodu uważać się za farysa narodów; romantyzm dawał wtenczas »pacierz, co płacze i piorun, co błyska« i modlono się pieśniami Ujejskiego, bluźniono ustami Berwińskiego... Przyszła chwila, kiedy oczekiwany archanioł, co miał prowadzić na bój zwycięski, zawiódł: najwyższy, najbardziej polski duch romantyzmu: bohaterski mesyanizm... Życie głosem groźnym, niedopuszczającym apelacyi, rzuciło hasło: precz z marzeniami. Zamiast skrzydeł — wymagało tęgich mu-

szkółów do pracy, zamiast egzaltacyi — ścisłej rachunkowości. Warunki te posiadało mieszczaństwo, wysuwające się na pierwszy plan życia społecznego i umysłowego; wyparta w Królestwie z dawnego stanowiska szlachta, musiała iść za niem... Zamiast nieokreślonej tęsknoty poetyckiej, rzeczywistość podsunęła, jako przędzę dla myśli i uczuć, warsztaty: w Galicyi i Poznańskim — polityczne i społeczne, w Królestwie — ekonomiczne. Atmosfera społeczna się zmieniła — między poetami nowszych czasów nie było ani jednego, któryby ją przerósł. Wszyscy prawie oddychali wonią kwiatów romantyzmu, czuć ją w utworach tak Asnyka, jak i Konopnickiej, tak Gomulickiego, jak i Sienkiewicza, ale ducha romantycznego w nich już niema. Ci zaś poeci, którzy ducha romantycznego chcieli odtwarzać, nie mogli czerpać z żywych uczuć narodu — czerpali więc z książek, nie mogli wlewać w swe postacie krwi i wiary, krążącej w ludzie — przetwarzali więc stare formy, stare hasła, lub przeklinali czas swój: anachronizm między żywymi. Z pośród epigonów piszących po r. 1863, w jednym tylko Leonardzie Sowińskim czuć wielkie tchnienie dawnych mistrzów, lecz rozbite i chore, inni — płomienną fantazyę i kipiące uczucie przemieniali w literaturę papierową, cudowny »kwiat niebieski« przypinali do fraka salonowego, lub jęli zasuszać go pod etykietką archeologiczną i krajoznawczą, używać go jako pióropusza dla bohaterów o piersi bynajmniej nie na miarę Fidyasza...

Z plejady wielkich poetów żyli około r. 1880 tylko starcy o białych głowach i słabym głosie: opromieniała ich aureola wielkiej przeszłości, ale światło to nie wskazywało dróg przyszłości. W Paryżu żył do r. 1886 J. B. Zaleski, ociemniały, milczący, resztki sił i dni swoich topiąc w ortodoksji religijnej. We Florencyi żył do r. 1893 Teofil Lenartowicz, próbując rzeźbić w marmurze bez wielkiego rezultatu, jak bez rezultatu pozostały też próby jego rzeźbienia dramatu (*So-*



*krates* etc.); oddalony od kraju zapomniał dźwięków mazo-  
wieckich, a nie nauczył się wydobywać tonów silnych *Ze  
starych zbroic* — poezye jego nie znajdowały nakładcy. Krze-  
pka dusza mieszkała w Kornelu Ujejskim, ale i jego twórczość  
dawno się była wyczerpała; próbował był romantyzm prze-  
nieść do polityki, jako poseł do parlamentu wiedeńskiego, lecz  
zagłuszony przez praktycznych mężów stanu, usunął się  
w zacisze wiejskie, skąd wychylał się, aby błogosławić bu-  
dzącemu się około r. 1890 ruchowi ludowemu w Galicyi, aby  
błogosławić całemu narodowi, który w r. 1894 obchodził jego  
jubileusz z czcią, należącą się — uosobieniu tradycyi olbrzy-  
mów ducha. Smutniejszy widok przedstawiali ostatni roman-  
tycy w Warszawie. Z początkiem lat osmdziesiątych groma-  
dzili się około towarzysza Mickiewicza, A. E. Odyńca († 1884),  
by z dobrą wiarą przyjmować niekrytyczne jego opowiada-  
nia z przeszłości, gromadzili się w salonach Deotymy, na  
zebraniach tygodniowych, przemienionych w jakieś pompa-  
tyczne uroczystości o specjalnych obrzędach i skostniałych  
formach, z których duch dawno był uleciał, a treść stano-  
wiły bezsilne złorzeczenia nowym bogom...

Wielkie słowa robiły małe wrażenie lub nie robiły za-  
dnego, bo padały z piersi, stworzonych na miarę krawca,  
a atmosfera, pełna wrzawy świeżych walk i celów, je za-  
głuszała.

Uczuciowość romantyczna wyjałowila się. Dawniej naj-  
większy z wielkich samego Boga do walki »na serca« wy-  
zywał — inni byli wulkanami, którzy kipieli, ziemię wprawiali  
w trzęsienie, lawą palili ognistą; u epigonów widzimy naj-  
częściej tylko dym gryzący — i to nietyle z wulkanu, ile  
z fajeczki Heinego i Musseta. Ci wywierali czar wielki, może  
większy, niż Słowacki, który zresztą w istocie swej był pra-  
wie nieznanym; nic dziwnego — epigonowie warszawscy pi-  
sali głównie dla buduarów.

Ostatnim w szeregu wielkich bajronistów, który jeszcze

śpiewał w latach ośmdziesiątych, był Leonard Sowiński, ale głosem pękniętym, pełnym zgrzytów. Żyjąc na rozstaju dwóch epok: uczucia i rozumu — całą naturą swoją zrywał się ku duchom prometejskim, potężnym namiętnościami, nad materię grzeszną wznoszącym się sercom. Żle musiało się dziać w świecie prozaicznym poecie, którego pierś pełna była »burz, błyskawic, celów niedościgłych, pragnień Tantała«, który próbował gorączkowe swe marzenia ucieleśniać, a mimo gorzkiego zawodu, mimo runięcia ze szczytu marzeń na najsmutniejsze niziny bytu, nigdy nie uznawał różnicy między pieśnią a życiem, zawsze na jedno i na drugie spoglądał nie za pośrednictwem zwyczajnych zmysłów, lecz przez fantazyę, w której bezustannie kłębiło się, gorzało, wszystko przybierało kształty konwulsyjne, apokaliptyczne, barwy przeraźliwie jaskrawe. Wszystko, co ziemskie, było wobec orgii i widziadeł potężnej tej wyobraźni niskiem i marnem, korzyła się ona tylko przed tem, co wiekuiste, nieogarnione, tajemnicze: przed duchem, przepaściami serca i szybującym nad ich chaosem, jakoby świat ziemski nie został jeszcze stworzony, Bogiem... Tego nastroju poeta nie mógł oczywiście zlewać się ze społeczeństwem, które śpiewało właśnie pieśni organicznej pracy i apoteozą cnót przemysłowych przygniatało wszelki indywidualizm.

Pożerała go niewygasła tęsknota za ucieleśnieniem wizyj romantycznych, a ta wielka tęsknota dyktowała mu wobec wszystkiego, co niskie i podłe, potężne słowa pogardy i wstrętu. W nienawiści ku płazom i nikczemnikom jest wprost wielki. Do bezduszných, zepsutych sług kościoła woła:

Kurzawo brudna bożego domu! oprawcy ducha!

Z olbrzymią siłą smaga poetów, kupczących swymi wierszami według popytu na targu literackim:

Gdzież na was znajdę bicz, o potępieńcy ducha!  
Co lutnie swe na złota nastrajacie brzęki,  
A każdy z was na gieldzie uchem czujnem słucha:  
Po czemu dzisiaj łza? Po czemu śmiech? Po czemu jęki?  
„*Tout beau!*“ masz grosz!“ i bard jak gołąbeczek grucha...  
„Masz dwa!“ opiewa dziewic erotyczny wdzięk,  
„Pójdź tu! masz trzy!“ — za trzy rozpaczą on wybucha,  
Lub głosi wrzask trąb, ryk dział i mieczów szczęk.  
O! wy, pozrywani z opinii łańcucha!  
Krajinę piękna przez was zdjął złowieszczy lęk...  
Podajcie mi tu na nich różg liktorskich pęk!  
Was, podłych, wstyd kłąć! na łeb wasz trza obucha,  
A gdyby tylko spadł, słyszelibyśmy dźwięk,  
Jak dźwięczy miedź — i prysłby, jako glina krucha.

Ale wojnę tę poeta rozciągał na cały czas swój, na  
cały wiek dziewiętnasty:

Karlownicęją myśli, gasną serc wulkany;  
Dzieje już nie brzmią hymnem wiary archanielskim:  
Wiek rozumu, jak tabor ciurów rozpasany,  
Opycha brzuch w podbitej materyi cielskiem...

Poeta romantyczny miejsca dla siebie nie znalazł; walił się tęczowy gmach jego marzeń — zdawało mu się, że cały świat się wali. Szukał zapomnienia w ogłuszaniu się, w malowaniu świata namiętności potężnych, wizyi krwawych, (*Na Ukrainie, Prolog tragedyi*), gdzie naturę ludzką widzi przez pryzmat własnych swoich zmysłów; miast mowy ludzkiej mamy wulkaniczne wybuchy, miast ludzi — aniołów i czartów; przyjemność się przemienia w orgię rozkoszy, ból — w gehennę szafu, a w dali wśród krwawych chmur, ledwie tli gwiazda ludu, piękna... Takim malowidłem, właściwie wojną, wydaną społeczeństwu, jest powieść: *Na rozstajnych drogach* (1886); brud, zbrodnia, zwyrodnienie, błazeństwo — wszystko to piętrzy się i składa na straszliwy obraz szlachty wołyńskiej, wcieleniem szatana jest nihilista, a idea?

jęk rozdzierający na brak »busoli«. I tak ze skargą na spódlony świat i słabość własną, schodzi ostatni, wielki romantyk.

Tragiczną postacią w znacznie mniejszym stylu, już nie na tle losów narodu i wspinania się do absolutu, lecz indywidualnych marnych przeżyć życiowych; talentem mającym na sobie już dużo barwnych plamek rozkładu późniejszych dekadentów, jest Włodzimierz Stebelski, który z początku lat osmdziesiątych śpiewał we Lwowie. Jego młodość nie była »górną i chmurną«, jak Sowińskiego; nie na pracy społecznej upływała, lecz w kawiarniach i redakcyach, nie przyświecały jej słońca, lecz drobne gwiazdki, widziane przez pryzmat fejletonowy. Nie patrzy on też na świat z tych wyżyn, co Sowiński, choć sprawa poezyi często jest dlań jeszcze świętą a uczucie szczere i niepospolity talent formalny zawsze uderzają w surmę patosu. Charakter czasu i światek ówczesny poety mącą jeszcze bardziej duszę gorącą, wrażliwą, miękka: gmatwa się ona, upada, podnosi, w rozpacznej konwulsyi woła zbawienia, kończy gamą szyderczego śmiechu.

A więc przestałem latać na Montblanki  
I na wyżynach padać z rozemdlenia.  
Rozcieńczonemu dotąd na dnie szklanki,  
Letycka woda płynie zapomnienia!  
A w tej gorączce zawsze twarz kochanki  
Patrzała z wspomnień zielonego cienia.  
A... dosnuj powieść, co te znajdziesz karty,  
Bo ten „dokument“ pieśni już nie warty.

Takim dokumentem życia poety jest *Roman Zero*. Historia prawdziwa, o ile prawdziwie oddaje zwyrodnienie jednego kierunku romantyzmu i łączność jego z późniejszym prądem dekadentkim. Młody rzeźbiarz, zawdzięczający wychowanie i wykształcenie idealnemu hrabiemu, odpłaca mu się miłością ku jego żonie. Następuje szereg intryg, kolizyi; artysta, odrzucony ze wzgardą, nie może się zdobyć na samobójstwo: choroba woli... Strzaskana ona w bezsilnych za-

pasach z sobą i z życiem, a poeta na gruzy te rzuca ognie bengalskie tęczowego stylu, błyskawice duszy spragnionej wielkości, staczającej się jednak bezustannie w odmęty podłej rzeczywistości...

Wobec tych przedstawicieli romantycznej uczuciowości maleją inni spóźnieni epigonowie i bledną. Są oni więcej zrównoważeni, konsekwentniejsi w obranym raz kierunku, nie są niewolnikami swego talentu, lecz panami — mniej też są zajmujący. Zamiast wulkanów dają fajerwerki, zamiast lotów podniebnych i upadków straszliwych dają obraz ślizgania się po salonach, problemy ogólno-światowe i narodowe przemieniają przeważnie w szermierkę »serc« buduarowych.

Powagą moralną przejęty jest autor *Strof*, pisanych najczęściej w latach osmdziesiątych. W poematach młodocianych *Tyton* i *Aryon z Koryntu* złożył był hołd muzie romantycznej: nie brak w pierwszym poemacie ni warownego zamku na urwistej skale, wznoszącego ku niebu błagalne ramiona, nie brak i więźnia tajemniczego, ni mnicha, gotującego go na śmierć, ni zwykłego zakończenia romantycznego. *Strofy* są krótkimi refleksyami i racami uczucia również na ton romantyczny nastrojonego. Wielbi Napoleona i nazywa go Prometeuszem, nie może się godzić z pozytywizmem wieku:

Rymy i pieśni dziś leżą w grobie,  
Wiek nasz rozumu wyrazem,  
Ja sam się nieraz wydaję sobie  
Jakimś rozbitka okazem...

Albo:

Ustąpmy z placu! Rydwan zwycięski  
Co niedobitków zmiażdży w pochodzie,  
Nietylko pieśniom zwiastuje klęski...

Romantyzm stracił wiarę w siebie.

O wiele mniej patetycznie traktował poezję i życie *Czesław*. Dandys-to, kokietujący świat salonowy garniturem, pozą, skrzywieniem ust ironicznem, a w istocie pragnący przede wszystkim się bawić. Ulubione jego formy to *capriccio* i *arabeski*; w drobnych łupinach pomieszcza owoc czasem gorzki, czasem bardzo pożywny, najczęściej lekki i pikantny. Często staje nim najchętniej piękne, młode damy, w eleganckich buduarach, spoczywające na miękkich kozetkach i znudzone. Tym opowiada tonem świetnej nieraz *causerie* o cierpieniach serc przeszytych strzałą amora, a kwiatach, gwiazdkach i piosenkach co pieszczą, całują. Do rozmowy tej wmięsza często sarkazm à la Heine, melancholię à la Alfred Musset, czasem nawet wspomni ciężką dolę rzemieślnika, bankructwo jakiegoś ideału i... przewrotność krytyków; łza doń się zabłąka i zgrzyt z ust się wydobędzie... Nie na długo. Z wdziękiem przerzuci się prędko do innego tematu, zanuci piosenkę wesołą, hulaszczą à la Rudolf Baumbach, dowcip mu się nawinie, gdy na poważne pytanie brak odpowiedzi, błędny rycerz z mandoliną w rękę idzie już pod okna innej donny... Uczucie, wymienione tu na drobną i to niezawsze dobrą monetę, próbuje wznosić się nieraz na wyżyny zagadek bytu, ale ma skrzydła motyle; jeśli toczy walkę ze społeczeństwem — to na dowcipy, jeśli mówi prawdę — to za wachlarzem. Musset i Heine, jako *homunculi*...

Wyjałowiła się uczuciowość, wyjałowiła się wiara romantyczna. Kiedy Mickiewicz pisał: »czucie i wiara silniej mówią do mnie, niż mędrca szkiełko i oko«, wyraził pogląd na świat całego pokolenia, które było przesycone oschłością jednostronnego racjonalizmu »wieku oświecenia«. Świat fantastyczny nie był dla tego pokolenia tem, czem nadprzyrodzony dla klasyków: kopalnią motywów estetycznych, szematem alegoryj, porównań. Romantycy w świat swój nadnaturalny wierzyli. Gustaw Mickiewiczowski zapewniał księdza:

Gdyby z Twych oczu ziemskie odpadło nakrycie,  
Obaczyłbyś niejedno w koło siebie życie,  
Umarłą bryłę świata pędzące do ruchu...

a Goszczyński śpiewał:

Ależ bo wówczas, ziemio staroświecka!  
Dzisiejsze dziwy dziwami nie były:  
Grały widomie niewidome siły  
I pilnowały człowieka, jak dziecka.

Naturę tę nie ich fantazja zapełniała upiorami, dyablami, rusalkami; oni je widzieli — »oczami duszy«. Z taką samą siłą i bezpośredniością przemawia do nich przeszłość: nie z dokumentów brał Słowacki Króla Ducha a nawet Maryę Stuart, nie erudycja dyktowała Mickiewiczowi Wallenroda i Konfederatów, a Krasieńskiemu Irydyona — lecz żywe tchnienie fantazyi własnej, intuicya genialna wcielająca się w morze wieków i pokoleń, aby wydobyć perły wieczystej wartości.

Minęło lat kilkadziesiąt. Fale niwelującej, krytycznej cywilizacji nowoczesnej splukały z umysłów świeżość pierwotnej naiwnej wiary, a fantazyę przytłoczyły balastem erudycji; przyniosły mnóstwo wiedzy, oziębiły serce. Mamy z tego okresu mnóstwo pisarzy romantycznych, nie romantyków. Zachowali wstręt do rzeczywistości lub nieumiejętność spojrzenia jej w oczy, światy swej twórczości chcą wyprowadzać z fantazyi, z nieba i piekła nadnaturalnego, z dziwów i z baśni ludowych i ech przeszłości, otaczają się też wszystkimi akcesoryami romantyki — bez jej ducha. Ich świat baład i podań ludowych — to etnografia, świat przeszłości — erudycja historyczna; to, co dla wielkich poprzedników drgało życiem — u nich przemieniło się w myt, dający się przy zimnej rachubie użyć, jako efektowna alegoria. Inteligencya zastąpiła poezję, książka — wyobraźnię twórczą. Fantazyujący współcześni staro-romantycy przypominają brakiem wiary,

konwencyonalizmem porównań i idei, zimną podług ustalonych wzorów toczoną formą — dawny klasycyzm.

Przykładem takim romantyzmu, kostniejącego w szematy pseudo-klasycyzmu — twórczość *Deotymy*. Nie brak jej żadnej z poz wielkiej poezji i wielkiej wiary — krom duszy. Jest tu więc świat nadzmysłowy, bohaterów ziemskich równych bogom i bezmiar krain snów i strachów, a nawet państwo spirytyzmu nowoczesnego (*Zwierciadlana zagadka*) — wszystko to jednak zimne, owoc pewnej kultury umysłowej, złożonej zarówno z studyów poważniejszych, jak z konwencyonalizmów towarzyskich, ze zdolności do malarstwa dekoratywnego, jak i z braku prawdziwie twórczej fantazyi. Jestto poezya, która się stała literaturą. *Wandę* Deotymy nazwał wielbiący ją *Tarnowski* »librettem«; wystarczy porównać ten utwór z poematem *St. Wyspiańskiego*, aby odczuć różnicę między wystudyowaną książkowo i dla celów dydaktycznych wykutą parafrazą podania, bez indywidualności i fantazyi własnej, a dziełem natchnienia poetyckiego. Romantyzm bez romantyki Deotymy jest tem fałszywszy, że przepełniony czysto salonowymi poglądami na takie fenomena duszy, jak cnota, miłość — i to na miłość we wszystkich wiekach i u wszystkich ludów. W przepełnionej erudycją, ale zgoła martwej powieści *Branki w jasyrze*, konwencyonalna moralność odnosi tryumf nawet na siodle i pod namiotem Tatarów. Natura ludzka nie wyolbrzymiona, jak u romantyków, lecz mała, nie jednostronna, lecz bezwiednie fałszowana, widziana przez pryzmat salonowego wykształcenia i ujęta w misterną nieraz acz zimną i najczęściej rozwlekłą formę, konwenansowa kultura, obok braku intuicji i żaru serca — oto treść jej twórczości.

Jeżeli Deotyma ze swoją organizacją nie miała warunków spełnienia zadania, jakie sobie postawiła: aby być strażniczką znicza romantyki — nie mieli tych warunków także inni pogrobowcy, pozbawieni w dodatku zalet jej wersyfika-



cyi, obciążeni jeszcze więcej balastem bibuły, spelzłej i szarej, zadrukowanej mnóstwem podań, kronik, wzorów wielkich, ale stanowiącej zły przewodnik elektryczności... serca. Kłątwa ta tem bardziej mści się, że pogrobowcy Słowackiego rzucają się przeważnie na pole, którego bibuła nigdy nie użyżnia: na scenę.

Mnóstwo dramatów pisał, kilka też wystawił Adam Bełcikowski, ani razu nie wstrząsnąwszy silniej nerwem społeczeństwa. Nic dziwnego. Książkowy, często kronikarski w ujmowaniu historii, szary, oschły, pozbawiony indywidualności pod względem języka, złożony z kompromisów między mieszczańskim zdrowym rozsądkiem a tradycją romantyczną, lawirujący między Szekspirem, Słowackim, a zwyczajnym sprawozdawcą faktów dokonanych, fantazyja bez barw, temperament bez ognia — autor ten właściwie tylko negacją rzeczywistości i wdzieraniem się w tajemniczy gąszcz Polski przedhistorycznej należy do romantyki. Dopiero w ostatnich latach wzbogacił jedną sztuką (*Przekupka warszawska*) repertuar popularny; ani jedną — poezyi.

Jeszcze bardziej cięży kłątwa bibuły na nader obfitej a zupełnie jałowej twórczości Bron. Grabowskiego. Zasłużony sławista, uzbrojony w znaczną erudycję, przez dwadzieścia lat rwał się na scenę utworami zupełnie pozbawionymi nerwu dramatycznego, prześląkniętymi romantyzmem o tyle, że popularne, znane z mytów i legend postacie znaczną odgrywają w nich rolę.

Żywsze barwy romantyczne, bo zmieszane z polityką, okazywał częściej Lwów, ze swoją atmosferą obchodów i demonstracyj, ze swym pietyzmem dla niedobitków starej gwar dy i ze swą polityką uczuciową, ze swem pełnem temperamentu drobno-mieszczaństwem. Z tej atmosfery wypłynęła moc wielka dramatów i opowiadań, operujących szerokim gestem, wielkim frazesem, deklamatorskiem hasłem, apelującym do popularnej tendencji. Romantyzm stosowany. Powodze-

niem cieszyły się utwory Aurelego Urbańskiego i Karola Brzozowskiego.

W utworach Urbańskiego maluje się wiernie ów charakter narodowo-wieczorkowy, hypnotyzujący wielkim frazesem, rozpalonym do czerwoności i zakończony typowym transparentem. Dźwięczą tu zawsze dwie tylko nuty: bohaterstwa i męczeństwa z jednej strony i okropnego ich gnębienia z drugiej — nuty jaskrawe, krzykliwe; krzyk ten płynie niewątpliwie z serca, ale powtarzając się często, regularnie, staje się sztucznym i subtelniejsze ucho musi razić. Do tej tendencji wszystko jest dostosowane; przyświeca jej nie sztuka lecz jedna wielka miłość i jedna wielka nienawiść — proste, nieskomplikowane uczucia, tworzące też proste, nieskomplikowane postacie, raczej ilustracje wiadomej z góry tendencji. Natura ludzka sprowadzona tu do kilku zalewie zarysów, do dwóch pierwiastków: nadludzkiego i nieludzkiego — ostatni, oczywiście, zwycięża materyalnie, pierwszy moralnie. Bieg ten myśli panuje we wszystkich sztukach Urbańskiego, czy rzecz dzieje się w Warszawie, czy w walce historycznej kozactwa z szlachtą, czy też we wczorajszej Bułgarii. Bohaterstwo romantyczne staje się tu szematem; dobija je klątwa teatralności.

Nuta bohatera dźwięczy też w poezji Karola Brzozowskiego. Żołnierz i farys, który długo błąkał się po krainach wschodnich, ma w sobie coś bojowego, a zarazem powagę, czar i koloryt wschodu. Mówi gorąco — zmysłowym językiem *Pieśni nad pieśniami* i ponurych żalów Hioba, przesuwając obrazy palącego słońca, egzotycznej, przebujującej flory i płomiennych temperamentów Kaukazu, a duszą ulatuje w świat III. części Dziadów. Dramaty, które wystawiał między rokiem 1880—1890 mają charakter więcej epiczny; treścią ich tytaniczne walki, środkami demony; nie troszczą się o prawdę, tylko o możliwie wysokie napięcie ducha, a dla obudzenia pewnych uczuć nie troszczą się także o impera-

tywy artyzmu. Rusin Ostapowicz (*z Oblężenia Lwowa*), którego miłość popycha do zbrodni i który śmiertelnie ranny zostaje przyniesiony do kościoła, gdzie w agonii rzuca długą tyradą apostołską miłości między Polakami a Rusinami — jest jakby wystawowym obiektem wszystkich niemożliwości i tendencji tego romantyzmu. To, co w duszy poety stanowi prawdę i całość, nie jest nią już w oczach nowszej publiczności, żądającej w tra-



Karol Brzozowski.

ktowaniu ludzi i rzeczy realizmu albo potężnej hypnozy geniusza, coby kazała zapominać o nieprawdopodobieństwach. Brzozowski, który zaczął przemawiać ze sceny w sześćdziesiątym roku życia, długo na niej się nie utrzymał.

Wogóle na wysokie dzieło sztuki romantyzm polityczny i bohaterski, pokutujący frazesami, długo we Lwowie się nie zdobył. Wychodziły tu rozliczne poematy epiczne (Bron. Komorowskiego), dzieła sceniczne (Juliana z Poradowa), dramata i powieści (Wacława Koszczyca — Sahi-Beya, Juliusza Turczyńskiego), operujące całym zasobem wielkich słów i wielkich gestów muzy romantycznej, ale bez jej wielkiej duszy; publiczność oszałamiała się na chwilę dźwięcznym frazesem i wracała do realizmu codziennego życia. Wytworzył się też specjalnie we Lwowie kult oficjalny frazesu, bezustanny zachwyty arcydziełami romantyzmu, bez żywej wiary i treści; gdy w ostatnich czasach Kraków zaczął z entuzjazmem witać na scenie najwyższe twory Mickiewicza i Słowackiego — Lwów pozostał na nie obojętnym.

Pseudo-romantyzm naśladowców epigonów, zwyrodniały w gmatwaninę nieśmiertelnych hasel i chwilowej polityki, martwej erudycji i dźwięcznej frazeologii, strzępy strzępów szat dawnej wielkości, do których nic z ducha jej nie przyległo, został doprowadzony do absurdu w utworach Wojciecha Dzierduszyckiego. Pisane niedołężnym wierszem, imitującym gdzieniegdzie poezję, reprezentują wszystkie pierwiastki romantyki: rozgrywają się tedy na niebie i na ziemi (*Anioł*) udział w ich akcji biorą ludzie i anioły, słyszymy w nich szcęk oręży, widzimy ducha kochanka, ukazującego się kochance, nad śmiertelnymi niebianami unosi się Chrystus, wygłaszając śmiertelnie obrażające komunały.

Prymitywne rymy mają tu zastąpić tęczyowy wiersz dawny, majaczenia — bohaterstwo i mistycyzm, właściwą treść specjalnie polskiego romantyzmu. Podobnie zlepek polskich, słowiańskich, indogermańskich podań, strasznymi rymami złączonych (*Baśń nad baśniami*) ma zastąpić świat fantastyczny *Balladyny* i filozofię *Króla-Ducha*; podobnie opowiadanie o wizyi, jakie za sceną miał chan tatarski, a której nawet nie widzimy, ma pseudo-tragedyi (*Książę Henryk*) nadać charakter »mystycyzmu«...

Jakże obniża się polot i piękno romantyzmu w pochodzie swoim bodaj od Sowińskiego! Społeczeństwo nie sprzyjało orłom, a ci, którzy do orlich gniazd się dobywali — rzadko w skrzydłach orle miewali pióra. Ociężałe, leniwie włókł się w ślad za Szujskim pochód dramaturgów bez nerwu scenicznego, poetów bez fantazyi twórczej, którzy z ksiąg przeszłości wydobywali — nudy, z dymiącej jeszcze krwi narodu blade tylko, papierowe widma. Tak oni, jak i powieściopisarze, począwszy od Wacława Koszczyca a kończąc na Zmogasie, nie mówili o wielkich rzeczach »poprostu a z krzykiem«, lecz przeobrażali je w dzieje awanturnicze podług gotowych już szematów z aniołami z jednej — dyabłami z drugiej strony, pełne tyrad i naiwności, pełne posą-

gów męczeństwa, w których czuć próżnię. Wobec takiej bezsilnej literatury wołał Asnyk:

Nie potrącajcie niudolną ręką  
Tej struny, która niegdyś w mistrzów dłoni  
Brzmiała . . . . .

Niechaj spoczywa lepiej nieruchomie  
Ten bohaterski dźwięk ojczystej lutni,  
Niźliby miał maleć z ludźmi...

Z wielkich romantyków tworzył w latach ośmdziesiątych jeden tylko Matejko. Był on jedynym dziedzicem wielkich wieszczów, olbrzymem-artystą, ale także Królem-Duchem, chcącym naród prowadzić. Zato-



Jan Matejko.

się wpoić wstręt do nowych kierunków w malarstwie i wolnych wzlotów myślowych. Chodził też wśród współczesnych wyniosły, potężny, ale daleki. Góruje nad nimi, ale nie jak dąb, który ciągle rozkwita nowem życiem i życie nowe szczepi, lecz jak pomnik wspaniały, olbrzymi, lecz nie dający początku nowym żywotom. Matejko nie stworzył

piony jednak w świecie wizyj, płynących z przeszłości — zapoznawał zupełnie teraźniejszość. Nie rozumiał współczesnych; jako malarz do twórczości swojej z życia nigdy nie czerpał,

a w uczniów swoich starał

kierunku w sztuce, nie zapłodnił ducha czasów nadchodzących.

Duch narodu, który nie zamieszkał był w pozytywizmie, z pseudo-romantyki literackiej epigonów zupełnie prawie był wywietrzała... Klucza przyszłości ani jeden kierunek, ani drugi w rękę nie miał...

Leonard Sowiński urodz. w r. 1831, kształcił się na uniwersytecie kijowskim. Pierwsze jego poezye datują się z r. 1857 i są wyrazem wrażeń z podróży, odbytej po Niemczech, Francyi, Włoszech. W r. 1859 zaczął w *Piśmie zbiorowem wileńskim* drukować *Satyry* wyszłą osobno w r. 1870. W tymże roku 1859 wydał *Widziedła* o smutnym losie poety, któremu „odra smutku od kolebki w serce się wpila“; później wstrząsnął sercami młodzieży poematem dramatycznym *Z życia*, wydał *Fragment powieści* i zajmował się publicystyką i pracą społeczną (*Studia nad literaturą ukraińską*, 1860; przekład *Hajdamaków* Szewczenki, 1861; praca przy *Kurjerze Wileńskim*, 1860—62). Po podróży do Kurska, potem do Szczygier, wrócił w r. 1868 do Warszawy i tu żył do 23 grudnia r. 1887. Pracował jako dziennikarz, wydał kompilatorską *Historję literatury polskiej* (z notatek Zdanowicza), a twórczość jego poetycka odbiła się w wydanych osobno tomach: *Poezye* S. (Poznań, 1875, 2 t.), dramat *Na Ukrainie* (1873), *O Zmroku* (1885), *Wspomnienia* (1885), *Na rozstajnych drogach* (powieść, 1886). Prawdziwy ten poeta o niezwykłej sile uczucia i wyrażenia, o niezwykle też podniosłym nastroju i szczerych przekonaniach demokratycznych, zasługuje, aby pisma jego odświeżono i zaczęto studyować.

Włodzimierz Stebelski urodz. 1848 r. Z rodu rusin, pisywał naprzód po rusku (*Molytwa* 1873, *Monach*), potem — po studyach we Wiedniu i krótkiej praktyce nauczycielskiej przy jednym z gimnazyów we Lwowie — oddał się dziennikarstwu. Talent niepopolity marnował na artykuły, fejeletony i wiersze humorystyczne, siły stargał w niezdrowej atmosferze. Trawiony przez nieszczęsny nałóg przenosił się w r. 1886 do Warszawy, ale do twórczości poetyckiej nie był już zdolny. Cierpiąc na delirium, niezdolny do walki, zakończył samobójstwem 22 grudnia 1891. Wiersze jego rozrzucone po czasopismach; osobno: *Humoreski* (1878), *Roman Zero*, nowela lwowska

(wierszem, 1883). Na nagrobku tego pierwszego dekadenta Galicyi, pod cierniową koroną wyrzyte wyznanie: „Wierzyłem w Boga, nie wierzyłem w tłumy, jeśli umieram — to umieram z dumy“.

Autor „Strof“ (Aleksander Kraushar) urodził się 1843 r. w Warszawie, gdzie też stale przemieszkuje, jako adwokat. Pierwszy *Zbiorek poezyj*, przeważnie tłumaczeń, wydał w r. 1863, potem wyszły poemata *Tytan i Aryon* (Lipsk, 1867, II. wyd. 1895), *Strofy* 1886, 2 wyd.), *Strofy jesienne* (1903). Zarzuciwszy poezję oddał się ze szczególnem zamiłowaniem badaniom historycznym i jest dzisiaj jednym z zasłużeńszych i najpłodniejszych monografistów. Dzieła: Barbara Brezianka; Bourboni na wygnaniu w Mitawie i Warszawie; Czary nał dworzej Batorego; Drobiazgi historyczne; Dzieje Krzysztofa Arciszewskiego; Historia żydów w Polsce; Olbracht Łaski, wojewoda sieradzki; Odwieczny spór o granice Olkusza; Palestra staropolska; Samozwaniec Jan Faustyn Łuba; Siedmioletnie Szkoły Głównej; Sprawa Zygmunta Unruga; Syn pułkownika Berka; Uwagi nad historią prawa; Wędrówki Tomasza Wolskiego; Zatarg Łukasza Konopki z miastem Toruniem; Nowe epizody z życia Paska; Tragiczno-komedia kurlandzka; Widzenie IMci Kacpra Bojanowskiego; Lament Hrehorego Oscika; Z pamiętnika chorążycy Owruckiego; Pamiętnik Wróblewskiego; Sejmiki polskie w Kazaniu; Konfederaci barscy; Stefan Batory w sprawie Niderlandów; Edykt Stefana Batorego; Łazarz Carnot jako wygnaniec w Warszawie; Relacya rezydenta polskiego, Frank i Frankiści polscy; Kartki historyczne i literackie; Z dziejów Warszawy; Z Pamiętnika Romana; Ze wspomnień osobistych o Adolffie Pawińskim; Klejnoty skarbcza koronnego; Ofiara terroryzmu; Bonneau; Książę Repnin i Polska; Dawne pałace warszawskie; Zabytki Warszawskie; Albert Sarmata; Katastrofa Kargowska; Międzyński i Dumouriez; Barss; Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk.

Czesław Jankowski, urodz. 9 grudnia 1857 w Polanach, pow. oszmiański, gub. wileńskiej. Kształcił się na uniwersytecie warszawskim i krakowskim, od r. 1879 jest dziennikarzem, dawniej w Warszawie, obecnie sekretarzem redakcyi petersburskiego „Kraju“. Wydał *Poezycy* t. I. w r. 1879. II. — 1881, III. — 1884, cykl wierszy, *Capricioso* (1884), *Rymów nieco* (1892); prozą: *Arabeski* (1891), *Z notatek turysty* (1892), *Po Europie*, *Kartki z podróży* (1893), *Powiat oszmiański* (4 t., 1896—1900), *Korespondencya Radziwiłła »Panie Kochanku«* (1898).

Deotyma (pseudon. Jadwigi Łuszczewskiej) urodz. w r. 1835 w Warszawie. W rodzinie jej panowała oddawna tradycja i atmosfera literacka; nader starannie wychowana panienka od wczesnej młodości żyła też w świecie wiedzy i sztuki, a od osmnastego roku życia zaczęła zwracać na siebie uwagę improwizacyami. W r. 1864 towarzyszyła ojcu na wygnanie za udział w ruchu narodowym. Drukiem ogłosiła: *Improwizacje i poezye* (1854—1858), *Tomira* (1855), *Lech* (1859), *Wojna olbrzymów*; *Wyszymir i dwunastu wojewodów* (1900); *Rapsody o chrobrym królu* (1881), *Wanda* (1887). *Jan III. Sobieski* (1898), *Gloria Tibi Alma Mater* (1900), *Wybór poezyj* (2 t. 1896), Powieści: *Na rozdrożu* (1876), *Krzyż nad otchłanią* (1878), *Zwierciadlana zagadka* (1879), *Branki w jasyrze* (1890), *Panienka z okienka* (1899).

Adam Belcikowski, urodz. w Krakowie 24 czerwca 1839 roku. Ukończywszy wydział filozoficzny w Krakowie, wykładał jako docent w roku 1866 w warszawskiej Szkole głównej literaturę polską, od roku 1876 jest urzędnikiem Biblioteki Jagiellońskiej. Zastąpił się badaniami źródłowemi nad dziejami piśmiennictwa naszego (*Ze studyów nad literaturą polską*, 1886); pisał powieści: *Dług honorowy* (1872), *Patryarcha* (1872); poezye zaczął drukować w krakowskiej *Niewieście* (1862), wydał *Dwa poemata* (1863). Zbiorowe wydanie dramatów i komedyj w 5 tomach wyszło 1898 roku w Krakowie. W r. 1902 obchodzono w Krakowie jubileusz jego czterdziestoletniej pracy literackiej przedstawieniem komedyi, dającej jeszcze raz apoteozę *Pana Paska*.

Bronisław Grabowski urodz. 19 września 1841 w Kaliszu. Zawód literacki rozpoczął w r. 1864; od r. 1866 był nauczycielem gimnazjalnym w Królestwie. Wydał dramaty: *Mściwoj i Iwanhilda*, *Syn Margrafa*, *Królewicz Marko*, *Donna Rozanda*, *Boruta*, *Jadwiga Tarłówna*, *Prorokini*; komedye: *Na wodach*, *Sprzymierzeńcy*, *Drugi raz*, *Krzysztofor*; sztuki ludowe: *Jamróż*, *Zielona komora*, *Nastusia*; kilka nowel i powieści. Większą wartość niż jego utwory poetyckie i niż oryginalna *Teorya literatury* (1901) mają liczne rozprawy z dziedziny etnografii i literatury słowiańskiej; ostatni dział opracował w *Dziejach literatury powszechnej* Lewentala. Umarł 24 grudnia 1900.

Aureli Urbanowski, urodz. 27 marca 1844, um. 13 czerwca 1891. Po młodości romantycznej był nauczycielem, odgrywał następnie wybitną rolę w życiu teatralnem. Zmarł, jako wyższy urzędnik



Wydziału krajowego. Około 1870 r. pisał i tłómaczył mnóstwo komedyj, fars, dramatów, tekstów do oper i operetek, od r. 1880 zaczął ogłaszać sztuki swe tendencyjne, które cieszyły się znacznym rozgłosem. Do tej kategorii należą: *Pod kolumną* (1880), *Dramat jednej nocy*, *Na poddaszu* (1881), *Szumi Marica (Ksenia)* (1886), *Watażka* (1888). W poezyi był długo naśladowcą Heinego, którego wybornie tłómaczył (*Romancero i Atta Troll*, 1901), w tym duchu i w manierze epigonów wydał też tom *Szare ptaszę* (1871), jako wyd. III. pomnożone p. t. *Utwory poetyczne* (u Brockhousa, 1881). Obrazki i humoreski z życia teatralnego wyszły w 7 tomach w „Bibliotece Uniwersalnej“.

W r. 1893 równocześnie w fejetonach jednego z dzienników lwowskich i jednego z krakowskich, pojawił się w dwóch cyklach szereg poezyj Urbańskiego, o charakterze epickim, osnutych na tle niedawnych wypadków; wrażenie wywarły silne; w r. 1895 doczekały się czwartej edycyi — lubo pozbawione są wyobraźni twórczej i siły żaru.

Karol Brzozowski, urodz. 21 września 1821 w Warszawie. Po ukończeniu studyów w Warszawie, wyjechał w Poznańskie i brał udział w ruchu 1848 roku. Uchodząc przed prześladowaniami bawił naprzód w Dreźnie, gdzie za zachętą Mickiewicza tłómaczył *Osmanidę* Gundulicza: rękopis w zawierusze zginął. W Paryżu obcował z Mickiewiczem, z wybuchem wojny wschodniej został wysłany do Stambułu. Na wschodzie bawił długie lata, robiąc zdjęcia kartograficzne, polując miesiącami w dzikich lasach Anatolii, budując koleje tureckie, uprawiając tytoń i oddając usługi dyplomatyczne Hiszpanii. W r. 1883 osiadł stale we Lwowie. Poezye jego ukazywały się w druku od r. 1855; osobno wyszły: *Ognisty Lew*, powieść czermiejska (1857), *Sen w Bałkanach* (1877), *Noc strzelców w Anatolii* (1877), *Deli Petko* (1875). Z dramatów *Malek* (1884) obiegł wszystkie sceny Galicyi i Poznańskiego, *Oblężenie Lwowa* i *Eryk XIV* mniejsze wywołały już wrażenie. Wydał też *Wspomnienia z r. 1848* (1892), *Wzdłuż Eufratu* (Wędrawiec, 1895).

Wojciech hr. Dzieduszycki, urodzony w Jezupolu w r. 1845; kształcił się w wiedeńskim Theresianum i na uniwersytecie wiedeńskim. Jako człowiek i jako pisarz wielce wszechstronny z ujmą dla pogłębienia, jasności i siły swej twórczości. Dziennikarz, profesor uniwersytetu lwowskiego i jeden z przewódców polityki konserwatywnej Galicyi. Prace literackie umieszczał naprzód w ultra-liberalnym

*Kraju* Gumplowicza w Krakowie, obecnie stoi na czele dyametralnie przeciwnego skrzydła. Prace naukowe: *a/* z dziedziny estetyki: *Ateny* (1877), *Studia estetyczne* (1878---9), *Listy o Włoszech* (1896), *Historia malarstwa we Włoszech* (1892); *b/* z dziedziny filozofii i wychowania: *Wykłady o pierwszej filozofii* (1880), *Roztrząsania filozoficzne o podstawach pewności ludzkiej* (1893), *Listy czytelnika* (1893), *O wiedzy ludzkiej* (1895), *Listy o wychowaniu* (1892); *c/* z dziedziny archeologicznej: *Ikonostas horodczański* (1887), *Wiadomości starożytnych o geografii ziem polskich* (1887). Powieści i dramaty osnuwa na tle historycznem, filozoficznem i społecznem: *Fantazje* (1871), *Władysław* (1872), *Powieści Wschodu i Zachodu* (1873), *Aurelian* (1879) *Matżeństwo mieszane* (1892), *W Paryżu* (1893), *Święty płak* (1895); poezye: *Baśń nad baśniami* (1883), *Anioł* (1892); dramaty: *Bolesław II* (1894), *Książę Henryk* (1897). Prócz tego mnóstwo odczytów, rozpraw, tłumaczeń, broszur. Wszystkie te utwory dla literatury minimalne mają znaczenie.

## ROZDZIAŁ V.

### REAKCYA UCZUCIA. NOWE IDEE SPOŁECZNE.

MARYA KONOPNICKA.

Wprowadzenie świeżego czynnika do poezyi. Lud u romantyków a obecnie. *Z przeszłości*. Zejście na ziemię. Charakterystyczne *Czemu*. Kontrasty społeczne. Rozpacz i oskarżenie.

Pogłębienie się poezyi. Od tendencyi i zewnętrznych losów do wcielenia się w lud. Liryki i nowele. Zharmonizowanie idei społecznej z czystą sztuką. Rozkwit wszystkich sił duchowych Konopnickiej i skąpanie ich w źródłu ludowym. Wysznięcie stąd epopei ludowej — stanowiącej uzupełnienie szlacheckiej. Znaczenie kulturowe *»Pana Balcera w Brazylii«*.

Żywot i dzieła.

To, co około r. 1880 powstało w głębi duszy społecznej, olbrzymie, bezimienne, ciemne; to, co jedni wyklinali, drudzy ośmieszali, czego nie rozumieli pozytywiści, przed czym się cofał w niepewności Asnyk — wypowiedziała głośno, z niebywałą siłą i śmiałością Marya Konopnicka. I niech to będzie jedną z chwał kobiety polskiej, że kobieta pierwsza odczuła sercem, czego mężczyźni sobie nie uświadomili mózgiem, że na przełomie wieku pierwsza wprowadziła nowy żywioł do literatury: nowoczesne uczucia społeczne...

Poezye Konopnickiej pojawiały się w czasopiśmie od roku 1876 i wywoływały żywe wrażenie. Dźwięczała w nich

nuta romantyczna, dobrze znana, miła sercu i uchu, a obok niej była jakaś nuta nowa, zgrzytliwa, drażniąca utarte wyobrażenia; była w nich melodyjność i słodycz, jakiej od Słowackiego nie spotkano w poezji, był także nieznany dotąd patos, pełen uroczystej retoryki, dziwnych pytań i gromów. W r. 1880 wydała poetka tomik »fragmentów dramatycznych« *Z przeszłości*. Nie było tu już romantyki i melodyjności, tem więcej zgrzytów i gromów. Duch czysto pozytywistyczny, idealizm na Draperze wzorowany. Podyktowane entuzjazmem dla wiedzy nowoczesnej i myśli niezależnej, fragmenta te rzucały rękawicę wszystkim jej przeciwnikom. W losach Hypaty, zamordowanej przez pospólstwo Aleksandryi pod przewództwem mnichów, w losach Wezaliusza, prześladowanego przez św. inkwizycję za studia anatomiczne, Galileusza, ciskającego prześladowcom swoje »a przecie się porusza!« usymbolizowała poetka dzieje ducha ludzkiego, walczącego z zasadą powagi i organizacyi konserwatywnej. Poezji było w tych fragmentach mało, szlachetnej retoryki więcej, śmiałego wzlotu myśli najwięcej. — Krzyk i oburzenie powstały też we wszystkich obecnych reprezentantach tej atakowanej »przeszłości«. Wzburzenie wzrosło, gdy Konopnicka wydała w rok później tom *Poezji*. Stało się — do poezji został wprowadzony nowy czynnik: uczucie społeczne; został wprowadzony lud.

A był to lud całkiem odmienny od tego, którym dotychczas dekorowano »świętynię narodowej literatury«. Dziesiątki lat minęły od czasu, kiedy na porządku dziennym stała kwestya włościańska, kiedy pisarze tacy, jak Kraszewski, Jeż, Padalica i inni, malowali postacie ludowe, domagające się swobody, godności ludzkiej, światła. Chłop był teraz na całej linii oswobodzony, kwestya społeczna więc — jak z lubością powtarzano — »u nas nie istnieje«. Dawniej kazał Syrokomla dziecku z dworu mówić do *Lalki*:

Ty tego nie wiesz, że my panowie,  
A jeszcze jest lud inszy, chłopami nazwany,  
Którym Pan Bóg z niebiosów przykazał surowie,  
By pracowali na pany.

A romantyk, namiętnie przywiązany do ziemi rodzinnej  
gorzko jej wyrzucał, iż

...tak bogata,  
Że wyżywić mogłabyś pół świata,  
Dla własnych dzieci niemasz chleba!

i wołał:

O! ty ziemio, ty maccho gminu!

Ileż to potępień padało na poetów za te ich słowa.  
Grunt społeczny wtenczas im nie sprzyjał, natomiast przy-  
jęły się na nim sentymentalne kwiatki poezyj Lenartowicza.  
Dziewczyny wiejskie były figlarne, rozszczebiotane, jako *Wio-  
chny*, »chłopek« był poczciwy i komiczny, tańczył i śpiewał,  
jak w sztukach Anczyca, kobiety wpadały w *Zachwycenie*.  
Lenartowicz, jak każdy prawdziwy poeta, był indywidualny,  
inni przerobili jego postacie w szablony, w kłamstwa kon-  
wencyjonalne: do tych kłamstw przybył niebawem cały sze-  
reg Janków i Michałków, z których każdy musiał być conaj-  
mniej złodziejem lub zapoznanym wynalazcą, aby budzić sym-  
patyę, i one to wraz z figurami Kostrzewskiego reprezento-  
wały... lud.

Literatura tendencyjna, pchając nawet publiczną na mo-  
rze pracy organicznej, zajmowała się gorliwie losami jej ła-  
dunków, zaglądała do głów, kieszeni i serc sterowników i pa-  
sażerów z kajut, zapomniała jednak zupełnie zajrzeć pod po-  
kład, gdzie ogorzali, brudni, z masykularnymi dłońmi i zmę-  
czonym wzrokiem pracowali, paliły w kotłach, ładowały  
towary, odbywały podróż tłumy robocze...

Potrzeba było silnej reakcyi przeciw ideałom mieszczańskim najbliższej przeszłości, aby rzucić okiem i na to dno i zdziwić się, i wzburzyć i zapytać: dlaczego?

Owe »dlaczego« i »czemu« i »czy«, to rzucanie pytań, co to »strasznie wyrzeka«, a odbywa się »z śmiertelną trwogą i goryczą«, to najcharakterystyczniejszy ton pierwszych *Poezji* Konopnickiej.

Czemu ta przepaść, która braci dzieli  
Na pokrzywdzonych i na krzywdzicieli  
Tak jest bezbrzeżna, jako oceany  
A taka straszna, jak rozwarłe rany?

Jestto sformułowanie pytania czysto nowoczesne. Poetka wychowała się na łąkach mistycznych wielkich wieszczów romantyzmu, piła potem obficie z źródeł pozytywistycznego racjonalizmu i pełna entuzjazmu dla wiedzy nowoczesnej i jej bojowników bujała zawsze tak wysoko, że zdawało się, iż nie widzi już ziemi. Ale nie, serce jej na ziemi zostało, i wpatrzone w nią dostrzegło, jak niebieski kwiat romantyzmu, jak pochodnie mądrości pozytywistycznej, jak wszystko to pada w proch, w kałużę, zdeptane brutalną stopą nędzy, niesprawiedliwości, pochłonięte przez przepaście, dzielące świat »na pokrzywdzonych i na krzywdzicieli«...

Wielki, romantyczny »ból istnienia« i melancholijny mieszczański »katzenjamer« przemienił się w czysto nowoczesne

„Dajcie głos wszystkim krzywdom ziemi!“

Życie przemówiło w całej swej nagości. Obrazy biedy i rozpacz ludzkiej dostrzegali pisarze i przedtem, i odmalowywali je ze wzruszeniem szczerem, z dążnością głęboko humanitarną. Co Konopnicką od nich odróżnia, to punkt widzenia: nie poetycko artystyczny, nie liłościwie filantropijny, lecz czysto społeczny. Traktuje ona napotymane obrazy nędzy, poniewierki, rozpacz, nie jako poszczególne indywidualne wy-



Wolińska: Portret Maryi Konopnickiej.

padki, lecz jako wyniki i ogniwa walki socyalnej między światami »pokrzywdzonych i krzywdzicieli«. Przynosi to niejednokrotnie ujmę wartości poetyckiej utworu — tem jest cenniejsze, jako dokument duszy i czasu.

Chłop głodny, wygnany z ojcowizny, idący w świat, gdzie go poniosą oczy, nieraz już figurował w literaturze. Konopnicka nazywa go pierwsza: »wolnym najmitą«. Kontrast tych dwóch pojęć akcentuje z naciskiem:

I nigdy wyraz nie był dalszym treści,  
Jak w zestawieniu takim urągliwem...

Oczywiście! Przecie ideał demokracji dawnej osiągnięty, wszak człowiek ten nie jest ani niewolnikiem, ani *glebae adscriptus*, świat postępowy uznał jego godność ludzką, uznał go »wobec prawa« równym magnatom i mędrcom; a jednak...

Czegoż on stoi? wszak wolnym jest jak ptacy;  
Chce — niechaj żyje, a chce — niech umiera;  
Czy się utopi, czy chwyci się pracy,  
Nikt się nie spiera.

Inny obrazek:

Z szopką idzie kilku chłopców wiejskich pod okna dworu pańskiego kolendować. Drżą z zimna i głodu pod oknami pałacu — temat oklepny, z którego wydobywano dotąd co najwyżej lże sentymentalizmu. Konopnicka każe jednak jednemu z chłopców — myśleć.

Widać dla chłopów nie przyszedł Bóg może!

Takich obrazków jest więcej. Autorka rozumie nietylko nędzę i smutek ludzkiego serca wogóle, lecz nędzę i smutek naszych specyalnie czasów. Od dawien dawna ludzie się dzielili na uprzywilejowanych i pionki; ostatni z ciał swoich rzucali wał dla sławy pierwszych. Żaden jednak wiek nie



był tak bezdusznym, egoistycznym i pełnym obłudy, jak nasz. Nad kolebką jego powiewały najpiękniejsze sztandary — spadkobierca on bowiem majestatu ludu; wspaniałej muzyki przyszłości chciano dosłuchiwać się w turkocie maszyn, mających świat przeobrazić, uszczęśliwić. — Co z poszeptu tych sztandarów i postępów nauki i techniki zostało? Oto »w sobotni wieczór« robotnik:

Od zgrzytającej zębami maszyny

Powstał znużony...

O czym miał mówić? Myśl jego wtłoczona

Pomiędzy koła i śruby i piły

Była tak ciężką, jak jego ramiona,

Co się bezwiednie wzdłuż ciała zwiesiły...

Dobrze przynajmniej, jeśli z tej kuźni, przekuwającej ludzi w automaty, człowiek wychodzi żywym! Z czasem znajdą się jednostki, co się doń zbliżą i powiedzą: bracie! Ale system pracy, zabijając ducha, zabija zarazem ciało. Robota nie jest już owem wyładowywaniem energii fizycznej na szczytach polu, w obliczu słońca i w aromacie roślinności. W *piwnicznej izbie* suterena wielkomijskich zamyka ona rodziny nędzarzy, a dzieci, ginące w cuchnącej, ciemnej atmosferze, nie idą już za matką w krainy »zachwycenia« zaziemskiego... Dla nich raj i piekło leżą znacznie bliżej...

— Na świecie — opowiada matka —

...są tam cuda, dzieciątko moje

Serdeczne a rodzone...

Złociste łany, srebrzyste źródła

I sady rozkwiecione...

A piekła? Oto *Dym* bije z komina fabryki, jak słup, panując dumnie nad okolicą, »tryumfalnie ciskając w około race iskier«. Biję z ognia, wznieconych przez kotłowego. Pewnego

dnia bucha jednak w niebo razem z odłamami rozwalonego komina — kocioł pękł, rozszarpał sługę swego — kotłowego...

Dawniej szukano i znajdowano pociechę w religii. Jej stróżowie mieli dla głodnych na ciełe i ducha otwarte serce i otwarte wrota klasztorne. Dziś szuka schronienia chłopczyzna w okropną noc zimową.

...lecz kościół był zamknięty  
Razem z litością i z Bogiem...

I nadaremnie wzdycha poetka :

Ach, gdyby Chrystus tu przebywał z nami,  
Wiem, żeby (!) chodził ciemnymi nocami  
I zbierał głodnych, zziębniętych nędzarzy  
I tulił u swych ołtarzy...

I nadaremnie miota się poetka między sprzecznymi wiochrami uczuć, wołając:

O ludy zbudźcie wy tego Chrystusa  
Z marmurowej ciszy!

Każdy gest jest tu rozpaczą, każde słowo ciężkiem oskarżeniem.

Dusza więc narodu wstrząśnięta, dusza narodu rozszerzona i bogatsza o potężne uczucie — miłości i solidarności społecznej.

I gdy Konopnicka je w serca rzuciła — poszła dalej za swą naturą poetycką. Prawdziwa poetka — daje się często porwać do wspaniałych zwrotów retorycznych i kobiecych obrazów sentymentalnych, nie kieruje się jednak doktryną, nie zamieszkuje w żadnym obozie lub oboziku. Chwilami opanowuje ją nawet wątpliwość co do tego ludu roboczego, którego jest orędowniczką, i w wspaniałym pod wieloma wzglę-

dami symbolu *Prometeusz i Syzyf* — ów ostatni wyzwolony, otrzymawszy iskrę, skradzioną bogom, korzysta z niej... by rzucić na miasto żagiew pożaru... Miłość Konopnicką kieruje, nie doktryna — i ona to prowadzi ją coraz dalej, do coraz wznioślejszych szczytów...

Szczytami tymi — dusza własna, zlaną z głębiami duszy ludowej.

Po pierwszych pięknych i wielkich słowach rosną u poetki wielkie piękno i wielkie idee. Rośnie jej koncepcja świata. Dusza jej marzy i śpiewa i lka i w zachwyt wpada, a wędruje też w obce światy, w świat grecki, by stamtąd przynosić nieśmiertelne myśli o godności i wolności człowieczej, w świat latyński, by stamtąd przynosić nieśmiertelne obrazy klasycznego piękna. Potężnieje ta dusza, wzbiera, a to wezbranie nie rozlewa się — lecz nurtuje, w głąb idzie... A tam w tę głębię padły już były czyste brylanty uczuć i myśli z innej skarbnicy — ludu własnego.

Poetka weszła była w jego rdzeń niejako — i przestała malować jego losy, ujmować go zwierzczu, by wyrażać jego istotę; przestała rzucać tezy, by dawać uczucia; przestała grzmieć retoryką książkową, by przemawiać językiem jędrnym a sędziwym i prostym powagą piastowską, jak sam ten lud. Konopnicka stanowi też drugi etap w rozwoju duszy narodowej: jak pierwsza przebiła skorupę wierzchnią ludu, tak pierwsza dostaje się do jego duszy, by się w nią wcielić...

Czego nie było od Lenartowicza, czego nie zdołał dokonać Asnyk — to widzimy w Konopnickiej; już nie o ludzie, jak w pierwszej fazie, lecz z ludem i z ludu śpiewa.

Kieruje nią zawsze jedna i tasama miłość. Z areny zapasów filozoficznych, z objęć sztuki i wykwintu kultury wyrwa się i woła:

O, gdyby nie wy, proste, wierne dusze,  
Com was znalazła, jak się skarb znajduje,

Cobym robiła w świata zawierusze...  
Gdy o was myślę, to się sercem kruszę,  
I wielkiem ludzi kochaniem przejmuję  
I wiem już, za czem odwrócę tu głowę  
Odchodząc w kraje ciche i zmierzchowe...

Wyśpiewuje też »na fujarce« szereg pieśni, pełnych melodyi i żalu, pełnych szczerości i prostoty, a echo jej odbijają gaje, lasy, dąbrowy. Śpiewa dolę-niedolę tego ludu, śpiewa jego tęsknoty i bole, wypłakuje z nim skargi na głód, krzywdy, sieroctwo, wypłakuje z nim skargi, gdy wraża dłoń niemiecka wypiera go z ziemi ojczystej. Szybuję przytem zawsze wśród najwyższych cyplów i wybrańców ludzkości; siła jej skrzydeł zawsze potężna — pruje ciągle chmury ciemne — ani na chwilę nie przestaje się zaliczać do walczących; z Mojżeszem będzie więc z Panem mówić, z Hussem na stos wstępować, z żyrondistami na szafot, z Grottgerem — wydierać miecz krwawy duchowi wojny — z największą atoli miłością i sercem najbardziej pełnem będzie wracać do ludu.

Świadoma jest odrębności tego ludu, ale teraz go już nie wyosabnia; sercem przy nim najczęściej przebywa, ale miłością obejmuje naród cały, pamięta jeszcze o krzywdach i niedolach, ale częściej mówi i woli mówić o tem, co łączy i jednoczy.

Pozbyła się teraz ta miłość wszystkich zgrzytów rozpaczliwych i szarpnięć bolesnych. Mniej oryginalna i znamienna, niż dawniej, stała się silną w sobie, skupioną, niezachwianą, z siebie samej moc czerpie najwyższą i ufność bez granic. Skarży się jeszcze niebiosom i ziemi — najczęściej jednak przemawia językiem spiżowym silnej wiary i niezachwianej pewności.

Jeruzalem! O jeśli bym ja ciebie  
Nie pomnieć miał od zmierzchu do zarania,

Niechaj mnie Pan zapomni też na niebie,  
Prawica ma niech będzie zapomniana!

Na zwątpienie, na rezygnację nie ma miejsca. Widzi dokoła siebie jeszcze słabość, małość, ale wszak to rdzenia nie sięga. To, co z siebie pewność czerpie i siłę, żadnej nie potrzebuje gwarancyi, żadnej sankcyi, dowodom nie ustąpi, chyba wraz z życiem da się stłumić. Pełna potęgi mistycznej mówi więc ta miłość majestatycznym, jak wyrok losu, tonem:

Zachowaj słowo cierpliwości moje:  
— Jam ten, co wilki i jastrzębie poję,  
A patrzę, jako rwą jagnięta w dwoje...

Jam ten, co słońcem oznacza blask mieczy,  
Co kłamiącemu moc Bożą — nie przeczy...  
— A niech się uczy ze mnie syn człowieczy.


Takim przemawiając głosem, Konopnicka staje się wychowawczynią, zarazem wyrazem czystej siły i nieugiętej wiary swego ludu; jest tym ludem, który tak umiłowała. Bez otchłanności natur wybranych, ale jak on niespożyta, wierna sobie, wierna ziemi, wierna jutru — jutra tego blask, choć nieraz przez łzy; zapowiedź, choć nieraz przez burzę.

Wspaniała to zachód poezyi nietyle pisanej, ile serc całego okresu, tej poezyi, która zamieszkała w duszach Asnyka, Orzeszkowej, Prusa, Świętochowskiego, poezyi, w której nie ma nieba, ale niema też rozpacz, niema cudów — jest dzień pracy z wiarą w tę pracę i jej plony. Duszę swoją zamykając w ostatnich tych utworach, wyraża Konopnicka zarazem duszę nie indywidualności wyjątkowych, lecz tysięcy niezliczonych, którym nie uczuć, lecz wyrazów brakuje i które też odwzajemniły się, siebie i ją czcząc jubileuszem.

Marya z Wasilowskich Konopnicka, urodz. 1846 r. w Sieniátkach. Wcześnie skazana na własne siły, przybyła w latach siedmdziesiątych do Warszawy i w czasopismach od r. 1876 zaczęła ogłaszać poezye; pisała potem nowele, redagowała czasopismo dla kobiet *Świt*, pisała i pisze mnóstwo sprawozdań z życia bieżącego, sztuki i literatury. W r. 1890 opuściła Warszawę i odtąd żyje głównie w Monachium, we Francyi i Włoszech. Zachowuje jednak ścisłą łączność duchową z krajem i gorącym słowem i wzniosłą myślą dokumentuje swój udział we wszystkich postępowych i demokratycznych jego ruchach. Oznaką wdzięczności i miłości, którą zdobyła sobie u całego narodu był wspaniały obchód jubileuszowy jej twórczości, urządzony w Krakowie i we Lwowie w październiku 1902. Jako skromny dar narodowy ofiarowano jej przytem siedzibę letnią w Podkarpaciu.

Pisma: Z przeszłości, fragmenty dramatyczne (1881); Poezye, 4 tomy: 1881, 1883, 1887, 1896); Linie i dźwięki (1897); Italia (1901); Damnata (1900); Poezye w nowym układzie (5 t. 1902—1904); Drobiazgi z teki podróźnej (1904); Imagina (Życie 1887); Prometeusz i Syzyf (Biblioteka warsz. 1892); Pan Balcer w Brazylii (Bibl. warsz. 1892—1901). Nowele i opisy: Wrażenia z podróży (1884); Cztery nowelle (1888); Moi znajomi (1890); Na drodze (1893); Nowelle (1897); Ludzie i rzeczy (1898); Dym (1898). Pisma krytyczno-literackie: O Mickiewiczowskiej Odzie do młodości (1890); O Asnyku (Bibl. warsz. 1897); Z roku Mickiewiczowskiego (1900); Trzy studia (1903); Bohdan Zaleski (Bibl. warsz. 1902). Prócz tego mnóstwo przekładów (z Heysego, Heinego, Hauptmana, Niedola — Burze — Ady Negri) i wiele pism dla dzieci.

Rok jubileuszowy przyniósł kilka studyów o poetce. Najważniejsze: Hołd Maryi Konopnickiej (monografie W. Feldmana, K. Krauza, J. Lorentowicza, W. M. Kozłowskiego, L. Belmonta); H. Sienkiewicz: Marya Konopnicka (Bibl. warsz.); A. Potocki: Marya Konopnicka, szkic literacki; Henr. Galle: Twórczość poetky Maryi Konopnickiej.

Talent Konopnickiej odrazu zabłysnął był jako niepospolity i olśniewający zarówno myślą, jak i formą,  tem wszystkiem przebył znużącą i długą drogę rozwoju — doskonalenia się. W pierwszej fazie twórczości Konopnicka ulegała silnie wpływowi Słowackiego, przejmując od niego nie nastrój ideowy, szczególnie z ostatnich czasów — nie naturze jej nie jest bardziej obcem, jak mistycyzm, — lecz formę skrzącą, frazeologię typową. Wpływ ten czuć jeszcze w ostatnich utworach poetki (*Pan Balcer*), ale w pierwszych występuje z uległością dla mistrza wprost ślepą, potem osłabia się i łączy z wpływem Mickie-

wicza, Lenartowicza i innych. Najwięcej wszelako zawdzięcza poetka ludowi, z którym się serdecznie żyła. W tem swojem uleganiu językowi ludowemu z początku posuwała się zadaleko; groziło jej też zmanieryzowanie, widoczne w inwokacyach i zdrobnieniach, przepelniających najpiękniejsze nieraz liryki. W ostatnich czasach wpłynęły na formę poetki dwa czynniki potężne: obcowanie z duchem i naturą klasyczną oraz z biblią. Jak Cycero — w jednym z najpiękniejszych wierszy z cyklu *Italia* —

Wodząc lekką dłonią po etruskiej wazie  
Uczł się jej okragłość zamykać w wyrazie,

tak Konopnicka wśród cudów przyrody i arcydzieł klasycznych nabrała plastyki i jędrności obrazów, nabrała bogactwa tonów i harmonii; stary zaś testament dał jej majestatyczny patos i grozę (*Mojżesz, Z mojej biblii*) — jakich w okresie niespokojnego szarpania się i zapasów retorycznych nie posiadała.

Te walki o język nie są sprawą formy, lecz całej jej organizacji poetyckiej. Obdarzona ogromną wrażliwością intelektualną — z początku jednostronną okazywała wrażliwość artystyczną. Talent jej wydawał się więcej akustycznym, niż optycznym: nie widziała tych barw i kształtów, którymi operowała, lecz dawała się porywać fali słów muzycznych, choć niezawsze trafnych, niezawsze potrzebnych; jeden dźwięk pociągał za sobą drugi, wpadając ostatecznie w grzmiącą lub rozpląkaną a zawsze obfitą retorykę.

Z czasem wtopienie się w duszę ludu, przejęcie groźną powagą starego testamentu i pięknem przyrody i sztuki Italii wzmogły jej dar bezpośredniego, żywego odczuwania, i rozszerzając duszę — dały jej zarazem dwa najcenniejsze dary artystyczne: prostotę i plastykę. Poetka nie posługuje się już doktrynerską rozprawą, lecz krótkimi obrazami, mającymi silniejszą wymowę niż najgłośniejsze wybuchy retoryczne.

Nie zamilkły pełne czaru muzycznego dźwięki — nabrały tylko mocy spiżowej i jak spiż wypukłymi rysują się przed nami obrazami. Mienia się w *Italii* ogromną gamą wrażeń, myśli, uczuć, najpełniejsze znajdujących wcielenie w formę; „dech potęgi nadświatowej“, bijący z fresków Michała Anioła i harmonia klasyczna, owiewająca w willi Cycerona; swawolny, rozkoszą wabiący fryz pompejański: *prace Amora*, i roziskrzony tęczami zachód w Fiesole — wszystkie te najróżnorodniejsze przejawy piękna nieśmiertelnego znalazły doskonały, szla-

chetny, najściślej z treścią zlewający się wyraz. A i tutaj wśród blasków, rzucających się na duszę luną słoneczną, poetka nie zapomina, że

z krajów idę, kędy na dnie progu  
Świt we łzach cały wyprasza się Bogu...

Tom *Italii* jest jednak bardzo niejednolity, obok utworów o doskonałym pięknie antycznym, są też niedbale, rozwodnione, kantyczkowe. Inaczej tomik: *Drobiazgi z teki podróżnej*. Wprzód mieliśmy Italię — teraz Włochy, bez patosu, bez majestatu dzieł wielkich, drobiazgi rodzajowe. Kunszt poetycki do wysokiego doszedł tu stopnia. W kilku strofach umie poetka zamykać duszę krajobrazu, szmat życia, kąt natury. Naturalność tu panuje i rzadki u poetki humor. A od tych ustępów odbija nuta dramatyczna, pod kwiatami i promieniami natury południowej drgająca potężnie.

Opanowawszy po mistrzowsku formę, wchłonawszy w siebie wprzód duszę swego ludu — wyższa nad tendencję chwili a pełna bólu z powodu jego doli — niedoli, przystąpiła Konopnicka do pracy nad głównym dziełem żywota swego, jakim jest *Pan Balcer w Brazylii*.

Dawno już wyraziła była poetka dumne pragnienie, by naród posiadał po epopei szlacheckiej, jaką jest *Pan Tadeusz*, epopeję ludową. I przystąpiła do tego dzieła, a choć dotąd nie jest ono wykończone, zharmonizowane, stanowi najwyższy szczyt poetyckiej epiki homeryckiej polskiej drugiej połowy dziewiętnastego wieku — więcej: stoi jako słup graniczny w dziejach kultury narodu. Oznacza, że naród przestał być szlacheckim i wzniósł się też ponad ducha mieszczańskiego: wzbogaca Panteon narodowy — ludem...

Szkoda tylko, po stokroć szkoda, że postanowiwszy napisać epopeję ludu polskiego, wyrwała go z jego naturalnego środowiska — z ziemi polskiej. Traci jej dzieło cały ten bezmiar uroków, chwytających za serce, podbijających na zawsze, które idą z ziemi rodzinnej, traci żywotność i typowość, jaką miałyby, uchwyciwszy lud w stosunku do macierzy jego i głównej namiętności, do zagonu czarnego.

Mniejsza o teoretyczne wymagania „klasycznej“ epopei — literatura światowa zna epopeje, rozgrywające się nie na ziemi rodzinnej bohaterów. Ale Tasso, lub Kamoëns malując nam swoje przygody na tle obcem, czy egzotycznym, są zgodni z historią i oddają prawdę typową. Żywot zaś i duch ludu polskiego, jak dziecięcia nienarodzonego, najściślej jest związany z łonem tem bolesnem, jakim jest jego rola...

Stało się — i trzeba być wdzięcznym duchowi twórczemu za to,



co w *Panu Balcerze* dał, tembardziej, że pokąd całość nieukończona, nie można wiedzieć, żali się z jej bohaterami nie spotkamy jeszcze w kraju rodzinnym, i że to, co już dała, wznosi się do najwyższych form sztuki epicznej.

Dała więc — przedewszystkiem obraz wspaniałej w swem bogactwie duszy poetki. Z dwóch strun złożona w chwili pierwszych występów, obecnie dźwięczy wszystkimi tonami, jakie z harf wydobywają wielcy mistrzowie. Płyne z niej łza i śmiech, płynie siła, zaklinająca ziemię i morza, ludzi i ludy w obrazy plastyczne, i muzyka, przenosząca duszę w zaświaty wieczystej tęsknoty...

Od chwili, gdy pan Balcer „na pewnych nogach i szeroko w kroku“ staje wraz z tłumem podlasiaków i innych swojaków na pokładzie okrętu, pełen otuchy i wiary w ziemię obiecaną — do chwili gdy gromada ta zdziesiątkowana, wyniszczona głodem, chorobą, męką, rozpaczą, przebijają się przez Kordyliery napowrót do domu, jesteśmy świadkami jednego wielkiego aktu martyrologii. A tortury te mają za tło morze — i upalną, duszącą swym przepychem ziemię egzotyczną, i tęsknotę niewymowną za tem, co się straciło...

Wystarczy porównać pierwsze pieśni poematu Konopnickiej z prześlicznem opowiadaniem Amicisa: *Na oceanie*, by od razu pochwycić różnicę między arcydziełem narratorskiem Włocha a eposeją polską. Przedewszystkiem budowa. Oktawy, w których Konopnicka poemat napisała, to królewska dla treści oprawa; wspaniałe a szerokie, dźwięczne a majestatyczne, zwykle w dwóch wierszach kondensujące myśl sześciu poprzednich — wiersze w jej rękach stały się najpowolniejszym narzędziem. I wyśpiewuje ona na niem nędze i cuda obcych światów, ale gdy Amicis jest nawskróś Włochem, to poemat Konopnickiej jest w każdym calu polskim.

Zdobyła się autorka na plastykę, mogącą stanąć obok najprzedniejszych opisów literatury świata (burza, połów rekina, las dziewiczy), na tragedye, które swą siłą i zwieżłością (śmierć Hanki) niezatarte sprawiają wrażenie; galerya jej postaci odsłania nam dusze przedstawicieli ludu polskiego do dna: bawi się on, klóci, umiera i chrzci — zawsze po swojemu. A jaką barwność i żywość wydobywa poetka z obrazu bitwy, którą on stacza z murzynami, jak wiernie a wspaniale maluje jego naturę, gdy wzruszonym, zrozpaczonym, zwyciężkim chłopom każe pędzić z żagwią zemsty w oczach na miasto kolonizatorów-lupieżców i tam nagle paść w proch przed wychodzącym naprzeciw procesyonalnie księdzem; ile lez wyciska obrazami strasznej pielgrzymki wychodźców, jaką podniosłość wlewa w śmierć Nestora gromady — Horodzieja...

Pierwszorzędnej, to — niezapomnianej piękności szczegóły, które same już wystarczą do zapewnienia dziełu trwałego stanowiska w literaturze. Oderwana od ziemi, nie wielkie odsłaniając dusze — epopeja ta staje w pośrodku dwóch pokoleń: między tym ludem, który umiał cierpieć, wierzyć, zaś ślepym instynktem iść w świat i ginać, a tym ludem uświadomionym, czerpiącym od narodu i światła moc i misję dziejową, jaki się obecnie wytwarza. Genialnem piórem odtworzyła pierwszy, ginący, i może lepiej, że go przeniosła na obczyznę; widok jego konania w domu byłby zbyt rozdzierający. Wzbogaciła naród pomnikiem, od którego bije smutek bezbrzeżny, ale i piękno; dzień, w którym go dokończy, będzie dla literatury świętem.

## ROZDZIAŁ VI.

### SZTUKA W ŻYCIU CODZIENNEM. TEATR.

Literatura życia codziennego, jako surogat sztuki. Warstwy, obce wielkiej sztuce. Surogat ten na scenie. Teatr w r. 1880 w Warszawie, Krakowie i Lwowie. W Warszawie wielcy artyści bez wielkiego repertuaru. Teatr w Krakowie za dyrekcji Koźmiana. Niższość kultury teatralnej we Lwowie. — Upadek poezyi na scenie. Twórczość Fel. Faleńskiego. *Althea* Faleńskiego a *Meleager* Wyspiańskiego. — W. Rapacki, siła temperamentu w parze z teatralnością. — Jul. Łętowski.

Górowanie sztuk lekkich: operetki i farsy za wzorem francuskim. Fredro-syn, Abrahamowicz, Bałucki. Komedia salonowa. Mellerowa, Koziembrodzki.

Prawdziwy charakter sztuki wieku. Zdanie Wł. Bogusławskiego. Komedia społeczno-obyczajowa. Augier, Sardou, Dumas na naszym gruncie, Przeobrażenie się sceny. — Przedstawiciel sztuki szlacheckiej: Józef Bliziński. Charakterystyka. Bliziński, jako stojący między dwiema epokami bytu szlacheckiego. Życie bez złudzeń, sztuka szarej rzeczywistości. Pogłębienie jej plastyką charakterów. Zdrowy śmiech. — Edw. Lubowski: ubóstwo pomysłów, niski poziom uczuć, mętność myśli. — Zyg. Sarnecki. — D. Zgliński. Przeciw zdrożnościom tiers-etatu. — Typowy pisarz okresu: Kaz. Zalewski. Jego popularność i znaczenie. Brak poezyi i podniosłości. Teren jego: bilans okresu pozytywistycznego. Postępowo-konserwatywne wyjście z walki tradycyj szlacheckich z demokracją pracy. *Friebe*. Trylogia: *Nasi zięciowie*. Zmienność poglądów. Sprzeczność między zasadami a życiem. Niezdolność Zalewskiego do odtwarzania atmosfery czystej, ludzi czystych, światopoglądu czystego.

Żywoty i dzieła.

Poza sztuką, odbijającą wielkie indywidualności, nieskalane piękno, perspektywy metafizyczne, lub ducha czasu, żyła i żyje zawsze sztuka o znacznie skromniejszej sile, sztuka stosowana, służebnica życia codziennego, piekąca chleb konieczny dla szerokich warstw publiczności, a jak w ostatnich czasach — fabrykującą ten chleb maszynowo, a także cukierniki i paprykarz. Książka stała się dziś nie przywilejem, jak ongi, lecz prawem, potrzebą demokratyzującego się społeczeństwa. Poza jednostkami o wyższym nastroju duchowym, które spotykamy w każdej warstwie społecznej i które żądają dzieł natchnienia, mnożą się czytelnicy o innych zupełnie typowych żądaniach. Ze wzrostem miast wielkich rośnie klasa ludzi o kosmopolitycznych manierach i gustach, ludzi zamożnych lub żyjących na większą stopę, nerwowych, mniej lub więcej wyrafinowanych, skorych do używania i nadużywania, obracających także sztukę, literaturę, a w niej powieść, specjalnie zaś teatr, w narzędzie zabawy, drażnienia wiecznie spragnionych emocyj nerwów, lub przynajmniej — »zabijania czasu«. W tych rodzajach mistrzami od wieków są Francuzi — powieść i scena francuska zachowały też potąd znaczenie międzynarodowego wzoru elegancji i pikanterji, *amusement'u*; wraz z fasonami sukien i kapeluszy Paryż dostarcza regularnie lektury i dzieł scenicznych — najczęściej trwałych i wartościowych, jak owe mody krawieckie. Obok tej klasy inteligentów wszelkiego rodzaju mamy w miastach i miasteczkach ludzi pół i ćwierć inteligentnych, którzy mody biorą z drugiej ręki, spóźnione, nie od mistrzów, którzy wyrabiają je z pewnem nabożeństwem i kunsztem artystycznym, lecz od fabrykantów, produkujących towar szybko, lichy, ale tani, hurtowny, mający swoją banalną elegancję. Dzieł wielkiego artyzmu nie żąda ostatecznie konserwatywna, pragnąca przede wszystkim tradycyjnej gawędy i facecji wieś.

I tak z wielu stron dla wielu stron szerzy się sztuka życia codziennego, często sztuczka, często sztukowanie naj-

rozmaitszych pierwiastków — bez indywidualności, bez wzruszeń głębszych, bez widnokręgów szerszych, surogat zastępujący w czasie upadku artyzm prawdziwy.

Sztuka ta z początkiem lat osmdziesiątych, gdy żadna wybitna jednostka ni idea nie panują, dominujące zajmuje stanowisko.

Panuje prawie niepodzielnie w teatrze.

Teatr wielkie w Warszawie, Krakowie, Lwowie rozwijały się w bardzo nierównych warunkach, zaznaczają się też między nimi głębokie różnice indywidualne — dużo jednak rysów mają wspólnych. Dzielą je repertuar, artyści i publiczność. Sceny galicyjskie mają repertuar szerszy, ale bez talentów twórczych; przez długie lata nie powstaje tu ani jeden pisarz, ani jedno dzieło sceniczne prawdziwej wielkości. Warszawa ma publiczność najliczniejszą, najwięcej jeśli nie europejską, to paryską, Lwów ma publiczność, która długo chodziła do teatru niemieckiego i w znacznej części jest urzędnicza, żydowska i małomieszczańska; krakowska — najmniej jest liczna, lecz ma prawie nieprzerwaną tradycję i kulturę polską. Warszawa jest w teatrze rozkochana, ale nie mając wielkich autorów, choć mogłaby mieć wielkie dzieła, przenosi swą ciekawość, gorączkę, interes cały na kwestye podrzędne, na aktorów, kostiumy, sprawy zakulisowe; Lwów lubuje się w gorącym frazesie i w operetce, Krakowowi losy oszczędziły operetki, tu wielka sztuka na najżyźniejszy jeszcze pada grunt. Zresztą żadne z tych miast nie jest tak wielkie, w żadnem publiczność nie jest na tyle zróżniczkowaną, by mogło istnieć kilka teatrów, uprawiających po jednym rodzaju sztuki; wszędzie musi dyrektor uwzględnić, że — jak mówi Astof z *Odludków* — »ten prawdę, tamten dowcip, ten koziołki lubi«, wszędzie istnieją też obok siebie dramat i farsa, koturnowa tragedia i charakterystyczna sztuka ludowa.

Dzieje się to nawet w Warszawie, gdzie jest kilka teatrów. Wszystkie około r. 1880 niezbyt wesoły przedstawiają

widok. Wł. Bogusławski, wyjątkowy znawca i surowy krytyk, który właśnie ustąpił był z reżyserii Teatru Wielkiego, pisał o tym teatrze: »Jest coś zbutwiałego w tem państwie«. »Zatył się w zarozumiałości«, porównyując się i porównywany z największemi scenami europejskimi, którym dorównywał pod względem sił aktorskich, stanowiących w owym czasie nienapotykaną później firmament gwiazd; nie dorównywał im jednak w treści. Ze sceny niedawno ustąpiła była Modrzejewska, Popiel-Święcka, grywała Bakałowiczowa, Lüdowa, Derynzanka, grywali Królikowski, Rychter, Żółkowski, Tatarkiewicz, Rapacki, Leszczyński — grywali po największej części w rolach, niegodnych ich talentów. Repertuar najczęściej przystosowywano do kilku wielkich »ról«, i to głównie z dzieł obcych; z wielkich romantyków swojskich jeden tylko *Mazepa* figurował...

Piękne czasy miał wtenczas teatr krakowski pod dyrekcją St. Koźmiana. Siła jego leżała nie tyle w »gwiazdach«, ile w *ensemble'u* i repertuarze. Repertuar był rozległy, obejmował Arystofanesa i Zabłockiego, Szekspira i Felińskiego, nadto zapisał się wprowadzeniem na scenę dzieł Słowackiego; nie sprzyjał ni czas, ni *Czas* tym utworom Juliusza, które dopiero w dwadzieścia lat później miały entuzjazmować generację, ożywił jednak życiem scenicznem *Balladynę*, *Lillę Wenedę*, *Maryę Stuart*, *Beatrice Cenci*, *Niepoprawnych*, *Horsztyńskiego*, ożywił fragmentarycznych a tak potężnych *Konfederatów* Mickiewicza. Widowiska takie były atoli rzadkością, wielka twórczość w małym czasie nie mogła kwitnąć, prosperowała zato sztuka codzienności...

Tosamo we Lwowie — tylko o kilka skal niżej, tylko wśród większego chaosu, tylko w trwałym sojuszu z operetką i wzniosłą w swej naiwności tyradą pseudo-romantyczną. Od r. 1883—1890 teatr przechodzi jak piłka z ręki do ręki, a tylko w trzechleciu 1883—1886 za dyrekcyi Jana

Dobrzańskiego ma stalszy kierunek, i to głównie administracyjny, nie artystyczny.

Poza temi różnicami indywidualnemi mają wszystkie teatry więcej cech wspólnych, charakter ogólny jednolity, nastrój duchowy publiczności, świadczący o panowaniu pewnego kierunku, pewnego prądu duchowego. Udziela on się oczywiście przeważnej części autorów, nie wznoszących się ponad swą publiczność, warunkuje rodzaj produkcji literackiej.

Więc ginie dla sceny wielka poezya. Poezja w romantyzmzie znaczeniu słowa, poezja, jako fantazja, jako namiętność, jako indywidualność, stojąca ponad dniem, jako mowa wzniosła i rymowana. Smak publiczności od niej się odwrócił. Ma częściowe powodzenie w Krakowie Słowacki, miałby je w Warszawie, małe ma we Lwowie — jednakowoż zaledwie drobna garstka przeczuwa, czem jest to otchłanne serce, pełne burz i tęsknot, z którego wytrysnęły też najwspanialsze dramaty polskie. Jeżeli na scenach utrzymały się wielkie dzieła romantyczne, to dla »ról« popisowych, jako tło dla »gwiazd«. O wydobyciu z ukrycia innych dzieł romantycznej poezji dramatycznej nie myślano. Wielcy zmarli byli więc podwójnie zmarłymi, z żyjących niewiele się wznosiło nad polot słuchaczy. Oklaskiwali w Krakowie Szujskiego — przyjaciele, miał we Lwowie chwile tryumfu Brzozowski, ale krótkie, ale dzięki gorącemu kolorytowi i jeszcze gorętszemu frazesowi. Dzieła wielkiej fantazji i uczucia się nie pojawiły. W Warszawie toczył swe dramata Felicyan Faleński, poeta prawdziwy, nie oryginalny, lecz dobrze odczuwający i odtwarzający innych, wpatrzony nie w głęb własnej duszy, lecz w wielkie wzory tragików greckich, Kalderona, Szekspira, Wiktora Hugo, mający wielki ich gest tragiczny, wielkie słowo, choć zazwyczaj mało uczucia. Więcej inteligencją, niż natchnieniem pisał swe dzieła, w których niema ludzi na miarę krawca, są jednak olbrzymi, niema prawdy realnej, są błyski uczuć i myśli wiecznotrwałych, niema poprawnej budowy, są

sceny wielkiej piękności, niema języka indywidualnego bohaterów, jest forma poetyczna, najczęściej wytworna, cyzelowana, język pełen melodyj, gromów, obrazów. Faleński pozostał szerszej publiczności nieznanym. Pt. *Althea* ujął w dramat grecki podanie o Meleagrze — w stylu i przeważnie w duchu tymsamym, w którym później napisał swą tragedję Wyspiański; gdy *Meleager* Wyspiańskiego w czasie sprzyjającym poezji został zaraz po ukazaniu się w wydaniu książkowym rozchwytyany, dzieło Faleńskiego spoczęło w roczniku *Bluszczu*. Utwory dramatyczne Faleńskiego cieszyły się platonizmem uznaniem kilku filologów i znawców.

Powodzenie sceniczne znaczne miał przez pewien czas jeden pisarz o manierze romantyków francuskich — Wincenty Rapański, umysł szeroki, podejmujący zawsze wielkie idee kulturowe, temperament silny, rozmiłowany w potężnych konfliktach, ale powodzenie to zawdzięczał głównie naczelnej zalecie swojej, która rychło przemieniła się w wadę naczelną: zbytnej teatralności... W latach osmdziesiątych twórczość jego była już wyczerpaną.

Polot poetycki i siłę uczucia okazał w pierwszym swym występie (1880) Julian Łętowski. Jego *Izrael na puszczy* jest prześlągnięty reminiscencyami wszystkich wielkich dramaturgów — ma jednak nerw własny: wielki patos myśli i namiętności. Wśród antytez grozy i idyli, wśród młodzieńczych deklamacyj, huczy tu wielka siła, karząca lud za łączenie się z Moabitkami, druzgocząca uczucia indywidualne, by żyły narodowe.

Początek lat osmdziesiątych poezji nie hołdował. Zajęte dorobkiem materyalnym i tylko pozytywnymi kwestyami pokolenie, szukało w sztuce poparcia swoich interesów lub przyjemności.

Pozbawieni wielkich aspiracyj, ideałów, ludzie pracy w chwili wythnienienia przedewszystkiem bawią się i używają. Więc kwitnie wesołość, dobry humor, chęć do śmiechu,



choćby taniego, choćby trywialnego. W dziedzinie muzyki panoszy się coraz natrętniej operetka, przytłaczając muzykę głębszą, operową; w sztuce dramatycznej — farsa, krotoczwila. Prym wodzą Francuzi, nieźrównani w kunszcie nawiązania zajmującej intrygi, w dowcipnym, skrzącym się dyalogu, w nieoczekiwanych, zajmujących sytuacjach; Meilhac i Halevy, Labiche, Bisson celują w tych sztuczkach, zachowując jeszcze zdrowy sens, współzawodnicy ich i następcy dla dowcipu, dla awantury zatracają coraz bardziej sens, i — wstyd. Swojscy dostawcy śmiechu rzadko dorównują Francuzom; są więcej przyzwoici a mniej dowcipni, mają sens ale też grubą rubasznosć; zresztą w ostatnich czasach pozbywają się coraz częściej i przyzwoitości i sensu — nie nabywając przez to jeszcze ani dowcipu, ani elegancji. Dekadencję tę widać w małym synu wielkiego ojca Janie Aleks. Fredrze; szereg jego wierszy i jednoaktówek krążył długo w odpisach, bo i pawian w druku by ich nie ścierpiał; te, które ukazały się na scenie i w wydaniach książkowych, mają w miejsce dawnego dowcipu, pachnącego jeszcze salonami XVIII-go wieku, tudzież humoru rdzennie szlacheckiego — dowcip koszarowy, huzarski, humor lwowski, z kasyń i »bajzlów«; zawsze przytem naciągane sytuacje, płytkie uczucia, zupełną bezmyślność. Autor pragnął dwa razy zabawić się także w moralizatora, obrońcę swojskiej poczciwości przed *obcymi żywiołami*, ale tu jak i w pseudo-komedyi ideowej: *Wielkie bractwo* okazał się naiwnym i nudnym. W ślady jego idzie coraz więcej pisarzy. Dowcipny, ale nieudolny technik Adolf Abrahamowicz łączy się z aktorami, nasamprzód z Lucyanem Kwiecińskim, potem z Ryszardem Ruszkowskim; ostatni zaczyna niebawem pisać na własną rękę, rzuca szereg jednoaktówek, kilkoaktówek, wesółych w pomyśle, żywych, skaczących w sytuacjach, bez krzty prawdy, tem łatwiejszych do strawienia; budzą śmiech,

zapełniają szczególnie we Lwowie szczelniej i częściej teatr, niż arcydzieła.

Śmiech huczny, zawsze rubaszny, budzi swemi sztukami Bałucki.

Najsłabiej rozwija się komedia salonowa. Do niej potrzeba przedewszystkiem salonów, kultury, wytwornego towarzystwa, mieszczaństwa bogatego, ogładzonego — a ta sfera jest u nas młoda, bardzo niewyrobiona, bardzo mięszana. W salonach, ale też i w pałacach i dworach ma swój świat Zofia Mellerowa, która po kilku sztukach mało zajmujących w *Fałszywych blaskach* zdobyła się — obok morałów — na akcyę sprężystą, na dowcip żywy, na sytuacye nie nowe, ale dobrze wyzyskane, a w *Straduję* na jeszcze jedną apoteozę złotego serca szlacheckiego; taksamo obraca się w salonach Wł. Koziebrodzki, biorąc z nich treść do wesółych jednoaktówek, o błahym pomyśle a żywym, lekkim dowcipie, który umie być też rubasznym i karykaturalnym; talent salonowy, dobry dla teatrzyków amatorskich, spróbowawszy sił w sztuce poważnej (*Nauczycielka*), okazał się niezdolnym do pogłębienia charakterów i akcyi prawdziwie dramatycznej.

Dorobek nieduży, mniejszy niż popyt, niż potrzeba; sceny żywią się też głównie tłumaczeniami. A co robi większość scenicznych autorów swojskich?

Trafnie charakteryzuje scenę ówczesną Wł. Bogusławski, pisząc:

»W czasach panowania przeciętności z natury rzeczy wytwarza się i w teatrze przeciętny repertuar, oparty nie na harmonijnej kombinacyi różnorodnych form twórczości dramatycznej, ale na przetopieniu ich w jedną formę, odpowiednią smakowi średnio rozwiniętego widza. Tą formą jest komedia społeczna. Panująca w sztuce filozofia realno-utilitytarna wyrobiła jej prawo obywatelstwa, wskazując scenie, jako cel główny kopiowanie życia. Kopiuje więc życie ko-

medya społeczna, w której, jak w życiu wszystkiego znajdzie się potroszę: i śmiechu i łez — i dramatu i farsy. Publiczność zaś nie potrzebuje się nastrajać do tragicznego patosu, ani sromać się swawolnej wesołości, znajdując na scenie odbicie tej przyzwoitej rzeczywistości, która stanowi tło życia średnich warstw towarzyskich, dostarczających prawie wyłącznie bohaterów nowoczesnej literaturze dramatycznej«.

Charakterystyczną dla lat osmdziesiątych formą sztuki teatralnej jest komedia społeczna z »filozofią« realno-utilitytarną.

Idziemy w ślad za całym zachodem, szczególnie za przodującą mu Francją. Augier, Dumas-syn, Sardou usunęli byli starych romantyków i komedię salonową Scribe'a i wywalczyli teatrowi prawo do realizmu — nieprzekraczającego jednakowoż sfer »dobrego towarzystwa«, no, i półświatka! — oraz prawo do tezy, przejętej głęboką powagą społeczną u Augiera, moralizatorską, szczególnie na punkcie rehabilitacyi odrzuconych od społeczeństwa jednostek u Dumasa, pamphletarską, kabotyńską u Sardoua. Komedia-to społeczna, której i u nas podkładem życiowym — wytworzenie się nowej klasy. Najważniejszymi dla niej kwestyami: pieniądz, dobroć, geszeft; potem moralna strona: korzystanie z tych pieniędzy, nadużycia; potem społeczna: stosunek nowej klasy, mieszczańskiej do starej arystokracji rodowej i szlachty, walka o stanowisko; nareszcie komplikacya tych stosunków przez istniejące na naszym gruncie antagonizmy narodowe i religijne...

Scena przybiera też nowy charakter. Przemienia się w izbę giełdową, w kantor kupiecki, w kancelaryę adwokacką; piękne panie szepcą słowa miłosne, ale także cyfry, wyrazy ze słownika technicznego, prawniczego, politycznego, i jeszcze raz cyfry; mężczyźni rzadko walczą na serca, na dowcipy, na galanteryę, akcyja ich życia toczy się około

spadków, bilansów, wyborów do ciał politycznych, do dyrekcyj finansowych, do rad nadzorczych; fatum nie przedstawia się w postaci »winy« — lecz długu, bliskiego lub przebytego bankructwa, udałej lub nieudałej spekulacji, narreszcie w postaci nosa semickiego, herbu szlacheckiego, tradycji senatorskiej i beztradycyjności. Jesteśmy w świecie bez bohaterów w dawnym znaczeniu słowa, w świecie trochę brudnym, trochę kosmopolitycznym, którego poezją pieniądza, ideałem — stanowisko, rozkoszą — używanie *per fas et nefas*, duszą — interes, w świecie plutokratyczno-talmi-arystokratycznym powstającej burżuazji.

Opierał się temu światu, jak mógł Józef Bliziński. Około r. 1850 byłby pisał wspaniałe sztuki kontuszowe — obecnie nawet on, najbardziej szlachecki ze wszystkich ówczesnych naszych pisarzy, żadnego kontusza na scenę nie wprowadza. Dawniej byłby gawędził, jak Soplica, może apoteozował szlachtę, skorą do wypitki i wybitki, w obecnym czasie wyrzeka się wszelkiej dalej sięgającej idei, poddaje się szarej doli przeciętności, staje się wybornym pisarzem scenicznym; ale właśnie przez ów brak wielkiej idei, z ciasną koncepcją świata i człowieka nie może być zaliczony do wielkich.

Dziecię dworu wiejskiego, wychowaniem, zwyczajami, sposobem myślenia należący do dawniejszego pokolenia szlacheckiego, Bliziński zachował wszystkie typowe znamiona swej klasy, między innemi — dobry zmysł spostrzegawczy, owe oko człowieka, przyzwyczajonego obejmować bystrem spojrzeniem duży szmat ziemi, snujących się po nim ludzi, wiszące nad nim niebo. W życiu swoim widział ewolucję, jaka się w naszych stosunkach społecznych dokonała: ciężkie położenie szlachty, wtargnięcie na wieś przeróżnaitch do-robkiewiczów, walkę ekonomiczną, w której paczą się charaktery, wychodzą na jaw ohydne instynkty, najlepsi nie mogą się oprzeć pokusie, a pracując w pocie czoła, zaniedbują



Józef Bliziński.

wszystkie pierwiastki idealne, najgorsi zaś i najbrutalniejsi zwyciężają. Przeżył to Bliziński, odczuł — odtwarza... Nie obejmuje więc widnokręgów rozległych, nie sięga w głąb dusz zbyt złożonych, subtelnych, bohaterskich, niema w sobie krzty romantyzmu — bierze to życie zwyczajne, na które patrzył własnymi oczyma i odtwarza je z surową prawdą, bez upię-

kszeń i bez morałów. Raz jeden tylko wlał w swój utwór tchnienie poezyi, raz tylko jeden próbował rzucić na ludzi także nie purpurę bohaterstwa, lecz srebrzysty brzask wspomnień idealnych (*Dzika różyczka*) — zwyczajna jego galerya to hreczkosieje w rozlicznych swych odmianach: więc poczciwy i uczciwy do szpiku kości a dość przytem ograniczony *Damazy*; prymitywnym kierowany instynktem, niezgorszy przytem *Marcowy kawaler*, rejenci i oberżyści, literaci i pańskie dziady, lamparty wielkomiejskie i zgnilki arystokratyczne, kobiety-baby, kobiety-samice, kobiety-sekutnice, poczciwe i ścierki, postacie pozbawione podniosłości w dobrem, demoniczności w złem — ot, z życia naszego codziennego. A nie znajdując się one nigdy w sytuacjach zbyt napinających fantazyę, tchnących potęgą myśli, żarem uczucia — obracają się w sferze interesów pieniężnych, testamentów i weksli, kart i pijatyk, nietyłe poetycznych miłości, ile prozaicznych swatów, jeszcze prozaiczniejszych związków popędem a bez ślubu sprzągniętych, a najmniej poetycznych rozpustników wielkomiejskich, dalej planowanych i zrywanych małżeństw — powszednie nasze życie. O intrygę kunsztowną Bliziński dbał mało; trudno o prostsze pomysły, jak *Kawaler Marcowy*, *Mąż od biedy* etc., nie dbał też o »ostatnie słowo« zawiązanych intryg, dawał wykrawki z życia.

Realizm to prawdziwy — wynik zupełnie realistycznego poglądu na świat. Szlachcic-hreczkosiej był pozbawiony zupełnie zmysłu spekulatywnego a jego filozofia da się sprowadzić do kilku ogólników, popularnych w sferze, z której wyszedł: pracuj a Bóg ci dopomoże, jakoś to będzie, choć bieda to hoc itd. Życie — to walka nie szerokich interesów, lecz geszefatów, nie potężnych namiętności, lecz zwierzęcych zachcianek i instynktów, nie idei nieśmiertelnych, lecz ambicyj, próżności, głupoty i głupstw. Wyjątki — bardzo rzadkie. Pogląd ten Blizińskiego bardzo w gruncie rzeczy smutny, jak wogóle smutną — z małymi wyjątkami — jest galerya po-

staci, której szlachta Blizińskiemu dostarczyła. Żaden może pisarz nie wprowadził do literatury tyle okazji zgnilizny, podłości, głupoty szlacheckiej, co ów dobry i niewiele rozumujący szlachcic: ale chociaż to życie idzie po grudzie, i gorzej, on już świata nie zmieni; z siłą zdrowej natury wyrwa się uczuciu narzucającego się smutku i wybucha śmiechem... Naturalista à la Zola, Becque, lub idealista, przedstawiliby takiego *Marcowego kawalera*, jako bydlę, rejenta z *Damazego*, jako czarny charakter, Szynalską, jako panią Bovary etc., on z nich tylko się śmieje. Bierze życie, »jakim jest« i wydobywa z niego co może najlepszego: śmiech...

A że czyni to z intuicyjną znajomością natury ludzkiej i pogłębieniem tak gruntownem charakterów, że każdy z nich do dna przed nami jest odsłonięty, a że istotnie jego śmiech jest dobry i zdrowy — uspakaja słabe nerwy: przeto Blizińskiemu bezwarunkowo należy się tytuł klasycznego realisty w komedyi.

Gdy on do dusznej atmosfery realistycznego świata wpuszcza jeszcze trochę woni z pól i lasów, trochę pogody, dobroduszości, gdy przytem od stóp do czuba jest polskim — rozwijają inni współcześni mu pisarze sceniczni konsekwentnie komedję społeczną Francuzów.

Najzdolniejszym był zmarły przedwcześnie Narzymiski. W tym kierunku poszedł Edward Lubowski, pisarz o małej fantazyi, jeszcze mniejszym zasobie poezyi, o chwiejnych pod każdym względem ideałach — za to z dużym kapitałem rutyny i darem naśladowczym, nie cofającym się przed częstem naśladowaniem — samego siebie. Stworzywszy po wielu nieudanych próbach scenicznych galeryę *Nietoperzy*, zaczerpniętych z plotek warszawskich, w założeniu nie w sile przypominającą sławną sztukę Sheridana, wraca kilka razy do tego pomysłu i smaga plotkarzy, intrygantów, kalumniatorów, dybiących na cześć i stanowisko bliźniego. W *Żydzie, Przesądach* poruszał tak ważny w owym okresie stosunek do-

rabiających się warstw społecznych do rodów historycznych; sam oczywiście jest zwolennikiem »postępu«, wysuwającego na pierwszy plan społeczny nowych ludzi, ale smaga ich chęć wzbogacenia się, wyzyskiwania entuzjazmu ludzi dobrej woli dla celów egoistycznych, niskie namiętności. Idealem Lubowskiego klasycznym jest Jerzy w *Pogodzonych z losem* (1878). Do atmosfery, pełnej przewrotności i brudu (Kazimierz Łaniecki wyłudza od stryjecznego brata prawo do spadku, którego kuratorem jest książę — tu sposobność do filipiki przeciw serwilizmowi wobec księcia etc.) — do tej atmosfery Jerzy wpada i dowiedziawszy się przy pomocy czarnego charakteru, (którym jest »dziecko ludu«) o zbrodni Kazimierza, uczy go moralności i wiedzie na drogę poprawy i cnoty — przebaczeniem. Cechy charakterystyczne Jerzego: »siłacz«, »kutwa« i wygłaszanie za każdym ukazaniem się na scenie: Niech będzie pochwalony! Sztuczna ta dewocya idzie w parze z sztuczną robotą sceniczną, ratującą się w ostatnich czasach sztukowaniem eklektycznego płaszcza swej muzy skrawkami z sztandarów dramaturgii skandynawskiej — nadaremnie. Nie zaśłania — próżni.

Konsekwentnie za Augierem szedł Zygmunt Sarnecki. Stając wobec nowych formacyj społecznych, których duszą jest pieniądz, zwraca do niego z nowym sensem stare pytanie: kto go rodzi; sobkowskim aferzystom wytyka nietylko ich niecnoty prywatne, lecz także stosunek do pracujących. Sztuki jego ciężkie są trochę w ruchach, a nie ożywia ich dyalog, zamało indywidualny, zamało charakterystyczny, lubo gęsto przeplatany francuszczyzną.

W kole idei powstającego *tiers etatu* przebywa też Daniel Zgliński. Walczy z przesądami, spekulacją i świętoszkostwem, które odtrącają żyda, chcącego zasiadać *u wspólnego stołu*; w losach ludzkich umie uwydatniać większą linię tragiczną, która graniczy o monumentalność w *Jakobie Warce*. Bohater tej sztuki, to bandyta ekonomiczny w wielkim stylu,



potężny i niemiłosierny wódz wyzyskiwaczy — nareszcie mści się i na nim Nemezis, przyprawiając o obłęd syna, rozkochanego w córce jego antagonisty. Nie wznosząc się nad poziom tej sfery społecznie, autor stoi ponad nią moralnie; przemawia charakterami śmiało nakreślonymi, choć jednoliniowymi, daje sytuacje dramatyczne, język barwny, pełen siły.

»Miarodajnym« pisarzem scenicznym okresu, głośniejszym od wszystkich, grywanym z powodzeniem szalonym tam, gdzie nie miał popularności Słowacki, zaniedbany był Korzeniowski, Chęciński, Narzymski, nieznany był Okoński, najbardziej wpływowym — Kazimierz Zalewski. Skupia w sobie wszystkie cechy charakterystyczne okresu, ciekawszy też jest, jako dokument — smutny, niż jako artysta. Wartość artystyczna jego utworów dzisiaj już prawie żadna; dobry obserwator szczegółów i szczegółików zewnętrznych — nie jest zdolny do wzniesienia się nad trywialną rzeczywistość; śmiały w poruszaniu drażliwych kwestyj — traktuje je, jako dziennikarz, spekulujący na sensację, bez zrozumienia dla kąta widzenia *sub aeterni*; ma dowcipy — nie dowcip, morały — nie pogląd na świat, cały katalog figur, które na scenie ruszają się, mówią — ani jednej duszy ludzkiej, ani jednej postaci, któraby narzuciła się naszej wyobraźni i w literaturze pozostała.

Przez lat kilkanaście próbował Zalewski sił swych w rozmaitych kierunkach dramatycznych. Deklamował tyrady pseudo-postępowe z nieodzowną wówczas apoteozą inżyniera, sięgał po tragizm aż do Rady dziesięciu Wenecji, trafiając swoim zwyczajem — jak wyraził się Chmielowski — do alkowy, pisał komedię historyczną, w której nie było ni komedyi ni historyi, i sztuki współczesne — »bomby«, w najlepszym razie mające pomysł ładny (*Przed ślubem*). Dopiero w latach osmdziesiątych dojrzały u nas, specjalnie w Warszawie, stosunki, przygotowane przez posiew pozytywistyczno-organizacyjny, nadszedł czas żniw i — bilansu.

Zalewski postanowił tedy być polskim Sardou.

Bilans przez niego zrobiony powinien nosić tytuł: *Nasze zięciowie*. Jesteśmy już w drugiej generacji rozwoju okresu. Starzy dorobkiewiczze, zasymilowani niemcy, kupują sobie zięciów-szlachciców, rujnujących majątki, otwierających wrota innym niemcom, do których zasymilowania nie będą już zdolni; dorobkiewiczze-żydzi kupują sobie zięciów — arystokratów, z rezultatem równie ujemnym. Pod tą błyszczącą a zgniłą powierzchnią roi się tłum czarny, kipiący pracą — dla tych pasożytów, wytwarzający bogactwo — dla ich wyuzdania.

Zalewski-moralista wobec tego stanu rzeczy wygłasza tyradę na oko bardzo radykalną, Zalewski-artysta okazuje się do ujęcia tych zjawisk niezdolnym.

Radca szlachecki Żarski prowadzi z demokratą Dobkiem taką rozmowę:

Dobek: Arystokracja, to kasta uprzywilejowana, demokracja to równe prawo, równy obowiązek, równość i wolność.

Żarski: Równość i wolność! Oto dwa pojęcia, w imię których więcej nadużyć popełniano na świecie, niż cały feudalizm średnich wieków i tyrania wszystkich ówczesnych autokratów...

Dobek: Nigdy tyle, ile w imię dziedziczności i przywileju!

Żarski: Winszuję! urządzasz pan falanstery!

Dobek: Ani jedno, ani drugie! Wznowienie praw o zbytku i obowiązek pracy pod rygiem podatku!

Żarski: A szlachetność, a poświęcenie, a rycerskość?

Dobek: Spotkamy się w walce z wrogiem (*Friebelem*).

Na pozór powiedziano tu dużo — w rzeczywistości nic, bo obowiązek pracy »pod rygiem podatku« oznacza wykupienie się od pracy podatkiem. Kwestya więc teoretycznie ani postawiona ani rozwiązana. A artystycznie autor jest dalekim od wcielania jakichkolwiek idei społecznych; tak Dobek,

jak i Żarski martwymi są szablonami, z werwą i zamięłowaniem odtworzeni tylko nicponie i hultaje — prawdziwa atmosfera twórczości Zalewskiego.

Podobnie w innych jego sztukach.

*Górą Nasi — Nasi zięciowie — Małżeństwo Apfel* — trylogia sceniczna z kwestyą żydowską, jako tezę, z rozwiązywaniem, które w każdej sztuce jest innem, a wszędzie służy przeważnie, jako moralna ciocia do osłaniania rozpasanej swawoli muzy autora... W sztuce pierwszej żydom rzuca się taką tyradę: »Nie powiem, abyście panowie byli gotowi podjąć się antrepryzy dostarczania głów współrodaków nieprzyjacielowi, jak to mówił Rochefort o bankierach paryskich, ale broni, amunicji, żywności, środków transportu za dobrem wynagrodzeniem dostarczalibyście mu napewno«... W drugiej — kwestya małżeństw mieszanych jest postawiona w sposób taki, że jedyny porządny człowiek, St. Horski, który w tej sferze złota i rozpusty mecheskę nawet pokochał — przed ożenkiem się cofa; w istocie są tutaj zięciowie znacznie gorsi, niż teściowie. W trzeciej — tak nasi zięciowie żydowscy, jak i nasi teściowie żydowscy są prawie bez brudów; stary Apfel ma uczciwość handlową, syn jego — heroiczną.

Tyle — teorye, ani głębokie, ani konsekwentne, bo też są tylko etykietkami dla zamaskowania słabości autora i dla przemycenia jego siły. »Gdyby człowiek — mówi ktoś w jednej z jego sztuk — u samych porządných ludzi bywał, to w końcu musiałby zerwać stosunki nawet sam ze sobą«. Mniej więcej to samo mogłaby powiedzieć o sobie przeważającą większą część bohaterów Zalewskiego. Rzadkością u niego taka Rozalia (*Friebe*), a najlepsi — to Ernest Apfel: bez godności osobistej, Horski, zawierający znajomość z przedmiotem czystej swej miłości w lupanarze, a nawet najidealniejsza jego para: hrabina i Kuryatowicz (*Górą nasi*) cierpią na pewnego rodzaju *moral insanity*: pierwsza walczy z Pomperem korupcją a spokojnie zagarnia »zarabiane« przezeń szwindlem pieniądze,

drugi — umie zdobyć się tylko na taki czyn, że będąc sercem przy jednej kobiecie — rękę oddaje drugiej... A wszyscy prawie obracają się najswobodniej w domach *felicitatis*, których Zalewski daje całą kolekcję (mieszczkański — w *Górą nasi*, arystokratyczny — w *Nasi zięciowie*, ćwierć-światka — w *Oj męzczyźni, męzczyźni!*), wszyscy mają na ustach tyrady nieznośne, wszyscy udają kreacye wysokiego artyzmu a w żyłach papierowych mało mają krwi prawdziwej, zaś ani po jednej kropli krwi polskiej; począwszy od uczuć, kończąc na języku — wszystko w nich jest surogatem.

W tym zamęcie pojęć społecznych, etycznych i artystycznych kulminuje teatr codzienny lat osmdziesiątych — w Zalewskim, stanowiącym już zresztą reakcję »neokonserwatywną« przeciw pozytywizmowi, w Zalewskim, zagarniającym tryumfy i największe tentyemy, gdy Bliziński znosił nędzę, a Faleński wzbogacał nieczytane foliały gazeciarskie. Społeczeństwo, pozbawione ideałów bohaterstwa, światło widziało w tem próchnie, radość w tym świecie wesołym a tak bezdennie smutnym...

Wincenty Rapacki urodził się w Lipnie w Płockiem r. 1840. Po ukończeniu gimnazjum w Płocku w r. 1858 wstąpił do szkoły dramatycznej w Warszawie, a od r. 1879 jest jedną ze znakomości sceny tamtejszej. Indywidualność o szerokim rozmachu duszy maluje naturę ludzką w świetle bohaterskim, przywraca wielki polot i śmiałość ludziom wielkim, zmniejszanym przez umysły poprzednich pisarzy (por. *Stwosza* Rapackiego a Pola, *Kopernika* jego a Szujskiego, jego *Acerna*, z sentymentalnym bohaterem Syrokomli), lubuje się w szerokich, purpurą i złotem kwitnących obrazach, odbijających od zasuszonych kwiatów archeologicznych, wre zapalem do wielkich niepodległych indywidualności i bojowników kultury. Równocześnie aktor w nim goni za efektami scenicznymi, co mu się często udaje, ale ze szkodą dla prawdy historycznej, dla naturalności dyalogów, dla wymagań różnorodności natury ludzkiej, sprowadzanej tutaj do szczipłej skali psychicznej.

Dziela. Dramaty: *Wit Stwosz* (1874), *Mik. Kopernik* (1875), *Mazur Czart* (1876), *Maćko Borkowic* (1878), *Acernus* (1879), *Pro honore domus* (1880), *Odsiecz Wiednia* (1883), *Starosta Wilczek* (1883), *Historyoni* (1892). Komedye: *Bogusławski i jego scena* (1888), *Odbijanego* (1888). Powieści: *Do światła* (1887), *Hanza* (1900), *Trefniś* (1900).

Julian Książek-Łętowski, urodz. w Krakowie 1857 r., autodydakta, odznaczył się dramatem *Izrael na puszczy* (1880); mniejszą wartość ma naszpikowany tencyjnością *Firduzi* (1884). Z powieści i nowel: *Nowocześni bohaterowie* (1888), *Rywał* (1890), *Na bożym świecie* (1891), *Robakiewicz* (1892), *Stary mąż* (1893), *Rogata dusza* (1894). Poezye: *Ghazele*. Umarł w Warszawie 1897.

Zofia Mellerowa, w Warszawie, obecnie nic prawie nie pisze. Prace: *Złote runo* (1867), *Postanowienie*, *Wanda*, *Zyzio zepsuty*, *Fałszywe blaski*, *Straduje*, *Kto winniejszy*, *Wdowa z Efezu* (1902), *Zbyt doświadczony* (1902).

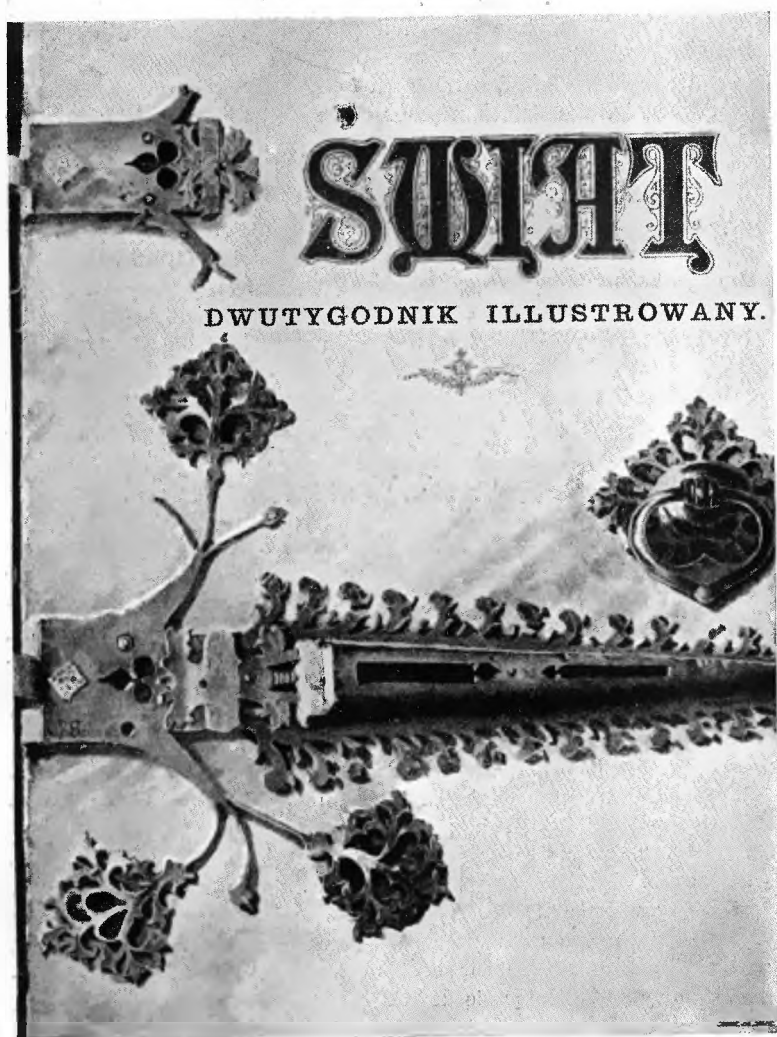
Wł. hr. Koziebrodzki (1839—1893). *Komedye jednoaktowe*. Warszawa 1882. Drama *Nauczycielka*, odznaczony nagrodą konkursową w Warszawie 1891.

Józef Bliziński urodz. w Warszawie 10 marca 1827; od 1845 r. gospodarował na wsi w Królestwie, długo nie okazując porywu do pióra. W r. 1860 napisał obrazek sceniczny wierszem *Imieniny*, który wydrukował Kraszewski w redagowanej przez siebie „Gazecie Codziennej”. W dziesięć lat później, w czasie kiedy pisywał dorywczo artykułki i opowiadania o forsowanym nieco humorze, wydał *Prze-zorną mamę* (1871) i utwór, który wystawiony w r. 1873 zapewnił mu sławę sceniczną: *Kawaler marcowy*. W znacznych odstępach czasu, bo Bliziński pracował z długim rozmysłem i trudem, nastąpiły po sobie komedye *Ojczulek* (1874), *Chleb ludzi bodzie* (także pod tytułem *Mośkowe swaty* (1875), *Pan Damazy* (1877), *Mąż od biedy* (1878), *Rozbitki* (1881), *Ciotka na wydaniu* (1883), *Szach i mat* (1886), *Lekkoduch* (napisany wraz z Zygmuntem Sarneckim, 1877), *Mąż w drodze* (1887), *Dzika różyczka* (1889), *Chwast* (grane i wydane po śmierci. Zbiorowe wydanie *Komedyj* we Lwowie 1882 i 1890 roku. Humoreski i krotkowile wydał w dwóch tomach: *Dziwolaqi* (1876), i *Humoreski* (1890). Ostatnie lata życia, po niepowodzeniach gospodarczych w Królestwie i Galicyi, spędził Bliziński w Krakowie,

w smutku, często w niedostatku, pracując z zamilowaniem nad językoznawstwem; uzupełniał słownik Lindego i w walce o czystość języka wydał *Barbaryzmy i dziwolagi językowe* (1888). Umarł w r. 1893. (Ob. monografię o nim Adama Dobrowolskiego).

Edward Lubowski, ur. 1839 w Krakowie, kształcił się w tamtejszym uniwersytecie i wcześniej zaczął pisywać w czasopiśmie galicyjskich; od r. 1865 przebywa w Warszawie, pracując w czasopiśmie zachowawczych; prowadził długo dział teatralny *Kurjera Codziennego*. Prace jego sceniczne: *Karyery* (1863), *Protegowani* (1864), *Ubodzy w salonie* (1866), *Żyd* (1866), *Nietoperze* (1875), *Gonitwy* (1876), *Przesady* (1876), *Pogodzeni z losem* (1878), *Czarnokwit* (1878), *Sąd honorowy* (1878), *Jacusz* (1882), *Osaczony* (1886), *My się kochamy*, *Przyjaciółka żon* (1886), *Bawidełko* (1892), *Wycieczka z przeszkodami* (1895), *Królewicz*, *Światowe rozrywki* (1891). W ostatnich utworach stara się Lubowski przyswoić sobie technikę nowoczesnego dramatu, szczególnie norweskiego, — bezskutecznie. Napisał też szereg powieści: *Cichy Janek i głośny Franek* (1880), *Krok dalej* (1886), *Powiatki niemoralne* (1886), *Kochanek Małgosi* (1890) etc. Mętne w pojęciach, pod względem technicznym okazują tylko rutynę dziennikarską.

Zygmunt Sarnecki urodz. w r. 1837. Już jako uczeń gimnazjalny pisywał w r. 1856 w *Gaz. Codziennej* powiastki i fejetony; w r. 1867 napisał pierwszą komedię: *Zemsta pani hrabiny*, poczem nastąpiły *Febris aurea* (1869), *Dworacy niedoli* (1876), *Słonecznik*, *Uroczę oczy* (1893): Z ostatnich jego utworów powodzenie zasłużone miały *Harde dusze* (1895), uscenizowana powieść *Orzeszkowej: Bene nati*; nieszczęśliwe zaś są jego próby sztuk fantastycznych: *Szklana Góra* (1886), *Cud-dziewica* (1897); nie utrzymały się też na scenie; sztuka okolicznościowa *Adam i Maryla* (1898), *Evvia Parte* (1899), *Złotczenie* (1903). Wybór *Prac dramatycznych* w Warszawie (1880). Z utworów beletrystycznych: *Różni ludzie*, *Złote serce*, *Owale i profile*, *Nowele*, *Na ruinach*, *Sny i marzenia* (1904). Życie pełne przejść i walk, zapełnił Sarnecki niezmordowaną pracą publicystyczną, kierownictwem teatrów raz w Lublinie, raz w Poznaniu, wydawaniem rozmaitych czasopism. Prawdziwą zasługę zaskarbił sobie wydawaniem przez szereg lat w Krakowie czasopisma *Świat*. W najgorszych warunkach, wśród obojętności ogółu, zdołał przez sześć lat (1888—1894) skupić około pisma pierwszorzędne polskie talenta malarskie i literackie, wprowadzić u nas, po raz pierwszy, najnowsze i najdoskonalsze sposoby reprodukcji dzieł sztuki, kształcić i podnosić smak



Okładka pierwszych zeszytów wydawanego przez Z. Sarneckiego „Świata“.

artystyczny ogółu. Sam, bez wybitnej indywidualności duchowej, otwierał jednak chętnie pismo młodym; tu też wielu z nich pierwsze stawiało kroki, tu Tetmajer drukował wiersze, które potem stanowiły główną treść *Seryi II*, tu Miriam głosił kult Maeterlincka i nowej sztuki. *Świat* w dziejach naszego czasopiśmiennictwa piękną posiada kartę.

Daniel Zgliński urodz. w r. 1847; od młodości czując zamiłowanie do teatru próbował sił swoich jako aktor (*Paniętniki aktora teatru w Gawronowie*); mieszka w Warszawie. Napisał dobre studyum: *Humor w Panu Tadeuszu*, dla sceny: *Ricardo* (tragedya, 1884), *Tomasz Vale* (1876), *U wspólnego stołu* (komedya, 1884), *Jakób Warka* (1891), *Fejletony* (1901).

Kazimierz Zalewski, urodził się 5 grudnia 1849 roku w Płocku. Studya prawnicze odbył w Warszawie, gdzie już stale przebywa i wydaje pismo „ziemiańskie“ *Wiek*. Szereg jego utworów scenicznych jest bardzo długi. Wystawiał *Bez posagu* (1869), *Wycieczka za granicę*, *Z postępem*, *Marco Foscari*, *Przed ślubem*, *Spułdowali*, *Pani Podkomorzyna*, *Złe Ziarno*, *Artykuł 264*, *Dama treflowa*, *Lis w kurniku*, *Górą nasi* (1883), *Friebe* (1885), *Nasi zięciowie* (1886), *Małżeństwo Apfel* (1887), *Synowie bogów*, *Oj mężczyźni, mężczyźni*, *Prawa serca*, *Jak myślicie*, *Syn*, *Łotrzyca*, *Światy lichwiarskie*, *Ogniwa*, *Amerykanin*. Nadto tłumaczył Moliera i jako długoletni recenzent teatralny najpoczytniejszego u nas *Kuryera Warszawskiego* wywierał duży wpływ na scenę warszawską, dający się uczuwać tak autorom, jak i artystom.

W latach ośmdziesiątych najpopularniejszy może pisarz sceniczny, działał sensacyjnością swych tematów i figur, które przypominały wypadki i postacie z warszawskiego bruku i sensacyjnością „roboty“. Tę podpatrzył u majstrów francuskich — im też wszystko zawdzięcza. W gruncie rzeczy są jego sztuki, tak operujące hasłem patriotyzmu, zupełnie kosmopolityczne, od toalet do duszy, tak jak operując hasłem moralności są właściwie tylko waryacyami na temat cudzołóstwa. Bez tego nie obejdzie się żadne prawie dzieło Zalewskiego, tylko zbliżając się do tego tematu ma werwę, wynalazczość, dowcip (opowiadanie w Friebe, oszukiwanie męża przez Pumperową, małżonkowie Pimbeche). Szematy międzynarodowej galeryi teatralnej poza tym komizmem niskim, lecz lechącym nerwy, ani razu nie przemówią językiem uczucia, nie rozgrzeją tam nawet, gdzie autor tego pragnie (quasi-słodka dziewczeczka i jej romantyczny wielbiciel w *Górą nasi!*);



kręcą się zresztą, jak manekiny, bez konieczności wewnętrznej, gromadzą się na scenie, wchodzą i wychodzą bez uprawdopodobnienia, najważniejsze tajemnice zdradzają w monologach i „na str.“ — jednym słowem, są tylko tworamii pyrotechniki teatralnej, zostawiającej po sobie... czczy dym.

W ostatnich czasach zdołał Zalewski obudzić żywsze zajęcie sztuką: *Jak myślicie* — na temat: czy warto być uczciwym.

Analogiczny temat opracował Echegeyay w dramacie *Szaleństwo, czy świętobliwość* — z takim moralnym patosem, że człowieka, którego za nadmiar uczciwości drapieżcy ludzcy robią szaleńcem, my musimy uważać za świętego. Zło w życiu zwycięża najczęściej, widzą to artyści wszystkich ludów i czasów, ale wywołują w nas takie wstrząśnienie moralne, że musimy stawać przeciw złu, musimy całą duszą stać przy ginącym — i w ten sposób dziedziczyć, kontynuować to, co szlachetne i wielkie, które umierając w czasie, żyje jednak w wieczności. Zalewskiego wstrząśnienia wywołują konkluzję: „Dobrześ zrobił, żeś zniszczył testament“...

Dzisiaj utwory Zalewskiego wrażenia już ze sceny nie robią

## ROZDZIAŁ VII.

### NA WYŻYNACH LUDZKOŚCI. ALEKS. ŚWIĘTOCHOWSKI.

Charakter twórczości Świętochowskiego. — Indywidualizm arystokratyczny, szybujący ponad ziemią, wpatrzony w ludzkość, nie w człowieka. Typ ten indywidualistyczno-racjonalistyczny wypływem epoki. Świętochowski, jako bojownik praw rozumu i człowieka. Prawo niezależności w teorii i w praktyce. Stosunek do przeszłości. Rozum, jako moderator praw absolutnych. Poznanie względności, zawodów, stron ujemnych indywidualizmu. Ewolucja światopoglądu w kierunku głosu miłości. Świętochowskiego *Duchy. Galilaei vicisti* — w znaczeniu racjonalistycznym.

Żywot i dzieła.

W kunsztownym, przez najbystrzejszy dowcip i ogrom wiedzy skonstruowanym balonie wznosimy się wysoko, wysoko ponad ziemię. Tracimy bezpośredni związek z gruntem, na którym mieszkają nasi bracia, tylko kształty widzimy bliźnich, coraz mniejsze, coraz bardziej rozplywające się, potem mamy już tylko abstrakcyjne o nich pojęcia. Powoli otacza nas atmosfera inna, czystsza, niż niższa ziemską, przeźroczą, niezatruta, przepojona ciszą, w której nadśluchujemy serc własnych bicia, rozmowy tajnych naszych myśli, szum jakby skrzydeł wieczności. Ale atmosfera ta staje się zimną, mroźną, całe nasze istnienie staje się sztucznem, jak ten okręt, w którym żeglujemy. Organizmowi coraz więcej brak tlenu, wszystkie

czynniki atmosferyczne ogromnie rozrzedzone, krew stygnie i oddychać trudno. Wracamy na ziemię.

Taką jazdą balonem jest twórczość Świętochowskiego. Nie jest ona skrzydłem ludzkości, zrosniętem z nią organicznie nawet w chwilach wzlotu, lecz oderwanym zupełnie od niej organem. Brak jej więc wspólnej pulsacyi krwi. Nie szybuje po ziemi, ani też poza ziemią; Świętochowski nie ma w sobie nic ze spirytualisty — nietylko jako filozof, lecz także jako poeta odrzuca cały świat postaci nadnaturalnych; najwyższe zagadki bytu pozytywizm w nim zupełnie ze sfery twórczości wykluczył, całą duszą należy zawsze do ziemi. Ale spogląda na nią z czółenka, wzniesionego tak wysoko, że ledwie dostrzega kształty, ostatecznie z takiej odległości wszystkie do siebie podobne, potem linie tylko, cienie a najczęściej odtwarza li swoje idee o nich — siebie. Samotnie też w jego atmosferze, zimno, i gwiazdy złote jedynymi tu towarzyszami...

Śmiałek to niełada i duch górny ten, co rzutem i kunsztem potężnym wzbija się w takie wyżyny; duch górny a dumny i wzniosły. Za ciasno mu i gwaro i brudno na tej niskiej ziemi — a im od niej dalszy, tem bardziej ona maleje, a on większy...

A czy ziemię tę, od której ucieka, której prawie nie zna, kocha? Skoro się widzi tę wzgardę, jaką bezustannie okazuje ludzkiemu mrowisku, tę duszę, przemawiającą nawet innym, niż reszta śmiertelników językiem, ów ton autokratyczny, narzucający bezwzględnie swoją wolę a niemiłosiernie chłozzczący przeciwną, ma się obraz arystokraty, wpatzonego w swoją gwiazdę, zakochanego w sobie i w swym kunszcie aeronauty, dla którego budowa i tajniki jego żaglowca napowietrznego są ważniejsze, niż losy płaczących mu się u stóp gromad ludzkich. Ale to tylko pozór. I pocóż wlatywałyby tak wysoko, pod niebiosa? Aby szturmować — o wstęp dla siebie? Aby chwycić gwiazdę dla siebie? Aby oko w oko spojrzeć królującej nad światami Opatrzności? Wiara ta, która



Aleksander Świętochowski.

ludziom dawała cel konkretny, z nim spokój, szczęście i nadzieję wieczystej nagrody, za co ich jeszcze darzono aureolą bezinteresownej cnoty, wiara ta nie jest jego wiara.

— I ty wierzysz, że dusze są nieśmiertelne? pyta umiarkujący Ojciec Makary Reginę. — Wierzę — odpowiada — ale jak? »Nie tak, jak sądziłeś i pragnąłeś, ale i ja wierzę w nieśmiertelność dusz. Jeżeli najdrobniejszy atom nie ginie w naturze, choć się od swych związków odrywa i wyzwala, to również ludzkie myśli i uczucia, chociaż bezimienne i z in-

## Aleksandrowi Świętochowskiemu.

\* \* \* \* \*

W dniu srebrnych godów Twoich z literaturą ojczystą złożyliśmy Ci skromny wieniec wawrzynu. Rzucają nań blask dwie gwiazdy przewodnie dążeń Twoich, dwa najpiękniejsze i najdroższe godła szermierza: prawda i postęp. Jaśniały one na widnokręgu działalności Twojej zarówno w dniach pogodnych, jak dymurnych, oświecając pole walki uporczywej ze wszystkim, co wrogie swobodnemu rozwojowi ducha i sprawiedliwości społecznej.

Siłą talentu i odwagą przekonań szerzyłeś prawdę, wdrażając ogół w tor myśli krytycznej; z męstwem nieustraszonem rwałeś narzucane rozumowi pęta fanatyzmu i ciemnoty; biegłeś w obrobie pokrzywdzonych i uciśnionych; wzniecałeś żar i miłość dla wzniosłych ideałów naszych; darzyłeś nas skarbami natchnienia, poczętego z burz i uniesień płomiennej fantazyi; ze strun, jak stal silnych i dźwięcznych, wydobywałeś ożywcze tony drogiej nam mowy polskiej.

Nagrodą równą zasłudze Twojej obdarzyć Ciebie nie możemy. Znajdź ją w przeświadczeniu o zwycięstwie prawd, przez Ciebie głoszonych, które weszły w krew i ciało postępowych warstw narodu.

W dniu jubileuszowym otrzymałeś hołd wdzięczności i uznania od szerokiego kół wielbicieli, dziś tę skromną wiązanek prac składają Ci

### Pisarze polscy.

Dedykacya z „Prawdy“, książki jubileuszowej, wydanej na cześć A. Świętochowskiego.

nemi spojone, pozostają na wieki w duchu świata. Co z dusz naszych wyszło, to trwać będzie. Ci wszyscy, po których rozpostarł się nasz wpływ dobroczynny, przedłużą życie nasze za grobem, i podadzą jego nić pokoleniom następnym«... Wiara gorzka, dla jednostek bardzo silnych, wyzutych z ostatniego atomu pragnienia osobistego szczęścia, jego przedłużenia. Śmiałem żeglarzowi nic ona nie da, ani jednego błysku oka opatrności, ani jednego cudu, ani jednego odblasku rozkoszy rajskich, które podtrzymywały żeglarzy inaczej wierzących. A może żegluguje on dla samej rozkoszy bujania w sferach podniebnych? Przeminał czas dumnych farysów, prujących pierś pustyni, rozbijających huragany przeszkód huraganem swojej woli, aby tylko osiągnąć pełne poczucie swej siły i nieokiełznanej swobody — i znowu duszę utopić w niebie. Teraz aeronauta pragnie, szuka, przywozi. Pamięć jego zawsze więc przy tej ludzkości, którą tak pogardliwie zostawił; jej to niesie nowiny o duchu świata, o jej to losy idzie pytać gwiazd... Autokrata zdaje się mówić: wszystko dla ludzi — nic z ludźmi. Unosząc się pod obłoki, żeglarz ten zuchwał, losy jednostek, serc, dusz człowieczych ignoruje. To balast. Dobry jeszcze, gdy okręt szybuje nisko ponad ziemią, w wyższych regionach go się odrzuca. Tam żeglarz jest tylko z myślami swemi. Zamiast żywego człowieka ma przed sobą myśl. Abstrakcja ta człowieka będzie antypodą realnego, pozbawioną krwi ciepłej, serca bijącego, zapachu ziemi, będzie znakiem algebraicznym — do rozmyślań o losach ludzkości może jednak doskonale służyć. A o to głównie chodzi. Widzi on bowiem raczej ludzkość, niż człowieka. Zdarzy się, że przyłoży ucho do serca żywej jednostki, wyciągnie rękę i powie: bracie! (*Klemens Boruta*), jednakowoż nawet do najbliższego sobie idzie zawsze przez ludzkość. Trudno — ten obraz, który ze swojej wyżyny dostrzega, musi być typem uniwersalnym, członkiem nie poszczególnego

narodu, czasu, kraju, lecz ludzkości wogóle. Do tego konsekwentnie rozwinięty charakter epoki dojść musiał.

Pozytywizm stracił z ołtarza uczucie i postawił rozum, czynnik analizy i abstrakcyi, uniwersalny i kosmopolityczny. A Świętochowski jest głównym przedstawicielem pozytywizmu polskiego.

Jakby siłą, rozmyślnie, przerwał wszystkie węzły uczuciowe, łączące go ze społeczeństwem, aby w ich miejsce dać niemniej silne, ale nowe zupełnie, odmienne: rozumowe. Społeczeństwo poprzednie, szlacheckie, mało było zróżniczkowane, narzucało ono cechy typowe, gromadzkie, zespalało solidarnością uczucia: on tej solidarności się wyzbywa, chce być tylko sobą, odrębną, niczem nieskrępowaną indywidualnością. Jakby wolny z pod wpływu dziedziczności, wysoko ponad zasadą naśladownictwa, nie zdradza tych zwyczajów, nie mówi tym językiem, nie wyznaje tych wierzeń, co panujące otoczenie: pisząc z początkiem lat siedmdziesiątych, kiedy warstwa ziemiańska, zwyczaj szlachecki, język Pola były typowymi, przedstawia przedewszystkiem obraz »dobrego, bardzo dobrego Europejczyka«. Uzbrojony w dowcip i wiedzę, skonstruował sobie swój balon do żeglugi napowietrznej, zdala od ludzi, bliżej ducha świata... Nigdy zresztą czysty racjonalizm nie miał zmysłu historycznego. Wobec absolutnych praw krytycznego rozumu wszystko, co z nim się nie zgadza, jest absurdem i godnem potępienia. Świętochowski jest też zmysłu dziejowego zupełnie pozbawiony. Grek z czasów Peryklesa i szlachcic polski z początku XIX wieku, rzymianka z epoki Cezara i bernardyn współczesnego Krakowa, dziki ze społeczeństwa prymitywnego i filozof dzisiejszy, dama najwykwintniejsza i lokaj jej stary — wszyscy oni mają jednaki mechanizm psychiczny, myślą i mówią jednakowo. Wszyscy oni są bowiem tylko odbiciami pojęć autora, odzwierciedleniem jego abstrakcyj życiowych. Jak wszyscy prawdziwi racjonalisci posiadają dar dowcipu, błyskotliwego słowa,

dyalektyki w stosunku odpowiednim do bogatego uzdolnienia autora. Dalej będą wszyscy skrajnymi indywidualistami; jak uczucie jest czynnikiem społecznym, tak jest rozum wyodrębniającym: uczucie obejmując ludzi kompleksem wspólnych odziedziczonych upodobań, tradycji, zwyczajów, jest czynnikiem gromadczym, konserwatywnym, rozum ze swym charakterem analitycznym, badawczym, jest urodzonym protestantem. W konsekwencji napotyka rozum zawsze na opór w zorganizowanej tradycji gromadzkiej — i staje do walki. Walka ta jest treścią wszystkich utworów Świętochowskiego.

— Jestem dla siebie — mówi Regina niejako imieniem wszystkich jego dodatnich bohaterów — ogniskiem stworzenia. Dla nikogo z musu się nie poświęcę, cnoty w umartwieniu znać nie chcę, obowiązku zapomnienia nie rozumiem. Niech inni przechodzą życie nie zauważywszy siebie — mnie ten nimbus pokory nie wabi. Dla mnie ludzkość nie jest żadnym obłokiem kurzu, którego wszystkie żdźbła biedz muszą za popędem jednego powiewu. Ile ludzi, tyle osobnych światów — ja jednym z nich i wiem o tem. Nie chcę być niedostrzegalnem ziarnkiem kupy mierzonej masą, nie chcę poruszać się jedynie ruchami gromady, ale przede wszystkim żyć dla siebie i przez siebie. Wszędzie rozpostrzeć mi wolno moje ludzkie prawa, gdzie one cudzych nie naruszają.

Tak mówi Regina i symbolizuje niejako ducha niezależności okresu, którego Świętochowski był głównym bojownikiem, ducha niezależności, który w teorii i dla teorii był tak wspaniałym, ale inaczej w praktyce... Wolność absolutna w sferze myśli dała całą wiedzę współczesną, w sferze czynu — wolną konkurencyę, prawo silniejszego. Dzisiaj to wiemy; przed trzydziestu laty, gdy nowa klasa społeczna, mieszczańska, wstępowała na widownię, mógł Świętochowski z czystym sumieniem i całą wymową bronić prawą wolności — indywidualizmu, hasła praw człowieka. Zresztą jemu nie chodzi o interes mieszczaństwa, świadomie nie służy żadnej kla-



sie — broni tylko postulatów czystego rozumu, wpływu najgłębszej swej istoty. Że one się zlewają z duchem i potrzebą czasu — tem lepiej dla niego i dla idei. Tem skuteczniej służy postępowi ludzkości. Broni więc praw do życia na tej ziemi, której oddają pot swej pracy, istot wzgardzonych, lekceważonych, znienawidzonych, jak Krug, Capenko, Chawa Rubin; broni praw człowieka w księdzu, w niewolniku starożytnym, w poddanym szlachcica polskiego, w wyrobniku umysłowym, zmuszonym swe dzieci kochać »za maską«; we wszystkich strefach, we wszystkich wiekach, u wszystkich narodów szuka go, tego ekstraktu człowieczego, tej treści ludzkiej, z kodeksem »praw człowieka«, godnym Rousseau'a w jednej dłoni, a zbroją stalową dowcipu i erudycji, godną Voltaire'a, w drugiej. *Tiers-état* krusząc we Francyi Bastylę, aby na gruzach jej zbudować ołtarz dla bogini Rozumu i Ludzkości nie miał wymowniejszego, ognistszego, fanatyczniejszego rzecznika nad tego demokratę warszawskiego, który stylem najarystokratyczniejszym rozbijał społeczeństwo stanowe, wyrąbywał w niem ulicę dla nowych ludzi, dla człowieka, dla czystego rozumu. Był bojownikiem swojej indywidualności, a równocześnie idei, czasu.

Zapewnienie swobody swemu ja jest dlań myślą najważniejszą, troską żrącą, namiętnością. Jego Jakób Czarski ma pragnienie, aby być »sam w sobie« człowiekiem, bez wszystkich innych dodatków urzędowych, klasowych, majątkowych, pragnienie dochodzące do manii. »Volapück wysmiano, a jednak tkwi w nim wielka idea. Język powszechny pozwoliłby ludziom zataić swe pochodzenie«. Dla poznania, dla wyzwolenia indywidualności, pogmatwanej, rozprężonej, zagadkowej, założony »klub szachistów«. Dla zachowania pełni swej osobowości wystawia się Regina na walkę z całym światem, chociaż wie, że »świat mniema, że te tylko kobiety od niego się usuwają, które chcą upaść«, choć pamięta, jak za niepodległość zdania zniesławiono, zabito ojca...

Jak wielkiem jego umiłowanie tej swobody indywidualnej, tak wielką nienawiść wszystkiego, co ją zaprzecza. Stąd nienawiść jego do przeszłości, w której widzi tylko barbarzyństwo, gwałt, szereg systemów niewoli. Ten jeden fakt zasłania mu wszystkie inne strony przeszłości dziejowej. Trudno o cięższe akta oskarżenia nad owe historye *Poddanki* i *Błazna*. Kiedy córka chłopska Kazimiera, przez fantazyę dziedziczki wychowana na edukowaną pannę, aby tem boleśniej potem odczuła ból poddaństwa, woła: »Przekłête niech będą prochy wszystkich przeszłych pokoleń, które dały panu nademną prawo tyrana!« — czujemy, że to *homo novus* wyładowuje całą nienawiść wieków przeciw ciemności, że stoją naprzeciw siebie dwa światy, że pozytywny rozum ogołocił się z wszelkiej czułości, aby bezwzględnie dojść praw swoich. Z pod pióra Sienkiewicza podobny wykrzyk nigdy nie mógłby wypłynąć.

Ale ten, który to »przekleństwo« rzucił, nie jest bynajmniej Pankracym. Fanatycy rozumu są rzadsi, niż fanatycy uczucia. Pierwszy ma tę wyższość, że nosi w sobie swą granicę, jest panem-działaczem i sługą-kontrolorem własnym. Gdyby Voltaire był dożył rewolucyi, byłby prędko się cofnął przed jej czynami — Rousseau byłby jej dał się porwać. Bezwzględność, z jaką Okoński feruje swoje wyroki, łamie się i cofa jeszcze w jego młodości. Jak wogóle można być fanatykiem swoich praw, nieubłagany w wykonywaniu ich wyroków, strzałą zimnych, logicznych premis, gdy ludzie, których ona trafi, są *niewinni!* gdy nie ma »na całym świecie jednego, coby był winien, nawet pomiędzy tymi, którzy się sami tak nazywają«! Tensam rozum chłodny, rachujący, który ustanowił dla siebie najwyższe kodeksy i maksymy, poznaje równocześnie ograniczoność woli ludzkiej, podległej silniejszej od siebie konieczności — i uczy się »głównej w etyce Chrystusowej zasady przebaczeń«... Tensam rozum poznaje, że główny jego cel: niepodległość, indywidualność,

oznacza właściwie tyle, co ostrze stali. Rzecz główna w tem, jaka nim kieruje dłoń. »Nie wiedziałam — spowiada się gorzko Regina — że swoboda może być także prawem niebezpiecznem«. *Piękna* oddycha swobodą i pełnią swej natury, a jakkolwiek niezeepsuta i inteligentna — stacza się aż na brzeg przepaści, w którą zapewne kiedyś wpadnie. Kształcić w ludziach sam rozum? Widzimy, że duszą jego egoizm, językiem — interes, tak w ciasnym zakresie, w stosunku np. do Aurelego Wiszara, którego fabrykanci-konkurenci o śmierć przyprowadzają za chęć uszczęśliwienia robotników, jak i na arenie najszerszej, międzynarodowej, np. na wybrzeżach Afryki, gdzie bankrutują najwznioślejsze hasła cywilizacyi i miłości bliźniego...

Jesteśmy u końca pięknego snu pozytywistycznego. Racyonalizm i indywidualizm, główne jego osie, chwieją się, trzeszczą — oparty na nich światopogląd okazuje lukę ogromną, ranę bolesną, z której najlepsza jego krew ucieka. Myśliciel, patrzący w ludzkość, jak w zawile zagadnienie rachunku, widzi, że popełnił omyłkę, a głos jej bolesny odbija się o jego nad ziemię wzniesioną łódkę balonową. Nie, same te dwa czynniki nie wystarczą. Niedosć jest uzbroić się w dumę swego ja i w najostrzejszą broń rozumu, jak to czyni Regina, Zofia, i z wyżyny tego tronu rzucać ludziom skarby ukrytego w głębiach szlachetnego swego serca. Nie dość jest kochać, jak to czyni ks. Makary, i z małodusznych pobudek uczucie to tłumić — póki omal piersi nie rozsądzi jemu i najmiłszym. I nie dość też, dla zadowolenia ukochanej kobiety i abstrakcyjnego obowiązku, założyć azyl uszczęśliwiania bliźnich a pozostać im duszą obcym i dalekim, jak to czyni Aureli Wiszar.

I w najwyższym okresie swej twórczości, zrównoważony mędrzec i człowiek, Świętochowski kreśli abstrakcyę swego Arjosa. Wznosi się na szczyty ludzkości, ale serce swe łączy z sercami wszystkiego, co żyje, cząstkę duszy

zostawia przy wszystkim, co cierpi. I pierwsze słowa Arjosa-Zwiastuna, który nam uświadamia myśl życia, brzmią modlitwą: »Eljonie, boże jedyny, daj sercu mojemu tyle miłości, ile jest w sercach ludzkich cierpienia!« A dalsze jego słowa brzmią: »Twój smutek, radość, miłość, nienawiść są pewniejszą prawdą, niż najniezawodniejsze twierdzenia rozumu. Gmachem ludzkiej wiedzy czas ciągle wstrząsać będzie i rozwalać go w gruzy, a najdrobniejszego uczucia serc ludzkich nie wzruszą wieki. Za tysiące lat, gdy wszystkie prawdy wiedzy runą, nie przestanie to być prawdą, żeś cierpiał lub kochał. Więc wołam z woli boga jedynego do was, uczeni mężowie, do wszystkich ludzi, do stworzeń martwych(?) i żywych — kochajcie się!«

*Galilae vicisti!*

Wykrzyk ów jest od znaczenia, jakie ostatnim słowom Pankracego nadaje Krasieński, tak dalekim, jak tylko odległym jest radykał-pozytywista, choćby miłość sobie wyrozumował od arystokraty klerykałnego, choćby sobie wyrozumował uprawnienie pewnych konieczności nowoczesnego życia. Świętochowski ogołaca Zwiastuna ze wszystkich znamion tradycyjnych; Chrystus jest krystalizacją i najwyższą syntezą wszystkich tych duchów miłości, dobra, poświęcenia, które od zarania dziejów pojawiają się na nizinach ludzkości, aby kierować jej skrzydłami, będącemi... krzyżem; wciela się jego duch tylko w wybrańców, będących zawsze też wybrańcami nieszczęścia — nie wciela się w dzieje z winy urządzeń społecznych, tradycji, powag, uosobionych głównie w najwyższym typie powagi: w stanie kapłańskim. A przedewszystkiem nie uosabia żadnej idei zaświatowej. Ale jedna jest wieczność, jedna jest wiara, jeden cel, ciągle odkwitający, coraz potężniejszy krwią męczenników, gorętszy sercami rosnącej liczby wyznawców: Duch. A jedyną jego mową: miłość.

Aleksander Świętochowski urodz. 18 stycznia 1849 w Stoczku. Do gimnazjum uczęszczał w Siedlcach i w Lublinie, od roku 1866—1870 do Szkoły Głównej (potem Uniwersytet) w Warszawie na wydział filozoficzny, sekcję historyczną. Był jednym z pierwszych, którzy uświadomili sobie, że społeczeństwo niemym protestem i bezwładnym konserwatyzmem żyć nie może, i szukając ideału wieku znalazł go w apoteozie rozumu pozytywnego, w pracy kulturalnej „u podstaw“ w domu, a handlowo-przemysłowej na zewnątrz, w walce z wrogią nauce pozytywnej ciemnotą, fanatyzmem religijnym i społecznym, w krzewieniu hasła ogólnoludzkich. Umieściwszy poprzednio kilka drobnych artykułków w innych czasopismach, zaczął w r. 1870 pisywać stale w *Przeglądzie Tygodniowym* w duchu swoich zasad i wkrótce stał się tych zasad najzdolniejszym, najgłośniejszym i najbardziej obawianym szermierzem. Walczył artykułami programowymi (*My i wy*, *Przegl. Tyg.* nr. 44 r. 1871, *Absenteizm*, *Młodzi i starzy*, *Trzeźwi i pijani* 72, *Praca u podstaw*, *O średnim wykształceniu kobiet* 73, *O wyższem wykształceniu kobiet*, *Nowe drogi* 74), najbardziej jednak jego bronią były artykuły i krótkie notatki polemiczne (*Echa*), w których niezrównana jego dyalektyka, ostry świetny dowcip i specjalny dar doprowadzania zdań przeciwników do absurdu niezliczone zadawały rany reprezentantom i prądom konserwatywnym. W r. 1874 udał się do Lipska na studia filozoficzne, które ukończył w r. 1876 z tytułem doktorskim na podstawie pracy: *Ein Versuch die Entstehung der Moralgesetze zu erklären*. Do *Przeglądu Tygodniowego* przestał pisywać w r. 1878 i objął redakcję dziennika *Nowiny*, z którego jednak rychło ustąpił i w r. 1881 zaczął wydawać tygodnik *Prawda*. We wszystkich tych czasopismach rozsypał niezliczoną ilość artykułów i rozpraw publicystycznych, wytycznych dla reprezentowanego przez siebie kierunku; fejetony jego (w *Nowinach* pt. *Listy z Paragwaju*, w *Prawdzie*: *Liberum veto*) — to bezustanna walka przedniej straży postępu, nieraz z widziadłem rozgorączkowanej wojną wyobraźni, wreszcie z armią istotnie wrogą światłu, walka przeszło dwudziestoletnia a zadziwiająca sztuką szermierską, niewyczerpanem bogactwem świetnego dowcipu, wiedzy niepospolitej, — w ostatnich zaś czasach: tonów spokojnej podniosłości duchowej. Nie skupił się, nie zebrał Świętochowski swych idei publicystycznych w jednolitą, organiczną całość, co w naszych warunkach byłoby nawet trudnem; niejedna z jego idei się przeżyła, niejedną, nauczony doświadczeniem, sam porzucił; to, co dał i jak dał, czyni go bezprzecnie jednym z największych publicystów polskich.

Poza publicystyką napisał Świętochowski szereg rozpraw filo-

zoficznych, dramatów i nowel. Rozprawy, prócz doktorskiej: *O po-  
stawianiu praw moralnych* (1879), *Dumania pesymisty* (1877), *Wolter*  
(1878), *O epikureizmie* (1889), *Poeta, jako człowiek pierwotny* (1896).  
Dramaty i nowele Świętochowskiego były przez długi czas porozrzu-  
cane tylko po czasopismach *Przegl. Tyg.*, *Nowiny*, *Prawda*; osobno  
wyszły były tylko dramaty: *Niewinni* (1876), *Ojciec Makary* (1876),  
*Piękna* (1878), *Dramata: (Antea, Na targu, Helvia, Poddanka, Błazen,*  
*Za maską* 1879), *O życie* (nowele: *Damian Capenko, Chawa Rubin,*  
*Karl Krug* 1879) *Klemens Boruta* (1880); niedawno zaczęły wycho-  
dzić w zbiorowym wydaniu (1896—1900 tomów VII), które obejmują  
wszystkie utwory z wyjątkiem *Niewinnych* i części *Duchów*, druko-  
wanych w odcinku *Prawdy* za r. 1900.

Dla uczczenia dwudziestopięcioletniej działalności (1870—1895),  
wyszła w r. 1899 książka zbiorowa pt. *Prawda*, zawierająca dokładną  
bibliografię jego pism, oraz szereg prac naukowych i beletrystycznych  
kilkudziesięciu postępowych pisarzy polskich.

Indywidualizm arystokratyczny, nie dotykający ziemi, szybu-  
bujący w sferze abstrakcyj, sygnowanych nazwami ludzi, wycisnął  
swe ślady tak na formie, jak i na treści utworów artystycznych  
Świętochowskiego. Pomijając tom *Obrazków powieściowych*, w któ-  
rych autor zdobył się na prawie realistyczne traktowanie postaci  
jednostek, walczących „o życie“, są wszystkie jego dzieła pracami  
mozaikowemi; złożone z świetnych kamieni, przypominają znane rysy,  
a pozbawione ciepła, nastroju, wibracji życia wewnętrznego.

Jeżeli celem artysty jest ukazywanie zjawisk *sub specie aeterni*,  
to Świętochowski napisał kilka utworów, mających w sobie wielkość;  
jeżeli środkiem jego — odtwarzanie duszy ludzkiej, to Świętochowski  
zna jedną tylko: swoją własną. Zakochany w swym indywidualizmie  
filozof z lubością oddaje się dyalektycznym ćwiczeniom mózgowym  
i święci na tem polu najwyższe tryumfy, graniczące z najwyższą sła-  
bością. Wygnanie uczucia ze sfery sztuki mści się strasznie. Logika  
rozumu jest tylko jedna, wyłącznie logika uczucia stwarza tę rozma-  
itość i barwność, która stanowi powab życia i sztuki. U Świętochow-  
skiego wszyscy ludzie tylko rozumują, rozumują i wyrażają to jedna-  
kowo świetnie; gdzie ma przemówić uczucie — słyszymy dyalektykę,  
zamiast subtelności psychicznej — szematy i paradoksy. Podkładem  
jego dzieł jest zawsze idea, ale gdy na scenie i w poezji jeden gest,  
jeden wykrzyk serdeczny więcej przekonywa niż dyskusya, przeto  
sztuki Świętochowskiego nigdy nie przekonywują; zostawiają tylko  
wrażenie nieznównanej dyalektyki oraz garście przepysznych afory-  
zmów. Autor sądzi, że są one dostatecznemi sprężynami do poruszania

dusz ludzkich; w dramatach, punktach kulminacyjnych, gdy czekamy walki dusz, starcia się namiętności, nakręca on budzik dyalektyczny: Zenon opowiadaniem wstrzymuje Piękną od upadku, Regina — spowiedzią sprowadza zwrot w pojęciach o osobie ks. Makarego, Perrykles mową rozwiązuje węzeł tragiczny — we wszystkich wypadkach i przesileniach tych dramatów nie czujemy jednak konieczności wewnętrznej, nie widzimy ludzi, walczących z fatum zewnętrznem (jak w dramacie starożytnym), lub wewnętrznem (jak w nowożytnym); dramata te są też tylko wspaniałemi mozaikami stylu, mozaikami, które w pierwszej chwili olśniewają, ale nagromadzone bez liku zacierają wszelkie wrażenie prawdy, sprawiają monotonię, nużą. Tylko w oderwaniu od dzisiejszego życia, w krótkich scenach, trzymają pod swoim urokiem; najlepszymi utworami Świętochowskiego są też jednoaktówki, Bajki i parable greckie. Nie razi nas tu mozaikowa, zimna robota, nie razi nieznanomość życia i społeczeństwa swego, która u tak „trzeźwego“ w teorii pisarza dochodzi nieraz do rozmiarów monstrualnych (gdy np. w *Pięknej* pozwala, aby młody hrabia prosił Zenona o ułatwienie mu schadzki miłosnej z mężatką, albo, gdy wszyscy nad zmarłą Ireną przechodzą, jak nad zdeptanym owadem).

Gdzie autor nie naraża nas na konflikt z życiem i naturą ludzką, bawiąc w świecie abstrakcyj, towarzyszymy mu z uczuciem podniosłym, rzadko zamyślonem. Najwyższym też jego utworem — *Duchy*. Już sam pomysł technie prawdziwą poezją. Aryos i Orla — to duchy miłości, błądzące niejako po obszarze międzyplanetarnym, wcielające się w każdym pokoleniu w dwoje śmiertelników, aby życiem swem, nauką, zgonem, mnożyć zastępy wyznawców miłości. Uczucie to bowiem jest najpotężniejszą dźwignią cywilizacji i najczystsze źródłem szczęścia. Widzimy to w szeregu obrazów dziejowych, stanowiących rodzaj *Legendy wieków* W. Hugo, *Tragedji człowieka* Madacha, oryginalnie jednak pojętych. W koczowniczej hordzie pierwotnej homofagów i związków bezładnych, odwzajemniona miłość jednego mężczyzny ku jednej kobiecie stanowi zawiązek kultury. Para ta, zrywająca starodawny zwyczaj gromady musi zginąć. — W drugim obrazie widzimy społeczeństwo na wyższej stopie rozwoju. *Moronowie* — to obraz walki w łonie ludzkości za czasów Mojżesza. Świętochowski uważa, zdaje się, zwycięstwo Mojżesza za fakt antykulturowy, gdyż usłużył teokracji i ciasnym pojęciom o bogu narodowym. Z radością natomiast wita wizję Chrystusa. Rzuca ją na wspaniałe zakreślone tło ówczesnej, rozpustą, okrucieństwem i sofisteryą przegryzionej cywilizacji rzymskiej — i tu znowu ma sposobność do roztaczania całego przepychu swego dowcipu i ogromu nienawiści do instytucji

niewolnictwa. I Miłość zwycięża, ale jeszcze prawdziwsze zwycięstwo święci katolicyzm. Dalsze obrady wiodą nas też do zamków i pałaców feudalnych; ucieka z nich wstrętem ku wojnie, obłudzie i nieprawości przejęty Aryos, aby wrócić, wraz z Orlą, dobroczynną panią swoich chłopów — na stos św. Inkwizycyi... Lecz idee ich nie zginą. Z każdym pokoleniem ludzkość jest potężniejsza i stawia sobie wyższe zadania. Dokonywa ich wśród walk bezustannych, bo walka — jak nas w bardzo prozaicznym prologu uprzedzają przedstawiciele żywiołów przyrody — jest prawem wszechświata; walką powinien też iść naprzód duch człowieczy, walką ze wszystkim, co bierze w kleszcze, łamie, obniża czystą miłość i sprawiedliwość, walką z wcieleniem tego ducha zła: kasta, dążąca po wszystkie czasy u wszystkich ludów do teokracji.

Jeszcze raz zwycięża tu u Świętochowskiego Wolter z tą wieczną pogardą dla wszelkiej metafizyki, z trąbką bojową przeciw hierarchiom wyznaniowym, z *sui generis* klasycyzmem formy.



## ROZDZIAŁ VIII.

### DALSZA REAKCYA UCZUCIA. TRYLOGIA SIENKIEWICZA.

Budzenie się w narodzie pierwiastku szlacheckiego. Znaczenie jego dodatnie: ożywienie poczucia narodowego. Utylitarny charakter powieści historycznej. Protest przeciw krytykowaniu przeszłości. Znaczenie jego ujemne: zwrot ku tradycjom szlacheckim. — Atmosfera dla indywidualności Sienkiewicza. Szlacheckie jego sympatyje na ławie uniwersyteckiej. Podkład jego uczuciowy i zmysł rzeczywistości. Istota jego natury przytłoczona przez wpływy pozytywistyczne przebija się i walczy w pierwszych utworach, nareszcie zwycięża. — Znaczenie Trylogii. Homerycki jej charakter. — *Ogniem i mieczem. Pan Tadeusz.* Wysoki nastrój i mądrość Mickiewicza. Sienkiewicz i Prus. Sienkiewicz nie stoi ponad światem swoich powieści. Pokrzepienie z nich tylko dla umysłów niekrytycznych. Zasługa Sienkiewicza w rozbudzeniu uczuć narodowych. Słabość — w braku kierowniczej myśli. Świat jego w oświeceniu Zygm. Kaczkowskiego. Sienkiewicz wyobrazicielem przeciętności szlacheckiej.

Żywot i dzieła.

Zimno było, acz jasno, w dobie pozytywizmu, zimno i trochę obco. Przeobrażenie typu ziemiańsko-szlacheckiego w przemysłowo-mieszczański dokonywało się mocą nieubłaganej logiki faktów, ale nie bez protestów wewnętrznych. Skutkiem zmian ekonomicznych znaczna część szlachty wiejskiej rzucona na bruk miejski podszywała się w nową skórę, ale pod pokostem niejednego urzędnika i inżyniera tkwił duch

onegdajszego szlachcica z całym zasobem tradycyji, instynktów, sympatyj i antypatyj dziedzicznych. A pozostali na roli przetrzymali już byli najgorsze lata, oswoili się z nowym stanem rzeczy i zaczęli możliwie dobrze w nim się urządzać. W Galicyi prędko minęła era rządów adwokatów i mieszczan z pierwszych lat konstytucyjnych — w latach siedmdziesiątych zwyciężył już we wszystkich dziedzinach życia publicznego stan szlachecki, coraz bardziej zrywający z niedawnym rozpędem liberalnym, coraz bardziej wracający do wszystkich nałogów, przekazanych dziedziczością. W Królestwie to samo działo się w sferze życia obywatelskiego i towarzyskiego. Gdy w r. 1870 żadne pismo nie występowało jawnie, jako organ szlachecki, w r. 1880 pozytywistyczna niegdyś *Niwa* nawoływała »Nieobecnych«, aby nie ustępowali wszystkich dostępnych postępków życia *bergom* i *stejnom*. Przytłoczona przez twardą konieczność i rozum pozytywny sfera uczuć, tradycyji, nawyków i pretensyj, sympatyj i antypatyj, zaczęła powoli wracać do życia, szarzyzna mieszczańska zaczęła zabarwiać się karmazynem i herbem rodowym, tem świetniejszym, że wiedza techniczna i administracyjna pozytywistów a pieniądź niejednej *stejnówny* dawały mu często tło złote.

Ale i szerszemu ogółowi doktryny czystego pozytywizmu nie wystarczały. Szmat duszy polskiej, z której do niedawna jeszcze aż pod niebo strzelały najwspanialsze porywy entuzjazmu, bohaterstwa — cała sfera uczuć, objęta przez temperament narodowy, leżała teraz odłogiem, albo była zasiana roślinkami blademi i wątłemi. Duszom, w których szumiały echa proporców, darmo Asnyk, Orzeszkowa, Konopnicka, Świętochowski śpiewali pieśni o walce na rozumy, o bohaterach wiedzy i męczennikach myśli wolnej; duszom, szamoczącym się wśród szarej, smutnej rzeczywistości, niewielką pociechę były obrazki nędzy, krzywdy i negatywne ideały ludowe, roztaczane przez Konopnicką; duszom, czującym mimo wszystko kipiączkę soków żywotnych, płomień naro-

dowego temperamentu, indywidualność odrębną, wiew przeszłości wielkiej a własnej — nie wystarczały hasła ogólnoludzkie i abstrakcye ideowe.

Nie samym tylko krytycyzmem — który jest istotą tej epoki — żyje człowiek, nie samym tylko utylitaryzmem. Tymczasem niejednen zwracał się jeszcze do przeszłości, ale w celach czysto utylitarnych. O najwybitniejszym pisarzu poprzedniej doby pisze Chmielowski: »W pojęciu charakteru i roli dziejowej osobistości i wypadków pierwszorzędnych, Kraszewski okazał dziwną dążność do kreślenia słabej ich strony, nie zaś ich potęgi, jakby opanowany był myślą wyszukiwania źródeł upadku Rzeczypospolitej już w owych odległych czasach piastowskich«. Niektórzy szli jeszcze dalej, i gdy tak jedni spoglądali na przeszłość, jako na zagadnienie rachunkowe, inni widzieli w niej »jawnogrzesznicę«. A gdy inni widząc negacyę ideałów ogólnoludzkich, wołali wprost »przekłeta!« — musiało w niejednem sercu zakipieć, w niejednem musiała wybuchnąć tem większa miłość do przeszłości, do indywidualności narodowej ze wszystkimi jej cnotami a nawet błędami, ze wszystkim co w jej losach było złem i dobrem, bo to swojskie, własne, krew z krwi swojej, kość z kości swojej. A że przeszłość ta historyczna była jedynie szlachecką, nic dziwnego, że kierunek w zasadzie piękny, uzasadniony, zbawienny: powrót do swego *ja* — w praktyce przemienił się w apologię szlachty, w wsteczniectwo.

Reakcyja ta uczuciowa tworzy atmosferę, której dla pełnego rozwoju swej indywidualności potrzebował Henryk Sienkiewicz.

— »Wśród bogatego roju młodzieży, dojrzewającej w ulu Szkoły Głównej — opowiada Aleks. Świętochowski — wczesnie wyróżniały się rozmaite gatunki pszczół: widziałeś leniwe trutnie, widziałeś pracownice, widziałeś matki, które niegdyś (!) królować miały. Rozwój umysłowy biegł szybko, zdolności też zarysowały się wyraźnie. Prawie każda wydatniejsza tam

głowa nie zniżyła się później pod średnią miarę. Z ostatniego trzechlecia szkoły: Chmielowski, Głowacki (Prus), Ochorowicz, Rajchman, Kotarbiński i inni, którzy w niej przerastali towarzyszków, albo nie zawiedli wróżb dobrych, albo je nawet przekroczyli daleko.

»Był wszakże w szczupłym gronie wydziału historyczno-filozoficznego student, który niczem nie zapowiadał wysokiego talentu i żył zupełnie poza tem wyborowem kołem. Pamiętam tylko, że idąc raz z nim przez ulicę, zdumiałem się nad jego biegłością w rozpoznawaniu herbów na arystokratycznych gmachach i karetach, oraz nad znacznym zasobem wiedzy z historii rodzin szlacheckich. Była to wszakże jedyna niezwykła w nim cecha. Wątpli, chorowity, w audytorium rzadko widzialny, w życiu studenckiem nie przyjmujący żadnego udziału, przed egzaminami mocno zakłopotany i na uboczu trzymający się, zwracał na siebie tak słabą uwagę kolegów, że gdy po skończeniu uniwersytetu Kotarbiński upewniał nas kilku, że Sienkiewicz napisał piękną powieść *Na marne*, rozśmialiśmy się serdecznie i zapisali tę wiadomość na rachunek złudzeń powiatowej sympatyj jednego podlasiaka dla drugiego«.

Nie uświadomił był sobie jeszcze Sienkiewicz swego powołania na wskrzesiciela przeszłości narodu, a natura, cała jego indywidualność w tym kierunku go parla.

Wychowany wśród tradycyj szlachecko-żołnierskich, przyniósł ze sobą na świat dary, które gwarantują siłę — a zarazem słabość — jego olbrzymiego talentu: przyniósł uczuciowość i zmysł rzeczywistości w stopniu wyższym, niż którykolwiek z pisarzy współczesnych. Samo poczucie rzeczywistości czyniłoby go bezdusznym naturalistą, sama uczuciowość — dałaby mu może skrzydła romantyzmu, przemieniła w metafizyka-mistyka. U niego dwie te władze dziwnie są równomierne. Kierując się instynktem, sympatją, uczuciem, nie rozplamionem nigdy do rozmiarów słońca, około którego

cała ziemia i gwiazdy by się obracały: bierze ludzi i rzeczy, *jakiemi są*, stąd niesłychana konkretność jego pojęć i obrazów, ale stąd też mała złożoność jego idei. Prosta taka a silna natura weźmie je ze źródła największej prostoty i siły: od żywiołowej tej potęgi, którą jest przeciętność gatunku — przeciętność narodu. Talent filozofowania lub rozpalone, jak u wieszczów naszych uczucie, wskazywałyby mu inny punkt widzenia i widnokrąg inny — Sienkiewicz ze swoją organizacją duchową stał się doskonałym wyobrazicielem przeciętności narodu, historycznej jego reprezentacji: szlachty.

■ Nie odrazu i nie tak prędko.

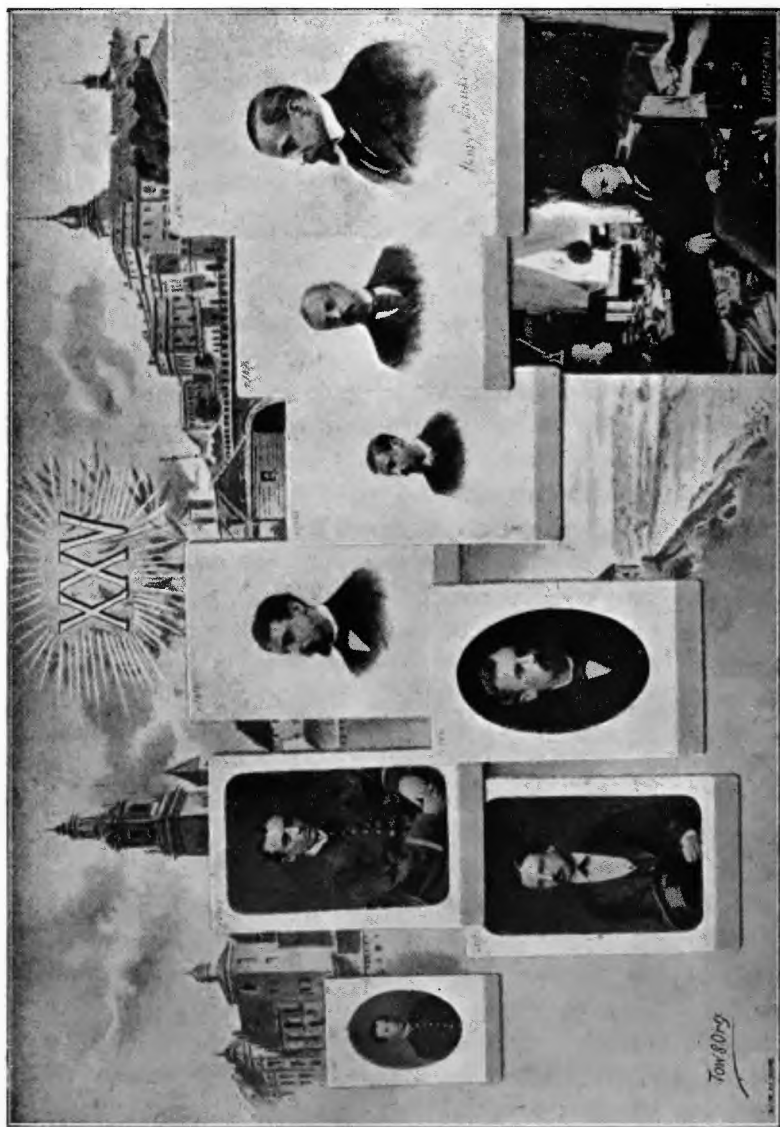
Wpływy rodzinne, dziedziczności i wychowania, zostały mocno przygłuszone przez pierwsze doświadczenia życia, zięjącego wówczas ideami demokratyzmu i liberalizmu. Z otoczenia kolegów i ze szpalt »młodej prasy«, z książek najgłośniejszych i potrzeb dnia najpilniejszych płynęły one, wsiąkały w wrażliwy umysł. Wchłaniał je i odtwarzał młody artysta, ale pod tą modną powierzchnią żarzyły się węgle z ołtarzy starych bogów rodzinnych, we krwi huczały porywy i rozpędy bynajmniej nie mieszczańsko-racyonalistyczne. Przez blisko dziesięć lat widać w jego utworach walkę sprzecznych żywiołów, walkę uczuciowo-szlacheckiego serca z pozytywnie-słuszno-demokratyczną głową. Natura pod ciśnieniem odpowiedniego momentu dziejowego nareszcie zwyciężyła.

W pierwszej jego noweli Wilk-Garbowiecki »choć matką jego była Jazłowiecka«, utrzymywał, że wyraz »staroszlachecki« to głupstwo i powtarzał z dumą: *homo sum!* — zawsze jednak »ciągnie« go do roli. W dalszych swych nowelach wystawił Sienkiewicz pomnik *Staremu słudze* za ślepą jego wierność i za echa rycerskie, brzmiące w jego opowiadaniach — i uciekając z bruku miejskiego i młyna dziennikarskiego — wyśpiewał prześliczną sielankę miłosną, pachnącą wszystkimi urokami wsi polskiej pod berłem szlacheckiem, dźwięczącą wszystkimi strunami taniego a tak sympatycznego bohater-

stwa. Na uboczu, w cieniu zostawia postać studenta-pozytywisty, głębszą i bardziej skomplikowaną, niż figury właściwych bohaterów, tych zaś stroi w aureole i nimby iście »kawalerskie«. »Mistrz«-akademik — to epizod, ważnymi w życiu są przygody serc młodych, wśród akompaniamentu piorunów i świstu szabli pojedynkowej, szabli ojców, otrzymanej przez chłopaka z błogosławieństwem: »niech cię prowadzi Bóg ojców twoich«...

Następuje szczęśliwe dla autora i dla literatury zdarzenie: podróż po Ameryce; pogłębia ona jego duszę, ta staje się silną, męską i nieskończenie prostą, odrzuca od siebie resztę tyranii miasta, nerwów, małości, tyranie refleksyi nad zdrowym, nieskrępowanym instynktem — staje się coraz bardziej homerycką. Obrazy olbrzymie, wspaniałe, dzikie, będą odtąd w niej graniczyły z uczuciami o dziecięcej prostocie i rzetelności; cześć dla cudów siły i siły cudów będzie szła w parze z pragnieniem uzupełnienia swego bytu — przeciwieństwem: stworzeniem słodkim, łagodnym i biernym; życie współczesne, o zatartych instynktach a spotężniałym mózgu, o heroizmie tylko w sferze myśli, o purpurze tylko w sferze snów, życie to szare, oschłe, pozytywne, będzie coraz bardziej od siebie odsuwał, by pogrążyć się w innem... Coraz więcej będzie tęsknił do ziemi wielkoludów, o olbrzymich namiętnościach, płomiennych barwach, gwałtownych zdarzeniach, gdy nie opuszczający go zmysł rzeczywistości będzie tę fantazyę utrzymywał w karchach możliwości, czego nie zdołał np. Słowacki; będzie wspomnienia swe świadome i bezwiedne atawizmy, wszystkie przez pokolenia nagromadzone uczucia rycersko-szlacheckie kondensował w głębi duszy, przetwarzał w zakamarkach fantazyi, czekał pory, kiedy on i czas dojrzeją...

Nowele jego noszące ślady owego fermentowania, pasowania się wewnętrznego, owych sympatyj umysłowych dla Rzepy i Rzepowej i strofowania dworu za nich i za *Fanka* — *muzykanta*, długo też są przyjmowane z mięszaniem bardzo



Henryk Sienkiewicz

uczuciami. »Postępowcy« widzą w nim dzielnego towarzysza ideowego, hr. Tarnowski wytyka mu (1881) »skłonność do pesymizmu«, zarzuca mu, że »jest jakoś niezupełnie zdrow, że jego myśl i dążność niezawsze daje się łatwo uchwycić i jasno pojąć«. On tymczasem szamocze się z sobą o odkrycie wewnętrznej swej istoty, o pole dla swej twórczości; powoli przestaje widzieć w chłopie duszę artystyczną, uczucia głębsze, heroizm uczciwości; jeśli go rysuje — rzuca go na tło płomienne bitwy, gdzie zwierzę rozjuszone w szale wojennym może chwilowo nawet być pięknem; próbuje stawać jako rozjemca między obozem demokratycznym a arystokratycznym, nie zdoławszy wszelako podnieść się do tonu idei, do symbolu, jaki mamy u Krasińskiego, przedstawivszy tylko walkę głodnego młodego wilka (demokracja!) z tworamiv szlachetnymi, lecz nieprzystosowanymi do walki o byt (arystokracja!) — a duszy jego coraz ciaśniej w atmosferze laboratoryjnej, gdzie realizm pracuje z mikroskopem... sercu jego coraz ciężiej z tą »smutną rolą« malarza nizin.

Nareszcie w powietrzu zawisła reakcja przeciw pozytywizmowi. Rozległ się protest przeciw niemu z dołu — rozległ się też z góry. Tłumione uczucie szukało dla siebie wyrazu. I gdy jedni wskazali przed siebie, Sienkiewicz — poeta, malarz, obywatel-szlachcic, ale nie wieszcz, ani filozof, ani mąż ludu, wpatrzył się w przeszłość i wskazał na szlacheckiego Księcia Niezłomnego (*Niewola tatarska* 1880) i na rycerzy, broniących Zbaraża (*Ogniem i mieczem* 1884).

Ze stu tysięcy piersi odpowiedział mu głos zachwyty.

Trylogia Sienkiewicza to nie szereg książek — to czyn wielki. Dusza narodu łaknęła go, wyczekiwała. Pragnęła swojskości — a dawno książka tak nie dyszała, jak ta, polskością; pragnęła szerokiego tchu dla przytłoczonych piersi — dawno książka nie była, jak ta, zdolną do budzenia wspomnień, marzeń, entuzjazmu; pragnęła pokrzepienia, a ta robiła na wielu wrażenie owego »węża miedzianego«, w którego Mojżesz



kazał się wpatrywać strudzonemu wędrowni, zdziesiątkowanemu chorobą Izraelowi na puszczy.

Tak Trylogię przyjęto, takim jest jej znaczenie dla szerokich kół publiczności, dla reprezentantów inteligencji, jak i dla mas włościańskich i oddalonych od kraju wędrowni, których książka stała się własnością; Trylogia stała się dla nich tem, czem »Homer« dla starej Grecji...



Juliusz Kossak: Książę Jeremi Wiśniowiecki.

I nic dziwnego — dał bowiem i dać zamierzył Sienkiewicz dzieło homerowskie.

Homerowskim jest w rytmie języka, dopraszającym się głośnej deklamacji poszczególnych ustępów wzniosłych, to bojowych; homerowskim — w porównaniach i zwrotach typowych, homerowskim w stosunku do swych bohaterów, który z bogów czyni ludzi, a ludzi zbliża do miary bogów, a także w sposobie ich charakteryzowania. A że ten Homer jest szczeropolskim, w odczuciu każdej postaci i w trakto-

waniu każdego faktu, w dowcipie każdym Zagłoby i w ruchu każdym masy narodu, w trzpiotostwie wdzięcznego Hajduczka i w sile charakteru Oleśki, w miłosnem wżyciu się w dusze kilku przeszłych pokoleń i w patrzeniu na losy całości — więc nic dziwnego, że zapął i miłość mu towarzyszą.

Porównywano nieraz Trylogię z *Panem Tadeuszem*.

Jest jednak między temi dziełami różnica taka, jak między Mickiewiczem — a Sienkiewiczem.

Nawet w tym swoim utworze, który nie jest najwyższym w twórczości autora *Improwizacyi*, lecz tylko najpogodniejszym, najśłoneczniejszym i — najbardziej też z zewnątrz obejmującym życie, nawet w tym swoim utworze Mickiewicz jest olbrzymem. Nietylko pod względem artystycznym — Sienkiewiczowi daleko do tej harmonii, do tej koncentracji, do tej wszechstronności i pełni życia, którą tchnie wielki poemat — lecz pod względem ducha. Mickiewicz nawet w czysto szlacheckiej epopei nie przestał być tym, który czuje za miliony, który ukochał cały naród, wszystkie jego przeszłe i przyszłe pokolenia. Przy całej więc miłości, którą żywi dla przeszłości opiewanej, stoi ponad nią i ponad jej wyobrażeniami, nietylko humorem, nietylko mieczem karzącym, lecz sztandarem idei. I idzie od niego wiew świeży, tchnienie potężne, które bije z toastu Tadeusza za zdrowie wszystkich współobywateli, — i staje się duchem łącznym między dawnymi i nowymi laty...

Czy Sienkiewicz stoi ponad opiewaną przez siebie przeszłością — i jej wyobrazicielami? Czy oprócz ech dziejowych przynosi jakieś ziarna przyszłości?

Tego nie można powiedzieć.

»Dla pokrzępienia serc« — pisał swą Trylogię. Niestety — pokrzepia na bardzo krótko — bardzo niekrytycznie.

Tragizm to najwyższy, druzgoczący oschłym swym faktem wszystkie autora zdolności i tendencye, że trylogia kończy się *Panem Wołodyjowskim*. Więc na nic bohaterski

i nawet nie jednorazowy poryw narodu, na nic Zbaraż, na nic Częstochowa, w niwecz fortele Zagłobów, męstwo Skrzetuskich, czystość Podbiętych, bitność Czarnieckich — Kamieniec upadł!... Upadł — nie wytrwał. Jednostki tylko się znalazły, ocaliły honor i zgasły w desperacji — bezpotomne...

Smutne pokrzepienie. Świetny autor rozogniwszy nam wyobraźnię — w zetknięciu z myślą krytyczną wywołuje reakcję, ból, gorycz. I ma się nieraz ochotę rzucić tę jego książkę, pełną bohaterskiego temperamentu — a ani jednej myśli bohaterskiej, pełną szczęku walki z wrogiem zewnętrznym a bez uwagi na podstawy społeczeństwa wewnętrzne, i wszystkim jej bohaterom ciskać bez końca, bo bez odpowiedzi pytanie

za co życie w życia chwili  
z taką pychą roztrwonili —

a gdy Sienkiewicz kończy swój cykl dziejowy wspaniałym transparentem artystycznym i wprowadzając Sobieskiego woła z uniesieniem: *Salvator!* — w nas gorycz i ból wzrasta... Człowiek nowoczesny, np. Prus, pisząc powieść historyczną pokazuje nam cały mechanizm życia, wszystkie wewnętrzne narodu ukryte potęgi, pokazuje, jak od ich należytego ustosunkowania, od sumy światła, sprawiedliwości i prawdy, jaką będą przepojone, wypłyne wielkość. Toteż w *Faraonie* Prusa musimy sobie powiedzieć: *non omnis moriar...* Sienkiewicz nie otworzył przed nami życia społeczeństwa, nie ukazał nam jego potęg wewnętrznych. Przeciwnie, wszystkie prawdziwe sprężyny ówczesnego życia oplakana jego historyzofia purpurą swego arcyzmu zasłania. Nie obejmuje uściskiem całego narodu, lecz jedną tylko warstwę; nie okazuje zrozumienia dla fundamentów społecznych i politycznych jego bytu, skoro w *Ogniem i Mieczem* tak jednostronnie przedstawia stosunek kolonizatorów polskich do chłopstwa, łacinników do rusinów;

nie okazuje warunków na wychowawcę narodu, skoro w *Po-topie* przeocza zupełnie upadek kultury narodowej pod wpływem jezuickim, co pociągnęło za sobą zupełne skartowacenie ducha; skoro przeocza, w co szlachta obróciła śluby Jana Kazimierza.

Niewielkie pokrzepienie...

Nie zrównany artysta tworzy ludzi z najwyższą płastyką i konsekwencyą zewnętrzną, a zaniedbuje plastykę i konsekwencyę historyczną; wyobraziciel przeciętności narodowej odtwarza w genialny sposób pojęcia i idee przeciętnego szlachcica polskiego\*), miasto stać wyżej i świecić

---

\*) Ta uległość dla sądów i przesądów przeciętnych uderza we wszystkich ideach historyzoficznych Sienkiewicza, a najwięcej w *Ogniem i Mieczem*, dziele obejmującym najszerzy horyzont polityczny i socyalny. Apoteoza Jeremiego Wiśniowieckiego, w pobudkach i celach płynąca z wyobrażeń typowo-szlacheckich, jest kluczem do wszystkich idei Sienkiewicza. Pamiętamy Jaremę z powieści, jako wzór obywatela, męża stanu, rycerza bez skazy... Jakże ideał ten wyglądał w rzeczywistości?

„Podług historyi — opowiada Zygmunt Kaczkowski — Wiśniowiecki był jednym z najwybitniejszych typów oligarchy-warchoła swojego czasu, z tą wszakże od innych różnicą, że był bezprzykładnie okrutnym. Toć przecie już w 22 roku swojego życia niebyszałami dotąd okrucieństwami, któremi się odznaczył w swoim pochodzie na Moskwę, zyskał sobie imionisko „Paleja“. Sławna jest również postawiona przezeń zasada, iż tak należy mordować, ażeby umierający czuli, że umierają. Sam Maszkiewicz, bezwzględny jego wielbiciel... przedstawia jego niepoliczone okrucieństwa w takich kolorach, że włosy stają na głowie. Same opisy tego dworzanina przepełniają nas wstrętem i oburzeniem na tego rzekomego cywilizatora Rusi, który w zdobywanych przez siebie miasteczkach i osadach po kilkadziesiąt wystawiał szubienic, czasem przez kilka dni od rana do nocy pastwił się z zaciekłością dzikiego zwierza nad zabrzanymi przez siebie jeńcami, niejednokrotnie całą ludność zdobytej osady kazał w swojej obecności wycinać do nogi. Była jakaś zwierzęca a zarazem bajeczna potworność w tym dziwnym człowieku, toż nie bez powodu był on uważany za życia, jako zesłaniec jakiejś nadziemskiej potęgi i przeszedł po

myślą wielką... Z dzieła jego bije też duch, jakoby z piersi tej przeciętności wyrwany, a zewnętrzną plastyką zachwycający bez wyjątku wszystkich, umięających czuć piękno; z dzieła jego, choć zapełnionego najsmutniejszymi epizodami, bije też łuna gorąca, bije *la gloire*, tak miła każdemu narodowi; nie idzie jednak myśl przyszłości. Podnosi ono uczucie narodowe wizjami świetnymi, nieraz wzniosłemi, — to artyzm wspaniała i zasługa wspaniała! ale towarzyszą mu idee małe, historyzofii jego — błędy oplakane, kwiatom — ziarna jałowe. Żeromski, malując swoją wielką epopeję historyczną,

śmierci w postaci apokaliptycznego potwora w podaniach wiejskiego ludu. U szlachty polskiej był on popularnym, ale tylko dlatego, że był tak nielitościwie okrutnym dla tego ruskiego ludu, który ona chciała podbić koniecznie i każdy ruch jego, każde upomnienie się o prawa nadane a haniebnymi zdradami i nareszcie bezmyślnymi konstytucjami z lat 1589 i 1590 a najfatalniejszą z r. 1638 znów odebrane, uważała za bunty, za które żadna pomsta nie była zanadto sroga. Ale w rzeczywistości na popularność on nie zasłużył, był to człek chciwy, dbający tylko o swoje dobro, nie znający żadnej miary swojej chciwości, gwałtownik nie uznający żadnego prawa i najniepowściągliwszy ze wszystkich, chociaż ich było tak wielu w tym wieku. Wiadomo przecież, że dobra swoim krewnym pograbił i za te grabieże był pod kondemnata — a los Rzpltej tak mało mu leżał na sercu, iż na krótki czas przed Chmielnickiego powstaniem, obrażony na króla za to, że mu ręki nie podał, wtargnął we cztery tysiące zbrojnego ludu do Warszawy i chciał cały senat wyrębać. Zrozumienia dla rzeczy publicznych wcale się w nim nie można dopatrzeć. Kiedy Władysław IV powziął myśl wielką wyrugowania tureckiej potęgi raz na zawsze z Europy... to Wiśniowiecki wykonaniu najżarliwiej się sprzeciwiał, a kiedy po śmierci Władysława IV cały naród był za Janem Kazimierzem, to on koniecznie chciał osadzić na tron królewicza Karola, a nawet go już w swoim obozie królem obwołał. Jakiegokolwiek myśli twórczej, choćby nawet mizernego talentu organizacyjnego, także trudno w nim dojrzeć... Chciwym] był znaczenia i władzy, ale i tej nie potrafił wziąć i utrzymać, chociaż niejednokrotnie sama laża mu w rękę. Po wybuchu Chmielnickiego włóczył się po kraju, gdzieby mógł palić i wieszać z łatwością, ale Polonne wydał na pastwę kozactwa. Z pod Piławiec taksamo uciekł, jak inni,

ani na chwilę nie przestaje być człowiekiem, budzącym w nas uczucia prawdziwie ludzkie; jego bitwy tryskają nie tylko krwią, lecz także łzami świętymi; jego twierdze są broniące nie tylko przez ślepe męstwo, lecz także przez miłość, nie nabrzmiały cudzą krzywdą; jego bohaterzy nie tylko szabelki mają, lecz także dusze czujące. Inaczej Sienkiewicz. Homer to polski — pod wieloma względami, lecz ileż w nim jeszcze instynktów homerowskich krwawych... wstecznych! Wielki artysta jest prorokiem li przeszłości — i to smutnej.

Henryk Sienkiewicz urodz. 4 maja 1846 na Podlasiu we wsi Wola Okrzejska, z ojca Józefa i matki Stefanii z Cieciszowskich. Dziecinne lata spędził częściowo we wsi rodzinnej, częściowo w sąsiednich Grabowcach, częściowo wreszcie w Węgrzyczynie, w Stanisławowskim, dokąd rodzice jego się przenieśli po dokonaniu działań rodzinnych. Gimnazjum ukończył w Warszawie i tam też zapisał się do kwitnącej wówczas Szkoły Głównej, na wydział filozoficzny. W walce między *Młodymi a starymi* bezpośredniego udziału nie brał, bliskim był jednak *Młodej prasie* i jak wielu innych drukował swe

---

choć tam właśnie mógł być pokazać, co może, gdyby był miał wolę i ducha po temu, a kiedy mu we Lwowie oddano władzę hetmańską, to ją wziął wprawdzie, ale wymknął się chyłkiem z obleżonego miasta i poszedł mury w Zamościu naprawiać. Jeden tylko miał przymiot istotny i w bardzo wysokim stopniu, był waleczniejszym od wszystkich swoich współczesnych...

„Po wszystkie czasy — mówi dalej Kaczkowski — aż do Stempkowskiego, ostatniego ze smutnej sławy następców Jaremy, nie było człowieka, do któregoby Ruś cała tak głęboką pałała nienawiścią, jak do niego; ale nienawiść ta nie zrodziła się tylko z tego powodu, że był on okrutniejszym od innych; miała ona daleko głębsze przyczyny, których w tem szukać potrzeba, że Wiśniowiecki nie był przybyszem, jak Potoccy, Lubomirscy i inni, ale rusinem z rodu, że swój naród opuścił i mścił się tak srodze na tem właśnie plemieniu którego był członkiem z krwi i kości...”

Tyle najznakomitszy przed Sienkiewiczem powieściopisarz historyczny.

utwory w *Przeglądzie Tygodniowym* i wpływy pozytywistyczne odbijały w pierwszych swych utworach. W r. 1873 zaczął w *Gazecie Polskiej* (pod pseud. *Lituoos*) pisywać fejetony tygodniowe, które, nasamprzód nielitościwie kreślone przez redaktora, po uzyskaniu swobody pióra zwracały na siebie powszechną uwagę poetycznością, dowcipem i trafnymi postępowymi poglądami. W r. 1876 wyjechał z Warszawy. Wedle własnych jego słów „przejechał Niemcy, Francję, całą długość Anglii, przepłynął na wiosnę burzliwy Atlantyk, a następnie jak ptak na skrzydłach, przeleciał niezmierzone przestrzenie wielkiej kolei od Nowego Jorku do San Francisco i strząsnął proch z obuwia swego na brzegach Oceanu Spokojnego“. Z tego okresu burzy życia, wśród natłoku wrażeń pisane datują się *Listy z podróży* i serya nowel, które niebawem uznane za arcydzieła, utrwaliły jego sławę. Powoli dokonywał się zwrot w jego poglądach, odezwała się głębia istotnej jego natury szlacheckiej i estetycznej, zaczął pisywać do zachowawczej *Niwy*, w r. 1882 objął redakcyę „neokonserwatywnego“ *Słowa*, którą w kilka lat później złożył. Oddany swej twórczości literackiej, która po ogłoszeniu trylogii wyniosła go na czoło powieściopisarzy polskich, przebywa głównie w Warszawie lub na wsi, często atoli odbywa podróże po kontynencie, a w r. 1891 podróżował także po Afryce, zwiedzając Egipt i Zanzibar. Utwory jego w ostatnich czasach zyskują coraz szerszy rozgłos w Europie, powieść zaś *Quo vadis* uczyniła go znakomitością międzynarodową; przełożona na wszystkie języki narodów cywilizowanych, pociągnęła za sobą tłumaczenia innych dzieł Sienkiewicza i zapewniła autorowi głos w rzeczypospolitej artystów światowych. Otoczony miłością swoich, czcżą obcych, obchodził z końcem 1900 r. jubileusz twórczości pisarskiej. Wielbicieli ofiarowali mu w dzień jubileuszu kawał ziemi ojczystej w gub. lubelskiej, wieś Oblęgórek.

Pisma Sienkiewicza wyszły w zbiorowem (niezupełnem) wydaniu w Warszawie w XXXII tomach, kompletniejszem jest wydanie, sporządzone przez *Tygodnik Ilustrowany*; osobno (1901) wyszły w 5 tomach *Pisma, nieobjęte wydaniem zbiorowem* powyższem. Co do wartości estetycznej utworów po Trylogię, zdanie powszechnie tak już jest ustalone, że zbyteczna tu się nad nią zastanawiać; rozbiór utworów następnych — w dalszych rozdziałach.

## ROZDZIAŁ IX.

### REAKCYA UCZUCIA. WALKA IDEI SPOŁECZNYCH.

Poezye Bol. Czerwieskiego. Spotęgowanie zwrotu przeciw ideom mieszczańskim i stańczykowski. — Nauki społeczne rugują zamilowanie do przyrodniczych. — Ruch ludowy w Galicyi. *Przegląd społeczny*. — Ciąg dalszy racjonalizmu w sztuce. Alfred Nossig i jego *Tragedya myśli*. — Zgłoszenie się konserwatyzmu po spadek pozytywistyczno-liberalny. Wstecznicstwo w Galicyi. Neo-konserwatyzm w Warszawie. Geneza i program neo-konserwatyzmu. — Wzmoczenie się uczuć zbiorowych. Zasługi Bismarka i jego polityki eksterminacyjnej. Rewizya programów. — *Głos* i ideał ludowy. Walka o ideał i lud. *Hasło* Maryana Bohusza. — Poezye Jana Kasprowicza. Świeżość, rzeźkość, siła pierwiastku chłopskiego w jego twórczości. Lud, jako dźwignia przyszłości. Programowe *My i wy*. Poezya wsi. — Rewolucya na gruzach romantyki. Napierski. — Sny młodości. Fr. Nowicki. — A. Niemojewski. Temperament polski. „Rozumni szaleń”. — Jeszcze apel do uczucia: *Szkice* Adama Szymańskiego.

Żywoty i dzieła.

Reakcyja uczucia przeciw ideom mieszczańskim podążyła logicznie nasamprzód w kierunku społecznym. Idee jej w Warszawie odbiły się w pierwszych utworach Konopnickiej. W Galicyi padły na grunt polityczny, w serce jednostki o wątlm artyzmie, która jednak chwilami zdobywała się na szczerłość i entuzjazm. A gdzie one przemawiają, jest i poezya.



Bolesław Czerwieński szedł długo udeptanemi drogami muzy lwowskiej, pisząc utwory w deklamacyjno-koturnowym stylu epigonów romantyzmu, lub wiersze humorystyczne, stojące na wyżynie *Szczutka*. Rychło jednak wyemancypował się i zaczął patrzeć na świat własnymi oczyma, schylać się ku nizinom i duszom prostych ludzi, by wyczuwać ich serc bicie. To, co życie mu przyniosło, o całe piekło różni się od konwencyonalnych, religijno-patryotycznych okrucichów retorycznych, zawartych w pierwszej części *Poezycji* (1881). W drugiej części tego tomu szuka poeta swych bohaterów *w szynkowni*; wychylają oni kieliszek po kieliszku, niedalecy są brutalstw i wybuchów, ale dlatego, że muszą zalać robaka, aby zapomnieć krzywd indywidualnych, będących wynikiem na krzywdzie opartego ustroju społecznego. Stare dzieje, ojciec proletaryusz, córka przystojna wpada w oko paniczowi — awantura, dla proletaryusza więzienie, dla dziewczyny hańba... I pod względem kulturowym są nędzarze ofiarami. *Rozmowę* prowadzi arystokrata duchowy, a przede wszystkim pieniądze, z biedakiem. Pierwszy zachwyca się czarami natury, drugi woła:

Cóż mię piękność świata obchodzi —  
Ja nie mam chleba!

Antyteza ta ciągle się powtarza. Esteta pełen jest zachwyty na wspomnienie dzieł sztuki, podnoszących umysł, uszlachetniających serce — drugi myśli, ile za piękne te obrazy byłoby chleba. Przeciwnieństwo się zaostrza, przedstawiciel stanu posiadającego mówi z entuzjazmem o bohaterach, o chwale przeszłości, a gdy nędzarz słucha obojętnie, wybuchają oskarżeniem:

Ty drwisz, wyrodny tej ziemi synu  
Ludu, to zdrajca, zdrajcy niech giną!

A proletaryusz odpowiada:

Panowie, moją jedyną winą  
że nie mam chleba!

Gorycz poety wzbiera... Przypomina światu Golgotę.  
I tam słyszymy słowa mędrców, faryzeuszy i bogaczy, zupełnie podobne do doktryn dzisiejszych uczonych oficjalnych i bankierów — a przecie

Błysnęło światło wśród dusznej ciemnicy,  
Apostołami byli robotnicy

Na nich, na ludzie chce opierać kościół przyszłości. Przypomina historię o trzech braciach (1881), z których dwaj byli przez ojca psuci, pieszczeni, uprzywilejowani, otrzymali odeń całe królestwo, trzeci był kopciuszkiem. Wszelako — w ciężkim terminie, gdy ojciec znalazł się w pętach — ów wzgardzony i sponiewierany, jedyny zdobył się na czyn bohaterowski. Gorycz poety wzbiera. Lud jego krystalizuje się, jako nowoczesny robotnik, o odrębnej klasowości, dźwigający własny sztandar...

Tu kończy się poezya pisana — zaczyna się życie, kipi dalej owa walka interesów i kierunków klas i form społecznych, której pierwsze stadya widzieliśmy około r. 1880. W następnych latach reakcja przeciw mieszczaństwu i ideom mieszczańskim w Królestwie, przeciw panującym stosunkom w Galicyi znacznie spotężniała. Coraz większe szmaty ziemi w Królestwie okrywały się dymem kominów fabrycznych, w łono tej ziemi coraz głębiej wżerały się oskardy górników — na powierzchni rosła liczba niezadowolonych. Tryumfy przemysłu krajowego, notującego coraz wspanialsze zdobycze ekonomiczne, mąciły się zgrzytem opozycyjnych haseł — nieraz i czynów krwawych. Myśl, zadowolona z siebie — uczucie zrezygnowane poprzednich pozytywistów, burzyły się coraz głośniejszym protestem. Typ młodego czło-

wieka ulegał dalej głębokiej przemianie. Nastał czas absolutnego prawie panowania nauk społecznych. Przed kilkunastu laty synonimem »postępu« były nauki przyrodnicze, teraz w kął poszedł Darwin — bogiem stał się Marx, zamiast Büchnera zaczęto gorączkowo tłómaczyć i studyować Lassalla. Z horyzontu znikli Ochorowicz i inni popularyzatorzy nauk przyrodniczo-filozoficznych, nad umysłami zaczęli panować inni; w *Przeglądzie Tygodniowym*, w *Prawdzie*, *Fortunie* (1885), *Wędrowcu* ukazują się po r. 1880 nieznane dotychczas nazwiska; St. Krusiński, Edw. Przewóski, J. K. Potocki (Maryan Bohusz), J. L. Popławski, Z. Heryng popularyzują ekonomię, socyologię, etnografię, wszystkie działy nowoczesnych nauk społecznych; niebawem przyłączy się do nich najwykształceńszy i najwytrwalszy z popularyzatorów, Ludwik Krzywicki. Tosamo dzieje się w Galicyi. Tu stosunki życiowe coraz bardziej się pogarszają. Nędza i ciemnota zamiast się zmniejszać, robią przerażające postępy. W r. 1888 ujął je St. Szczepanowski w cyfry — i społeczeństwo się przeraziło. Nędza ta i ciemnota były silniejsze, niż najpiękniejsze frazesy o pracy organicznej stańczyków i wzniosłe marzenia epigonów romantyzmu we Lwowie. Lud kmiecy tak mało miał zaufania do starszej braci i ideałów, iż na Wielkanoc 1886 roku zaczął się nagle burzyć; całą zachodnią połać kraju przeszyla panika, zapanowała obawa powtórzenia się wypadków z r. 1846; po dwudziestu latach autonomii mazur uwierzył, że panowie chcą przywrócić pańszczyznę, że na Rezurekcyę mają wysadzić kościoły ze zgromadzonym ludem w powietrze, że nadchodzi koniec świata etc. Na tem tle maluje się coraz wybitniej między inteligencyą i młodzieżą ruch radykalny; w połowie lat osmdziesiątych budzi się we Lwowie ruch robotniczy; równocześnie ks. Stojałowski z propagatora kółek rolniczych i ultramontanizmu przemienia się w działacza politycznego. Bolesław Wysłouch zaczyna wydawać (1886) *Przegląd społeczny*, z któ-

rego idei i działalności za kilka lat miało się rozwinąć silne stronnictwo ludowe. Silnie wrzał ruch radykalny młodzieży polskiej zagranicą. Różniąc się między sobą co do kierunków i dążeń, jednostki te i grupy miały jeden wspólny łącznik: akceptując — z wyjątkiem Stojalowskiego — w nauce pozytywizm, zrywały z nim radykalnie we wszystkich dziedzinach życia społecznego. Ortodoksyjnym na punkcie religijnym pozostał ex-jezuita; inni, dając coraz gorętszy wyraz spętanej dotąd uczuciowości społecznej, pozostali zresztą wychowankami racjonalizmu; *Głos* wydał wybór dzieł Spencera, *Przegląd społeczny* wielbił Zolę, wszyscy zakreślali sztuce zadania użyteczne. Tak *Głos* jak i *Przegląd społeczny* uznaniem darzyły A. Nossiga, który w roku 1886 wystąpił z mocno polemicznym dramatem filozoficznym: *Tragedya myśli*, osnutym na tle wierzeń, męczeń, skonu na stosie Giordana Bruna. Dramat świadczący o sile indywidualności, nie zaś artysty, entuzjazmował marzeniami pozytywistycznymi o zespoleniu nauki ze sztuką, rzuceniem rękawicy oficjalnemu kościołowi, apoteozą myśli wolnej, badawczej, jak pająk snującej sieć ducha z siebie, nie z objawień, gloryfikacją bohatera, idącego na stos za myśl wolną, gloryfikacją dziewczyny, darzącej go rozkoszą, by wlać w niej ogień, siłę do walki. Poezyą w tym utworze — głośniejsza nuta panteistyczna, echami nie tyle z Brunona, ile ze Spinozy brzmiąca, — jednakowoż nie o poezję ówczesnym bojownikom chodziło. Byli kontynuatorami pozytywizmu, wykluczając radykalnie tylko wyraz jego społeczny: brak wielkich ideałów społecznych, krótkowzroczną pracę organiczną, indywidualizm mieszczański lub szlachecki. Bożki te wczorajsze, co tak dobrze tuczyły swoich kapłanów, teraz na całej linii przedmiotem namiętnych, gwałtownych ataków. Coraz silniejszy ruch z dołu przeciwstawia im hasło, najrozmaiciej zresztą rozumiane: lud...

Z drugiej strony występuje specjalnie przeciw »pozy-

tywizmowi« w warszawskim rozumieniu słowa, przeciw ideom mieszczańskim i wolnomyślnym, coraz śmielsza reakcja wsteczna, konserwatywna. Społeczeństwo doszło poprostu do tego stanu, w którym klasa średnia, opinia umiarkowana, ustępuje coraz częściej prądom skrajnym. Zbyt wieloma interesami złączona z mieszczaństwem, aby przeciw niemu wystąpić, szlachta w kilka lat po proteście »z dołu« zaczyna także energicznie zwalczać »pozytywizm i jego przedstawicieli«. Wyłonił się kierunek »neokonserwatywny«, niedołężna kopia ruchu chrześcijańsko-socjalnego, który po r. 1880 w wielu państwach zachodnich zgłosił się o spadek po liberalizmie i mieszczaństwie, z flaszeczką »oleju socjalnego« na rany społeczeństwa — u nas ze specjalnem zabarwieniem szlacheckiem.

Występuje ta reakcja, spekulująca na uczucia, równocześnie na kilku punktach. W r. 1884 jezuici w Krakowie przygotowują wydawnictwo nowego czasopisma: *Przegląd powszechny*, Ludwik Masłowski wydaje we Lwowie *Listy do przyjaciela* i kręci w nich — szczęściem ze słów tylko — stryczek na idee postępowe, których wczoraj był gorącym wyznawcą; w r. 1883 zaczyna w Warszawie wychodzić pierwszy organ antysemitki *Rola*, zakłada się dziennik *Słowo*, który wraz z ex-pozytywistyczną *Niwą* przemienia się w główną kwaterę neo-konserwatyzmu. Zygm. Sumiński, Wł. Olędzki, Mściśław Godlewski i najkrzykliwszy, najwięcej na polu literatury czynny T. J. Choiński rozwijają żywą agitację publicystyczną, głównie negatywą, zdążającą do podkopywania przeciwników. W jakim kierunku? co właściwie wnieśli nowego? »W części politycznej — pisze Choiński — postanowiono liczyć się z dokonanymi faktami, nie bawić się w tz. wielką politykę, pracować na drodze spokojnej, legalnej, nie tracąc jednak poczucia naszej narodowej historycznej i cywilizacyjnej odrębności.

»W dziale polityki wewnętrznej zamierzali młodzi kon-

serwatyści wpłynąć na usunięcie zniechęcenia, jakie zapawało w kraju po r. 1863 i podawać środki jak najobszerniejszego wyzyskania istniejących warunków.

»Wbrew postępowcom, którzy dążyli w myśl liberalizmu zachodniego do odjęcia szlachcie jej historycznego znaczenia, a postawienia na jej miejsce mieszczaństwa, uznali młodzi konserwatyści zmianę istniejących u nas dotąd warstw społecznych między sobą za niewłaściwą, za przedwczesną«...

Więc lojalizm — praca organiczna — hegemonia szlachecka. Wszystko to oblane frazesami o »bankructwie wiedzy«, o potrzebie »tolerancyi« wyznaniowej w ogólności a »obrony« katolicyzmu »gdyby okoliczności... zmusiły«, o świętościach tradycyj, uczuć i ideałów etc. I do obrony takich okopów wywołuje się cienie Skrzetuskich, Kmiciców!

Reakcyja więc szlachecka, jako sztandar nosząca nazwisko Sienkiewicza, reakcyja wsteczna, chcąca cofnąć bieg dziejów, nie okazująca ani serca, ani myśli dla ideałów narodów i doli milionów ludu pracującego. Reakcyja egoistycznie klóćca się o dywidendę społeczną z bogatym mieszczaństwem, aby się prędzej czy później z niem pogodzić, a istotnie bardziej, niż kierunki ludowe zacieśniona do bram jednej dzielnicy, do interesów jednej kasty, bez tendencji, obejmujących całość, bez syntezy...

Wkrótce i ta zaczyna się wyłaniać.

Niemająco przyczynił się do tego ów demon dziejowy, który — jak w *Fauście* — pragnąc złego — stwarza dobro: Bismark. W roku 1885 szła jego antypolski dosięgnął zenitu. Z pośród narodu myślicieli i poetów padło hasło: *ausrotten!* ciało parlamentarne rzuciło całemu narodowi w twarz prawa wyjątkowe, uchwaliło olbrzymi fundusz dla wypierania ludności polskiej z odwiecznych jej siedzib — równocześnie zaczęto drogą administracyjną dziesiątki tysięcy ludzi pracy, starców, chorych, kobiety, dzieci, wypędzać z ziemi Piasta za to, że między swymi — swoim mówią językiem. To nie-

słychane w dziejach nowożytnych barbarzyństwo, ta wojna z całym wyrachowaniem i okrucieństwem wydane narodowi — w całym też narodzie wywołała jeden dreszcz i krzyk jeden, po którym znowu wszyscy się poznali i zbliżyli. Odpadać od tego narodu zaczęły przeważnie członki, które dotąd należały do opiekunów jego i starszej braci. A gdy w śmiertelnym tym boju, gdzie każda pięćdziesiątka ziemi jest drogą, coraz gęściej w objęcia komisji kolonizacyjnej zmykała wielka własność szlachecka, żegnana piekielną ironią Bismarka: idźcie do Monako! a ostawały się tylko harde i niezniszczalne »placówki« chłopskie, musiał w wielu umysłach stosunek szlachty i inteligencji do ludu stanąć w świetle problemu nie tylko ekonomiczno-socjalnego.

Poruszyła się głębia duszy zbiorowej. Nie mogły wystarczyć idee Sienkiewicza, wskazujące na bohaterów przeszłości, nie mógł wystarczyć program pozytywistyczny, zamknięty w formule ekonomiczno-kulturowej, okazała się potrzeba pójścia w głębia i naprzód. W nowo założonym *Głosie* warszawskim (1886) J. L. Popławski zaczął rozwijać syntetyczny program, zdążający przede wszystkim do utrzymania bytu, co — podług niego — było możliwem tylko przez opieranie losu narodu na barkach niezniszczalnej potęgi ludu; interesy wszystkich warstw społecznych muszą być podporządkowane interesom ludu, inteligencja, kultura narodu powinna wrócić do swego źródła: do duszy ludu, do kultury jego, którą Popławski uważał za odrębną, samodzielną.

Treści jej *Głos* nigdy nie sformułował, ale stojąc na tem stanowisku, wyciągał z niego ostateczne konsekwencje. »Tradycja nasza — pisał był Popławski jeszcze w *Prawdzie* 1886 r. — już dlatego, że jest wyłącznie szlachecką — a inną być nie może, bo taką była przeszłość dziejowa Polski — dla ludu musi być obcą, często niemiłą, czasem nawet wstrętną. Raz trzeba to sobie powiedzieć otwarcie...« »Rzecz to smutna, ale nie sądzę, żeby była groźną. Bez tradycji, nawet bez

kultury, lud polski zachował swoją narodowość mocniej i pełniej, aniżeli warstwa inteligentna. Świadomość jego zbiorowa opiera się na tej odrębnej naturze, której nie nadały mu żadne prawa ustne, czy pisane, i której dlatego żaden Bismark wydrzeć mu nie może. Jestto poczucie plemienne, miłość tej ziemi, na której wyrósł, »jak lasy rosną, razem z tym dębem i sosną«, którą krwawym potem swym użyźnił i zdobył sobie do niej niezaprzeczone prawo własności. W przeciwieństwie z patryotyzmem historycznym jestto — jak wyraził się Prus — patryotyzm bieżący, może lepiej — przyrodzony«. Pierwszy zachowuje, ochrania, pilnuje ściśle praw swych i zażytków i z biegiem czasu znów je po kolei traci. Drugi — postępowy, zdobywający i stwarzający pracą swą coraz nowe wartości... Nie apostołstwem tradycyji, która nie znajdzie chętnych słuchaczy, rozwijać należy świadomość tego ludu. Myśl jego budzić, siłę krzepić, zapewnić mu owoce pracy i warsztat jej główny — ziemię, oto najbliższe zadanie obywatelskie inteligencji naszej«.

Co za odskok od neokonserwatyzmu i od postępu dawnego, od programu pierwszego numeru *Prawdy*, streszczającego się w racjonalistycznym: *cogito, ergo sum!* od wskazań politycznych Świętochowskiego! Starta w proch tradycja, jako wyłącznie klasowa, starta też doktryna ogólnoludzkiej kultury. Rozgarnąć popielisko: naleciałości obce i krępujące warunki ekonomiczne, a wydobędzie się siła odrębna, świeża, pierwotna, rasowa: synteza — lud...

Zawrzała pamiętna, gorąca polemika. Przeciwnik »złudzeniom« Popławskiego wystąpił najsilniej, Ludwik Krzywicki; uzbrojony w całą wiedzę socjologiczną swego czasu dowodził, że program ten, to odnowione chłopomanstwo, ignorancja faktycznych stosunków, wykazujących także wśród »ludu« przeciwieństwa klasowe i mających tendencję do rozwoju na modłę zachodnio-europejską, która w dziejowym swym pochodzie wysuwa coraz wyższe formy bytowania, coraz



większą sumę sprawiedliwości dla jednostek i narodów, wiedzę i kulturę potężną. Teoretycznie dyskusya nie została rozstrzygnięta, ale w świadomości postępowych warstw społecznych wyrobiła się jedna wiara, jedna nadzieja: lud. Najrozmaitsiej rozumiana, znalazła się synteza upragniona, słowo związane a silne, jak znak i rozkaz. Prus czyni chłopą jedyną *Placówką* narodową, Orzeszkowa ludowi niebawem poświęci epopeję. Przedmiot współczucia i umiłowania czysto społecznego u Koppnickiej, dość niewyraźny proletaryusz Czerwieńskiego, obecnie występuje jako program polski. Pod wrażeniem zająć strasznych w Poznańskim, rejterady szlacheckiej i urągającej potopowi duszy chłopskiej, pisze Maryan Bohusz (w programowym numerze *Głosu* 1886):

#### NASZE HASŁO.

Co judaszowem złotem się splamiło,  
Co kainową się zboczyło zdradą,  
Na czym złe duchy swoją pieczęć kładą,  
Dziś przemieńło już i w grobach zgniło.

A kiedy myśl twą widma te porzuca,  
Kiedy ci chmura wspomnień zejdzie z czoła,  
I pomkniesz wzrokiem tam, gdzie drzemią siola,  
Gdzie bory jęczą i skowronki nuca;

A kiedy ujrzysz, jak na głos śpiewania,  
Wychodzą z wiosek ludzie het na pola,  
A gdy zobaczysz, jak im czarna rola  
Sama się kłosem ciężkim do nóg kłania,

I gdy posłyszysz, jakich pieszczot słowo  
I jaką miłość mają dla niej oni,  
Wtedy skowronek może ci wydzwoni  
I nasze hasło, naszą wiarę nową...

Silniej w ten ton uderzył poznańczyk, Jan Kasprowicz.

Poezye jego zaczęły się pojawiać z początkiem lat osmdziesiątych w postępowej prasie warszawskiej i zdawały się wnosić do literatury pierwiastek świeży, odrębny, wielki, nie-



Jan Kasprówicz (w r. 1880).

tylko jako odbicie indywidualności poetyckiej, lecz typu: chłop zdawał się z nim wchodzić do literatury, nie literat wielko-miejski o przerosłym mózgu i przeczulonych nerwach, czerpiący idee z książek, a życie z fantazyi — lecz chłop, chłop prawdziwy, ciężki i nieokrzesany w ruchach, mimo nauki i ogłady ze szkół wyniesionej — niezdolny wyrażać się potoczysiej i subtelniej, o fantazyi ciężkiej, zbyt przykutej do ziemi, o inteligencji prostej, pozbawionej wdzięku, wykwintu, złożoności starej kul-

tury, chłop zato wolny też od słabości, od zdenerwowania salonowców, od szarżyzny teoretyków, w szerokiej piersi noszący potężny dech matki-ziemi, z którą wszystkie jego nerwy związane...

W rzeczywistości była to natura bardziej skomplikowana, niż się zdawało, nosząca w sobie składniki wszystkich idei, wszystkich światopoglądów, które były w powietrzu, i mocująca się z nimi, aby wyzwolić własną, osobistą i rasową indywidualność. Czuć w nim głębie, w której bezustannie kotłuje, kipi, przewala się — on nie jest panem, by te wrzące kruszce w jednolite szlachetne stopić dzieło. Duch

górnym i chmurnym niedobrze się czuje w okowach ciasnej teraźniejszości i nietyle na skrzydłach fantazyi, ile myśli pracującej i dyalektyki podąża, gdzie

za mglistą pozorów zasłoną  
Kryje się wielki posąg granitowy...

aby spaść znowu w sam wir życia, w sam środek tłumów, dyszących walką krwawą — walką dnia. Kasprowicz chwytą wtedy chorągiew bojową i unosi ją wysoko — z dumnym wyzwaniem: *My i wy*. Ale i to wyzwanie nie płynie mu prosto z serca, nie jest krzykiem rozbudzonej nagle duszy ludowej, prostym i szczerym — dużo tu mędrkowania, dużo płynącego z charakteru czasu racjonalizmu. Woła więc:

O tak, my cenim piękno, lecz z rozsądkiem  
Pierścieniem ślubów połączone szczytnych;  
Zawsze w ślad idąc za życiowym wątkiem,  
Nie rozumiemy kształtów niepochwytanych...

Powoli jednak rozgrzewa się, rozpala go ogień walki:

O tak, my cenim piękno, lecz ze życiem  
W nierozzerwanej będącej harmonii,  
Za romantyzmem nie gonimy kwieciami  
I egzotycznej nie pragniemy woni,  
Nasza poezja — echem cierpień ludów,  
Pragnieniem światła, chleba, wolnej dłoni.  
Nasza poezja bez wizyj i cudów  
Dzisiaj pobudką do czynów i męstwa  
A jutro — jutro oddźwiękiem zwycięstwa.

Ta nuta bojowa także dziwne ma tony... Zimno, wymuszonym huczy patosem, gdy idzie na szerokie rozłogi ludzkości, gdy ma śpiewać z duszy Giordana Bruna lub walczących Arymana i Ormuzda — dzwoni zaś szczerością i potęgą, gdy płynie z serca polskiego, z serca ludu, z serca poznającego. Poeta rośnie wtedy, skupia w sobie uczucia olbrzymiego odłamu rówieśników, bije z serca tysięcznej braci hymnem wiary.

W lud ten wierzy, lud polski jest dlań »święty« — choć  
bynajmniej nie idealizowany. Wychowanek okresu pozyty-  
wnego nie daje się unosić uczuciu, patrzy nań trzeźwo —  
widzi przed sobą pole ogromne, zachwaszczone dziką roślin-  
nością, nieraz zatrutą, gorzką... Pesymizm targa duszą, do-  
strzega zbrodnię, upadek, słyszy że Cham i Jafet nie są braćmi,  
odczuwa niedolę najmitów, spostrzega rdzę na sercach naj-  
bliższych... Ale ukojenie w nie wstępuje, skoro się znajdzie  
wśród swoich — na wsi...

Tam za wioską — przyjm, Ojczy nasz, dzięki!  
Jak pszeniczne kołyszą się lany!  
Żyto, jęczmień i owies złotawy  
Jak zginają ziarniste swe pęki!

Na duszę spływa poezja bytu chłopskiego, poezja wsi  
polskiej; pograża się w kontemplację tych drogich wido-  
ków — i poezja szczerą z niej też płynie:

Chaty rzędem na piaszczystych wzgórkach;  
Za chatami krępy sad wiśniowy;  
Wierzby siwe poschyłały głowy  
Przy stodołach, przy niskich obórkach.

Płot się wali, piolun na podwórkach;  
Tu rzą konie, ryczą chude krowy;  
Tam się wije dziewczek wieniec zdrowy  
W kraśnych chustkach, w koralowych sznurkach.

Szare chaty! nędzne chłopskie chaty!  
Jak się z wami zrosło moje życie,  
Jak wy proste, jak wy bez rozkoszy!

Dziś wy dla mnie wspomnień skarb bogaty,  
Ale wspomnień, co łzawią obficie —  
Hej! czy przyjdzie czas, co lzy te spłoszy?!

. . . . .

Ta dusza głęboko-chłopska mało występuje w pierw-  
szych poeziach Kasprowicza; nie był to czas zapuszczania  
się w tajnie swe wewnętrzne, gdy życie wołało do boju, gdy

poeta, jako najsilniej czujący, musiał stawać w przedniej straży z tarczą w rękę i hasłem lub komendą na ustach. Hasła te i komendy słyszymy też na każdym kroku — wulkan społeczny wyrzuca ze swych głębi grzmoty.

Wyrasta pokolenie harde, wojownicze, mierzące znowu siły na zamiary a czyny siłą swej poezji.

Napierski — dusza refleksyjna, przerabia ciągle procesy swej świadomości, pragnie wizję jutra złączyć z duchem wielkiej romantyki narodowej. Znać na nim bladeść abstrakcyjnego myślenia, brak impulsywności, pasowanie się myśli, z których nareszcie wypada piorun krwawy... Spowiedź jego — to głos młodej ówczesnej Warszawy na gruzach pozytywizmu, lecz także na gruzach gmachu romantyki:

Myśmy rajów nie śnili,  
Myśmy wiosny nie znali;  
My w kołysce już byli,  
Jako starcy zgrzybiali...

Z senliwych tych rozmyślań budzi go zmieszane echo pieśni... Nie pieśni życia, lecz uczonych melodyj ludu polskiego; suggestya intelektualna; nie poryw żywiołowy, lecz konstrukcja umysłowa, tworząca wyzwania, hasła, idee jak krew czerwone...

Inni młodzi — są więcej młodością, temperamentem, życiem. W Galicyi prą się do czynu, do przebicia ściany, dzielącej myśl od jej realizacji. W roku 1890 wchodzi na arenę w Krakowie całe grono podobnych zapaśników, grupując się koło *Ogniska*\*). Spowite jeszcze w mgławice studenckie, z których potem różne miały powstać krystalizacje życiowe, pałają jedną żądzą, jedną tęsknotą, jedną namiętnością. I skarży

---

\*) Ruch ówczesny umysłów i tendencje *Ogniska* prof. Chmielewski niesłusznie łączy „z odcieniem kosmopolitycznym“ (Zarys najnowszej literatury, wyd. IV. str. 199). Piszący te słowa usiłował ruch ten, ujęty, jako walkę „młodych ze starymi“ przedstawić z historyczną prawie wiernością w powieści *Nowi ludzie* (2 t. Kraków, 1895).

się ona ustami Fr. Nowickiego na dołę swoją — na dołę  
wczorajszą słowami, pełnemi goryczy:

Cóż nam zostało?... ruiny, zwałiska,  
Niewiara w wszystko, a nawet w niewiarę,  
Życie bez celu puste, błędne koła  
I to szyderstwo, co lodem przyciska  
Dwudziestoletnie nasze serca stare,  
Dwudziestoletnie zmęczone już czoła.

Dziś młodość ziewa u bramy żywota  
Taka rozumna, zgrzybiała, znudzona —  
Zgaszono przed nią blask wszystkich gwiazd dawnych...

Lecz amputowane skrzydła odrastają, »zlepione błotem«  
zrywają się z »gniazda szaroty«... I

... cóż my winni, że z błota i kału  
Wciąż z feniksowym uporem powstajem,  
Gdy zimny rozum zbyt nam pierś ochłodzi —  
I tęskni serca, pędu, wiru, szalu,  
Płomiennym nurtom świata nieść się dajem —  
Cóżemy winni, że jesteśmy młodzi?

Z wichrową siłą młodości poeta odrywa się od dnia  
wczorajszego i leci tam, gdzie także jest młodość żywiołowa,  
entuzjastyczna. Nie tam, gdzie

Spi Rzym krakowski, spi stu wież stolica  
Marami przeszłości osłoniwszy lica...

Wzorem *Heraklesa* Asnyka, do Syzyfa porównywa poeta lud  
swój — tego »chama wzgardzonego«, tego »praojca dziejów  
i kultury« Z cieniów wywołuje Spartakusa, który z rodu nie-  
wolnik — Prometeusz myślą, mieczem wydzwania »koniec  
niedoli wzgardzonego gminu« z nad krateru Wezuwiusza,  
z nad krateru, będącego symbolem także dla naszej epoki.

...Bo tym kraterem jest tłum bezimienny,  
Tłum nieśmiertelny — odarty i głodny...

I rozumny szaleń, na skrzydłach entuzjazmu, nie znającego zapór i niemożliwości, widzi tryumf młodych nad wszystkim, co stare i zgniłe...

Uczucie uspołecznione jest jedynym pryzmatem, przez który Nowicki na świat spogląda. W Tatrach, które opiewał po mistrzowsku, umie widzieć piękno i majestat, ale przede wszystkim widzi tam »swobody ołtarze«. »Olbrzym — lud biedny mej ziemi« towarzyszy mu we snach i na sali balowej; dzwoni w jego pieśni nuta miłosna, ale gdy tancerka szepcze: tyś mój! jego dolatuje głos czerni także wołający: tyś mój!

Tasama młodzieńczość studencka, bujniejszym jeszcze obdarzona temperamentem, młodość górna i chmurna, ale też junacka, pełna fantazyi kawalerskiej, dźwięczy i szumi i tętni w rówieśniku i towarzyszu Nowickiego — w poezjach Andrzeja Niemojewskiego. On nie stoi ponad ludem, jak Czerwieski, Nowicki, on jest gminem, coprawda: gminem czysto szlacheckim, nie proletaryatem, jest częścią rdzenia narodowego, jego temperamentu, skłonności, natury polskiej. Niemojewski od pierwszego swego występu uderza animuszem, rozmachem iście szlacheckim, ale skąpanym w morzu doświadczeń wieku dziewiętnastego, w morzu krzywd narodowych i łez ludowych. Mimo to huczna i buńczuczna fantazyja go nie opuszcza; ze wszystkich społeczników jest on najmniej abstrakcyjnym i teoretyzującym, a najwięcej przemawia — sztuką krzyżową. Pierwsze słowa, które nas witają w pierwszym tomie jego *Poezji* (1880), to

Pójdź, mój kiju, druhu stary  
Przemierzmy glob dokoła...

Kryterium nie głębokie, wzięte w polocie niezbyt wysokim, ale pełne impetu-temperamentu... Temperament ten wre i kipi we wszystkich jego utworach, które podobnie jak *Poezje* wydane w r. 1890, pełne są gromów i burz, ognistych inwo-

kacyj i przysięg ideałom, odgłosów komendy i cichego stąpania kadrów bojowych. A rzeczywistość? mniejsza o nią!

Bądźcie mniej trzeźwi, więcej szaleni!

»Rozumni szalem«!

I oto znowu jesteśmy u źródła, z którego wyszła cała polska poezya XIX wieku, wróciliśmy do romantyzmu, ale jak przekształconego! Mickiewicz raz tylko oskarżał srogiego szlachcica: nie

miałeś litości,  
panie! obecnie

oskarża się  
całe pokolenie,  
całą reprezen-  
tacyę narodu.

Znikł świat  
fantastyczny,  
świat wizyj i  
cudów — ża-  
den z młodych  
poetów nie

jest fantastą,  
żaden nie jest  
mystykiem; po-  
zytywizm ze

mojewski, gdzie nad czarnym dyamentem tysiące pochyła się postaci, zgarbionych pracą, ale i nędzą, oblaných potem, ale i wzgardą, wydobywając węgiel, który im samym płuca także w węgiel przemienia, a dla innych przemienia się w złoto... A przecie i tu, jak ongi, słyszymy hasło ogniste: Rozumni szalem... Romantyzm społeczny... Z czasem rozbudzone uczucie wyda też artystyczny...

Przypadkowo tylko, a jednak jakby na mocy jakiejś logiki wewnętrznej pojawia się także o tej porze książka,



A. Niemojewski.

swą wiedzą  
krytyczną wy-  
cisnął na nich  
piętno nieza-  
tarte; nie do  
sfery duchów  
prowadzi nas  
poezya, lecz  
do chat chłop-  
skich i nor pi-  
wnicznych;  
nie do pod-  
ziemi kordya-  
nowskich — do  
innych pod-  
ziemi prowa-  
dzi nas Nie-



która wstrząsa silnie duszami, otwiera w nich źródła głębokiego rozrzewnienia, dreszcze rozpamiętywać, poezję nieskończonej tęsknoty.

*Szkice* Adama Szymańskiego (od 1886) robiły wrażenie owych pieśni, śpiewanych nad rzekami Babilonu. Śpiewa w nich żalność bezmierna i tęsknota bez granic. W chwili, gdy społeczeństwo zapuszcza wzrok w głąb swoich losów, gdy jedni upajają się śpiewem rycerskim, inni — ludowym, on zaśpiewał pieśń inną — przywodzącą na myśl owe pochody Grottgerowskie i Anhellego, pieśń o ziemi dalekiej a przecie tak bliskiej, o świecie tajni bezbrzeżnej, gdzie panuje groza wiecznej zimy i gra »okropna muzyka mrozu«. I myśl poleciała w świat ten obcy, a przecie nieobcy.

...»Gęsta mgła śnieżnych kryształów, jak chmura, zawisła nad ziemią. Z poza mgławicy tej nie wyzierało już słońce; ale chociaż na ulicy żywej duszy nie było, powietrze, niepomierne od wielkiego zimna zgęszczone, donosiło ciągle do uszu to metaliczne dźwięki skrzypiącego śniegu, to huk rozsadzanych w ścianach domów, grubych bierwion, lub pękającej szerokimi szczelinami ziemi, to podobny do jęku żalostny śpiew jakuta... Zaczynały się owe mrozy jakuckie, wobec których bledną najokropniejsze zimna biegunowe, wobec których strach jakiś niewypowiedziany ogarnia człowieka, a każdy organizm żywy, czując swą niemoc zupełną, choć skupia się w sobie i kurczy, jak pies znędzniały, otoczony zgrają ciętych brytanów, wie dobrze, że to na próżno...«

I ze strasznej tej atmosfery myśl wyrывa się, jak ptak więziony,

do tych pól malowanych zbożem rozmaitem,  
Wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem.

Duszę polską bierze w swe szpony żrąca, bezdenna tęsknota...

Bolesław Czerwieński urodził się we Lwowie 3 kwietnia 1851 r. Po ukończeniu filozofii na tamtejszym uniwersytecie, oddał się dziennikarstwu. Gdy z końcem lat siedmdziesiątych Józef Daniluk i Bolesław Limanowski zaczęli we Lwowie organizować ruch robotniczy, przyłączył się do niego Czerwieński i był przez pewien czas gorliwym współpracownikiem organu jego *Praca*. Umarł jako współredaktor *Kuryera Lwowskiego* dnia 3 kwietnia 1888.

Jako poeta był to talent bardzo średniej miary, a może tylko wstrzymany w rozwoju i pochłonięty przez pracę dziennikarską i tryb życia ówczesnej „cyganeryi“ literackiej Lwowa. Pierwsza część *Poezycji* (1881) przepełniona szablonową frazeologią pseudo-romantyki, druga chce śpiewać dołę helotów — nigdzie nie wznosząc się do obrazu wielkiej siły lub oryginalności. Zalety ostatnie miał posiadać (nieznany mi bliżej, zakazany przez władze austriackie) dramat *Niewolnik* (1882). Rzecz dzieje się w Sycylii między r. 104 a 101 przed Chr. i przedstawia walkę „króla niewolników“ Ateniona z patrycyuszami, na których chce się mścić strasznych krzywd własnych i stanu swego; pada jednak ofiarą miłości swojej — wzajemnej zresztą — ku Klaudyi, córce patrycyusza Semproniusza. Los helotów opiewał też w nowelach; w *Różce* dał historję uwiedzionej dziewczyny miejskiej; w *Tragedyi w koszarach* przedstawił straszliwy los rekruta austriackiego i jego miłości. Napisał nadto poemat deklamacyjny *Uczony* i rzecz o *Odzie do młodości*. Gdy w *Dwóch widzeniach* (1887) chciał poetycznie usymbolizować stosunek pracy do kapitału — siła twórcza była już zupełnie wyczerpana.

Alfred Nossig, urodzony 18 kwietnia 1863 r. we Lwowie. Studya odbywał na wydziałach prawniczym, filozoficznym i medycznym we Lwowie, Wiedniu i Czerniowcach, gdzie się też doktoryzował na podstawie rozprawy o Spinozy. Pisma: *Tragedya myśli* (1886), dramat: *Król Syonu* (grany we Lwowie 1887), *Poezye* (proza, 1888), *Jan Prorok* (1892) i mnóstwo studyów z dziedziny nauk społecznych i estetyki. Indywidualność bujna i niepospolicie interesująca, ulega li wewnętrznej konieczności rozwojowej, procesom dyalektyki ducha, których odbiciem także życie. Stąd rozliczność pól pracy i myśli: poeta, dramaturg, pracuje na wielu dziedzinach nauk ścisłych i oddaje się z powodzeniem rzeźbie; stąd idee, w ostatnich ogniwach krańcowo odmienne od początkowych: zacząwszy jako gorący patriota polski, który dla asymilacyi żydów założył w r. 1880 czasopismo *Ojczyzna*, stał się rychło jednym z pierwszych propagatorów naukowego syonizmu (*Próba rozwiązania kwestyi żydowskiej*, *Przegląd społeczny*,

(1887), *Kolonizacja żydowska w Palestynie* (1904). Przebywa w Berlinie, nie przestając z uczuciem braterskim pisać dla obcych o literaturze i sztuce polskiej; o sztuce i literaturze niemieckiej pisywał dawniej w *Prawdzie* (jako *Stwosz*), teraz często w *Kurjerze Warszawskim*.

Znaczenie dla literatury ma bezwątpienia Nossiga *Jan Prorok*. Jestto próba nowoczesnej epopei prozą, z *Panem Tadeuszem*, jako wzorem; niezmiernie przytem ciekawa, jako dokument czasu. Autor uważa rok 1880 (przyjazd cesarza austriackiego do Lwowa, ustalenie się polityki polsko-austriackiej, początek reakcyi gwałtownej w formie prądów radykalnych etc.) za przełom w życiu kraju, za moment, kiedy dwa pokolenia się ścierają — a poeta stoi na pograniczu; otrzymawszy w ten sposób klasyczny grunt dla epopei — roztacza obrazy ówczesnej Galicyi, na tle życia lwowskiego, w stylu Homerowsko-Mickiewiczowskim. Bardziej bezpośrednio i szczerze przemawia autor tematami żydowskimi, interesującymi, jako wskrzeszenie stylu i ducha wschodu. Po kilku silnych, krwią kipiących scenach w dramacie *Król Syonu*, dał (w tomie *Poezycji*) *Poemat o człowieku* — szereg strof — pęki języka kwiecistego, pełnego typowych hyperboli i przebujałości; pod purpurą gorącej zmysłowości przewija się tu wszędzie myśl filozoficzna, nietyłe metafizyczna, ile obrazująca mądrość wschodnią. Koloryt i nastrój dyszy duchem *Pieśni nad pieśniami*.

Maryan Bohusz (J. K. Potocki) jedna z najpiękniejszych postaci naszego ruchu umysłowego i społecznego lat ostatnich. Urodzony d. 16 listopada 1854 roku w Prużanach (Grodzieńskie) po ukończeniu uniw. warsz. był współpracownikiem głównie *Prawdy*, potem wraz z J. L. Popławskim założył i redagował *Głos*. Poezye drukował od r. 1880 w wielu czasopismach; nie odznaczając się oryginalnością twórczą, posiadają jednak silne zacięcie satyryczne i ton podniosły; zasługują na zbiorowe wydanie. W *Prawdzie* i *Głosie* umieścił też bezmiar rozpraw, studyów, fejletonów, przetłumaczył wielotomowy wybór dzieł Spencera itd. Skutkiem ciężkich przeżyć zrzucony na zdrowiu, za dumny, by żyć bez pracy, a bez możności pracowania — usunął się z widowni w jesieni 1889 r. Osobno wyszły próby jego uduchowienia socyologii: *Współzawodnictwo i współdziałanie* (1900), *O energii społecznej* (1900). Opłakuje go Żeromski w *Luźniach bezdomnych*, „jako serce najbardziej czule, serce na miarę niewidzianą i niesłychaną, spalone od uczuć wiecznych“.

Jan Kasprówicz urodz. 12 grudnia 1860 w Szymborku na Kujawach z rodziny chłopskiej. Studya odbywał na uniwersytecie lipskim i wrocławskim, za udział w ruchu ludowym na Śląsku od cierpiał 6 miesięcy więzienia pruskiego, od r. 1888 do 1900 pracował w redakcyi *Kuryera Lwowskiego*. Wydał *Poezye* (1889), *Chrystus* (1891), *Z chłopskiego zagonu* (1891), *Anima Lachrymans* (1894), *Miłość* (1894), *Krzak dzikiej róży* (1898), *Ginącemu światu* (1901); dramaty: *Świat się kończy* (proza: 1891), *Bunt Napierskiego* (1894), *Baśń nocy świętojańskiej* (1900). Przez całą twórczość Kasprówicza przewija się jedna silna nić indywidualności, choć koniec jej zupełnie inny niż u punktu wyjścia. Istotą jej: dusza chłopska, dusza głęboka, prześiąknięta wszystkimi głosami ziemi i natury, do której od wieków była przykuta, o fantazyi ciężkiej, umyśle niezbyt lotnym, uczuciowości splecionej, przysypanej wszystkimi troskami dnia i godziny, często uśpionej, jak ta rola czarna, lecz w której bezustannie kielkuje i kłębi się i przewala, w cichości, w mrokach, aby naraz, gdy dojrzeje we wstrząśnieniu otworzyć się, wybuchnąć.

Bez śladu przeszedł po nim Słowacki, Asnyk, Konopnicka, nie sobie nie przyswoił z ich śpiewności, barw i wytwornej kultury; zamiast prostoty miał częstokroć prostactwo, zamiast harmonii kolorów — krzykliwe plamy (najulubieńszy jego kolor: siny), zamiast siły — brutalność. Formy, które sam stworzył — np. *Z fauny i flory naszej* najeżył kołcami i powygiął tak boleśnie, że każde zdanie jęczy, na torturach. Na każdym kroku czuć dysharmonię formy, która jest także wyrazem braku zharmonizowania w treści wewnętrznej duszy. Oto gdy instynkt ciągnie poetę do swoich, do „świętego ludu polskiego“, gdy oddając bezpośrednie uczucia tworzy rzeczy prześliczne (w *Poezych*, postać uwiedzionej dziewczyny w dramacie: *Świat się kończy*) — racjonalizm, wypływający z prądu chwili, każe mu pogrążyć się w rzeczywistości codziennej, malować lud podług metody naturalistycznej, prowadzącej w konsekwencji do zupełnej prozy, zniechęcenia, pesymizmu, jak wszelkie pogrążanie się w odmetach życia. W miarę oddalania się od pierwszego tomu *Poezyj*, gdzie wzruszają niektóre obrazy niedoli chłopskiej, mamy coraz głębszą galerię chłopów, wyjętą wprost z *La terre* Zoli (*Z chłopskiego zagonu*).

Za to gdy poeta odnajduje siebie, tych kilka zasadniczych strun, które stanowią ton jego duszy,<sup>1</sup> znajduje też odrazu formę dla siebie, znajduje harmonię. Wielkiem dziełem Kasprówicza z tego czasu jest poemat *Chrystus*. K. jest z natury swej — jak wogóle chłop! — religijny, w *Poezyach* głosi religię rozumu, nieszczerze atoli, po deklamatorsku, z uległości dla prądu chwili. Uspodobienie jego pozostaje religijne

nawet wówczas, gdy rozum nie wierzy — a może wówczas najwięcej. Z zespolenia tego usposobienia z gorącą miłością wszystkiego, co żyje i cierpi, z poczucia kontrastu między ideą Chrystusową a odbiciem jej w życiu — powstał jeden z najcharakterystyczniejszych poematów poprzedniej doby. Wspaniałemi pisany tercynami, w pierwszych strofach odrazu przejmując tonem wysokiego nastroju duszy:

W życia przeboju, ach! w życia rozterce  
Jakże bezdenną grób przepaścią ziele,  
Gdy gaśnie skra po iskiecie;

Gdy znikające człek widzi nadzieje,  
Kiedy na dążeń promieniste znicze  
Noc swój ponury mrok leje...

Są wtedy duchy, co straszne gorycze  
Chłoną z spokojem, co z przedziwną cizną  
Patrzą w rozpacz oblicze...

Lecz są znów duchy, co gdy: nie! usłyszą,  
Jęczą jak dęby, gdy dzikie wichury  
Ich koronami kołyszą. —

Rwią się w rozpacz, jak jodły, gdy bury  
Grom w nie się wryje, gdy śmiercią szeleści  
Las naokoło ponury.

I nieraz w niebo krzyk bluźnierczej treści  
I krew rzucają z ropiejącej rany  
By znów zamilknąć — w boleści...

Utwór to wielki w założeniu — miejscami, o ile naturalizm nie przeszkadza w symbolizowaniu uczuć ogólnoludzkich i nie zgrzyta w formie — także w przeprowadzeniu. Jakby nie, łącząca tę dobę twórczości K. z ostatnią, wysnuwa się z niej myśl, że złe jest wieczne, że złe Bóg stworzył...

Jakby wyczerpany tym wysiłkiem prometeizmu społecznego Kasprowiec występuje z grona bojowników — z latarką puszcza się w głębie własnego ducha; ze społecznika przeobraża się w indywidualistę.

Napierski — pseudonim młodego poety, który rozwinięty następnie pierwiastki swej duchowości stał się jednym z najwybitniejszych przedstawicieli intelektualizmu. Poezję drukował w paryskiej *Pobudce* (1888—1889); osobno przedruk: *Pogrobowcom* (1901).

Franciszek Nowicki, ur. 29 stycznia 1864 w Krakowie. Drukował nowele w *Biesiadzie literackiej* z r. 1882—1883, opis Tatr w *Świcie* z r. 1888 i poezję, które pojawiały się w czasopismach od r. 1885, a w r. 1891 „nakładem autora“ wyszły we Lwowie.

Poezję jego są wyrazem entuzjazmu odłamu pokolenia, które około r. 1890 w Krakowie podjęło walkę za ideały ludowe. Grupowało się około pisma *Ogniska* i w ówczesnej *Czytelnicy Akademickiej*, którą Nowicki prowadził. W walce tej „społeczeństwo“ zwyciężyło przy pomocy relegacji z uniwersytetu, sądu karnego etc. Jednostki złamano, idea pozostała. Nowicki prędko wyczerpany walką, objął obowiązki nauczyciela gimnazjalnego. Drukiem nic więcej nie ogłasza.

*Poezje* (1890) wskazują na duszę bogatą, pełną młodzieńczego zapału, męskich akcentów („Nie wolno płakać“) i głębokiego odczucia piękna. Jeden z pierwszych Nowicki malował Tatry, jakby z granitu kując swe sonety — *Obrazy pustyni*. Cykl zaś *Tragedye pustyni* przedstawia mistrzowski szereg wstrząsających żywiołów konfliktów tatrzańskich. A nigdzie nie opuszczają poety dwaj nieodłączni towarzysze — z zewnątrz: widmo ludu, a cień duszy: smutek...

Andrzej Niemojewski urodził się d. 23 stycznia 1864 r. w Rokietnicy. Po ukończeniu uniwersytetu w Dorpacie pracował przy przedsiębiorstwach górniczych w Sosnowcu, obecnie przebywa w Warszawie. Wydał: *Poezje* (1891), *Poezje prozą* (1891), *Poezje serya II* (1893), *Majówka* (1895), z cyklu *Polonia Irredenta*: Podziemia, Łuny, Ziemia obiecana, W ciszy wiejskiej, Stolica, Ptaki burzy (1895—1896), *Listopad* (nowele i impresje, 1896), *Wybór poezji* (Warszawa, 1899), *Listy człowieka szalonego* (1900), *Prometeusz* (1900); dramaty: *Bajka* (allegorya dramatyczna, 1900), *Szopka* (1901), *Dzień on, dzień gniewu Pańskiego* (1902), *Familia* (uwieńczona na konkursie Kur. Warsz. 1889 pierwszą nagrodą), *Rokita* (1901); nareszcie *Polonia Irredenta* (wybór, 1901), *Legendy*, po skonfiskowaniu przez prokuraturę austriacką wydane jako *Tytuł skonfiskowany* (1902).

Będąc z natury swojej, nie mózgowo, demokratycznym, tj. najwięcej zbliżonym do duszy demosu polskiego, Niemojewski jest prostym, jasnym, skończonym w sobie. Liryki jego świadczą o ogromnej bezpośredniości i darze mówienia prosto z duszy; do niedawna spo-

jony z łonem matki-ziemi jak lud, czuje żywo jej tchnienie i promienie. Nie ma więc w jego wierszach dreszczów, wstrząśnień, pychy barw i dziwnych rysunków, prerafinowania a nieraz wynaturzenia, jak u innych „modernistów“ jest zato szczerłość i świeżość, trafiająca do najgłębszych, warstwami cywilizacji miejskiej i mózgowej przytłoczonych instynktów. Owa prostolinijność duszy dozwoliła mu zbudować dramat z życia ludu, silny i prosty, jak dramat starożytnych; surowym swym nastrojem życiowym i moralnym przypomina potężne kreacje Tolstoja.

Uspodobienie takie nie będzie się lubować w wymysłach niemieckich, w filozofii i metafizyce. Prawdziwy Polak, Niemojewski dalekim jest od mgieł spekulacji i szturmowania do zamkniętych wrót wszech-tajemnic; nie udaje mu się to ni w próbach filozofowania pierwszego tomu *Poezyi*, ni w *Dumaniach nad Faustem. Bajka*, piękna jako wiersz, jako allegorya życia, łamiącego młodość i szczęście, nie jest ani nową, ani głęboką — zato chwyta on rzeczywistość niezamąconem okiem i reaguje na nią raz smętną zadumą, to szczerą, szeroką wesołością. Podobny w tem do natury demosu, a nie do młodych kochanków transcendentalizmu, z których każdy ma czoło bezustannie zasępione, a usta złożone do zgrzytu. N. umie śmiać się wesoło, nie zbyt może wytwornie, po naszemu. Taka *Majówka* i poemat: *Dwa amorki, Liryk i muza*, pełne są humoru pogodnego, przetykanego często chmurami melancholii — humoru prawdziwie polskiego, bez jadu, bez natrząsania się ze swych łachmanów, a posiadającego rzetelność, serdeczność i godność. Ta łatwość przechodzenia z nastroju poważnego do żartobliwego, a stąd do łez, w żadnym nie sięgając zbyt otchłannej głębi — nie jest-że szczerze polską?

Wesoło żeglujemy po falach żywota,  
Wesoło żeglujemy, wesoło —

zaczyna śpiewać dziarsko, ochoczo, a kończy wilgotną powieką. I to niejednokrotnie. W najgorszym razie, gdy już zanadto

....głowa pęka  
W sercu chłodny wiew

znajdzie się „szklanka i piosenka, co poruszy krew“. Dla zalania robaka — po naszemu; wtenczas skromny, wstrzemięźliwy, daleki od rozpasania liryków młodszych poeta, zdobędzie się na żart z szynka-

reczką, hulaszczy, rubaszny. Któż w tych stanach psychicznych nie znajdzie oddźwięków muzy polskiej, począwszy od Reja a kończąc na Polu, Syrokomli, Wasilewskim? Śpiewają bowiem —] z tej samej duszy. Natura ta umie jednak w chwilach prawdziwego natchnienia skupić się, wejść w siebie i wydobyć z głębi nastroje, pełne przejmujących tonów, symbolizujących dusze całego tego demosu, której jest piewcą. Taka *Branka* należy do pereł literatury polskiej; śpiewa w niej Niemojewski pieśń o rekrucie polskim, śpiewa w niej rekrut, chłop w karczmie, śpiewa naród cały. Cudna w nastroju jako wyraz temperamentu polskiego, przechodzi powoli z obrazu rozhukanej karczmy w wizję losów rekruta, w wizję coraz potężniejsze, olbrzymie... A ten krótki, urywany refren: „Jezus Maryja! wódki żydzie — Toż to idzie, toż to idzie“, powtarzając się ciągle, nadaje całości tempo namiętne, gorączkowe, wprawia w wir, w hypnozę, porywa w coraz ciemniejsze kręgi dantejskie. Najpiękniejszy znalazł tu dla siebie wyraz Niemojewski-społecznik, najczystsza przytem poezya, gdy w innych utworach za często daje ujęcie łatwej swej swadzie: zamiłowaniu do deklamacyi. Zamiłowanie te osłabia wrażenie, gdzie charakter Niemojewskiego, jako śpiewaka walczącego stanu czwartego, występuje najwyraźniej, lubo nie najpoetyczniej. Z wielką plastyką i siłą odtworzone tu *Podziemia*. Żywił ten — kopalnie węgla, Niemojewski pierwszy do poezyi wprowadził — to jego zasługa; gdzie daje przemawiać samym obrazom pracy górników — wstrząsa, za często jednak przypina im niepotrzebnie szczydła dydaktyki, by z tej wyżyny wygłaszać mowę agitatorską. Łatwa wymowa psuje też piękne nastrojowe krajobrazy *Listopada*, a w *Listach szalonego* przy sympatycznym entuzjazmie społecznym — każe być niesprawiedliwym dla sztuki i artystów współczesnych. Słusznie pisze Nietzsche, że nietyle siła, ile trwałość wysokiego nastroju duszy tworzy poetę; Niemojewski z prawdziwie polską zapalnością, zbyt to ślizga się po wierzchu zjawisk.

Ten temperament polski, z swym rytmem rozkołysanym, dźwięcznym, burzliwym, ze swą skłonnością do szybkich syntez, do myślenia obrazami miast cisłych określeń, odbija się też w formie. Płynie ona wartko, nie jak rzeka głęboka, lecz jak potok górski, czysty zato, przeźroczysty, z hukiem i szumem; słowa nie są tu ważkie, ani zdobne, a toczą się z muzycznym, nieco skocznym rytmem nawet wówczas, gdy treść ich pełna jest grozy i tragiki (*W dziesiątym pawilonie*). Z natury i życia pełnemi garściami bierze obrazy i porównania, a są one nie objawem stanów duszy, wyrażającej się wizjami barw i przed-



miotów, lecz alegoryami, mającemi główną treść wiersza tylko popularyzować.

Las-kościół organem zaszumił przez liść,  
Tłum cieniów gromadzi się w dali,  
Noc-babka kościelna za chwilę ma przyjść  
I gwiazdy na niebie zapali.  
Wiatr lasu-zakrystyan omiata z drzew pył  
I ołtarz ubiera we wieniec,  
Już księżyc-ksiądz proboszcz, staruszek bez sił  
Podąża by związać nam ręce.

Każdy obraz — alegorya, nie stan duszy. Czasem udaje się pocie rozpiąć tę alegoryę w wspaniały obraz, obejmujący losy całej ludzkości. Znakomitym w tym kierunku utworem: *W wagonie*.

Mniej atoli udała się próba rozpięcia allegoryi na szerokie rozmiary w dramacie *Rokita*; poeta zbyt jest z ziemią związany. Słabość to artystyczna jego utworów — siła jego, jako indywidualności, która i bojem za swe przekonania staje się wybitnym czynnikiem w życiu publicznym. Zadokumentowały to jego *Legendy*. „Jakby — pisze prof. Aleks. Brückner — odżyły w Niemojewskim, dziwym atawizmem, rodzinne tradycje arykańskie, zamierzchle dawno: o co Kasprowicz w wierszu, o toż pokusił on się w prozie i poszedł nawet dalej, do całkiem ludzkiego wytłomaczenia rzeczy całkiem nadludzkich, wymykających się zupełnie naszemu pragmatyzmowi, w ślady Tetmajera i Kasprowicza, Renana i Straussa. Pomieszczone tu istotnie legendy (o skowronku i cierniu) z wymysłami autorskimi; niektóre z nich bardzo poetyczne, wzruszają istotnie, zato nieudało się kompletnie filisterskie uzewnętrznienie kusiciela, marnego polityka, a legenda wstępna, o którą to najbardziej na autora się rozszrozano, chociaż wiersze Kasprowicza nie równie więcej bluźniercze (?) i sceptyczne, jest całkiem zbyteczna, niczego nie wyjaśnia. Z *Legend* bije głównie rozrzewnienie i miłość, tasama nuta społeczna, dominująca w każdym niemal utworze naszego ludowca, bez dawnej jego burzliwości“.

Adam Szymański urodził się we wsi Hruszowie niedaleko Drohiczyzna w 1852 r. Ukończył wydział prawny w Uniwersyt. Warsz. w 1877 r.; w r. 1879 wysłany do Jakucka, przebywał tam, potem w innych miejscowościach Syberji do r. 1885.

Pracę literacką rozpoczął rozprawami i artykułami publicysty-

czynnymi, w r. 1892; w czasie pobytu w Syberyi drukował w wydawnictwach Ces. Tow. geograficznego rozprawy naukowe, na podstawie których Petersburskie Tow. geograficzne wybrało go członkiem. W r. 1885 rozpoczął w *Kraju* druk *Szkiców*, z których tom I. pojawił się 1886, II. — 1891 roku, następnie w kilku wydaniach. Zgłębiał nieszczęściami domowemi, niewiele potem pisał; w czasopiśmie drukował wiersze i nowele pomniejsze: *Pan Antoni* 1894 w *Świecie* i *N. Ref.*, *Jurdiuk Ustucus* 1900 w *Wieku* i *Czasie*, *Uroczysta Wigilia* 1900 w *Słowie Polskiem*.

Od napisania przez Sienkiewicza *Latarnika* nikt nie dał tak silnego wyrazu tęsknocie za krajem, jak Szymański swymi utworami: *Srul z Lubartowa* i *Dwie modlitwy*. Środki jego artystyczne są bardzo proste. Ulubioną jego formą opowiadanie, przeplatane gęsto refleksyą, uwagami autora i opisami o niepospolitej nieraz plastyce (opis ziemi, jęczącej w uścisku mrozu!); przygotowuje nas tym nastrojem i wtenczas — zamiast rozkładać uczucie na liryzm, miast cieniować, jak autor *Latarnika* — rzuca zwrot, obraz pojedynczy, potężny siłą skoncentrowanego bólu, długo tłumionej, jak krew z otwartej rany buchającej tęsknoty. Tak otwiera przed nami głębi duszy biednego, ordynarnego żydka, w której szamocze się nieświadoma swego istnienia miłość, tak targa naszymi uczuciami obrazem owych sześciu skazańców, ludzi, którzy na swojej ziemi byłiby sobie może na całe życie obcymi, a teraz znaleźli się razem na gruzach całej swej egzystencji w nawpół rozwalonej chacie jakuckiej.

„Porankiewicz wysunął się naprzód i zbliżywszy się do stołu, wziął ostrożnie talerz i prostując się, aż mu w krzyżach zatrzeszczało, chrząknął, usta otworzył i gdy wszyscy z najwyższą ciekawością oczekiwali oracyi, wyrzekł drżącym głosem słów czworo:

— Panowie! Oplatek wprost z Warszawy...”

Obok tej miłości ku ziemi, która serdeczne swe w tych *Szkicach* łązy wypłakuje, bije tu druga jeszcze miłość: ku człowiekowi. Szymański oznacza etap wysokiego rozwoju kultury i idei ogólnoludzkich w narodzie. Na ziemi śmierci Ellenai Polak dotąd widział tylko jedno widmo i jeden ból; Szymański nie tracąc go z oczu — widzi więcej. Cierpienie otwiera przed nim dusze do dna. Niedarmo tyle dusz przed nim się spowiada. Patrzy on w ich głębi, w głębi tych żydów ordynarnych, tego „przewoźnika“ opitego, straszego, znieprawionego, w dusze zbrodniarzy i potępieńców — i odkrywa tam, treść ludzką, czystą, godną litości, nieraz umiłowania, nieraz uwielbienia... Polak dawniej stał nad katorżnikami, jako zbrodniarz „polityczny“, o całe

niebo wyższy dumą bohaterstwa, poświęcenia; Szymański okazuje w pospolitym, krwią nieraz powalany człowieku — brata... Nawiązuje nie do idei Dostojewskiego, maluje postać *Hanusi*, tragiczną a wielką, odsłaniającą przepaście w prostym swym umyśle, uczucia mistyczne, wobec których błędna, maleją, w proch i potępienie padają cywilizacyjne nasze przesady, pojęcia, urządzenia... *Hanusia* godna też stać obok najwznioślejszych utworów Lwa Tolstoja.



## ROZDZIAŁ X.

### IDEALIZM SPOŁECZNY. ELIZA ORZESZKOWA.

Punkt środkowy między utylitaryzmem a bezwzględnem uczuciem. Znaczenie kulturalne działalności Orzeszkowej. Jej niechęć do typów uczuciowych. Potępienie ruchów skrajnych. Odwrót. Apoteoza uczucia i synteza szlachecko-ludowa w „Nad Niemnem“. — Harmonia dwóch pokoleń w dążeniu do ideału.

Żywot i dzieła.

Atmosfera się rozgrzała — stało się ciepłej w Polsce. I gdy w gwałtownym naporze reakcji, najmłodszy, »rozumni szaleń«, zapragnęli pchnąć bryłę świata na nowe tory, inni zaś chcieli ją ustroić w laury i purpury chwały przeszłości — musiały znaleźć się umysły, szukające syntezy pośrodku, między skrajnymi tymi biegunami.

Zadanie to przypadło Elizie Orzeszkowej.

W latach osmdziesiątych stoi ona na szczycie swęgo znaczenia, wywierając na umysły wpływ szeroki i dobroczynny.

Wychowana i długo żyjąc w sferze ziemiańskiej, na ziemi, do głębi wstrząśniętej powstaniem, silnie przejęła się skutkami ówczesnego przesilenia ekonomicznego i umysłowo-moralnego. Doświadczenia życiowe i poważne studia naukowe rozszerzyły znacznie jej widnokrąg i niebawem mogła czerpać wiadomość dobrego i złego z *różnych sfer* i nic



Eliza Orzeszkowa w r. 1867.

ludzkiego nie było jej obcem. Przebywała w pałacach pańskich, dworach szlacheckich i w kurnych chatach chłopskich, w pracowniach uczonych i chajderach żydowskich, w warsztatach rzemieślników i pensyonatach panieńskich, w domach starych rzymian i naszych rodzimych *chamów*; wszędzie, gdzie tętniło serce, biła myśl ludzka, duch jej zatrzymywał się: nie z ciekawością artystki, lecz z sympatyą i współczuciem prawdziwej kobiety, a troską i natężonym umysłem badawczym człowieka-obywatela. Z uchem u serca

swego społeczeństwa, chwytając każde jego drgnienie i uczucie. Zbiór jej dzieł jest też wierną księgą dziejów szmatu kraju — szczególnie ukochanych jej stron nadniemeńskich — dziejów zarówno położenia ekonomicznego, jak i pojęć i pragnień całego ostatniego czterdziestolecia.

Dzieje te pisze przez blisko dwadzieścia lat twórczości ze stanowiska racjonalizmu i humanitaryzmu.

W czasie powszechnej reakcji przeciw romantyzmowi, ona nie rzucała kamieniem na uczucie i nie potępiała przesady, ale faktycznie ograniczała wpływ jego i rolę do minimum i byt jednostek narodu pragnęła opierać na biegunie jego przeciwnym: na

rozumie. Gdy w utworach poetów staro- i neoromantycznych ulubionym bohaterem jest z re-

bnych bohaterów nie spotkamy. Ciągłe zdaje się powtarzać: nie artystów i poetów nam potrzeba, lecz ludzi czynu, nie bohaterów, lecz użytecznych pracowników. Dewizę: mniej serce i patrzaj w serce! przeobraziła: w mój rozum i patrzaj także w serce. Jej bohaterzy dodatni nie marzą, rozumują tylko, a jeśli puszcza czasem cugle fantazyi, to zawsze w granicach społecznego utylitaryzmu; namiętności nie znają, prócz namiętnej miłości do ideału praktyczności społecznej. Natomiast stawia nam ona przed oczy bardzo często odstraszające przykłady złamanego życia, spaczzonego charakteru, zwichniętego bytu rodzin całych, spowodowanego zbytniem



Eliza Orzeszkowa w r. 1871.

gęły poeta, artysta, człowiek o nadmiernem uczuciu i przebujałej fantazyi, żyjący życiem wewnętrznym, kontemplacyjnym i niezdolny do organicznego złączenia się pracą i myślami z otoczeniem, u Orzeszkowej podo-

puszczaniem cugli namiętności, z reguły pozbawionej u niej wszystkich ozdób poetycznych. Równocześnie używa Orzeszkowa wszystkiej poezji, na jaką ją stać, całej gorącej wymowy i sugestji, aby gloryfikować rozum — wiedzę — surowy obowiązek — idee humanitarne. Zna ona właściwie jedną tylko poezję: krajobrazów nadniemeńskich, i drugą: obowiązku, czyli ukochania ziemi i rozumnej pracy. Gwiazdy te wskazuje szlachcie, kobiecie, żydom. *Pan Graba* żyje i kończy podle, gdyż wychowanie nie nauczyło go pracować; Wacława zostaje nauczycielką, Emilia zakłada warsztat introligatorski. Rodzina Brochwiczów musi się odrodzić racjonalną gospodarką, Marta ginie dla braku należytego sposobu zarobkowania, Marya poświęca szczęście osobiste dla twardego obowiązku wytrwania przy mężu i pasierbach swoich. Meier Ezofowicz jest męczennikiem garnięcia się do wiedzy i pracy produktywnej. Program pozytywistyczny w klasycznym a zawsze szlachetnym wyrazie. Z jakim umiała go wypowiadać polotem, jakie źródło poezji miała w duszy, świadczy bodaj *Ezofowicz*. Z błot i zaduchu małej miściny żydowskiej, z zaułków brudnych, rojnych od ciemnych tłumów nędzarzy i z izb kupieckich, przesiąkniętych zimnemi cyframi, potrafiła wyprowadzić kilkadziesiąt postaci, rozpadających się na obce sobie światy i wysnuć dramaty indywidualne i ideowe o potężnych, monumentalnych liniach. Podziwiać należy tę sumiennność badań, ale także ową intuicyę artystyczną, która poetce dozwoliła przeniknąć obce sobie pojęcia i sięgnąć niejednokrotnie do dna duszy obcej sobie rasy; podziwiać należy te rozległe perspektywy ducha, które umiała dostrzedz i zakreślić, stopami opierając się silnie o grunt małego miasteczka litewskiego. A kogoż, choćby jak najnieprzychylniej na początku usposobionego, nie ogarnie współczucie dla tych nizin, które poetka z realizmem tam kreśli, kogoż nie ogarnie sympatya dla tych wysiłków myśli, które tam widzimy, kogoż nie porwie gorące serce i szlachetny, wcale nie sentymentalny humanizm,



Andriolli: Michał Ezofowicz, senior.

którym dzieło przesiąknięte? Meier Ezofowicz — pomnik to humanizmu polskiego, z równą zbudowany siłą myśli i z prawdziwszą, niż *Natan Mędrzec* Lessinga, bo serdeczniejszą, nie zaś wyrozumowaną poezją. Nie obejmując może tak szerokiego horyzontu, ma również znaczenie ogólnoludzkie, jako



jeden z nieśmiertelnych objawów prometeizmu z monumentalnym wyrażony artyzmem.

Ale społeczeństwo zdrowe rozwija się niepowstrzymanie i wytwarza w sobie coraz bardziej zróżniczkowane organy, coraz wyższe formy bytu. Umysł intuicyjny, poetycki, powinien je odgadywać, przeczuwać, wyprzedzać. Orzeszkowa z reguły intuicyonistką nie jest; długo bada, gromadzi obserwacje, — tworzy indukcyjnie. To też gdy nadszedł czas, kiedy ideały pozytywizmu i pracy organicznej przestały wystarczać, a z dołu od młodych wydobywał się nowy, nieznany dotąd ferment, odnosiła się do niego nieufnie, krytycznie, wprost wrogo. Boi się *Widm* i fałszywych proroków, boi się wybuchów uczucia; od podobnych niedawno dom ojczysty stanął w płomieniach; boi się młodzieży fanatycznej, której miłość nieogłędna, niecierpliwa, nie chce iść spokojnym gościńcem organicznego rozwoju kulturnego, lecz pragnie ludzkości przypiąć skrzydła — by może głowę sobie roztrzaskała; boi się eksperymentów, w których widzi obce ręce — nie swojskiego ducha.

Kilka lat upłynęło od *Pierwotnych*, *Widm*, *Ławicza*, Orzeszkowa wystąpiła z utworem pomyślanym głębiej, na szersze rozmiary, niż wszystkie dotychczasowe, mającym pod względem formy stanowić epopeję współczesną, co do dążności — kwintesencję duchową autorki. Jest nim *Nad Niemenem*. I, o dziwo! odsłania się nam tutaj oblicze zupełnie inne. Wyrazem ideału staje się młody chłopak, student, kipiący uczuciem, rozumny szaleń, romantyk w teorii i czynie, i ten młodzieniaszek staje się mistrzem starszych, dojrzałych, będących żywym wcieleniem »pracy organicznej«.

Ow »stary«, Benedykt Korczyński, miał przecie także młodość górną i chmurną, a gdy zawierucha krajowa ją wczesną siwizną przyprószyła, brata jego rzuciła do mogiły, poddał się smutnej konieczności i przemienił w wołu roboczego. »Długo we środku mu coś płakało«, nareszcie pozostał tylko

jakiś kwas w duszy, rozjątrzenie, niechęć głucha do wszelkiej ideologii i ciężki trud niezasobnego a żyjącego na pańską stopę szlachcica. I ten jest z galeryi szlachty, jaką poznamy, najlepszy. Inni pędzą życie pasożytów, pieczeniarzy, artystów zblazowanych lub błaznujących, kobiety zaś z drobnym wyjątkiem są buszmenkami, które oddałyby połowę życia za ładne utatuowanie, lub żyją w sztucznym świecie dziecinnych fantasmagoryj.

To jeden świat — trochę zwyrodniały, grubo podszyty tchórzem, bo trzęsący się na wspomnienie niedawnych tradycyj i bliskich mogił. A obok żyje drugi: zaścianek Bohatyrowiczów. Bohaterzy — pracą żelazną przemienili ongi las dziewiczy w kraj mlekiem i miodem płynący, dotąd zachowali nadmiar sił i wielkość uczucia, które nie wpadając w czczy sentymentalizm salonów umie jednak dochować wierności grobom; bieda i ciemnota paczy jednak ich charakter, zachwaszcza go pieniaczstwem, umysł zachwaszcza zabobonami. Czas, w którym z dworem Korczyńskich wiązał ich jeden sztandar, minął — teraz dwór i zaścianek są sobie wrogami, walczą procesami, nienawiścią.

Między tymi dwoma światami stoi Witold Korczyński z całym fanatyzmem i bezwzględnością zapaleńca. Jakkolwiek wie, że w sporze z zaściankiem Bohatyrowicze nie mają słuszności, nie waha się wołać do ojca: »twoja wina!« I jak z wezbranego źródła tryska zeń szereg pytań, oskarżeń, gromów:

„Dlaczego *oni* ciemni, jak w rogu? dlaczego] chciwością „pożerani? dlaczego nieprzyjaźni?... Czy niczyjej winy w tem niema, tylko ich jednych?»

„Zapytania te tak uderzyły Benedykta, że umilkł, z ciężkim westchnieniem rzucił się na fotel i wahającym się] głosem przemówił:

„Dlaczego? dlaczego? Ha! gdybyż to można było wszystkich czarnych mar i ciężkich plag życia zapytywać: skąd? za co? dlaczego?

„My ich zapytujemy! podchwycił Witold. — Tak, mój ojcie, całą siłą umysłów i serc naszych zapytujemy, a one nam odpowia-

dają! Ta, o której teraz mówimy, odpowiada: „Zrodziły mię oamienia i nienawiści wieków; zagłada moja *w świetle i miłości...*“

„Teraz wszystko, co uzbierał z książek i od ludzi, wszystko, co włożyła w niego natura, a rozjaśniła i potwierdziła nauka, wylewać mu się zaczęło z ust wymownych i drżących. W szerokich zarysach kreślił idee i teorie, od których urzeczywistnienia zdawało mu się zależeć skrzepienie i odrodzenie narodów, jego nadewszystko; w których dostrzegał jedyną podpórę dla najwyższych myśli i podbojów, w wiekowej pracy zdobytych przez ludzkość; które wedle niego, przynieść miały ratunek dla krwawych cierpień, lasem rąk, do nieba o pomstę wyciągniętych, wyrastających z gruntu, oranego przez złość i przemoc“.

„Od abstrakcyi, mających dla niego urok tak nieprzeparty, że mówiąc o nich, wyglądał jak człowiek, w niebo zbawienia zapatrzony, niespokojnie przebiegł do powszedniej, palącej go rzeczywistości!“

A gdy Benedykt odpowiada mu z ironią, syn wybucha: „Nie masz prawa, mój ojcze, igrać tak z najświętszymi uczuciami memi! Młody jestem! cóż stąd? Nam dzieciom czarnej nocy, jak żołnierzom w porze wojny, rok za dwa liczyć się powinien! W upale cierpień prędko dojrzewamy!“

O, tak! w upale cierpień młode pokolenie prędko dojrzewało! Czyż innemi słowami skarżył się i wypowiadał swe uczucia Nowicki i... Derszlak (z *Zygmunta Ławicza*) i Julek (z *Widm*)?! Ale od łagodnej natury autorki, zbyt kochającej po kobiecemu i zbyt przesiąkniętej intelektualizmem, dalekim był i jest ów materyalizm, z jakim młodzi określali przyczyny i cele swoich dążeń, ich propaganda zmian materyalnych w stosunku posiadania i stosunkach panowania. Dlatego Orzeszkowa przeciwstawia nie proletaryat, tylko żyjącą na własnej roli, nieraz dostatnio, szlachtę chodaczkową — nie właścicielowi latyfundyum lub fabryk, tylko pracującemu w pocie czoła skromnemu dziedzicowi. W ten sposób nie ujmuje kwestyi społecznej, lecz ją omija. A rozwiązanie tych niewielkich, bo niematerialnych a formalnych tylko konfliktów między chatą a dworem? Bardzo łatwe. Panna z dworu, coprawda sierota i bezzasobna, o bujnej, zdrowej krwi i uczuciowych instynktach, oddaje swą rękę młodemu, dorodnemu



Eliza Orzeszkowa w r. 1900.

Bohatyrowiczowi — wżgardziwszy szansami brudnej, pokątnej miłości kuzynka-artysty i pieniędzmi wyniszczonego morfinisty.

Łączą się »w świetle i miłości«... A jakkolwiek na tysiąc pytań, miotających duszą dzisiejszą, nie dadzą odpowiedzi, dają ją jednak na to najważniejsze, które zawsze jak ogień podziemny spoczywało na dnie wszystkich zadum i czynów Orzeszkowej. Odpowiadają na pytanie o bycie zbiorowym. A odpowiedź ta nietylę w haśle Krasieńskiego: z szlachtą polską polski lud — na to Korczyńscy i Bohatyrowicze zamało traktowani symbolicznie — ile w przemianie sił motorycznych narodu. Orzeszkowa zrywa z pozytywizmem: otwiera nieskończone głębie wewnątrz człowieka i narodu. Kwestye mate-

ryalne bytu, dawniej wyrażane w formie potrzeby utylitaryzmu, pracy fachowej, humanitarności, obecnie destylują się niejako, uduchowiają, stapiają w niegasnący żar uczucia. Ogarnia ono człowieka i ziemię, dawne grobowce i świeże kolebki jedną bezbrzeżną miłością, w której giną waśń, krzywda, giną wszelkie »mary i plagi«... Dotąd obce sobie światy i pokolenia, podają sobie ręce, aby żyć w trudzie i miłości na tej swojej odwiecznej ziemi, którą odczuwają, jakby własnych serc bicie.

Młodzi zwyciężyli, gdy w pragnieniu dobra ogólnoludzkiego rozpięli słońce uczucia i kazali stopnieć zimnemu i rachującemu rozsądkowi; starzy zwyciężyli, gdy dusze w pracy utylitarnej ku ziemi przykute rozplomienili gorącą a czynną miłością. Rzeczywistość się pomału w sen przemienia ideału...

Eliza Orzeszkowa urodz. w maju 1842 w Mintowszczyźnie pod Grodnem. Rodzice, majątni właściciele owej wsi, byli ludźmi wysokiej kultury umysłowej; ojciec, który ją zresztą wcześniej obumarł, należał umysłowo jeszcze do wieku XVIII, był wolteryaninem i wolnomularzem. Bardzo staranna, pierwszą edukację odebrała w domu rodzicielskim, poczem do piętnastego roku życia była na pensyi w Warszawie. Nie mając 16 lat wyszła za mąż, ale małżeństwo to konwencyjonalne długo nie trwało; w r. 1864 przeniosła się do wsi rodzinnej, potem do Grodna, gdzie dotąd przebywa, rzadko dla poratowania zdrowia wyjeżdżając za granicę. Żelazną pracą samouctwa przyswoiła sobie niezwykley zapas wiedzy humanistycznej, tyleż pracy i serca włożyła w liczny szereg dzieł swoich. Nie wyczerpuje to jej potrzeby pracy duchowej i obywatelskiej — daje jej ujście w czynach. W roku 1880 podjęła w Wilnie wydawnictwo dzieł poważnych, które jednak prędko — po wydaniu kilku bardzo pięknych tomów — zawiesiła; odtąd żyje dla literatury, otacza opieką cierpiących (pomoc dla pogorzalców po ogromnym pożarze Grodna 1884 r.), bada przyrodę nadniemeńską, której jest nie tylko miłośniczką, lecz i doskonałą znawczynią. Krajobrazy z *Nad Niemnem*, obrazy ze świata roślinnego w *Weselu Wiesiołka* są pełną najżywszego odczucia i wdzięku

pieśnią natury. W r. 1893 uczcili postępowi pisarze polscy działalność autorską Orzeszkowej, wydając na jej cześć wspaniałą księgę pamiątkową.

Działalność ta datuje się od r. 1867, w którym Orzeszkowa w *Tyg. Ilustrowanym* wydrukowała *Obrazek z lat głodowych*. Odtąd wydała przeszło 60 tomów powieści, studyów i broszur. W Warszawie pojawiły się dwa ich wybory; jedno u S. Lewentala obejmuje następujące utwory: *Ostatnia miłość*, *Z życia realisty*, *W klatce*, *Na prowincyi*, *Pamiętniki Wacławy*, *Pan Graba*, *Cnolliwi*, *Wesoła teoria* i *smutna praktyka*, *Na dnię sumienia*, *Marta*, *Eli Makower*, *Rodzina Brochwiczów*, *Pompalińscy*, *Marya*, *Meir Ezofowicz*, *Sylwek Cmentarnik*, *Zygm. Ławicz*, *Z różnych sfer* (nowele i obrazki) 4 t., *Niziny*, *Dziurdziowie*, *Drobiazgi*, *Stare obrazki*, *O kobiecie*, *Kilka słów o kobietach*, *Patryotyzm i kosmopolityzm*, *Cham*. Są to główne dzieła, pisane do r. 1889; dodać do nich wypada *Widma* (1889), *Mirtala* (1886), *Czciciel potęgi* (1891), *Nad Niemnem* (1888), *Jędrza* (1891), *Bene nati* (1892), *Dwa bieguny* (1893), *Australczyk* (1895), *Pieśń przerwana* (1896), zbiory nowel: *Melancholicy* (1896), *Iskry* (1898), *Chwile* (1899), *Argonauci* (powieść, 1900), *Przędze* (1903), *Anastazyja* (1903). Z rozpraw należy jeszcze zanotować: *O żydach i kwestyi żydowskiej* (1882), *List o Polsce do kobiet niemieckich i francuskich* (1890), *Studjum o Renanie* (w Ateneum 1886). Wybór wybitniejszych utworów wyszedł w 4 t. w tanim wydaniu Wawelberga. W r. 1904 wyszedł „dwugłos“, napisany wspólnie z Jul. Romskim pt. *Ad astra*.

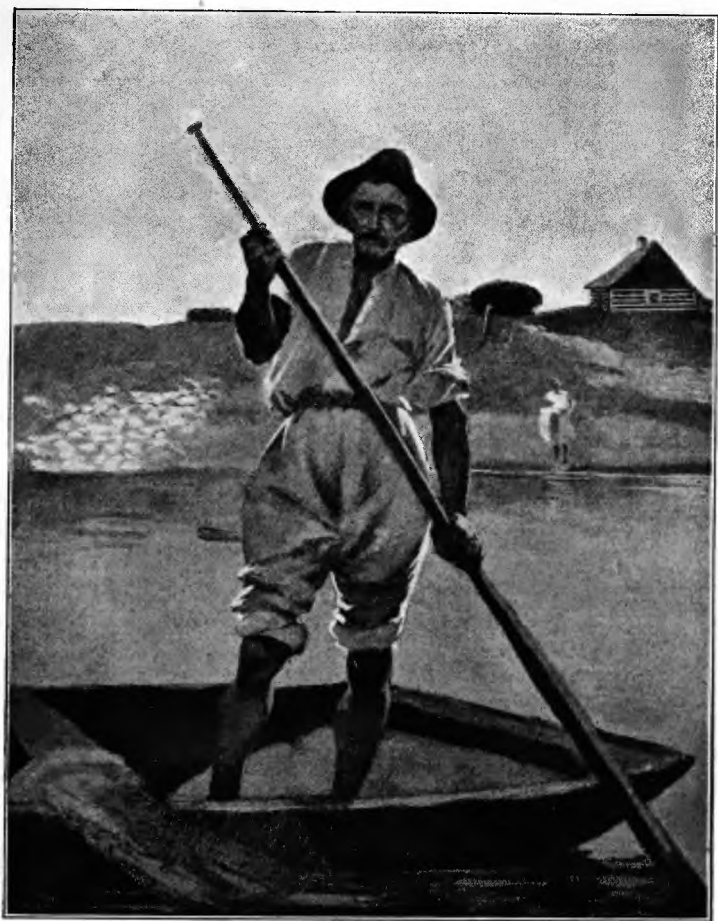
Przebijający się w tych utworach talent Orzeszkowej rozwijał się powoli i samorodnie. Nie ulegał prądom mody, nie łamał się w sobie, od pierwszej chwili do ostatniej wykazuje te same cechy, tylko dojrzałsze coraz i doskonalsze. Talent ten w formach swych zlewa się w jednolitą całość z treścią, bo wypływającą z duszy jednolitej, harmonijnej spokojem, siłą i piękną prostotą — podobnie jak ulubione jej pejzaże nadniemeńskie. Spokojnie i prosto płynie też tok jej opowiadań, dramatyczny — bez grozy, łagodnie wzruszający — bez ekscytowania nerwów, podobłoczny — lecz nie przebijający niebios a stopami silnie wsparty na ziemi; przyświecające jej słońce nie rzuca tych oślepiających efektów świetlnych, które można podziwiać na dalekiej północy czy na gorącym południu, nie pali też zarem potężnym, pod którym dojrzewa przepiękna, egzotyczna roślinność, a równie szybko postępuje rozkład — lecz płonie blaskiem łagodnym, najczęściej melancholijnym, rzadkie dając upały, częste chłody i długi, pelen poetycznej zadumy zmierzch — jak nad Niemnem.

Przedewszystkiem obywatelka, gorąco przejęta troską o dobro kraju, Orzeszkowa zawsze pisze natchniona głosem najpierwszych jego potrzeb. Wypływa stąd charakter publicystyczny, właściwy jej utworom z pierwszego dziesiątka lat twórczości. Tendencya unosi się nad całością, do niej naginały się osoby i dzieje, a gdzie one niedość były wymowne, przychodziła w pomoc ze swoją nieraz bardzo szeroką swadą autorka; zakończenie było zawsze rozwiązaniem jakiejś kwestyi. Tendencyjność ta uderza w utworach społecznych Orzeszkowej dzisiaj jeszcze; najwybitniejsze jej dzieło lat ostatnich, *Argonauci* w architektonicznej swej budowie, ustawieniu figur, rozmowach ich, zdradza bardzo często dążność a priori postawioną — znika jednak zupełnie w wielu nowelach i w takich powieściach, jak *Cham*, gdzie przemawia czysta treść duszy ludzkiej. Niewielkie ustępstwa robi Orzeszkowa też na rzecz wymagań naszych czasów; zabarwia ona swoje dyalogi charakterystycznymi cechami indywidualnemi, a gdy potrzeba, to i narzeczem obcem. Ale tylko zabarwia; wszędzie przebija się język jej własny, pozbawiony nerwowości, krótkiego oddechu, migotliwych kolorów i kolorów współczesnych wychowanków miast wielkich, język o długich okresach, majestatyczny, czysty, jak u najlepszych pisarzy Zygmuntowskich — mowa, jak wogóle cała forma zgodna z treścią: pomnik idealizmu polskiego z końca XIX. wieku.

Idealizm ten wyrażał się długo w propagandzie kultury rozumu i pracy, dopóki Witold Korczyński „poprostu i z krzykiem“ nie przywrócił praw zbyt na uboczu pozostawionemu uczuciu, entuzjazmowi, młodości, mierzącej siły na zamiary. Można przypuszczać, że do tego z wrotu na wewnątrz przyczyniły się niemal studia autorki nad ludem wiejskim. Zeszła do niego z latarką wiedzy, aby rozprószyć mroki przesądów, dzięki którym *Dziurdziowie*, uczeiwi, dobrzy ludzie, mordują dzielną chłopkę, okrzyczaną za „wiedźmę“; zeszła na *Niziny*, by tępić pasożytów, adwokatów, naganiaczy, wyklujących najpodlejš dobroduszość i ciemnotę i odkryła *Chama*, chłopca z lasów i nad rzek zapomnianych przez cywilizację. Żeni się on z dziewczyną miejską, zepsutą, wyrafinowaną histeryczką, która go oszukuje, rzuca, wraca doń z cudzem dzieckiem, nareszcie go truje... A on, cham, analfabeta, nosi w sobie takie skarby dobroci i hartu żelaznego, że okupuje nimi grzechy jej i zwyrodnienie, wznosi się do najwyższych szczytów bohaterstwa ducha.

Więc wewnątrz nas leży zbawienie, w kulturze serca, w podniosłości duszy, w religii obowiązku. Stąd płynie sankcya etyczna, dająca wiarę i spokój, bez tego — anarchia dusz i społeczeństw...

Prawdy te świecą autorce już z marmurów i postaci świata



Włodzimierz Tetmajer: Cham.

starożytnego,<sup>6</sup> a przeniesione na grunt teraźniejszości zlocą go blaskami, bardzo dalekimi od dawnego utylitaryzmu społecznego. Utylitaryzm, chęć osiągnięcia dla swoich maximum dobra, pozostaje, lecz autorka widzi go obecnie w poświęcaniu kultury materialnej dla głębi duchowej,<sup>7</sup> w pogardzie nawet dla tej kultury a bezwzględne



dążeniu do doskonałości — w wcielaniu najwyższego ideału moralnego. Ostatnie powieści nie rozbrzmiewają już owymi hymnami na cześć wiedzy pozytywnej, którą słyszeliśmy w pierwszych: „więcej jest na świecie uczonych, niż dobrych“; czuć w nich żal, niechęć do cywilizacji, która zawiodła wiele pokładanych w niej nadziei i tęsknot. Powieści *Dwa bieguny*, *Australczyk*, *Bracia* są paralelami, jakie autorka przeprowadza między cywilizacją prawdziwą a fałszywą. W *Dwóch biegunach* przeciwstawia Ksawerkę, anioła opiekuńczego okolicy całej, eleganckiemu, pełnemu szlachetnych instynktów, ale pozbawionemu woli do czynów społecznych dekadentowi; *Bracia* są oddzieleni od siebie prawdziwą przepaścią, jaka — mimo zewnętrznej wspólności — istnieje między świetnym, milionowym członkiem wysokiego świata a poziomego ducha, a głębszą naturą, która poświęciła młodość, aspiracje artystyczne, aby wrósć korzeniami w ziemię i utrzymać ją dla swoich; *Australczyk* rozwija ów problem najszerszej. Roman Darnowski bawi w atmosferze kosmopolitycznej, w świecie urzędniczym, przesiąka ideałem wielkiej kariery, „dążnością do paszketu“. Przed objęciem wysokiej posady przyjeżdża na wieś do stryja Stefana. Świat to obcy mu zupełnie, świat znoju twardego, wiejskich „antropomorfów“, poświęcenia i miłości czynnej, która każe Stefanowi żyć się z ludem, pracować z nim razem; nad domem jego, jak nad domem Seweryny Zdrojowskiej i Zenona Hornicza „unoszą się blask tego słupa gorejącego, który przyświeca drogom ludzkim a w mowie ludzkiej nosi nazwę ideału. Gdy ten słup płonie, ludzie idą drogą prostą, gdy gaśnie — błądzą i marnieją“... Roman Darnowski urokowi tego światła się poddaje...

Nie przyświeca ów słup ognisty *Argonautom*, którzy wybrali się na drogę życia dla poszukiwania złotego cielca i jego służbie zostali wierni. Alojzy Darwid ulepił też temu bóstwu z milionów gmach wspaniały, ale w serca jego najbliższych nie szedł stąd żaden promień gorętszy, żaden blask ideału. W tym chłodziu serca zwyrodniały, pojęcia dobra i zła znikły, demon używania mści się na swoich przeciwnikach, stępując ich dusze, wynaturzając nerwy — i na świecaćcem błocieł zbudowany gmach Darwida zapada się, druzgocząc jego i wszystkie owoce całego jego życia...

I ostatnie zbiory nowel: *Melancholicy* i *Iskry* potracają te struny, przynoszą te idee, często w postaci świeżej, silnej, działającej odurzająco, jak kwiat świeżo rozkwitły, to znów, jako pełen smętku kwiat zasuszony, budzący tęskie wspomnienia i kontemplacje. A we wszystkich — mamy „światło w ruinach“, miłość czynną i ofiarną,

zlanie swego ja z narodem, zdobycie dla indywidualności w ten sposób stałego punktu oparcia, mocy, nieśmiertelności...

Bije stąd optymizm, oparty na idealizmie tak wysokim, iż z wyżyny jego giną wszystkie małości świata, ginie ciało i jego sprawy — ze szkodą dla plastyki i prawdy powieści — a duch rośnie, olbrzymieje, łączy się z duszą świata, obejmuje wszechświat jednym wielkiem uczuciem mistycznym. Jest ono ostatniem słowem religii autorki, dalekiej od form i dogmatów oficjalnych, pełnej jednak pierwiastków kojących i wzniosłych.

Gdy pozytywista Wiktor (w *Braciach*) głosi odnośnie do najwyższych zagadnień etyki i bytu ludzkiego „złoty środek“, odpowiada mu Zenon z żywością:

„Czyż doprawdy w ramach, zbitych z trzech deseczek: pracy, honoru i łatwej dobroczynności mieści się rozwiązanie tej zagadki, którą jest przeznaczenie człowieka na ziemi? Dla mnie ta zagadka jest otchłanią. Od początku świata pochylają się nad nią najszlachetniejsze głowy ludzkie i nie mogą one jej dosięgnąć wzrokiem. Musiałeś także zastanawiać się nieraz nad pytaniem: za co i dla jakiego celu człowiek skazany jest na cierpienie i śmierć? Nieuchronność cierpienia i śmierci byłaby przerażającym figlem jakiejś mocy piekielnie okrutnej, gdyby nie posiadała celu, niepojętego dla naszych biednych zmysłów ludzkich! bo biedne zmysły nasze nie o tem powiedzieć nie mogą. Ale cel istnieje nie zawaodnie. Natura, która nie znosi próżni fizycznej, czyżby znosiła taki bezsens moralny, jak bezużyteczne dręczenie niezliczonych miliardów istot? Przyszedłem do przekonania, że poza świadomością zmysłów naszych tworzy się w przestrzeni i czasie dzieło jakieś olbrzymie i doskonałe, dla którego potrzebne są jakieś istnienia, cierpienia, umierania, a także i może nadewszystko, nasza doskonałość. Ale ta doskonałość nie mieści się tylko w pracy, w honorze i w rzucaniu ubogim okrucich z naszego stołu, nam samym niepotrzebnych. Słusznie czy niesłusznie upatruję ją w oczyszczeniu życia z najdrobniejszych chociażby krzywd ludzkich, miłości dla ziemi i ludzi, posuniętej do ofiar, sprawiających cierpienia chociażby najcięższe... Co do mnie przynajmniej, usiłowaniem mojem najsilniej naprężonem jest to, aby mieć serce jak najczystsze i oddawać usługi jak największe ziemi i ludziom. Zdaje mi się, że tym tylko sposobem osiągam cel, dla którego przyszedłem na świat“.

Wiara ta prowadzi — *ad astra*...

Ostatnia ta powieść jest pomnikiem ducha Orzeszkowej — bez względu na to, kto kruszcu swego do odlewu dorzucił. Spotykamy tu znaną nam z *Dwóch Biegunów* Sewerynę Zdrojowską na tle czarem

dyszającym prastarych baśni puszczy Białowieży; im odpowiadają potężne a zimne szczyty alpejskie. I oto między gorącym a rozmarzonym duchem puszczy, a przenikliwym a chłodnym duchem wyżyn wywiązuje się dwugłos. Toczy się walka słowna o wyższość nauki nad głosem serca, bezwzględного krytycyzmu nad słodyczą marzeń, wszechludzkiego ideału poznania nad walką o mały skrawek ziemi... Lecz i ten, co przemawia, jako duch nieskończoności, jest Polakiem, a przede wszystkim człowiekiem. Pociągnęła go inteligencja niezwykła, a zarazem prawdziwie kobieca Seweryny, pociągnęła go ona cała. I w niej serce zastygłe ozwało się tęsknotą szczęścia. Nakazała mu milczenie. Byłaby musiała przejść po sercu cudzem — młodem, w którego promieniach on, po walce rozpaczliwej, znalazł byt jasny.

Za szybko. Rzecz traktowana bez ironii; bez przekąsu pod adresem niestałości męskiej — wymagała więc subtelniejszego wyciniowania psychologicznego. Odpowiada zresztą sposobowi traktowania całości: w wielkich, prostych, klasycznych liniach. I istotnie wieje z niej niedzisiejsze technienie uroczystej powagi klasycznej. Wzniesieni jesteśmy ponad pospolite otoczenie, interesy i namiętności ziemi. Przemawiają rzeczywiście duchy wybrane, sięgające skrzydłami najwyższych sfer bytu. Roztaczają wszystkie przepychy lodowców, wtórują wszystkim poszumom i gadkom białowieskim, a jak one — proste i potężne są serc ich tragedye. Odczuwamy je intelektem, podobnie jak nie uczuć bezpośredniością są pisane; mimo to ciepło stąd bije i blask żywy. I pod tem wrażeniem wierzy się, że, jak mówi Wiktor, „cel, dla którego przyszedłem na świat“, Orzeszkowa osiąga.

Prus. Jacek bliźnięgo  
do pruskiego!

## ROZDZIAŁ XI.

### ALTRUIZM BOHATERSKI. BOLESŁAW PRUS.

Prus, jako pozytywista przerasta zawsze okres pozytywistyczny. Główny pierwiastek jego indywidualności: silne męskie uczucie. Stąd rozwój jego talentu po przejściu okresu pozytywistycznego. — *Powracająca fala i Placówka* jako syntezy uczuciowe. Synteza ta przeprowadzona negatywnie — w *Lalce*, pozytywnie w *Faraonie*. Wokulski i Ramzes, jako bohaterzy uczucia. — Świat, jako harmonia, wpływająca z świadomej miłości i wymiany usług.

Żywot i dzieła.

Wychowankiem okresu pozytywizmu jest także Bol. Prus, ale wychowankiem, który swój czas zawsze przerastał. Na pozytywistę predystynowały go zdolności rozumowe od wczesnej młodości. W czasie studyów szkolnych był fanatykiem matematyki, potem pracował w dziedzinie elektrotechnicznej; ma gruntowne wykształcenie przyrodnicze i lubi zjawiska społeczne ujmować w formuły statystyczne i prawa biologiczne. Cześć swą dla nauki posuwa do granic uwielbienia, pozytywny światopogląd — do utylitaryzmu. Nigdy nie czyni bohaterem swych utworów poety, malarza, człowieka uprawiającego sztukę lub czystą ideę, jak z reguły czynili staro- i neo-romantycy, jak czyni Sienkiewicz; bohaterami jego — kupcy, przemysłowcy, wychowawcy, często uczeni wynalazcy: ludzie czynu. Sztuce i zajęciom artystycznym



A. Kamiński: Portret Bolesława Prusa.

wyznacza w społeczeństwie niewiele miejsca; »gusta estetyczne — mówi — stanowią tylko małą część potrzeb ludzkich i społecznych i nie wolno delectować się niemi tym, którym chleba brakuje. Kapitał — to nawóz, na którym wyrasta sztuka, moralność, nauka i inne szlachetne kwiaty natury ludzkiej«.

Zdawałoby się, że przy tych swoich danych i ogromnym talencie plastycznym Prus powinien był zająć twórczością w czasie najwyższego rozkwitu pozytywizmu. Tak tymczasem nie jest. Do obozu pozytywistycznego właściwie nigdy nie należał, od partyjnej barwy i polityki trzymał się zdaleka — nawet redagując pismo codzienne, nie oddawał go na usługi określonego kierunkowi, lecz pragnął uczynić z niego neutralne »obserwatorium« społeczne. Natomiast — poza publicystyką — pisywał powiastki i nowele, w których wśród rakiet humoru i dowcipu przebija się nie tendencja utylitarna, nie jakaś typowa idea pozytywistyczna, lecz czyste, miłujące uczucie. Ale uczucie to jest trzymane na wodzy. Czas mu nie sprzyjał, wszelki jego wyższy polot był krępowany, byłby metafizyką, romantyką, sprzeciwiałby się Prusowi-pozytywiście; obraca się więc ono w kółku ciasnym, gdzie zawsze było i jest uprawnione, gdzie i najtrzeźwiejszy, najzatwardziały racjonalista staje się miękkim, tkliwym, czułym — obraca się około dzieci. Bohaterem jego najlepszych utworów przed r. 1880 bywa najczęściej »osoba, która ma trochę więcej niż łokieć wzrostu, około 40 funtów wagi«, albo trochę więcej, jakiś Staś, Anielka, Jaś mały; w opowiadaniu ich przygód może puścić wodze swemu najgłębszemu instynktowi, dawać folgę uczuciu. Te jego nowele są też arcydziełkami; artysta jest w swoim żywiole, nie narażony na konflikt z krytykującym intelektem może tworzyć cuda współczucia, dobroci, altruizmu.

Tak harmonijnych utworów, jak nowele dziecięce, Prus wiele nie pisał: brakowało mu bowiem harmonii wewnętrznej.

Nosi w sobie intelekt czysto pozytywistyczny a głębiej — silniejszą może i pierwotniejszą potęgę uczuciowości czysto »romantyczną«. Pierwszy każe mu uczucie — tego niepoprawnego grzesznika, wiecznego marzyciela, nieobliczalnego i nie liczącego fantastę, trzymać w karchach, drugie burzy się i miota, odrzuca precz mądrość starego bakalarza, jego książki rachunkowe i logikę rozsądną, i buntuje się przeciw uświęconemu porządkowi rzeczy; pierwszy jest racjonalny, trzeźwy, ma na zawołanie statystykę, fizykę, ekonomię, rozmyślanie, doświadczenie, patrzy na świat, jako na zawile »zrównanie rachunku«, drugie liczy siły na zamiary, przebywa w wymiarze niedostępnym zwyczajnej logice, ma skrzydła z zapalu, który tworzy cuda. Pierwszy patrzy na ludzi i rzeczy bystro, z nieubłagany zmysłem obserwacyjnym, ukazującym wszelki kształt i barwę, wszelką śmieszność i ułomność; obejmuje nader szeroki horyzont, widzi najdrobniejsze nerwy jednostek, widzi sprężyny grup, klas, narodów całych, dostrzega wszędzie surową, nagą rzeczywistość — uczucie sięga jednak tam, gdzie wzrok nie sięga, łamie, czego rozum nie łamie, intuicyjnie odgaduje tajemnice i prawdy, wyższe nad rzeczywistość. Stąd dwoistość w naturze i twórczości Prusa, tworząca w jego dziełach dwa równoległe nastroje: pesymizm i optymizm. Pesymizm płynie z pozytywizmu, z intelektu, z pochłaniania i reprodukowania rzeczywistości, uczucie staje jednak nad temi zjawiskami, tworzy sobie świat wyższy, syntezę szerszą, a w niej człowiek i jego koleje stają się czemś małym, przemijającym, podporządkowanem odwiecznemu prawu, którem dla człowieka miłości może być tylko pra-uczucie: wszech-miłość. Pesymizm wypływa z faktów, ale z wyższego porządku rzeczy wypływa optymizm: idea nieśmiertelnej, do nieznanych, ale coraz wyższych i lepszych szczebli dążącej doskonałości... Stąd jednak niedoskonałość dzieł Prusa artystyczna. Zdwojenie osobowości nie dopuszcza harmonii, wicher uczuć i myśli tworzy w logice

jego sprzeczności, rozłamy, wyboje; w formie — brak koordynacji, jednolitości, harmonii.

Po powiastkach dziecięcych — małe chłopskie. Antek, Michałko. W czasie wszechwładztwa indywidualistycznego liberalizmu Prus zwraca się tylko do jednostek, talentem swym, jak owym płaszczem ewangelicznym, otula maluczkich i cierpiących, śle im promienie miłości, ukazuje ciche cnoty i bohaterstwa. Powoli nastrój społeczny zaczyna się zmieniać. Filantropia, drobne nowele — drobne czasu plastry na rany jednostkowe przestają wystarczać. Jednostka wyłania się jako wytwór pewnego kompleksu socjalnego, stosunek jej do klasy pewnej, klas i narodu wzajemnie do siebie staje się przedmiotem dyskusyi, trwogi; poza kwestyą dorobku występują inne, wyższe. Wtenczas nadeszła chwila dla uczuciowości Prusa. Wchłania w siebie wszystkie tęsknoty i niepokoje czasu i daje im wyraz w szeregu dzieł, odbijających niezwykle indywidualność artystyczną, lecz także kolejność i siłę powstawania u nas pewnych prądów społecznych i duchowych.

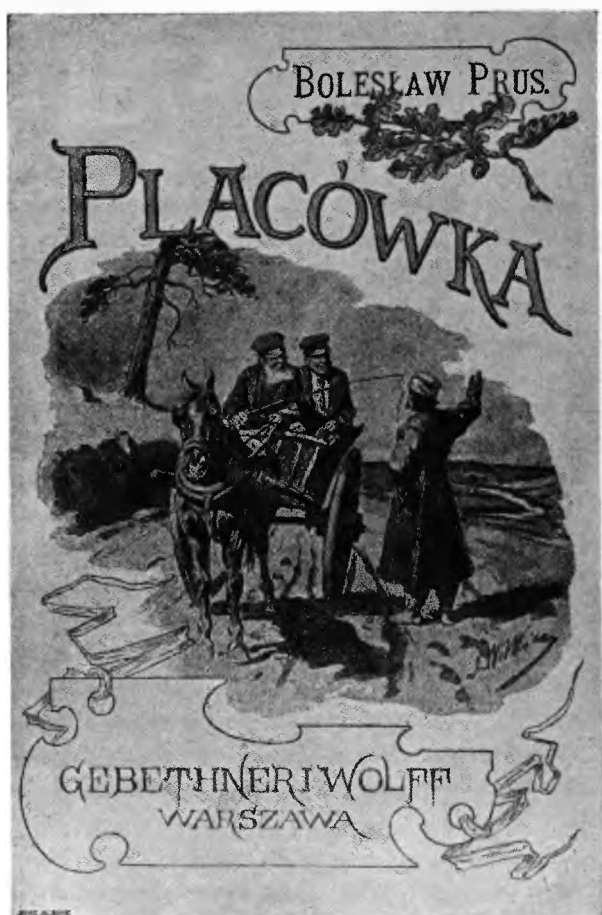
W r. 1880, gdy harmonia między pracą a kapitałem była u nas kwestyonowana zaledwie przez garść heretyków, serce Prusa odkryło w tym stosunku bolesną ranę i ozwało się krytyką, protestem, groźbą... »Fala krzywdy wróci!« wołał do fabrykanta Adlera, tuczącego się krzywdą swych pracowników, by paść brzuch własny i nieokiełznane chucie syna. I wróciła. Co prawda — przypadkiem; nie konieczność wewnętrzna, nie logika ekonomiczna i społeczna mści się na starym Adlerze, lecz *deus ex machina*, traf ślepy, który w pojedynku kładzie trupem syna jego, gdy taksamo mógł powalić przeciwnika. Pojedynek żadnej kwestyi nie rozwiązuje, a najmniej — socjalną; Prus na razie nie znalazł jednak innej formy wyrażenia swego światopoglądu. Rzeczywistość jest posępną, Nielitościwą, zawojowaną przez Adlerów, którzy tryumfują — sprawiedliwość znajduje Prus tylko w sfe-



rze uczucia. I artysta optymistycznie ją wymierza — choć intelekt tej satysfakcji ideowej nie ukazuje.

Dwoistość ta występuje w dalszych dziełach coraz żywiej. Wpatrzony w ziemię, jej bole i nadzieje, Prus w r. 1880 rozpoczyna, w r. 1884 kończy *Placówkę*. Już nie jednostka, lecz naród cały staje się jego bohaterem, nie filantropia, lecz wielka idea społeczna jego celem. Jesteśmy na ziemi piastowskiej, zagrożonej przez niemiecki *Drang nach Osten*. I gdzież są jej obrońcy historyczni? Skrzetuski nie broni dziś Zbaraża, lecz siedzi może w Monaco, Wołodyjowski zamiast zakopać się raczej pod gruzami, woli antyszambrować w Berlinie, w jakimś przedpokoju politycznym, Kmicic nie myśli o przewinieniach swych niedawnych i rozhulawszy się z Olenką — między jednym mazurem a drugim sprzedaje ojcowiznę. Pozostał jednak chłop. Bez parceli Ślimaka, na której może stać wiatrak, wieś dla Niemców niema wartości. Powstaje tedy zaciekle walka między chłopem a przybyszami. Sprzysięgła się przeciw niemu cała wyższość kultury niemieckiej, sprzysięgli się swoi, kierowani chciwością, ciemnotą, wszystkimi popędami barbarzyńskimi, sprzysięgły się nawet siły przyrody. Chłop nie ustąpił. Była chwila, kiedy złamany nieszczęściami, chciał się już zgodzić — chwyciła go wtenczas baba, ta personifikacya konserwatyzmu wiejskiego, dzika, gorączką palająca przedśmiertną i wymogła na nim przyrzeczenie, że zostanie. Niemcy odeszli.

Optymizm ideowy — będący realistycznie znowu pesymizmem. Prus-observator i człowiek racjonalny widzi chłopą w najciemniejszych kolorach. Jego Ślimak, to chłop setnie głupi, chytry, podejrzliwy, bez serca dla drugich, najwyższym jego ideałem: by po pracy wypocząć i wydobrzeć w kościach. Dzieli on z Chrzanowskim sławę obrony posterunku, gdy zasługę tę należy przypisać właściwie ich żonom. I cóż Prusa godzi z tym chłopem, że każe w nim widzieć »placówkę?« Uczucie. Ślepe, miętne, bezgraniczne przywią-



Rysował St. Witkiewicz.

zanie do ziemi. Niedostępny mędrkowaniu, nieoderwany od gruntu macierzystego przez krytycyzm, kulturę, racjonalizm—instynkt dziedziczny, ślepe, bezgraniczne przywiązanie do ziemi, źródło siły żywiołowej, najzabawienniejszych natchnień.

Uczucie to bierne, nieucywilizowane, konserwatywne — to najlepszy patryotyzm. Nieruchome i proste, jak głaz — a na głazie tym placówki narodowe mogą stać bezpiecznie...

W jego znaku atoli także zguba dla jednostek, odrywających się od tłumu, pogrążonego zwykle w inercyi i bezmyślności, mającego na dzień powszedni, na życie powszednie wystarczającą broń w pozytywizmie »zdrowego rozsądku«. Kontrast ten, zięjący zawsze między geniuszem a tłumem, spotęgował się w naszych czasach do stopnia walki śmiertelnej na tle zbanalizowania pozytywistycznego społeczeństwa, odpychającego, jako wroga — szczególnie geniusza uczucia. W stanie mniej rozwiniętej i dumnej »cywilizacji« ludzie żyją więcej instynktem, szczerością, uczuciem bezpośrednim; na tym gruncie szerokim schodzą się jednostki wybrane z masą, są jej wyrazem — przewodnikami. Dzisiaj »ten tylko, kto się wrył w księgi, w metal, w liczbę, w trupie ciało«, albo kto uzbrojony w najgłępsze, bo żadną sankcją nieuświęcone przywileje urodzenia i pieniądza — ten tylko jest panem epoki. I oto Prus, wychowanek okresu materialistycznego, fanatyk matematyki i elektrotechniki, staje się najzarliwszym obrońcą sponiewieranego uczucia.

Stan swego społeczeństwa, ludzkości nawet zacznie rozpatrywać, jako walkę między pełzającym rozsądkiem a geniuszem serca, między poziomym, w skorupie egoizmu i ślimactwa zamkniętym tłumem, a bohaterami altruizmu.

Uczucie, jako idea subiektywna, jako imperatyw etyczny, ale jeszcze bez ucieleśnienia artystycznego, tryumfuje w *Powracającej fali*, w *Placówce* jako instynkt zbiorowy wychodzi zwycięsko z wrogiego potopu, w *Lalce* wciela się w pełną goryczy i bólu skargę na małość społeczeństwa własnego, w *Emancypantkach* przeciwstawia się, jako słodka dziewczeczka o złotem sercu całemu szeregowi oschłych dusz, choć wyrobionych mózgów, nareszcie w *Faraonie* olbrzymieje do rozmiarów symbolu ogólnoludzkiego... Uczucie to, owa

miłość bezgraniczna i wszechpotężna »nie na jednym spo-  
częła człowieku, jak owad na róży kwiecie«. Erotyzm w u-  
tworach Prusa najmniejszą odgrywa rolę. Nie czujemy go  
w *Powracającej fali* i *Placówce*, w *Emancypantkach* widzimy  
go, ale jako poryw zmysłów, jako podrzędną funkcję, ślepa,  
niszczącą i mszczącą się na tych, co mu ulegają; w *Lalce*  
jest upiorem, wysysającym krew i życie z genialnego czło-  
wieka. Ale jest też czemś więcej. Izabelę można traktować,  
jako symbol, stosunek do niej Wokulskiego — jako stosunek  
niezwykłej jednostki, geniusza serca, bohatera altruizmu, do  
owej płytkości, sobkostwa, życia błyskotkami i samczo-sami-  
czymi procesami ciała, gonitwy za blichtrzem, zabawą, gro-  
szem, polectaniem zmysłowem, które stanowi psychę tłumu  
w naszych czasach, które w powieści jest zakłete w piękne  
ciało panny Łąckiej.

Kontrast zupełny. Czem jest Wokulski? Jest-że uczo-  
nym? Zapewne dużo umie i myśli, ale dla nauki nic nie zro-  
bił i wątpliwą jest rzeczą, czy cośby potrafił zrobić; jemu na  
sercu leży uszczęśliwianie ludzi, nie szukanie obiektywnej  
prawdy. Jest-że znakomitym pracownikiem ekonomicznym,  
lub działaczem społecznym? Sam dorabia się raz przez oże-  
nek, raz spekulacyami, dostawą, ryzykiem; słyszymy, że za-  
kłada towarzystwo dla handlu z Cesarstwem — ale punkt  
ten jego działalności poważnie można kwestyonować, jak  
wogóle wszystkie teorie ekonomiczne, które wygłasza;  
wiemy, że opiekuje się studentami, robotnikami, upadłymi ko-  
bietami — filantropia to, nie w wielkim stylu pomyślana akcyja  
społeczna. Prus-pozytywista patrzy na życie realne i w sferze  
pracy organicznej nie wznosi się nad jej poziom. Ale poza  
tem wszystkim jest w Prusie — Wokulskim inna struna  
głębsza i potężniejsza nad wszystkie, tasama, która dźwięczy  
w *Improwizacji*. On cierpiał, kochał, wzrósł w mękach i mi-  
łości, staje się wcieleniem ideałów pokoleń całych, pragnie



Bolesław Prus w r. 1902.

zbawić, uszczęśliwić, cały świat niem zadziwić... *Incipit tragedia.*

Nikt w nowszych czasach nie dał tak szerokiego obrazu społeczeństwa polskiego, jak Prus w *Lalce*, nikt tak gorzko nie wychłostał okresu pozytywistyczno-organicznego. W postaci Wokulskiego dał epikę, w postaci starego subiekta lirykę, płynącą wprost z ducha wielkich naszych romantyków. Jeden i drugi nie odpowiada swojemu małemu czasowi, stąd ból i gorycz — pesymizm. A jednak ponad nim stoi wielkie serce i mówi: *non omnis moriar*. Gdy w Wokulskiego uderzają gromy wszystkich nieszczęść a duch pod nimi się kruszy, unosi się nad nim jeszcze »Bóg, ziemia i prosty człowiek« — wiara w nieskończoność bytu, w obowiązek i w serce ludzkie.

Jak one tryumfują, jak geniusz uczucia walcząc z mar-

nem otoczeniem sieje jasność, dobro, poświęcenie, widzimy w Madzi Brzeskiej, będącej szczęściem dla wszystkich, na których promienie jej serca padają. Najszerzej, na arenie dziejów światowych, wśród niesłychanego przepychu artyzmu i błyskawic myśli, ukazał to Prus później w postaci Ramzesa XIII. Młody ten monarcha, przy wszystkich ułomnościach i słabościach ludzkich, jest prawdziwym bohaterem uczucia. Wszystkie jego wady zakrywa płaszcz majestatyczny i gwiazdzisty z wielkodusznych idei i bezbrzeżnej miłości kraju, człowieka, dobra utkany. Są obok niego uczeńsi, mądrzejsi, nawet czystszy, niema żadnego, którego chęć uszczęśliwienia ludzi, genialna intuicyja, męstwo w dążeniu do tego celu, mogłyby się z nim mierzyć. Bohater ten pada, lecz posiew geniusza uczucia nie ginie. Reprezentant zimnej, racjonalistycznej teokracji, Herhor, wstępując na tron, musi urzeczywistniać idee i plany nieszczęśliwego poprzednika, który czas swój wyprzedził a na przyszłości wycisnął swe piętno.

I tak nic w naturze nie ginie, żaden wysiłek ducha nie idzie na marne; są one szczeblem do coraz wyższej potęgi dobra i doskonałości. Poznanie tej prawdy prowadzi do harmonii, opartej na wzajemnej wymianie usług, na solidarności i myśli wspólnej, a duszą jej — bohaterstwo uczucia. Przez zapoznanie tej prawdy giną fabrykanci Adlerzy, ulegając najgłębszym swym instynktom służy jej *Placówka*, służy jej z całym zaparciem, nieświadoma swej misji i wartości cicha dziewczeczka Madzia, a na wyższych szczeblach rozwoju uświadamia się ona w takich jednostkach, jak Wokulski i Ramzes XIII. W świetle tego uczucia pesymizm, wypływający z obserwacji rzeczywistości, błędnie, ginie. Najlepsi, wybrani cierpią i giną? Cierpienie, które mrozi krew ludów całych, wytwarzając religie rozpaczliwe i beznadziejne, które Leopardiemu kazało przekląć życie, Schopenhauerowi podyktowało negację woli życia, a Mainlaenderowi podało teorię i broń samobójczą, fakt ten u Prusa także należy do sfery wyższej

konieczności i harmonii bytu. Jak młot wydobywa z granitu iskry, tak »cierpienia mają swój cel: powodują rozwój ludzkiego ducha« (*Sen*). I w szczyt owego rozwoju, w bohaterów altruizmu wpatrzony, Prus poza nędzą i smutkami dnia widzi słońce. »Trzeba tylko zachować równowagę: nie topić się we własnem wnętrzu, nie rozpraszać w zmysłach, lecz chodząc po ziemi — trzymać głowę w niebie«...

Bolesław Prus (Aleksander Głowacki) urodz. 8 sierpnia 1847 r. w Puławach pod Lublinem. Studiował w warszawskiej Szkole Głównej nauki matematyczne i przyrodnicze, poczem pracował w warsztatach elektrotechnicznych. W ruchu „pozytywistycznym“, którym kierowali koledzy jego z ławy uniwersyteckiej: Świętochowski, Ochorowicz, Chmielowski, słaby brał udział, stale oddaje się literaturze od r. 1872. Tłumaczył dzieła naukowe, redagował humorystyczną *Muchę*, pisał w *Opiekunie domowym* (1872), *Listy ze starego obozu*, które kontynuował, jako *Kroniki Tygodniowe w Kurjerze* naprzód *Warszawskim*, potem *Codziennym*, zdobywając niemi coraz większy rozgłos i wpływ na liczne koła czytelników. W r. 1879 objął redakcyę wydawanego przez Kronenberga dziennika *Nowiny*, którym kierował przez 11 miesięcy; dla przeciętnych czytelników był on jednak zbyt doktrynerski; zbiór artykułów zasadniczych z tego pisma, wydany osobno pt. *Szkic programu*, ma jeszcze dzisiaj duże znaczenie. W osobnem wydaniu książkowem wyszła też część *Kronik* (1875—1878).

Utwory beletrystyczne Prusa pojawiały się w czasopismach warszawskich; osobno wyszły: *Kłopoty babuni* (1873), *To i owo, właściwie zaś ni to, ani owo, czyli 48 powiastek dla pełnoletnich dzieci* (1874), *Pałac i rudera* (1875), nowele, pisane między r. 1876—1878 pt. *Drobiazgi* (1890), *Omyłka*, powieść (1880), *Placówka* (1886), *Lalka* (3 t. 1890), tanie wyd. w 2 t. (1896), *Emancypantki* (4 t. 1894), *Faraon* (3 t. 1897); wydania zbiorowe nowel i powieści pomniejszych: *Pisma* (1881), *Szkice i obrazy* (wyd. warsz. Spółki nakładowej w 4 t. 1885), *Pisma* (tanie wydanie jubileuszowe Wawelberga w 4 t. z r. 1897 zawiera też z powieści *Omyłkę* i *Placówkę*).

Tom pt. *Najogólniejsze ideały życiowe* (1901) zawiera wykład jego filozofii; wyrażona ona jednak — dla umiających czytać — artystyczniej w utworach Prusa powieściowych.

Talent Prusa rozwijał się powoli, początkowo wśród ciężkiego łamania się z życiem, ze zbyt rozbieżnymi skłonnościami umysłowymi, z trudnościami formy literackiej, którą w dodatku dla publiczności żądnej przede wszystkim „humoru“, należało przyodzierać w jaskrawy strój arlekina. W tych warunkach wyrobił się Prus na jedną z najoryginalniejszych, nawskroś osobistych i niezależnych indywidualności naszej literatury — wszelako ślady owego łamania się ze sobą samym i z wymaganiami zewnętrznymi są w pierwszych utworach tak liczne i znaczne, że nawet z wyboru pomniejszych utworów wydania Wawelberga można jeszcze jedną trzecią wykreślić. Co pozostanie, należy wraz z powieściami do klejnotów piśmiennictwa.

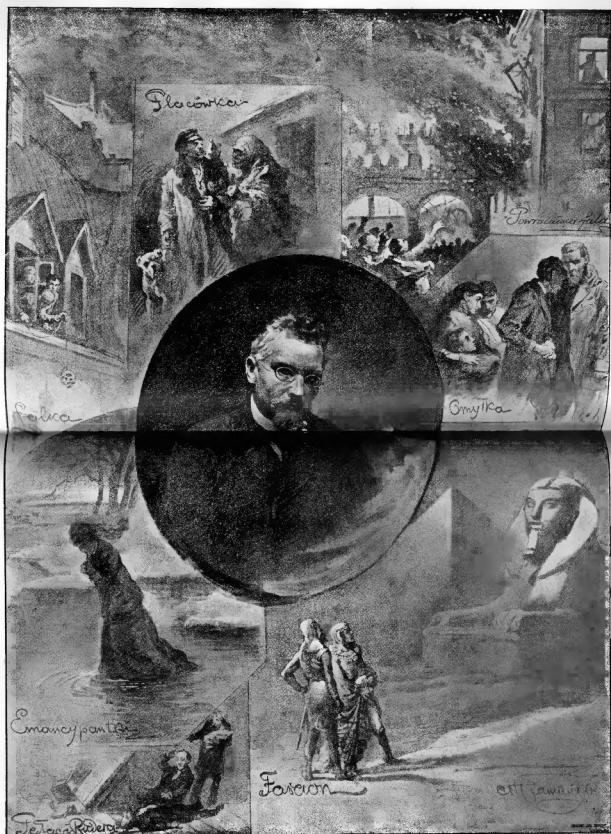
Prus — natura rdzennie polska — posiada spory zasób rubasznego dowcipu, niegardzącego dwuznacznymi conceptami, jakby w prostym spadku pochodziły od Reya, Kochanowskiego, Wacława Potockiego i były echem natury, przejawiającej się nawet w arystokratycznym Zygmu. Krasieńskim. Takie „trefne figliki“ przetykają nawet wysoce dramatyczne momenty *Lalki* i *Emancypantek*, a w pierwszych utworach były żywiołem nieraz dominującym, który jednak powoli pogłębiał się, oblekał coraz więcej melancholią ludzi nowoczesnych i dziwnie upodobił do *humouru* angielskich humorystów. Jak u Dickensa i Thackeraya, tak mamy w *Anielce*, *Grzechach dzieciństwa*, *Antku*, *Przypadkach Stasia*, *Pałacu i ruderze*, śmiech przez łzy, zacięcie karykaturalne w malowaniu sfer wyższych, bezbrzeżne współczucie i litość przy malowaniu dzieci, zwierząt, biednych i upośledzonych, wszystkiego, co cierpiące, co zapoznane, co szlachetne. Z biegiem czasu nastrój myśli Prusa podnosił się coraz wyżej, i malując wieczyste strony duszy ludzkiej i wieczyste idee, gdzie niema już miejsca ni na concepta ni na humor, ni na ziemską miarę uczuć i cnót, tworzył takie jakby wykrawki z ewangelii, jak: *Sen*, *Z żywotów świętych*, *Z legend starego Egiptu*.

Właściwości te artystyczne i myślowe w powieściach olbrzymią i Prus długo nie mógł ich zharmonizować. W *Omyłce* broni jednostki, zgubionej przez bezlitosną, namiętną i krzywdzącą opinię publiczną, broni w sposób, czyniący z wyjątku — typ. *Placówka* jest już krokiem wyżej. Realizm przechodzi jeszcze nieraz w karykaturalność (młody chłopoman), nie jest wolny od sentymentalizmu Janka muzykanta (Stasiek) i refleksyj filozoficznych nie na swoim miejscu (idee historyzoficzne Owczarza na widok szlacheckiej maskarady), całość jednak jest malowidłem szerokim i daje naogół galerię typów plastycznych i wiernych. W *Lalce* widnokrąg autora raptownie się rozszerza, tragedia jednostkowa odтворzona na tle lokalnem staje



się tragedią ogólnospołeczną, ogólnoludzką. Zdaje się, że rozpoczynając swą powieść, Prus sam nie był świadomy jej znaczenia, znać w niej też mnóstwo nierówności, niekonsekwencji; dwoistość w jego naturze nie pozwala mu przedstawiać Wokulskiego konsekwentnie, jako geniusza uczucia, dziedzica wielkich romantyków narodowych, a przecie tylko z tego punktu widzenia rozumiemy kontrast między Wokulskim a otoczeniem, rozumiemy owe tak niepozytywistyczne sympatyje i teoryje rasowe, które tu nagle występują, rozumiemy prof. Geista. Walka między geniuszem uczucia a tłumem, upersonifikowanym w kobiecie, olbrzymieje do wizyi kosmicznej, w której człowiek, żyjąc kilkadziesiąt lat „tyle pragnął i tyle cierpiał, że martwy świat nie zaznałby tego przez całą wieczność“ i szamocze się z cierpieniem, „na które w ludzkim języku nie ma już nazwiska“. Scena ta usiłowanego samobójstwa Wokulskiego należy do najpotężniejszych w literaturze. Czytelnik czuje jak u Goethego: *Der ganze Menschheit Jammer fasst mich an...*

*Lalka* Prusa jest stanowczo za mało cenioną w naszej literaturze. Jeżeli w niej idea geniusza uczucia nie jest jeszcze zupełnie skryształizowaną, dojrzewa ona w Prusie podczas pisania *Emancypantek*. Staje on tu przed zjawiającymi się poraz pierwszy u kobiet typami oschłego racjonalizmu i mędrkowania. Uspiony przez wieki, obudził się intelekt kobiecy i podejmuje walkę o swoje prawa, na początek — jak zawsze negując naogół wszystko, co było przed nim, więc zalety i cnoty, ucieleśnione w tz „sercu kobiecem“. „Ludzkości — powiada główna bojowniczką ruchu — nie potrzeba aniołów, tylko kobiet samodzielnych i ceniących swą godność“, lub innym razem: „Zawiele mieliśmy kobiet litościwych, a za mało samodzielnych“. Wobec takich ekstremów Prus postawił Madzię, dziewczeczkę czystą i słodką, dla której „największe własne szczęście jest wtedy, kiedy człowiek może robić dobrze“, i która nie grzesząc zbyt rozwiniętym intelektem sieje dokoła dobro i szczęście... W swojej reakcyi przeciw zбочzeniom Prus bezwarunkowo posuwa się zadaleko (przedstawicielką emancypacji nie jest pani Latter ani Wandzia, tylko kilka figur śmiesznych, oraz przewrotna Helena Morska, gdy godny jej, lotrowski braciszek staje się reprezentantem... pozytywizmu) — powieść ta jest też więcej zajmująca, jako dokument czasu i duszy Prusa, niż jako dzieło sztuki. Kompozycja jest tu tak luźna, że każdy prawie tom stanowi odrębną dla siebie całość; pojedyncze ogniwa psychiczne są tu rozciągnięte do rozmiarów, psujących pogląd na całość; humor przechodzi często w karykaturę. Perspektywa społeczna nie jest tu tak śmiało i szeroko zakreślona, jak w *Lalce*, otwiera się tu za to



Antoni Kamieński: Obrazy z dzieł Bolesława Prusa

inna perspektywa: w gwałtownej swej reakcyi przeciw jednostop-  
nemu racjonalizmowi, były pozytywista na falach uczucia wznosił się  
do ostatniej konsekwencyi: do mistycyzmu. Znak to czasu, do którego  
potem wrócimy — jako znak artystyczny jest jego wyraz, prof. Dębicki,  
niezależny z całością, dygresyjny, artystyczny, figurą zupełnie martwą.  
Szokując odczuwany tem silniej, że w chaosie całości zaprzepaszczają  
się kilka linii cudownie nakreślonych — np. stosunek wzajemny poci-  
do siebie, traktowany, jak zawsze u Prusa, filozoficznie — oraz kilka  
przepysznych postaci, między któremi geniusz uczucia, owa „gł-  
piutka“ Madzia jest jedną z najpiękniejszych kreacyi literatury  
polskiej.

Harmonię osiągnął Prus w jednej tylko powieści, w *Paranoidzie*.  
Tętnie tu architektomika świata, umiędzynarodowienie, czyniące ją jedną z naj-  
lepiej skomponowanych powieści polskich; panuje głęboka uczuciowa  
i myślowa obok niesłychanie szerokiej skali twórczej. Z przedziwną  
inteligencją wcielił się autor w dusze odległych wieków, kilkunastowiecz-  
nych jednostek, kilkunastu ras; odstania w akcyi, nie w opisie (po-  
mijając wstęp) wszystkie te dusze i wszystkie skomplikowane sprę-  
żyny mechanizmu państwa olbrzymiego, nareszcie stosunki wzajemne na-  
klas, warstw, instytucyj i historycznych typowych przewodców na-  
rodu. Czyń to Prus nie *ad usum chvili*, lecz *sub specie aeterni*, jego  
stary Egipt jest typem, odbijającym powtarzając się wiecznie tra-  
giczne dziejów, walkę geniusza twórczego, pełnego ducha społec-  
nego, portóww pionierów i najświętszych, stęsknionego przytem  
szczęścia i dającego szczegóły, z inercyjną masą i ze skostniałą tradycją,  
uosobioną po wszystkie czasy, u wszystkich ludów, w zorganizowanej,  
silnej uświęconym zwyczajem, wpyływem na umysły, szarłatniskach,  
i trawionym samolubstwem teokratycznym. Poeta zlewa się tu harmonijnie  
z wielkim myślicielem. Myśliciel realny zerpie z rzeczywistości dzie-  
jowej i natury ogólnoludzkiej obraz pełny hamora, gorzkiej prawdy,  
widzi jasno smutne drogi i smutniejszy jeszcze koniec takiej jednostki,  
jak Ramzes; poeta widzi jednak poza nim większą prawdę: zwy-  
cięstwo ideału. Zadania tego Prus sobie bynajmniej nie ułatwia; nie  
daje on maneków, poruszających się według jego nieumotywowanych  
zachcianek, nie kreuje wielkości, w które musieliśmy wierzyć tylko  
na jego słowo. W całej nowszej literaturze jest Prus może jedynym,  
który tworzy rzeczywiście wielkie indywidualności; jego Wokulski,  
Ramzes, istocie imponują, nie przesłonięciem, lecz siłą swego „ja“ —  
a przecie i oni są ludźmi, czujemy, że zaledwie słabym się odbiciem  
tej idealności, która przemieszcza w duszy autora, którą nam  
suggeruje z całą siłą swego talentu i do której po walkach, zawodach

i cierpieniach, ginąc w przestrzeni, aby żyć w czasie, dochodzą bohaterzy uczucia...

Ze zbyt wielu pierwiastków złożony, nawet w małej kropelce pragnący słońca całe odbijać, talent Prusa rzadko jest zrównoważony; wyższy żarem serca i duchem, niż Sienkiewicza, nie posiada jednak jego poczucia harmonii, towarzyszącego organizacyi ograniczającej się i chłodnej — rzadko tworzy też rzeczy bez zarzutu. Jest przytem pisarzem nawskróś męskim, bez sentymentalizmu i zawsze w odległe, nieraz kosmiczne wizye wpatrzonym; wobec faktu, że u nas o literaturze decydują kobiety, ostatnia okoliczność więcej stoi na przeszkodzie jego popularności, niż pierwsza. Nie ulega jednak wątpliwości, że wielkie powieści Prusa są „wielkie“ w prawdziwym znaczeniu słowa i gdy o innych wielkich nie będzie się już pamiętać, te zachowają dla głębszych umysłów niewygasły urok.

## ROZDZIAŁ XII.

### SZTUKA W ŻYCIU CODZIENNEM. POWIEŚĆ.

Charakter lektury powieściowej w latach osmdziesiątych. Powieści szlacheckie i wielkomijskie. — Bykowski. Wilczyński. Charakterystyka Jordana, jako piewcy szlachty zamożnej, Klemensa Junoszy, jako piewcy *Syzyfów* i *Pająków*. Filozofia, temperament i humor szlachecki. — Sewer. Odrębna jego indywidualność. Pierwiastki szlacheckie, skapane w kulturze europejskiej. Skala umysłu, obraz rozwoju ideałów. Odczucie duszy wsi polskiej. — Powieści i opowiadania Wołoskiego, Rogosza, Aëra, Rauty-Gawrońskiego.

Siły kobiece. Kościalkowska, Chłędowska, Hajota. Powieść salonowa: Maryan Gawalewicz.

Żywoty i dzieła.

Powieść w tym okresie przebywa głęboką ewolucję, której etapy znaczą nazwiska Sienkiewicza, Orzeszkowej, Prusa.

Obok nich cały szereg autorów o mniej wybitnej indywidualności dostarcza nie dzieł sztuki, lecz lektury.

Głównym dostawcą do r. 1887 pozostaje ciągle jeszcze Kraszewski, pisze dużo Jeż, odezwał się po długoletniem milczeniu, nie budząc jednak żywszego zajęcia, Kączkowski. W produkcji powieściowej można zauważyć dwa rodzaje, różniące się tak treścią, jak i techniką.

Rodzaj szlachecki kwitnie bujnie i ma specjalny zakres

idei, formy własne. Jest konserwatywny. Wszystkie ewolucje ostatnich lat przeszły po nim bez wrażenia. Obok niego krzewi się coraz bujniej powieść i nowela wielkomięjska.

Piszą jeszcze autorzy nietylko z krwi i kości, lecz także z tradycji i zamiłowań szlachciców, dopiero przybyłych ze wsi.

Każdy z ich sfery jest wybornym narratorem i facecyonistą. Opowiadanie ich płynie gładko, potoczyscie, bez kunsztu stylowego i kompozytorskiego, zawsze jednak żywo, często łąką przeplatane, jeszcze częściej śmiechem, rubasznym, szerokim, jak u ludzi zdrowych.

Takim gawędziarzem-facecyonistą z początkiem lat osmdziesiątych jest Piotr Jaks a - Bykowski; fejetony czasopism zalewa w tym czasie autor *Kłopotów starego kome-danta*, Albert Wilczyński, powieściami o niefrasobliwym humorze i niewyszukanej treści, które stają się coraz bardziej wodniste, płytkie, bezmyślne. Inni pisarze szlacheccy przy wszystkich cechach gatunkowych ulegają przymusowi czasu, piszą nietylko gwoili uciechy, lecz chcą uczyć bodaj drogą satyry, służyć tendencyą. Czas bowiem dla szlachty ciężki.

Jordan jest autorem szlachty zamożnej, borykającej się z losem, ale wśród dobrobytu i z szansami zwycięstwa. Kocha on ten stan, który uważa za wybrany, a z terażniejszością nie może się pogodzić. Daleki jest od wyłączności kastowej, w zasadzie uznaje dobre strony gospodarzy »napływowych«, wzbogaconych mieszczan, ale gdzie może — w najczarniejszem rysuje ich świetle. Tylko *Dla dobra ogółu* poświęca się jego idealny młody człowiek, obejmując posadę dyrektora banku; rozstaje się z nim jednak, bo świat-to brudu i podłości, a bankier jest wcieleniem czarnego charakteru. Natomiast jest zawód rolnika »najpiękniejszym i najużyteczniejszym« — szkoda tylko, że panowie bracia nie stoją na wyzynie swego zadania... Już nazwy ich miejscowości (Kuflewo, Łgarzewo, Sobkowice, Tchórzowice) dają przedsmak satyry



Klemens Junosza Szaniawski.

Jordana, satyry, przypominającej mocno metodę i styl śp. chirurga filozofii.

Głębszą, bardziej uczuciową naturą jest najlepszy narrator szlacheckiej doby: Klemens Junosza.

Jordan — to piewca szlachty zamożnej, Junosza — zubożałej, jednolitej, wołów robotniczych, którzy żyją *Na zgliszcach* — *Po burzy* — idą *Pod wodę*, a wszelki

trud ich, poświęcenie, to prace *Szyfry*. Z pism autora wygląda twarz szlachcica o sumiastym wąsie, ogorzała, spocona, zafarsowana, uginająca się pod ciężarem myśli o gospodarstwie, służbie, pożyczkach, procesach, żydach, subhastach; przy tem wszystkiem gotów jednak każdej chwili wybuchnąć śmiechem, szerokim, wesołym, w rozmowie z żydem, którego będzie naciągał na »majufes«, swoją drogą bawiąc się z nim doskonale, w rozmowie z chłopem, na którego będzie kłął siarczyście, nigdy nie gniewając się nań szczerze. Pytanie wogóle, czy złote to serce szlacheckie kiedykolwiek gniewać się potrafi. Świat mu się przedstawia w niezbyt różowych kolorach, ale ostatecznie... chociaż to życie idzie po grudzie — nieźli są przecie ludzie! Szczególnie z pierwszych nowel Junoszy przebija pogoda, prawie optymizm. Życie jest walką, ale niezbyt ciężką, »na zgliszcach« spotyka się szlachcic z chłopem w rozczulającej zgodzie, jeżeli nie braterskiej, to sąsiedzkiej, chłop ten w ogólności chytry, zaniedbany, ale człowiek przecie, swój, a nie żaden niższy okaz zoologiczny, jak o tej porze opowiadał właśnie Dygasiński. Z czasem

kuma-troska coraz bardziej przygniata, świat się staje posępniejszy, sytuacja majątkowa szlachty trudniejsza, szlachcic »automatem został, machiną do robienia dochodów lichwiarzom i ekonomem i parobkiem swoich wierzycieli« — nareszcie wyczerpany organizm przestał funkcjonować. »Nie dziw. Ten człowiek dużo cierpiał, nieraz w jeden dzień więcej przeboleł, niż inny w przeciągu roku. Od młodości aż do kresu dni swoich dźwigał brzemień nad siły, dźwigał, dźwigał, aż przerwał się i upadł. Biedny Syzyf!«

Takie to ciche dramaty zapełniają treść dziesiątek tomów Junoszy, smutne, zrezygnowane, a niewielka w tej treści różnica, gdy ze wsi przenosi się do miasta, do izby rzemieślniczej, do skromnego mieszkania urzędnika. Junosza cierpi wraz ze swymi bohaterami, nie stoi więc ponad nimi; widnokrag jego umysłowy za wąski, by obejmować szersze, ogólne, socjalno-polityczne przyczyny tego upadku ekonomicznego drobnej szlachty i proletariatu inteligentnego — jeden tylko widzi i naprowadza ciągle powód: żydów. Ci odgrywają w ostatnich jego pismach rolę pajaków, hyen, cichych, układnych, nieraz śmiesznych bestyj, żyjących krwią ludzką. Junosza zbyt jest szlachcicem, aby być twardym, zasadniczym antysemitą; bez żyda nie może on się obejść; ten służy mu do załatwiania wszystkich interesów, a przede wszystkim do wywołania śmiechu, dobroduszej, rubaszej, prawdziwie szlacheckiej wesołości. Nad żydkiem biednym, wygłodzonym, zapracowującym się, by wyżywić rodzinę, dobre serce szlacheckie zadrga litością, pospieszy z pomocą (*Łaciarz, Froim*); nie maluje on jednak ani jednej postaci żydowskiej nowoczesnej, stojącej na poziomie dzisiejszej kultury, etyki, obowiązków obywatelskich. Prawdziwie po szlachecku ma sympatyje do żydów starego autoramentu, z rozczeniem przedstawia »starego Manelesa«, nie lubi zaś »nowomodnych« żydów; »jedna jest tylko mowa, którą oni rozumieją — pieniądź«. *Czarne błoto, Pajaki* — oto ich symbole.



Jednakowoż nawet w ciężkich terminach, jakkolwiek się dzieje, nie traci Junosza nadziei. Lekarstwem najlepszem jest praca, byle bez zbytecznego rozmarzenia, bez patrzenia na świat, wieś, chłopą *Przez różowe szkiełka*, byle bez popadnięcia w drugą ostateczność: w bałwochwalstwo rozumu.

Wśród takich to pocziwych idei z dworka starego, a przedewszystkiem wśród ciepła serdecznego, które w nim zawsze promieniuje, i przy humorze szczerym, swojskim, lubo pozbawionym już dawnego, waryackiego animuszu, da Bóg — jakoś to będzie...

Taką jest literatura, wyjęta z duszy wielkiej części społeczeństwa, bardzo pocziwa, bardzo swojska, bardzo przyziemna — literatura tych, którzy do wymagań czasu, do nielitościwych warunków nowego czasu przystosować się nie umieli.

Ze sfery szlacheckiej wyszedł, aby przeróść ją duchem, jako pisarz i człowiek, Sewer.

Ze wszystkich powieściopisarzy, którzy w latach ośmdziesiątych i dziewięćdziesiątych pisali nie dla jednostek, nie dla skarbców arcydzieł, lecz dla szerokich kół spragnionych lektury, on jest najmniej literatem, najwięcej artystą, najwięcej indywidualnością, najbardziej przytem naprzód wysuniętym umysłem.

Z domu, z temperamentu szlachcic, pełen animuszu, fantazyi rycerskiej, ochoczości do wypitki i wybitki, do figlów krotocwilnych i facecyj, o ostre kanty życia przytarł sobie mocno rogów, w gorącym czasie przedstyczniowym stopił duszę z ideami poetów, wśród wędrówek pielgrzymich przesiąkł ideami nowożytnymi, szczególnie wolnego, pozytywnego Albionu. Została w nim jednak niezachwiana dusza indywidualna i rasowa, bezmierna, młodzieńcza, niewyczerpana wrażliwość. Wrażliwość na obrazy piękna i na myśli nowe, wrażliwość na nędzę ludzką i na bajeczne kolory wsi polskiej, wrażliwość na gigantyczne walki kultury współczesnej i na harmonię duszy





*Jacek Malczewski: Sewer. (Z „Epitaphium“).*





dziewuchy wiejskiej. Wrażliwość to prawdziwego artysty, który jest zawsze młody i świat widzi zawsze młodym, nowym, jak w dniu stworzenia olśniewającym przepychem barw, chaosem kotłujących w nim potęg, mnogością cudów. Sewer jak po zaczarowanym ogrodzie chodził po świecie i — ponieważ, jak prawdziwy artysta, umiał się dziwić — odkrywał w nim coraz to inne nowości, wpadał w zapał, w entuzjazm. Ta zapalność, ta bezustanna wibracja odbija się tak w treści jego utworów, jak i w formie. Rzadko o którym pisarzu można z taką słusnością powiedzieć, jak o nim: *le style c'est l'homme*. Styl Sewera: to jedna żywa kaskada, najczęściej rozpryskująca się na skry dowcipu, trafnych spostrzeżeń, żywych charakterystyk, pełnych myśli aforyzmów, styl nawskroś indywidualny, o dyalogach ruchliwych, ucinanych, szybkich.

Ta wrażliwość artystyczna Sewera wyróżnia go z całej plejady powieściopisarzy starszej generacji, do których należy wiekiem. Żaden może z nich nie miał tak bogatej skali obserwacji życiowych, nie przerzucał się z taką łatwością z powieści osnutej na tle stosunków angielskich, do wsi polskiej, kopalni podkarpackiej, z gabinetu myśliciela do skłębionych w walce tłumów. Wśród pewnej nieruchomości dawnej powieści, znającej najczęściej tylko dworek i salon, postać Sewera występuje zawsze młoda, rzucająca się bezustannie w gorączkę życia po nowe odkrycia, nowe wzruszenia, nowe zadania artystyczne. Nurek to, który ostatecznie dna nie dosięga, ale nie trzyma się też wygodnych brzegów i mielizn, a często rzuci się w głęb, gdzie fale burzą zwichrzone; jeżeli nie przynosi pereł rzadkich, przynosi sporo koralu i muszli pięknych, szumiących jakby echem skrytych dziwów życia.

Ta wrażliwość na zewnętrzne fenomena życia idzie w parze z wrażliwością ideową. Pisarz o podobnej organizacji nie umiał zasklepiać się w jednej sferze społecznej, w jednej duszy typowej, ani także — w jednej myśli, która

stojąc na miejscu, gdy świat ciągle postępuje naprzód, musiałaby popaść w stan absolutnie niezgodny z jego naturą — w konserwatyzm. Zapalność, żywość temperamentu, przedstawiająca mu świat, jako ruchliwy kalejdoskop, nie dozwoli wżyć się długo, głęboko, intensywnie w nastroje, bądź to artystyczne, bądź ideowe, lecz zyskuje na tem ekstenzywność, zyskuje zdolność do wiary, zapалу, zyskuje dusza, kąpiąca się w blaskach wiecznie młodego entuzjazmu. Właściwości te organiczne czynią Sewera jednym z pisarzy najżywotniejszych i najkulturniejszych.

Jak w Sewerze-człowieku — tak było i w autorze: ani krzty w nim filisterstwa. Ulubiony jego typ — to młody pionier czy pionierka kultury w walce z przeciwnościami. Typ swój odnajduje wszędzie: w pałacu lorda angielskiego i w chacie Biedroniów, w izdebce żydowskiej i w gabinecie uczonego, w dworku wiejskim — w postaci »panienki«, która w podobnych wypadkach tchnie u Sewera wszystkimi urokami dziewczyny polskiej o duszy rozmarzonej. Słowackim — i w postaci technika, wynalazcy, Prometeusza w walce z żywiołami przyrody; wśród rozwichrzonej cyganeryi artystycznej i na szerokiej arenie politycznej. Typów tych dał Sewer ogromną galerję; śledząc je, będziemy mieli obraz rozwoju ideałów postępowych warstw społeczeństwa — z wyjątkiem jednego ideału, którego Sewer, dojrzewający ok. 1863 a potem w Anglii, nie odczuwał, nie malował: z wyjątkiem bojownika emancypacji społecznej czwartego stanu. Zresztą starał się szlachciców iść zawsze z przednią strażą, mając na sztandarze wypisane hasła lat swych młodzieńczych oraz dawne wzory, którymi zachwycił był czytelników w *Szkicach z Anglii*. W ostatnich latach ideały te mocno nachyliły się ku osi romantyków narodowych, w ośmdziesiątych łączyły się z dążeniami postępu warszawskiego, nie zapominając nigdy o potrzebach serca. To był jego *Pozytywizm o praktyce*. W r. 1883 dał więc Sewer w Adamie (*z Walki o byt*) typ pracy orga-

nicznej, rozumnej, gospodarskiej, dla utrzymania zagrożonej egzystencji; w r. 1886 kreśli w *Zygmie* obraz kultury polskiej, szlachetnością, aspiracyami, miłością asymilującej żydów; w *Panu Marszałku* gromił zacofanie i frazeologię szlachty, potem odwraca się od postaci frazesowicza socyalistycznego (*Na szerokim świecie*) i ideał widzi w człowieku czynu, w Janie (*Nafta*), który wydobywa z pod ziemi bogactwa, potęgę, a z serc zapal, wiarę, miłość braterską.

Podobnie połączenie realizmu szlacheckiego i poezyi, europejskiej kultury i swojskiej wiary, widać też na polu, na którym Sewer-artysta najbogatsze zebrał laury, najtrwalsze zostawił utwory: na polu powieści i noweli chłopskiej. Wrażliwa, artystyczna natura dozwala mu odczuć wieś polską, duszę chłopą polskiego bezpośrednio, wiernie i głęboko i czyni Sewera jednym z najbardziej polskich pisarzy. Spogląda Sewer na chłopą zupełnie realistycznie, widzi w nim splot atawizmów i namiętności pierwotnych, interesów brudnych; ale temperament poety każe splot ów widzieć pięknym, gdy jest czystym, silnym, z łonem matki-ziemi związanym żywiołem, kultura zaś poety każe splot ten zamieniać w wstęgę o najwspanialszych blaskach, gdy na nią spada słońce wielkiej idei. Chłop Sewera nie wyrósł zbytnio ponad stopień cywilizacyi pierwotnej; prymitywne jego instynkty są zaledwie maskowane chytrością; jego chciwość ziemi prze go nieraz do zbrodni; dziewczęta wiejskie pozwolą trochę pobawić się sobą panu, w nadziei, że dostaną chudobę na gospodarstwo; miłość dziewcząt nie zawsze pyta o małżeństwo, a małżeństwo — rzadko o miłość; wszystkie siły skierowane ku posiadaniu gruntu, z którego płynie estyma u całej gromady, a niemiłosierny kontrast między arystokracją a demokracją wiejską. Maluje te czynniki Sewer z całym realizmem, doprowadzonym nieraz do napięć i przejść tragicznych. Ale gdy w tym ludzie zaczną grać siły zdrowe, bezwiedne, związane organicznie z całą matką naturą, gdy n. p. jara, hoża dzie-

wczyzna, dusząca się wśród murów miejskich, znowu rzuci się na łono wsi, gdzie oddycha wszystkimi jej porami, wchłania wszystkie jej piękności — wtenczas mamy uosobienie »Wiosny«, koncert czystych, głębokich i zdrowych strun w duszy ludzkiej — i bez czułościowości Janków Muzykantów, bez fantastycznych sentymentów dawnej »Wiochny«. Gdy z tego ludu, wolnego od cherlactwa i zgnilizny, wyrwą się jednostki i skąpią w źródłach wiedzy, etyki, cywilizacji wyższej — wówczas stojąca nawet na pierwszych szczeblach tej drogi kobieta wiejska zmieni się w bohaterkę, urosnie na założycielkę nowych, kipiących energią rodów, mających odzyskać to, co dawne, zużyte zmarnowały (*Matka*), a młodzieńcy urosną w fanatyków prawdy, wplatających się dla niej w tragiczne koło walk i męczeństw (*Fan Łuba*).

Powieści Jordana, Junoszy, podobnie jak sztuki z tego czasu Blizińskiego wnosily do literatury technienie wsi, a raczej dworu; Sewer wnosil wieś a także atmosferę europejską. Obok tych talentów szczerze rodzimych, krzewila się literatura, którą można nazwać wielkomięską; mieszczańska, więcej kosmopolityczna, karm fejletonów, z konieczności płytka, bo przeznaczona do osłodzenia czarnej kawy, zajmująca — dla ciągłości prenumeraty, moralna — bo abonowana przez »familie«, w duchu więc nielitościwej przeciętności, bez ostrza w jakimkolwiek bądź kierunku. Fejleton panoszy się, wytwarza własną technikę, mieszaninę sensacji i dobrych obyczajów, sentymentu i pikanterii. Piszą dla fejletonu wszyscy, wielu zatapia w nich resztki znacznego niegdyś talentu. Tak niegdyś Wołody Skiba, tak Wilczyński, takim jest Michał Wołowski, który przez pewien czas mówił za innymi o wielkich sprawach, świętych uczuciach, potem mówił już o sprawach życia codziennego, nareszcie tylko o uczuciach banalnych, w sposób banalny, rażąco niepoprawny. W Galicyi głównym dostawcą lektury fejletonistycznej jest Józef Rogosz, pełen temperamentu dziennikarz, wnoszący do po-

wieści wszystkie kwestye dnia w przeróżnych oświeceniach, więc nasamprzód: w liberalnem, anti-klerykalnem, masońskiem (jako *Ajo*), potem — w szlachecko-demokratycznym, antiliberalnem, słowianofilskiem, nareszcie — w demagogicznym, antysemitkiem, religijnem. Raz odkrywszy kopalnię popularnych motywów w dziejach galicyjskich tuż przed 1848 rokiem, wysnuł z nich jedną tendencyjną, żywo kreśloną powieść *Marzyciele* i kilka gorszych powtórzeń; słowianofilskiej swej idei poświęcił długą, nudną powieść historyczną z czasów husyckich, i jedną, żywszą, z współczesnej Galicyi: *Zdrajca*; w końcu wydawał przez lata długie opowieści często tesame pod zmienionym tytułem o małych miasteczkach, wielkich politykach, wielkich blagach, wielkich szwindlach galicyjskich, opowieści sklecone bylejak, powiązane parafianką erotyką, pisane niechlujną polszczyzną.

Strawę fejetonistyczną urozmaicał oryginalnemi opowiadaniem Aë'r-R z ą ż e w s k i. Człowiek najlepszych chęci, lecz miernych zdolności, obrał był sobie za specyalność: osnuwanie powiastek na tle życia wielkich ludzi z naszej przeszłości. Aby przemówić głosem duszy wybitnych indywidualności, które się przedstawia, trzeba w sobie coś z tych dusz posiadać; Aë'r nie miał w sobie atoli nietylko nic z Słowackiego, lecz nawet z Książnina...

Działalność powieściopisarską, która się miała stać bardzo płodną kosztem pogłębienia i artyzmu, rozpoczął w tym czasie Fr. Rawita. Rozpoczął ją pod znakiem pracy organicznej, uderzając na wszystkie przeciwne kierunki, więc na marzycielstwo polityczne, które popychało naród do bezowocnych wysiłków i nieszczęść, tudzież na marzycielstwo najmłodszych, którzy, jak ómy w ogień, idą na lep hasa czerwonych, emancypacyjnych. W dziejach szlacheckiego Jana Szeligi i syna chłopskiego Pawła Bulwy (*Dwie drogi*) dał dwa typy tendencyjne: pierwszy wierzy we wszystkie utopie, któremi nas od tak dawna karmią własna fantazyja i obcych



niesumienność, przelewa więc swą krew na kilku pobożowiskach, aż doznawszy ostatniego zawodu na wojnie francusko-niemieckiej wraca z krzyżem legii honorowej na piersiach, a zrozpaczony, złamany na duchu; drugi chłodny, trzeźwy, idzie za głosem obowiązku, potem goi rany własne i ogółu pracą sumienną na roli i w przemyśle; autor niema dosyć sadzy, aby malować nią postać agitatora Prokopa, który działa wśród młodzieży kijowskiej — łotr to nad łotrami. Tak samo *Błędnyimi ognikami* są u niego hasła emancypacji kobiet, uprzystępnienia dla nich studyów, działalności dla wyzwolenia klas pracujących. Główni przedstawiciele tych kierunków, Świderek i Niunia, to osobniki, u których niewiadomo, co przeważa: śmieszność, czy deprawacja; korzyści z tego ruchu ciągnie tylko *Derdidas* i inne niemcy. Satyra autora przechodzi w karykaturę; potępiając objawy ujemne — nie umie dodatnich przedstawić w postaci ludzi artystycznie żywych i zajmujących; widząc przesady, zboczenia, od wszystkich początków fermentacyjnych nieodłączne, nie chce dostrzegać pod nimi praw serca, praw konieczności rozwojowej i warunków żywotnych. Nie w serce bo ludzkie patrzy, lecz w doktryny; tendencja jego zawsze więc pozostaje conajmniej sporną, a artyzm — małym.

Talentem narratorskim, właściwie konwersacyjno-salonnym odznaczają się prawie wszystkie kobiety piszące, które z początkiem lat ośmdziesiątych coraz bardziej zawojowują fejteton. Są między nimi jednostki o wybitnej inteligencji i wielkim smaku, jak Wila Zyndram-Kościałkowska, przypominająca pióro raz Orzeszkowej, raz Dygasińskiego, własny mająca sąd i styl jako autorka studyów i szkiców literackich; jak młodo zgasła *Stefania Chłędowska*, dusza artystyczna, prawie chorobliwie wrażliwa, opracowująca nietylko z obserwacji, ile z reminiscencji literackich wiotkie, salonowe temata, subtelna w ocenianiu nowszych zjawisk literatury francuskiej i włoskiej. Dla większości młodych kobiet piszących, typową

jest Hajota, dziergająca szydełkiem salonowe roboty, zgrabnie, składnie, bez indywidualności własnej w żadnym kierunku, bez podkładu poważniejszego, podług wzorów znanych i uznanych: o dwojgu serc, szukających się przez całe życie, część życia, jedną chwilę, chyłących się ku sobie w pocałunku, odskakujących od siebie ze wstrętem, rozdzielonych przez los, przypadek, świat okrutny. W większej powieści okazała Hajota talent budzenia sensacji romansowymi przygodami na wzór powieści angielskich; talent w ostatnich czasach przemawiający pstrzem tłem egzotycznym, językiem szkaradnym, zatrutą wszelkich cech literackich.

Blade, zgrabne, dowcipne utwory salonowe kreślił w tym czasie Maryan Gawalewicz, który z biegiem lat miał się stać jednym z najwybitniejszych romansopisarzy fejtystycznych. Obok drobnych lekkich wierszyków pisał komedijki, pełne elegancji, espritu, filigranowej roboty; takie utwory, jak *Barkarola*, *Preludjum Chopina* etc. są cackami, nie ustępującymi najlepszym tego rodzaju utworom francuskim; utkane z wdzięku, dowcipu i sentymentu, nieobciążone balastem myślowym, w miarę swobodne, zawsze zakończone moralnie, słusznie zyskały popularność u pięknych amateerek i prawdziwie salonowych amatorów. Przebija z nich wysoka kultura towarzyska świata, który się bawi; brak jeszcze kultury głębszej, umysłowo-moralnej. Nie widać jej też w galeryi »Milusińskich«, zwanych raz »żonami«, raz »ona« (*O niej*), gdzie autor nie przestaje być trubadurem we fraku — występuje za to w większych powieściach, odkrywających w gładkiej, potocznej formie coraz głębsze pokłady i sprężyny społeczne. Coprawda autor patrzy na nie długo jeszcze przez szkła wyłącznie salonowe.

Czujemy to w *Filistrach*, czujemy w *Drugim pokoleniu*, gdzie mamy przeciwstawione sobie typy dwóch generacji mieszczańskich: małego i wielkiego kapitalizmu; autor sympatyzuje z pierwszym, skromnym, pełnym cnót patryarchal-

nych, wierzy, że stary Fast robi majątek, mając tylko głowę i dziesięć zdrowych palców i że przytem zostaje idealnym człowiekiem, tak, że gdy bankrutuje syn, uosabiający wielki kapitalizm z jego newrozą, pragnieniem milionowych zysków, szaloną jazdą ku egoistycznym celom — choćby na złamanie karku — robotnicy fabryki ofiarowują nadal pracę za połowę płacy roboczej... Mamy tu typowo-salonowe ujęcie kwestyi, rzucające na otchłań socyalną mostek sentymentalizmu; obślony mgliste są też rzucone na charaktery i postacie ludzkie: wystarczy zestawić z niemi figury i sceny ze świata kapitalistycznego, malowane przez konsekwentnych realistów: Prusa, Reymonta... Z czasem i Gawalewicz zdobędzie się na kontur śmielszy i barwę gorącą, na realizm, operujący znacznem bogactwem bezpośrednich obserwacyj i silnem, tętniącem życiem. *Mechesy*, szczególnie część pierwsza, to jeden z najprzedniejszych utworów realizmu polskiego. Ujął »realnie« autor kwestyę: stosunku żydów wychrzczonych do społeczeństwa polskiego: bez mistycyzmu, z jakim traktowałby go romantyzm mesyaniczny, bez owego podkładu przyrodniczego, jaki swym dziełom nadaje wsparty o teorye rasy, dziedziczności etc. naturalizm; stoi na stanowisku bieżącej praktyki życiowej, praktyki warszawskiej. Bohater powieści, Bernard Sandstein, ożeniony z arystokratką Tolą, mówi do rezonera powieści, Kulisza, pełen żalu i goryczy: »Ja jestem meches, przechrzta, żyd, z którego w siedmiu święconych wodach nie zmyją pięt na jego pochodzenia«... Na to Kulisz: »A wiesz pan, dlaczego? Dlatego, że sądzić cię będą z twojego otoczenia, z twojej sfery, z tych, którzy przynieśli z sobą wszystkie wady, a ani jednej cnoty swojej rasy i przyjęli od nas to, co w nas samych było złem a nie nauczyli się niczego dobrego... Nie dosyć mieć dobrą wolę, jak pan, ale trzeba ją stwierdzić czemś bardziej przekonywującym, niż frazes«... To idea — kwestya nią nie załatwiona. Tak samo realnie, w sposób codzienny, ale silnie, śmiało odtwarza autor

stronę zewnętrzną: galerya jego mechesów i mechesek, Sandsteinów i Sammetów, Feingussówek i cioci Voss, wszystkich tych ex-żydów i ex-żydówek, co odpadli od pnia jednego a na drugim przyjąc się nie mogą, co nic nie kochają krom próżności własnej, żadnego nie mają imperatywu duchowego krom nerwów, a troską ich, bolem bólów: by zatrzeć ślady swego pochodzenia — galerya ta blichtru, spekulacyi, nicości, mąlowana zapomocą mnóstwa drobnych, świetnie zaobserwowanych rysów. Mniej wyraziście pod względem plastyki — z wyjątkiem starego Zawilowskiego — wypadła galerya przeciwna, łącząca się z mechesami i uposażona też znaczną ze strony autora sympatyą, choć pytanie jeszcze, kto więcej zasługuje na pogardę: ten, co swe złoto, czy ten, co błękitną swą krew na targ wystawia...

Albert Wileczyński, urodz. w r. 1829, um. 1900 we Lwowie. Pisma cenniejsze: *Kłopoty starego komendanta*, *Nowe fotografie społeczne*, *Sielanki szlacheckie*, *Woły robotcze*, *Z miasta i ze wsi*; zbiorowe wydanie w 20 tomach w Warszawie 1887.

Jordan-Wieniawski Julian urodził się w Lublinie 5 lutego 1834. Ukończywszy instytut agronomiczny w Marymoncie, brał udział w ruchu 1863 r., poczem przeniósł się do Paryża i Lipska, gdzie odbywał studia prawnicze i handlowe. Po powrocie do kraju gospodarował na roli, od r. 1892 jest dyrektorem warsz. towarzystwa wzajemnego kredytu. Część pism, ogłaszanych od 1874 r. wyszła zbiorowo w Warszawie (1894, 6 t.). Napisał też kilka krotoczwil seennicznych (*Myszy bez kota*, *Słomiany człowiek*, *Polowanko*, *Dla dobra ogótu*, *Blaga*, etc.) o grubym szarżowanym komizmie, bez większych pretensyj estetycznych.

Klemens Junosza (pseud. Klemensa Szaniajwskiego), urodz. 23 listop. 1849 w Lublinie, ukończył w Siedlcach nauki gimnazjalne, po krótkiej karierze urzędniczej gospodarował w wiosce rodzinnej, od r. 1877 przebywał w Warszawie. Uginając się pod ciężarem walki o byt, pracował jako dziennikarz, pisywał wiersze humorystyczne, redagował kalendarze, kleił sztuki ludowe,

wydawał po kilka nieraz powieści do roku, wśród obojętności społeczeństwa, które czerpało z jego utworów śmiech i łzy, aż sterany zakończył życie w Otwocku (1898); pochowany w Lublinie. Szereg pism jego jest bardzo długi; najważniejsze: *Z mazurskiej ziemi* (1884) osobno: perła tego zbioru, *Łaciarz, Pan sędzia* (1887), *Przez różowe szkietka* (1888), *Nasi żydzi w miasteczkach i na wsiach* (1889), *Obrazki szare* (1891), *Z zapadłych kątów* (1891), *Szyf* (1891), *Z antropologii wiejskiej*, *Z Warszawy, Na bruku, Wnuczek, Żona z jarmarku, Monologi, Stracone szczęście, Pod wodę, Icek podwójny, Muzykanci, Wilki, Oryginał z Piskorzewa, Dworek przy cmentarzu Chłopski mecenas* (sztuka ludowa, 1881). Część pism Junoszy wyszła w wydaniu zbiorowym (10 tomów, Warszawa).

Talent nierozległy, ale nawskróś swojski, indywidualny, pełen szczerości i dobrej woli. Zmuszony żyć z pióra, pisywał częstokroć „na kolanie”; jak atoli sumiennie pojmował obowiązki pisarskie, świadczy fakt, że znając doskonale z długoletniej praktyki żydów, nie poprzestał na tem, ale specjalnie nauczył się hebrajskiego abecadła, aby wniknąć w literaturę żargonową; owocem tych studyów — przekład na polskie dwóch utworów typowego pisarza żargonowego, Abramowicza: *Donkiszot żydowski i Szkapa*. Junosza jest też najlepszym w naszym piśmiennictwie znawcą żydów, ale wyłącznie tych, z którymi się stykał, jako gospodarz wiejski i jako ofiara „pajaków”. Tych znał, wydobywał z nich mocą prawdziwego talentu głębokie rysy psychiczne, a mocą predyspozycji szlachcica wiejskiego — przedewszystkiem komizm (*Icek podwójny, Muzykanci* etc.). Dar humoru posiadał w wysokim stopniu i tym łagodził ostrze wszystkich swoich sądów; rzadko potępiał, najczęściej ośmieszał. Ten sposób traktowania ludzi i rzeczy czyni go pisarzem wyłącznie rodzajowym; malował wieś szeroko, typowo, rubasznie, jak Wierusz-Kowalski, czasem nawet jak Kostrzewski; serce jego współczujące towarzyszyło jednak wszystkim objawom cierpienia, nędzy, ponieważ, gdziekolwiek je dostrzegał. Kilka stworzonych przezeń figur, kilka jego kartek zasługuje, by w literaturze zostały.

Sewer-Maciejowski Ignacy urodz. 28 lipca 1839 r. Ukończył w Warszawie gimnazjum realne, potem instytut agronomiczny w Marymoncie. W r. 1863 był przez władze austriackie więziony w Krakowie i Jozefstadcie. Tułał się następnie po Szwajcaryi, Francyi, w r. 1871 należał do redakcyi „Kraju” krakowskiego, po jego upadku bawił kilka lat w Londynie. Wśród walk ciężkich zaczął tu uprawiać literaturę zawodowo, pisując artykuły do czasopism postę-

# EPITAPHIVM

IGNACEGO MACIEJOWSKIEGO  
SEWERA

LAT PRZEŻYTYCH

. . . . . POWOŁANEGO PISARZA

NA SŁUŻBIE DUCHA

KU ODRODZENIU BRACI ZAPRZYSIĘGŁEJ

ZGONEM

Z LEGIONU ŻYWYCH POJMANEGO

DRUHOWIE PRZYJACIELE A BRACIA MŁODSI

MYŚLĄ PRZEŚCIGŁĄ ZA ONYM SIĘ OGLĄDAJĄC

WE WIEŃCU NIEŚMIERTELNYCH IDĄCYM

ZEBRALI I W KSIĘGĘ ZWARLI

W KRAKOWIE W STYCZNIU 1902 ROKU.

powych i opracowując pierwsze dwa utwory, które od razu imię jego wślawiły: *Szkice z Anglii i Pojedynek Szlachetnych*; ostatnia komedia, w roku 1875 odznaczona pierwszą nagrodą konkursową w Warszawie, wielkie miała powodzenie. Po powrocie do Galicji gospodarował w Braciejowej, a od r. 1890 zamieszkał w Krakowie, gdzie dom jego stanowił wybitny koncentracyjny punkt życia kulturalnego. Artyści i literaci rozmaitych kierunków garnęli się do tego ogniska jego duszy, zawsze gorejącego zapalem dla rzeczy wzniosłych, ukochaniem sprawy publicznej, sztuki, człowieka. W roku 1898 redagował przez pewien czas organ „najmłodszych”: *Życie*. Zmarł nagłą śmiercią 22 września 1901, pochowany na cmentarzu wiejskim, niedaleko ukochanej swej Dołęgi. W znak miłości i czci wydali młodzi, pod redakcją St. Wyspiańskiego, zbiór prac literackich pt. „Epitaphium“ ozdobione przepięknym portretem przez Jacka Malczewskiego.

Pisma. Powieści, opowiadania i nowele: *Szkice z Anglii* (od r. 1882 trzy wyd.), *Wydzieńczone* (1876), *Mama sobie życzy* (1876), *Wielka księga* (1878, w wyd. książkowym pt. *Bratnie dusze* 1881), *Na pobojowisku* (1877), *Jedna noc w Londynie* (1879), *Polka i amerykanka*, *Cztery dni w Baden-Baden*, *Zosia Burlak* (1878), *Przybłądy* (1882), *Walka o byt* (1882), *Zyzma* (1884 w *Ale-neum*, w książce 1896), *Słowo a czyny* (1890), *Dzielną kobietą* (1890), *Nowele* (1892), *W cieniu i słońcu* (1892), *Nafta* (1894), *Zalotnica*, *Na szerokim świecie* (1895), *Biedronie* (96), *U progu sztuki* (1897), *Bajecznie kolorowa* (1897), *W kleszczach* (1897), *Matka* (1898), *Maciek w powstaniu*, *Legenda* (1901), *Ponad siły* (1901), *Michał Kopeć*, nowele (1903), *Na pobojowisku* (1902); *Wybór pism* (1902). Utwory sceniczne: *Pojedynek szlachetnych* (1876), *Dwie* (1876), *Świetne partye* (1880), *Wielka polityka*, komedia (1883), *Zabiegi*, *Dla świętej ziemi* (1890), *Pan Marszałek* (1891), *Marcin Łuba* (wespół z Tad. Mi-cińskim, 1896), *Za kulisami* (1898), *Duch czasu* (1903).

Pierwsze powieści Sewera — „egzotycznym“ nazywa Chmielewski ten jego okres — osnute na tle stosunków angielskich, wniosły do piśmiennictwa szeroki powiew kultury angielskiej, której Sewer był gorącym wielbicielem i odrębną indywidualność, której cechy nie zmieniły się już do ostatka. Znamionuje ją styl własny, ucin-kowy, żywy, rozmówiony w dyalogach, za mało wagi nadający wyrazom, za mało też nastrojowy, charakterystyczny zarówno dla autora, jak i dla jego postaci; dalej werwa ogromna opowiadania, uciekająca się czasem do romantycznych przygód i obrazów; w treści szlachetny nastrój i gloryfikacja pionierów kultury. Zamiłowanie do dyalogów

zanadto rozbija czasem utwór, wytwarza nadmiar słów, powtarzanie się, utrzymuje jednak żywy tok opowiadania.

Impresyonistyczna natura Sewera najlepiej czuła się na wsi, w powodzi barw świeżych, konfliktów leżących na wierzchu, dostrzeganych bez subtelnej analizy. Obrazy wiejskie Sewera pełne też specjalnego wdzięku. Pejzaże jego są nawskróś polskie; nie wdając się w długą, deskryptywną robotę, rzuca prostą linią ścieżynę, kiść drzew przydrożnych, wielkie smugi barw, jaskrawych nieraz, jak strój ludu i świeżość jego pól i łąk — wszystko to napelni powietrzem, świegotem, ruchem i krajobraz już gotowy; prymitywny, „cztery mile niczego“ a poetyczny a wierny i własny. Nieraz gdy Sewer namaluje tę swoją łąkę, mokrą, z kępkami krzaków na miedzy, w których urządza sobie legowisko jakaś Zośka i Jaś, to wydobywa stąd nastrój godny przepięknych obrazów wiejskich Witolda Pruszkowskiego. Tak samo poetycznym a wiernym i własnym jest język Sewera, ludowy, a jednak bez afekciarstwa, bez zniżania się do chłopca lub przeładowania jego gwarą; gdy Sewer zabarwi mowę swego chłopca jednym zwrotem odpowiednim („baba zdrowa, że możnaby nią pale bić“, albo — do ładnej dziewczuchy „szli jeden z drugim, lajdaki, jak do garnka z kapustą, aby ino kapustę wyjeść a garnek rzucić“) — to odrazu stawia nam przed oczyma całych ludzi i rodzaj cały.

Powieści mieszczańskich w właściwym słowa znaczeniu Sewer nie pisał, kochał się natomiast w cyganerii artystycznej (*U progu sztuki* — jedno z najprzedniejszych dzieł tego światka) i dwa razy rzucił wielkie obrazy na tle powstawania nowych warstw społecznych w Galicyi, oraz walki ich ze starymi. *Naftą* pierwszy rzucił się Sewer w odmęt życia Kalifornii galicyjskiej i wydobył niezliczone mnóstwo postaci indywidualnych i typowych, nowych w świecie polskim, a wiernych — bo wprost fotograficznie wziętych z natury. Krom obserwacji jest w tych powieściach coś więcej: jest w *Nafcie* — nafta, żywioł przyrody, dziki, potężny, z którym człowiek mierzy się walczy, zwycięża lub pada, który formuje duszę człowieka, wyrabia odrębne światy uczuć i dążeń, wśród gorączki i fatalistycznej namiętności, którą w powieści doskonale odczuwamy. W powieści *Ponad siły* świat ten — pod kątem widzenia wielkiej idei — wzrasta do rozmiarów walki z drugim światem starym, zrutyinizowanym, trzymającym w swoich kleszczach Galicyę współczesną. Olbrzymie nakreślił tu sobie Sewer zadanie, na świeżych oparte zdarzeniach, przepełnionych tak potężnym tragizmem, rzucających tak dalekie odbłaski ideowe, że w powieści trudno im sprostać.

Na ostatnich utworach Sewera czuć wpływ prądów literackich



dooby ostatniej: symboliczno-mistycznej, najwięcej w *Legendzie*. Ale i tu nie opuszcza go znanie najbardziej indywidualne: osobisty sposób odtwarzania wsi i myśli społeczna. Chęć stopienia tych żywiołów realistycznych z poezją nastrojową tworzy rozbieżność niezharmonizowaną, nie przestaje jednak świadczyć o pięknie i oryginalności duszy.

Niemożliwość skoncentrowania się i czysto impresjonistyczny subiektywizm odbierają znaczenie utworom Sewera scenicznemu. Stworzył jednak w tej dziedzinie rzeczy miłe i szlachetne, jak grywany wśród aplauzu kilku teatrów *Pojedynek szlachetnych*, dobry melodramat ludowy: *Dla świętej ziemi* i o monumentalnych liniach dramat: *Marcin Łuba*.

Mich. Wołowski urodz. 1851 r. w Mławie. Studya odbywał w Warszawie, Krakowie i Monachium. Był współpracownikiem prawie wszystkich pism postępowych polskich, w ostatnich latach życia — dyrektorem teatru w Łodzi. Pisma: Powieści: *Dziwni* (1873), *U swoich na obczyźnie* (1874), *W drodze za chlebem* (1875), *Cyganiątko* (1883), *Był żydem* (1884), *Piekielko* (1886), *Dzieci Warszawy* (1889), *Z domatem* (1884), *Ostatni piorun* (1888), *Jasne i ciemne obrazy*; trwalszą wartość mają jego nowele: *Przyszedeł Węgier...* i *Zdrajca*. Sztuka jego kontuszowa: *Towarzysz pancerny*, otrzymała nagrodę konkursową.

Józef Rogosz urodz. 1844 w Baligródzie. umarł 1896 r. w Maryenbadzie. Rozpoczął poezjami (*Olga*, *Ciernie* 1863), pracował potem po kolei we wszystkich pismach liberalnych Galicyi, pod koniec życia założył i prowadził antysemitki *Głos Narodu* w Krakowie; prócz przeszło 20 tomów powieści opublikował *Choroby Galicyi* (1876—78) i rozprawę: *Artur Grottger i Jan Matejko* (1875).

Adam Rzażewski (Aër) urodz. 1845 na Podlasiu; po niepowodzeniach na roli w r. 1880 udał się do Paryża, gdzie umarł w r. 1885. Wydał: *Studjum o Kochowskim* (1871), *Pierwszy romantyk* (1883), *Ostatni krzyżowcy*, *Miłość poety*, *Złudzenia* (1885), *Dwa temperamenty*, *Opowiadania i studya* (1885); szereg mało krytycznych monografij o Mickiewiczu.

Franciszek Rawita-Gawroński urodz. 23 paźdz. 1846 r. w Stepaszkach na Ukrainie. Studya gimnazyalne odbywał w Kijowie. Po roku 1863 ukończył studya agronomiczne i z tej dzie-

dziny wydał kilka fachowych dzieł. Niezmiernie pracowity przerzucił się potem na pole twórczości literackiej i naukowo-historycznej. Pisma naukowe: *Ustrój państwowo-społeczny Rusi w XI i XII w.*, Zoryan Dołęga-Chodakowski (1900), *Mich. Czajkowski* (1900), *Studia historyczne* (1900), *Historja ruchów hajdamackich* (1901), *Rok 1863 na Rusi* (1902). Powieści nawpół-historyczne: *Na krasnym dworze* (z pobytu Bolesława Śmiałego w Kijowie, 1889), *Hetman Mazepa*, *Na kresach* (1886), *Charczyż* (ruch hajdamacki 1893), *Złotobrody emir*, *Warszawa*. We wszystkich tych powieściach stoi twardo na gruncie swojskim, przedstawia upodlenia oportunistów — szkoda tylko, że bez temperamentu i kolorytu artystycznego. Te powody czynią też szaremi — mimo silnej tendencyjności — powieści jego współczesne: *Dwie drogi* (1886), *Ćmy nocne* (wyd. II pt. *Błędne ogniki*), *Poszukiwacze szczęścia* (1890), *Dramat rodziny* (1890), *Marzenia* (1896), *Dziki człowiek*. Mieszka we Lwowie.

Wilhelmina Zyndram-Kościałkowska w Grodnie. Nowele: *W półcieniu* (1884), szkice o Ign. Chodźce, Syrokomli, Bret-Harcie, P. Lotim, Dickensie.

Stefania Chłędowska 1850—1884. *Pisma* w 4 t. Lwów, 1885 r.

Maryan Gawalewicz urodził się 21 paźdz. 1852 we Lwowie, studia kończył w Krakowie, gdzie wcześniej zaczął pisywać wiersze w duchu pozytywistycznym. Przeniósłszy się do Warszawy, rozwinął bardzo żywą działalność literacką i publicystyczną. Osobno wydał dwa tomy *Komedij jednoaktowych i monologów* (1890), mających trwale powodzenie na scenach amatorskich, głębszej wartości utwory sceniczne: *Dzisiejsi*, *Stare długi* (1892), *Babunia* (1893); tom *Poezji* (1889) i *Sylwetek i szkiców literackich* (1888), *Legendy o Malce Boskiej* do kartonów Piotra Stachiewicza (1893) i długi szereg utworów powieściowych: *Gasnąca dusza* (1887), *Filistry* (1888), *O niej*, nowelle, 2 t. (1888), *Żona* (1888), *Majster do wszystkiego* (1889), *Biedni ludzie* (1890), *Drugie pokolenie* (1891), *Z mego albumu* (1892), *Ćma* (1892), *Mgła* (1893), *Mechesy*, 2 t. (1894), *Dusze w odlocie* (1895), *Bluszcz*, *Od jutra* (1896), *Szubrawcy* (1897), *Cudak* (1898), *Motyl* (nowelle 1898), *Znak zapytania* (1900), *Warszawa* (1901); *Ostatnia butelka* (1902), *Na skrawku ziemi* (1902), *Plotka* (1903), *Dla ziemi*, 2 t. (1904). Przez kilka lat redagował *Tygodniki lustrowany*, i należał do redakcyi *Kuryera Warszawskiego*. Miłośnik i jeden z naj-

lepszyc u nas znawców teatru, kierował bezinteresownie przez dwa lata warszawskim teatrem ludowym; obecnie dyrektor teatru polskiego w Łodzi.

Zbyt liczna produkcya wyciska na większej części tych utworów ślady pośpiechu, niedbałości w wykonaniu (*Cudak*), gonitwy nerwowej za zajmującą, sensacyjną fabułą (*Warszawa*); autor, o ile nie ulega modnym prądom salonowym (neo-katolicyzm: *Legendy*, mistycyzm: *Dusze w odlocie*, *Od jutra*) opowiada w sposób dość jednostajny i szary, w rodzaju jednak powieści salonowej daje więcej elegancyi i myśli, niż zwykle tego rodzaju utwory pisarzy obcych.

Najlepszy utwór Gawalewicza pozostał szerszej publiczności nieznanym. W opowieści *Synowie Laokoona* (druk. w *Ruchu katol.* 1897) z poezją i siłą symbolizuje losy kraju.

## ROZDZIAŁ XIII.

### NATURALIZM.

Skarga Sygietyńskiego na wybujałość tendencyjności w literaturze i żądanie artystycznych dokumentów ludzkich. Geneza i znaczenie naturalizmu francuskiego. Stendhal, Balzac, Zola, Daudet, Maupassant.

Grunt dla powieści naturalistycznej u nas. *Wędrowiec* i jego grupa. St. Witkiewicz. Atak jego na obóz idealistów. Zwycięstwo konsekwentnego realizmu w malarstwie. Chełmoński. Al. Gieryski.

Naturalizm w powieści. A d o l f D y g a s i ń s k i. Jego stosunek do przyrody polskiej. Mózg uczonego a serce poety. Dygasiński a Kipling. G a b r y e l a Z a p o l s k a. Newroza wielkemiejska a temperament autorki. *On i ona*, jako tragedia *Menażeryi ludzkiej*. Niezdolność do wielkiej koncepcji człowieka i świata. Wyszlachetnienie talentu, opuszczenie pola erotyzmu — brak uczuć prawdziwie bohaterских. *Tamten* — a bezwiedny kult siły. — A n t. S y g i e t y ń s k i. Jego obiektywizm i metoda anatomiczna. Powieść-kinematograf bez głębi i ciepła duszy. — O s t o j a. Liryzm pod maską przedmiotowości. Smutek zrezygnowany. — Z. N i e d Ź w i e c k i. Uraganie zwierzęciu ludzkiemu. Jasny promień *U ogniska* robotniczego — na krótko. Konsekwencya, wstręt i mizantropia.

Zasługi naturalizmu polskiego. Zdobyćcie prawa bezwzględnej szczerości. Rozszerzenie sfery powieści polskiej, nałożenie na autorów obowiązku sumienności. Pierwiastki naturalizmu, jako pomost między starą sztuką a nową. Niezdolność naturalizmu do objęcia całej głębi natury ludzkiej i do jej uskrzydlenia.

Żywoty i dzieła.

W r. 1887 Antoni Sygietyński, który niedawno wrócił był z Paryża i pisał pełne uznania studia o naturalizmie francuskim, skarżył się gorzko na niski stan literatury polskiej. »Z wyjątkiem — pisał — kilku wybitniejszych autorów, z których jedni produkując za wiele, przeżyli się w formie, a drudzy, produkując za mało, nie wywalczyli jeszcze prawa obywatelstwa dla nowej — talentów powieściopisarskich w całym znaczeniu tego słowa, nie mamy. Powieść oparta na tle życia, na dokumentach ścisłej obserwacji, na analizie duszy ludzkiej, leży u nas odłogiem, zostawiając wolne miejsce powieści tendencyjnej, której wartość zewnętrzna w niczem nie przewyższa wartości pierwszego lepszego arykulu wstępnego, napisanego pod wpływem chwili i żyjącego tylko przez chwilę. Taksamo jak w malarstwie, artyzm i prawda życiowa grają tu bardzo małą tylko rolę, albo nie grają jej wcale. *Szlachetne dążności* pokrywają wszelkie niedostatki, panują nad psychologią, nad charakterami, nad językiem, uwalniając od obserwacji, rozgrzeszając z sentymentalizmu, zasłaniając krytyce oczy na brak wszelkiej indywidualności, dają wstęp do wszystkich redakcyj, stanowią jedyną podstawę u nas do sądzenia powieści. Dzieło sztuki nie istnieje wcale«.

W wyzywających tych słowach mamy echa wszystkich haseł, któremi rozbrzmiewała będąca ok. 1884 r. na szczycie powodzenia powieść naturalistyczna francuska. Powieść powinna więc być przedewszystkiem dziełem sztuki, powinna opierać się na dokumentach, na obserwacji i analizie — z silnem zaakcentowaniem indywidualności pisarskiej — powinna być wyłącznie dziełem artyzmu.

Słowa takie były na naszym gruncie względnie nowe. Od pierwszych ballad Mickiewicza, Polska rewolucji czysto literackiej nie znała. Odbijały się tu wszystkie prądy artystyczne zagranicą — bez krańcowości i roznamietnienia. Nie toczyli tu ludzie bitew z powodu płaszcza Hernaniego, nie entuzjazmowali się dla formy, jak Gautier i parnasowcy, nie

wymyślali dreszczu dla dreszczu, nie wojowali o wyrazy estetyczne lub brudne. Pisarz był kapłanem, potem sługą narodu; strzegł jego Znicza, potem jego kasy i zdrowia.

Nawet flegmatyczne Niemcy miały po r. 1880 swoją rewolucję literacką; Zola, Dostojewski wywołali krzykliwych naśladowców, nowy chaos »burzy i naporu«, z którego się miał wyłonić konsekwentny realizm z Gerhartem Hauptmanem. U nas znano nieco prądy nowego piśmiennictwa francuskiego, uosobione w Zoli, bo niektórzy łaknąc skandalu, czytali go w oryginale, niektórzy spotykali się ze streszczeniami jego utworów w *Przeglądzie Tygodniowym*, zaś czytelnicy gazet wiedzieli, że już w r. 1880 zniszczył Zolę i naturalizm odczytem Henryk Sienkiewicz, potem czynili to artykułami i broszurami Gnatowski, Tretiak, Choiński — każdy zresztą »szanujący się« krytyk, przy sposobności, albo i bez sposobności. Rewolucja literacka, której około r. 1880 na zachodzie punktem wyjścia był naturalizm, długą nas omijała...

Czy zresztą istnieje rewolucja czysto literacka? czy istnieje sztuka dla sztuki? Rzecz bardzo wątpliwa. Literatura to kwiat albo woń kwiatu, wyraz wybitnego indywidualizmu, którego korzenie tkwią zawsze w ziemi — w całokształcie stosunków społecznych i kulturalnych narodu. Sztuka naturalistyczna to dziecko rozkwitu mieszczaństwa i najlepszego jego wytworu: nauki nowoczesnej. »Powieść eksperymentalna — poświadcza Zola — jest wynikiem i potrzebą naukowej ewolucji naszego stulecia; jest dalszym ciągiem i uzupełnieniem fizjologii, która znowu opiera się na fizyce i chemii; stawia na miejsce człowieka abstrakcyjnego, metafizycznego, istotę organiczną, ulegającą prawom fizycznym i wpływowi otoczenia; jest — słowem — literaturą wieku naukowego«. A gdzie przytem — należy zapytać — artyzm? Na szczęście siła Zoli nie w eksperymentowaniu leży, nie w formułkach, które nigdy literatury nie stworzyły, lecz w talencie twórczym i poetycznym tą poezią nowoczesną, smutną i okrutną, fosfo-



Emil Zola.

ryzującą a trzeźwą — poezją miast wielkich; w talencie, który pozwala intuicyjnie przenikać mechanizmy życia dzisiejszego i podnosić je do potężnych symbolów poetyckich, do rodzaju *Fatum*, panującego nad jednostkami i społeczeństwami, w talencie odczuwania i kierowania wielkich mas ludzkich, — nareszcie w tęsknocie bezbrzeżnej za czymś wielkiem i pięknem, stojącym ponad całą zgnilizną społeczeństwa burżuazyjnego.

Te to własności indywidualne czynią Zolę pisarzem wyższym i trwalszym nad naturalizm, który zresztą nim się nie rozpoczyna i na nim się nie kończy. Po Stendhalu i Balzacu, z których ostatni zresztą częstokroć jest subtelnym fantastą i metafizykiem, dał Flaubert arcydzieło naturalizmu, bo zupełnie obiektywne i »eksperymentalne«: *Mme Bovary* jeszcze w roku 1857, *Salambo* w roku 1862; Goncourtowie wydali swoją na najsumienniejszej obserwacji opartą *Germinię Lacerteux* w roku 1865, gdy Zola pierwszy tom *Rougon-Macquartów* wydał w roku 1871. Do naturalistów zaliczał się również pełen południowego temperamentu i zakapturzonego liryzmu Alfons Daudet, i cały szereg »młodych«, którzy skupiali się około Zoli, wydali wraz z nim »Wieczory Meudońskie«, i z pośród których rychło europejską sławę uzyskał nie-

uślany w jasnym patrzeniu na ludzi, mistrz w wyszukiwaniu bestyi w człowieku, a czuły w stosunku do przyrody Guy de Maupassant. Każdy z nich pojmuje sztukę inaczej, inne nadaje jej przeznaczenie; jak dla Balzaca pisarz był »wychowawcą ludzkości«, tak Zola uprawia »*l'art pour l'enseignement*«, gdy Goncourtowie, subtelni arystokraci ducha, z namiętnością przewyciężają naturę, odtwarzając ją z hasłem *l'art pour l'art*. Wśród najróżnorodniejszych formuł, programów i celów, pozostaje tedy jedna nić wspólna dla nich wszystkich: indywidualnie odczuta sztuka, jako dalszy ciąg natury. Tak pojęta powieść — mówi Taine — »stała się obrazem życia, a język zwierciadłem, w którym natura istniejąca, prawdziwa, przegląda się z taką niepokalaną czystością, że tylko dla bardzo wprawnego oka obraz zabarwiony jest prawie niewidocznym promieniem podmiotowego światła, wtenczas kiedy u Stendhala i Balzaca osobistość autora gra tak wielką jeszcze rolę w powieści, jak świat obserwowany, zewnętrzny. W *Pani Bovary* i *Wychowaniu sentymentalnem* pierwiastki romantyczne zostały usunięte na bok; wyobraźnia ustąpiła miejsca ściślejszej obserwacji życia. Autor nie wynajduje już scen, ale bada wypadki, szereguje je i wiąże w artystyczną całość, sam starannie się ukrywając poza naturą i akcją swoich powieściowych osobistości, które poraz pierwszy przestały być bohaterami. Dzieło żyje życiem prawdy, ale nie nadzwyczajnością fantazyi autora, artystycznym obrobieniem całości, ale nie wyskakującymi epizodami szumnej deklamacyi lub naprędce zbudowanymi traktatami filozofii i moralności, zastosowanymi do użytku chwili. Autor, jak Homer — według trącej dziś krótkowidztwem oceny Cyserona — upodobał sobie w zniżaniu bogów do warunków ludzkich, zamiast podnosić ludzi do warunków boskich«.

Jakież odskok ogromny od teoryj i dzieł tego rodzaju do literatury naszej powieściowej z połowy lat osmdziesiątych!



Sienkiewicz hipnotyzował właśnie umysły swem *Ogniem i Mieczem* i pisał *Potop*, ale powieść historyczna nie odpowiadała wymaganiom realistów, a Brandes nazwał ją »prawdziwą kawą figową«, która nie jest ani kawą ani figą; Prus nie miał za sobą jeszcze ani jednego z swoich wielkich dzieł, Orzeszkowa odwróciła się była na chwilę od teraźniejszości, śniąc o wielkich powieściach historycznych — przeważna zaś część pisarzy tonęła albo w obłokach romantyzmu, za którymi jednak Boga nie było, albo też pomalowanej jaskrawo lub szaro literaturze życia codziennego, braki swoje artystyczne okupującej mniej więcej popularną, mniej więcej pocziwą, liberalno-konserwatywną tendencją. Naogół biorąc, powieść stała daleko wstecz poza rozwojem ogółu społecznym i naukowym, wydającym w konsekwencji swej »powieść, opartą na tle życia, na dokumentach ścisłej obserwacji, na analizie duszy ludzkiej«, artystyczną, jak każdy musiał pragnąć, naturalistyczną — jak pragnął Sygietyński...

W roku 1885 A. Sygietyński wraz z St. Witkiewiczem i Adolfem Dygasińskim objęli kierownictwo *Wędrowca*, pozostającego wówczas pod redakcją Artura Gruszeckiego i zamienili go w ognisko żywej propagandy, której treścią: dążenie do prawdy. Dygasiński pisał artykuły społeczne, tchnące uczuciem bezwzględnej sprawiedliwości i drukował tu część najlepszych swych nowel; Sygietyński brał »do światła« starych i młodszych pisarzy i hyper-krytycznem swem piórem dokonywał na nich wiwisekcji; Witkiewicz zaczął rzucać bomby w obóz estetyków.

W grupie *Wędrowca* najwybitniejszą indywidualnością był St. Witkiewicz. Dusza śmiała, ognista, wrażliwa, nawskroś artystyczna w połączeniu z rozumem trzeźwym, analitycznym, wysoce uświadomionym i uświadamiającym; umysł nieobdarzony zbyt rozległą fantazją, o ograniczonej przeto skali twórczości, lecz ścisły, jasno patrzący, rozumowaniem, pracą ducha sumienną, dyalektyką zdobywający, czego nie odkrywa

nagłą błyskawicą ducha; fanatyk prawdy, stąd wrogo z początku usposobiony dla wszystkiego, co niejasne, marzycielskie, transcendentalne, mistyczne, lecz wznoszący się powoli do rozumienia — choć nie odczuwania — wszystkich indywidualizmów, wszystkich głębi i przepaści i mroków natury ludzkiej — Witkiewicz był, jak stworzony, do odnowienia krytyki swego czasu. Jako malarz pisał najwięcej o dziełach malarskich, rozsiewał jednak tyle filozoficznych poglądów



Leon Wyczółkowski:  
Portret St. Witkiewicza.

o pięknie, poruszał tyle żywotnych kwestyj estetycznych, pierwszorzędny polemista tak przytem umiał nakazywać sobie posłuch, że wpływ jego działał orzeźwiająco i pedagogicznie na wszystkie pojęcia artystyczne ogółu. Pozostawiając na uboczu krytyków, będących raczej uczonymi historykami, mając przed sobą dwojaki typ krytyka wówczas panującego: reportera, wypisującego brednie z powodu zwyczajnej niesumienności i doktrynera, przejętego formułkami romantycznej, metafizycznej spekulacji — Witkiewicz zachowywał się wobec nich, jako nieubłagany szyderca i pogromca. »Wartość dzieła sztuki — wołał — stanowi nie ta lub owa idea, w imię której zostało ono stworzone, lecz siła talentu jego twórcy«, talent zaś powinien w dziele wyzwalać pełną swą indywidualność, przy pomocy pierwiastków sztuki, »które są stałym, bezwzględnie koniecznym warunkiem jej istnienia«. A tymi pierwiastkami? »Jeżeli chodzi o malarstwo, to harmonia

barw i loika światłocienia, który ogarnia całą prawie sprawę doskonałości kształtu; jeżeli o rzeźbę, to tylko ta doskonałość kształtu; jeżeli o literaturę, to loika myślenia i doskonałość mowy, a we wszystkich tych trzech odłamach sztuki, o ile one wyrażają rzeczywistego człowieka i świat rzeczywisty — ścisła prawda w ich przedstawieniu».

Formuła więc konsekwentnego realizmu, racjonalistyczna, zrywająca ze wszystkimi potęgami  $x$ , któremi operowała dawna romantyka i które dzisiaj, bardziej naukowo, znowu wracają do życia. Z satysfakcją podkreśla też Witkiewicz zdanie Kanta, że »sztuka wtedy tylko może być nazywana piękną, kiedy posiadamy świadomość, że ona jest sztuką, a jednak wygląda, jak natura«. Więc sztuka, jako ciąg dalszy natury.

Witkiewicz zwyciężył. Krytycy-»idealiści« jak profesor Struve, Gerson, ustąpili z pola, od nowych zaczęto żądać prawdy, potem prawdy artystycznej. Zapoznane dotychczas talenty malarskie Chełmońskiego, Aleksandra Gierymskiego zaczęły znajdować uznanie, a gdy zdobyły zagranicę — stały się nawet znakomitościami narodowymi; ich indywidualności, bardzo zresztą odrębne, polegające na niesłuchanie głębokiem odczuciu nastroju natury polskiej u Chełmońskiego a na pokonywaniu największych trudności światła u Gierymskiego, u obu zaś zgodne w zbożnem, wiernem odtwarzaniu pola swej obserwacji, bez zabarwień subiektywnych, bez wizyj fantastycznych i idei apriorycznych, są kulminacyjnymi punktami polskiego naturalizmu w malarstwie.

W literaturze naturalizm arcydzieł nie wydał, wzbogacił ją jednak kilkoma indywidualnościami i utworami, które mają znaczenie historyczne i nie tylko historyczne. Wszystkie odznaczają się cechami, właściwemi temu kierunkowi u wszystkich narodów. Z chwilą, kiedy człowieka przestajemy uważać — jak dawniej — za ognisko sił duchowych, tylko za jeden

z licznych okazów zoologicznych, pogląd na świat nie może być wesołym.

Smutnym jest też naturalizm — i ucieczkę od nędzy rzeczywistości znajduje tylko albo w dobroci, albo w pogardzie. Widząc w człowieku drobne ogniwo, igraszkę natury, jedni litują się nad nim, przychylają mu serca, zrywają się nieraz do bezsilnego buntu; inni wobec tak zorganizowanego bytu stają dumni, milczący, urągliwi...

Tak predysponowany naturalizm miał już dla siebie grunt w tym stanie społeczeństwa, w którym widzieliśmy je podczas najwyższego rozkwitu pozytywizmu. Pisarze naturalistyczni pojawiają się też zaraz po r. 1880, znacznie wcześniej, zanim padły formuły krytyczne i hasła programowe.

W r. 1880 zaczął pisać swe nowele A d o l f D y g a s i ń s k i, naturalista z głębi wszystkich swych skłonności artystycznych i zamiłowań naukowych. Dygasiński obcuje z przyrodą bezustannie i miłośnie. Na cześć słońca wyśpiewuje hymny, godne kapłanów staroperskich, dla siły przyrody ma kult iście pogański. A nad wszystkie strony kuli ziemskiej najdroższą i najpiękniejszą jest dlań rodzinna. »Nigdzie tak pięknie nie śpiewają słowiki ani skowronki, nigdzie by nie mają woni tak miłej, nigdzie róża nie przyozdabia świata cudowniej, jak na Ponidziu«. Uwielbia przyrodę artysta — rozumie ją jasno i bez iluzji filozof-pozytywista. Widzi on w niej splot sił elementarnych, staczających z sobą bezustanną walkę o byt, nie-miłosierną i nieskończoną. »Dobrych i niewinnych stworzeń niema na świecie — nie łudźmy się: są tylko silni i mniej silni!« Głód i miłość — to jedyne osie, główne motory wszelkiego życia. Ale to oblicze groźne jest zarazem tak pełnem potęgi, cudownych tajemnic i czarów, że wpatrywać się w nie należy z podziwem i miłością.

Patrzył też Dygasiński w przyrodę, jak przyrodnik-uczony, który przedewszystkiem zna zjawiska mechaniczne i te opisuje. Nie przemieniał ich w czysto psychiczne, nie



Adolf Dygasiński.

pozwalał igrać swej fantazyi, nie tworzył cudów nieistniejących. Jest poetą — bo i »jak nie być poetą, twórcą mitów, mając pod bokiem puszcze« i cały bezmiar pól, łąk i borów polskich! — poezya jego stała jednak zawsze na solidnym

fundamencie zoologii i botaniki. Poeta, ożywiał rzeczy nieżyjące a żyjące podsluchiwał i odtwarzał tętno ich duszy, ale nie zapominał ani na chwilę o rządzących niemi nieubłaganych prawach. Jego puszcza, jego las, jego łąka ukwiecona — wszystko to dyszy życiem, cieszy się, walczy i cierpi, śpiewa, jęczy, szumi modlitwą — w zgodzie ze swoim mechanizmem, który przed nami się odsłania w całej nagości. A jeżeli ten świat jest dla nas ostatecznie czemś więcej, niż zbiorem kółek prawidłowo funkcjonujących, to dlatego, że chłodny obserwator i myśliciel zawsze stał ponad nim sercem. Wielkim malarzem świata zwierzęcego jest Kipling w swoich *Księgach dżungli*, jednakowoż — prawdziwy Anglik — stoi ponad tym światem rozumem i wolą. Jego Mowgli jest od urodzenia królem, żaden wilk nie wytrzyma siły jego spojrzenia, dzierży on zresztą w ręku symboliczny ogień. Dygasiński nie wznosił człowieka ponad przyrodę — zbyt jest pozytywistą — ale każe wszystkim stworzeniom, co cierpią i walczą, być bratem. Odczuwa naturę wilka Buty, którego zabijają, że zamordował wieprzka, gdy mordować go i zjadać mogą tylko ludzie; wzrusza historią Kwiatka, Targaja, albo tego Asa, psa-entuzyasty o organizacyi delikatnej, wrażliwej, spragnionej artystycznej niezależności, miłości, pieśczości; przejmie współczuciem nawet dla owego zająca, którego całe życie jest historią strachu i pokonywania go przy pomocy duszy, zakłętej w skokach... Zimną i nieubłaganą jest natura, ale ciepłem jest serce człowieka, który wszystko poznał; tylko on potrafi wżyć się w duszę wszechświata a także w duszę wszystkiego, co cierpiące i skrzywdzone...

I zagłębiając się coraz bardziej w tajnie wszechżycia i w tajnie jestestwa własnego — Dygasiński zupełnie nareszcie wyzwolił w sobie poetę. Gnany wichurą losu, rozrywany przeciwnościami, w wieku, w którym twórczość zwykle się wyczerpuje a umysł zaczyna przygasać, wyśpiewał »opowieść«, która poematem, hymnem jego duszy była: *Gody*

*życia*. Opowieść w założeniu, a przynajmniej na pierwszych kartkach podobna do poprzednich; po psach, wilkach, zajęcach, kolej na mysikrólika-strzyżyka. Nagle ptaszę to drobne rośnie, z nim las, tło, natura przerasta empiryczne, racjonalizmem zakreślone granice, olbrzymieje a równocześnie zasnuwa się w przecudowną, delikatną, nieujętą sieć fantazyj, marzeń, widzeń... Człowiek, ptaszę, zwierz wszelki zlewa się z całą przyrodą w jeden ród, głosy, szумы, szepty wszechstworzeń — w jeden akord, wszystko zyskuje jedną duszę, a ona — toż to dusza tasama, która ożywiała niegdyś przodków prastarych, prastłowiańskich, a rozsiana jest w wszechświecie, jako powietrze, jako pył słoneczny, jako krople eteru wieczystego, z którego my wszyscy... I oto szare stworzenie niespostrzeżenie urosło w symbol jedni sił kosmicznych, wszechżycia, puszcza nad Prądnikiem urosła w symbol ziemi naszej całej, z ust poety trysnął hymn wspaniały.

...Przed wiekami wieków król Ogień i królowa Woda wydali na świat córę-gwiazdę, naszą matkę Ziemię.

...»Świeć i świeć się, ogniu boski, żywy, czysty w słońcu, w gwiazdach niebios, w zanadrzach ziemi, w błyskawicach obłoków, w promieniach ognisk domowych, w żarach i iskrach świętych nieśmiertelnego życia ducha!

...»Cześć ci, wodo żywa, czysta, któraś jest w morzu, rzekach, strumieniach, źródłach, chmurach, w łzach żywych, dających ulgę niedoli, w łzach skruchy szczerej i żalu rzewnego, oczyszczających wszelką duszę z brudu samolubstwa!

...»Ogniu-ojczy, płóń i zapalaj wielkie pragnienia życia, świeć na ołtarzach serc naszych, wybuchaj płomieniami miłości, pożogą obróć w nicość sobkostwo, uszlachetniaj zapalem wszechstworzenie!

...»Wodo-matko, daj płodność niwom naszym, krzep i orzeźwiaj spragnionych, gaś pożary straszne zniszczenia, zalewaj łzami przebaczenia pożogę nienawiści!«

Tak wspinała  
śpiewa introdukcją  
— i do świątyni pro-  
wadzi wszechżycia,  
do świątyni poezyi  
prawdziwej...

Nie »z pól i z la-  
sów« świeżych  
i naiwnych wyrosła  
twórczość Gabryeli  
Zapolskiej, w której  
przez długi czas wi-  
dziano szczyt natu-  
ralizmu polskiego,  
lecz z bruku wiel-  
komiejskiego, rozpa-  
lonego ogniem na-  
miętności, zbrodni i  
pokus; z salonów  
i buduarów, których  
perfumy łączą się  
z tchnieniem wyra-  
finowanych żądz,  
nadużyć, z całej tej  
atmosfery wielkich

ognisk nowoczesnej kultury, której miazmaty podsycają ne-  
wrozę chorych, zatruwają organizmy zdrowych, zło roz-  
dymając do rozmiarów potwornych, u niewinnych wywo-  
lując ferment rozkładowy, wytwarzając powszechną gorączkę  
zmysłów, podsycaną bezustanną walką interesów, płci, idei,  
maniactw, znaczącą się trupami krwawymi ofiar, tryumfem  
najbezcenniejszych, gloryolą rzadkich, nadludzkich poświęceń...  
Atmosfera to stolic, Lwowa, Warszawy, Paryża, wysyłają-  
cych gorące swe opary także na wieś, do starych rodów



Gabryela Zapolska.



o krwi zdegenerowanej, do dusz nawet dziewczek wiejskich, których bujną zmysłowość deprawuje się przy kołysce niańczonych przez nie dzieci pańskich, do wschodniej fantazyi żydówek, do kuchni służby, do suterren stróżów i do serc delikatnych dziewczątek, dyszących histerycznie w modnym pensyonacie stołecznym. Cały ten świat, a właściwie wszystkie te światy dawno straciły idylliczny charakter, jaki noszą w powieściach Kraszewskiego i Korzeniowskiego, demon używania, niepokoju, newrozy opanował je i pożera; w utworach Zapolskiej wyjątkowo tylko zdarza się taka cicha i kojąca oaza, jak np. *Siostrzyczki*, zresztą jesteśmy na puszczy spalonej od żaru, wstrząsanej dreszczem wschodniego samum a najczęściej rykiem »menażeryi ludzkiej«, rozgrywającej tu odwieczną swą tragifarsę: *on i ona...*

Odwieczny temat »komedyi ludzkiej«, urosły w uogólnieniach filozofów i artystów do dylematu walki płci. Do niedawna, pokąd *mulier in ecclesia* milczała, głos w tej walce zabierał najczęściej mężczyzna. I on to stworzył szereg wizyj i teoryj ciągnących się olbrzymim łańcuchem od mistyków chrześcijańskich średniowiecza do najnowszej doby, do współczesnych: Ropsa, Strindberga, Przybyszewskiego, w których duszach pokutuje widmo kobiety-grzechu, kobiety-wampira, wysysającego z mężczyzny serdeczną krew i soki najszlachetniejsze, rozkosz jego i zguba, raj jego krótkotrwały i piekło bezdenne — bezkresne. I narzucają nam artyści tę swoją wizję, przemieniającą się w potępieńczy taniec córki Herodyady, w taniec miłości i śmierci — aż tu w ostatnich czasach do głosu przychodzi kobieta i winę rozkłada na obie strony. Ileż to razy widzimy mężczyznę, jako narzędzie grzechu pierworodnego, jako wcielenie potwora, który nad ludzkością ciąży nieczystą — wieczystą swą żądzą lubieżną i w rozszałalej pogoni za żerem depce wszystkie kwiaty, wszystkie uczucia, przykazania wszystkie... Przykładem bodaj oto leżące na stole sekcyjnym, wspaniałe ciało tej biednej

*Kaśki-Karyatydy*. Coprawda — kobieta temu potworowi bynajmniej nie ustępuje. Począwszy od *Małazki* a kończąc na tej *grande amoureuse*, perwersją swoją gubiącej *Wodzieireja*, lub na tej *Żabusi* o ptasim mózgu, mieszczącym w sobie dynamit do rozsadzania kilku żywotów — kilku rodzin, mamy też niemałą galeryę kobiet, opętanych żarem nienasyconym, spalających wszystkich, którzy się w jego krąg piekielny dostaną... Między obiema płciami wre bowiem walka na śmierć i życie, a świat to tylko menażerya.

Pogląd to czysto naturalistyczny. Antagonizm płci nie jest pojęty jako problem metafizyczny, jako odwieczna zagadka bytu, lecz jako pościg, jako walka dwóch naskórków.

Naturalizm zdarł z miłości ostatni nimb romantyzmu, ostatni listek figowy, ostatni frazes filozoficzny. Na tak niskim poziomie, jak Zapolska, nikt miłości nie stawiał. U Ropsa, Przybyszewskiego, jest kobieta żywiołem, istotą, tonącą w mgłach prabytu, skąd wyłania się jako wampir zagadkowy, jako siła tajemnicza, oś przyrody odwieczna, u Zapolskiej *on* jest niskim, marnym, nikczemnym przedstawicielem sexu, a siłą jego »lśniący, potężny i tęgi kark niezwalzonego zwycięzcy i tryumfatora w zapasach miłosnych«...

Niezdolność do wielkiej koncepcji człowieka, towarzyszą Zapolskiej przez cały ciąg twórczości. Pogłębiła się ta twórczość z czasem i znacznie wyszlachetniała; męczyzna przestał być tylko płcią — stał się reprezentantem wielkich idei, zwiastunem i apostołem; kobieta — to już nietylko histerya (*Przedpiekle, Fin-de-sièclстка*), ani młoda *demi-vierge*, w rok po ślubie zdradzająca męża (*Muszka*), lecz ofiara ciężącego na niej fatum społecznego, wznosząca się nieraz do szczytów cichych poświęceń. Dała potem Zapolska, wbrew wszystkim zapowiedziom początków swej karyery pisarskiej, kilka utworów, w których sili się na ton bohaterski, a erotyzm podrzędną gra rolę. Jednakowoż i tutaj widzimy całą poło-wiczność talentu autorki — i naturalizmu. Niezrównany, nie-

nasycony w kopiowaniu świata zewnętrznego, jakkolwiek i tutaj temperament autorkę unosi i wszystko przejawia, nie jest zdolny do stworzenia postaci bohaterskiej w wielkim słowa znaczeniu. Stwarza Zapolska sympatyczne ofiary i męczennice (*We krwi, Janka, Małka*), na wzniosłość się nie zdobędzie. Gdzie zechce dać kult idei — da bezwiednie kult siły (*Tamten*), gdzie zechce wzruszać — da melodramat (*Sybir, Małka*).

Idee bohaterskie nie leżą bowiem w charakterze naturalizmu. Widzimy to też z twórczości Antoniego Sygietyńskiego. Jakżeż je tworzyć bez kultu bohaterów w duszy! Tymczasem podług naturalizmu człowiek jest tylko jednym z licznych zwierząt w królestwie przyrody, które badacz powinien rozczłonkować i dobrze opisać; podziw dla lwa, sympatye dla słowika, wstręt do pająka, jest rzeczą panien sentymentalnych, nie badacza. Ten stoi nieporuszony, obiektywny, z nożem sekcyjnym i mikroskopem w ręku tak wobec lwa, jak i żaby, w obec słonia, jak i pająka. Cała sztuka jego będzie polegać na jasnym widzeniu i jasnym opisywaniu; wszelkie poetyzowanie jest zaciemnianiem, dokładność w szczegółach, uwydatnianie cech pierwszorzędnych, tj. anatomo-fizyologicznych i nazywanie ich po imieniu — największą zaletą. Przyrodnik nie zapomina, że natura nie jest ani dobra, ani zła — jest obojętna; wartości nadaje jej dopiero subiektywizm człowieka. Należy więc dawać tylko wykrawki przyrody, a jakie czytelnik wyciągnie z tego widoku wnioski etyczne, lub estetyczne — to jego nie obchodzi.

Sygietyński stara się być wzorem obiektywnego pisarza naturalistycznego. Nieraz wprawdzie zdarzy mu się wypaść z roli i wyrazić uczucie sympatii lub antypatii; *Nasza kochana pani* nosi już w tytule kołczan ironii. W ogólności jednak jest autor poza swem dziełem starannie ukryty, zdradzając swą indywidualność tylko wyborem tematu i temperamentem w jego opracowaniu. Otóż temata jego — to

tylko ilustracje do zoologii; czyto maluje Gabryela Orange i resztę czeready rybaków z nad kanału La Manche, czy też »wysadzonego z siodła« szlachcica Załogowskiego, córkę jego, diwę operetkową, uwodziciela jej adwokata Cieżyńskiego i całą paczkę z półświatka dziennikarsko-artystycznego: wszystko to było w ludzkich postaciach, spłot pierwotnych, nieokielzanych instynktów, obracających się tylko w kole najprymitywniejszych żądz i chuci. Temperament autora wydobywa z nich tę głąb natury z bezwzględnością i wyrazistością anatora; widzi on w życiu także objawy, klasyfikowane zwykle, jako dobre, np. starą ciotkę, poświęcającą się dla rodzeństwa, panią z miasta, opiekującą się ludnością wiejską — daleki jednak od rozczulania się pozorami, sięga źródeł niejako fizjologicznych ich zachowania się i odkrywa na dnie dobroci zwyczajny bezrozum, maniactwo, safandulstwo.

Obserwacya to zewnętrzna, czysto fotograficzna — i na tem polu Sygietyński jest solidnym, metodycznym robotnikiem. Gdzie aparat wystarcza — daje też zdjęcia wierne i dla miłośników fotografii amatorskiej zajmujące. Robocie tej brak jednak prawdziwego artyzmu i duszy. Z wielką np. dokładnością opisze Sygietyński orgię w *chambre séparée*, z tysiącem szczegółów i szczegółików — artysta-prawdziwy da nam wrażenie owej bachanalii w krótkiej, zato dramatycznej impresyi. Zresztą gdyby obserwacya zewnętrzna mogła sięgać tajni duszy — nie byłoby już na świecie żadnej tajemnicy. Są jednak w niej procesy, krużganki, głębie, których ani okiem dojrzeć, ani analizą nawet wydobyć niepodobna. Dla Sygietyńskiego owe subtelności psychiczne nie istnieją. Na stu kilkudziesięciu kartkach jego powieści, wysadzony z siodła byłoby obywatel ziemski, powstaniec, sybirak, którego poznamy, gdy z rozpaczny nad stanem uwiedzionej córki popełnia zamach samobójczy — przemienia się w członka najniższych szumowin społecznych, bez krzty godności ludzkiej i myśli człowieczej. Proces taki jest możliwy — wymaga on jednak

delikatniejszego cieniowania, niż fotograf może pochwycić; nawet po jego dokonaniu się — dusza upadła także jest bardziej złożona, niż Sygietyński opowiada. Dna duszy więc nie sięga jednostek, ani tych odcieni subtelnych i tylko czuciem uchwycić się dających, które są właściwością narodu. Stąd powieści Sygietyńskiego, lubo wzorową polszczyznę pisane, robią wrażenie, jakby były tłumaczone z francuskiego.

Subtelną i bardziej liryczną naturą jest *Ostoj*a. I ona stąpa po nizinach i rozłogach życia, gdzie niema szczytów skąpanych w purpurze, obraca się wśród szarych mas, smutnych z oblicza, smutnych z przeznaczeń swoich. Ale bawi wśród nich sercem, a stoi ponad nimi myślą. Wśród ludzi niższy typ zwierzęcy przeważa i ona go opisuje z prawdą nieubłaganą, ale za nią czuć łzę. *Organista* stara się o posadę i odbywa podróż wespół z konkurentem; przybywa sam jeden, konkurent ginie w rzece. Autorka przedstawia fakt obiektywnie, ale rozdziera on jej serce. *Na stacyi* odbywa inspekcję wysoki urzędnik, potentat, trzęsący losami podwładnych; przyjmuje go urzędniczek bez znaczenia, który sobie dotąd żył w spokoju, szczęśliwy, przy boku kochającej żony, gdy tamten, niegdyś kolega, ożenił się dla kariery i jest głęboko nieszczęśliwy. Jeden spogląda na drugiego — i dusze ich zaczyna pożerać wzajemna zazdrość... *Druga żona*, wzięta przez karyerowicza dla kariery, stosunków, wejścia w świat jej krewnych, gdzie dotąd przebywała, jako uboga kuzynka, przechodzi przez całe piekło zawodów; upokorzeń, przejść, aż zastyga w rezygnację. Zrezygnowana jest i autorka, ale po walkach niemałych... To usposobienie każe jej opowiadać z chłodem, spokojem, tłumić silniejsze uczucie, ograniczać szersze pragnienie — składać broń. Rezygnacja nie walczy, ale się nie spodziewa; dalekiem od niej wesele, daleką głośną rozpacz. Istotą jej cichy, skoncentrowany smutek.

Gdy Sygietyński zachowuje się wobec bestyi ludzkiej,

jako pogardliwy obserwator, Ostoja — ze zrezygnowaniem ubolewaniem, stoi wobec niej Zygmunt Niedźwiecki z głośnem urąganiem. Zakochany w Maupassancie z pierwszego jego okresu, kiedy pisał swą genialno-szyderczą *Galękę łojową*, prześcignął swego mistrza w wymierzaniu człowieczeństwu policzków. Człowieczeństwu? właściwie maluje Niedźwiecki zawsze i wszędzie barana ludzkiego, w którym przebywa z reguły jeszcze pół menażeryi, więc lis, hyena, padalec; wszystkie instynkta chytrości, fałszu, krwiożerczości żyją i działają w tem niewinnem stworzeniu, które z barana ma w sobie jedną tylko cnotę; bezdenną, nieśmiertelną, arcybaranią głupotę. Z prawdziwą zapamiętałością zdziera autor maski z twarzy kochanych bliźnich, aby treść tę ukazać, a iskrzy się dowcipem, spostrzegawczością, finezyą w miarę, jak instynkty te się wikłają i rozpętują w pogoni za żerem, samicą i inną bydlęcą rozkoszą; jest zaś na szczycie swych uzdolnień, gdy pokazuje, że w szalonej tej gonitwie sumę zużytej nikczemności równoważy chyba bezgraniczna śmieszność celów. Przestaje się śmiać, zatapia coraz głębiej skalpel w swych baranach, pastwi się nad swymi nie modelami, lecz ofiarami. Widać, że szperanie w tych wnętrznościach sprawia mu ulgę; może przynosi mu odwet za to, że szukał tu niegdyś serca, a znalazł tylko kał?

Cóż wśród tych stad zlekka tylko pokostem cywilizacyi pokrytych pozostaje, coby dawało trochę uludy, zapomnienia? Zdawało się, że znajdzie je autor *U ogniska* ludzi ciężkiej pracy i ciężkich krzywd społecznych, w gronie nędzarzy i wydziedziczonych. Słyszymy tu kilka ciepłych tonów współczucia, jakby cichy krok zwiastunów dobrej nowiny. Na krótko. Autor wierny swej naturze, zaczyna szperać, śledzić, analizować, aż nareszcie z świata robotniczego zostaje także menażerya. Jedyne upojenie daje miłość. Rozgoryczony, zmiażdżony kołem życia, pozbawiony wszelkich iluzyj i marzeń, znajduje w akcie miłosnym jedyną pozytywną rozkosz. Nie

uczucie; byłoby optymizmem szlachetnych, idealistycznych pierwiastków szukać u bliźnich... specjalnie w kobietach nawet nie szuka — znajduje w nich natomiast jedyną dodatnią stronę, ładne, zdrowe, jędrne zwierzę. Miłość sprowadzona tedy do fizyologii, erotyzm bez miłości, *Venus vulgivaga*, wśród szalu używania, tarzania się w nagości — a poza tem nuta coraz zgryźliwsza, coraz nielitościwsza, już nie pesymizmu, lecz mizantropii. Jak każda mizantropia — jest i ta dramatem, bo nienawiść Niedźwieckiego, czujemy tu z każdego słowa, jest tylko reakcją serca, które zbyt gorąco pragnęło kochać i czcić — i zostało zdeptane...

Szereg pisarzy czysto naturalistycznych prawie skończony. W literaturze naszej kierunek ów nie wyodrębnił się tak stanowczo, nie przybrał takich rozmiarów, jak zagranicą. »Metoda naukowa« nie pociąga społeczeństwa polskiego tak dalece, aby przejść miała aż do estetyki; pisarze najbardziej utalentowani, hołdujący w zasadzie temu kierunkowi, byli duszą mu obcy. Mógł doktrynerem zostać małego talentu Sygietyński, rozsadził te ramy Dygasiński, zawsze zakapturzony poeta, etyk, subiektywista. Wreszcie przeszedł naturalizm do nas w czasie, kiedy w ojczyźnie swojej już się przeżywał, kiedy u nas spotykał się już ze swoimi grabarzami (Po *Wędrowcu* — Miriama *Życie!*). Zawszeć jednak grupa, dająca się podciągnąć pod estetykę tego kierunku, istniała, a i z dzieł obcych na pisarzy naszych wpływ wywarł niemały. Pisarze ci spełnili życzenia Sygietyńskiego, dali seryę dzieł, opartych na dokumentach, na obserwacyi i analizie, z silnem zaakcentowaniem indywidualności pisarskiej. Wpływ ich na literaturę musi się nazwać bezwarunkowo korzystnym. Wywalczyli dla piszących prawa i obowiązki, jakich ci wprzód nie znali. Więc prawo bezwzględnej szczerości, prawo nazywania po imieniu i opisywania mnóstwa rzeczy, które odgrywając w życiu olbrzymią rolę, bywały jednak w literaturze albo systematycznie pomijane, albo omawiane tylko *sub rosa*, półsłówkami, domyslni-

kami, co to drażniąc fantazyę, nie działają bynajmniej etycznie, i jak każda nieszczerłość, są absolutnie szkodliwe. Więc prawo schodzenia do głębin społecznych, do »szumowin«, do tych mas wydziedziczonych, nieestetycznych, graniczących nieraz ze zezwierzęceniem, które dotąd literatura cierpiała tylko w przebraniu, uperfumowane, uśmiechnięte; dotychczas istniały w literaturze rozczulające lub humorystyczne »stare sługi« i młode subretki — Zapolska dała prawdziwą »Kaśkę«, Niedźwiecki dał tłum roboczy, zupełnie niepodobny do owych pięknych rzemieślników z *Krewnych* Korzeniowskiego lub sentymentalnych nowel Łętowskiego, Dygasiński odkrył kilka nowych strun w duszy chłopskiej i cały świat zwierzęcy, stanowiący dotąd materiał dydaktyczny dla Lafontainów lub czułościowo-poetyczny sztafaż dla człowieka. Takie zdobycze rozszerzają naszą duszę, rozszerzają koło naszych sympatyj, spletają nas coraz ciaśniejszym węzłem ze światem. A obowiązki? Te naturalizm pojmował poważnie i nakładając je na siebie, nakładał też na wszystkich. Minęły czasy, kiedy Tripplin mógł opisywać kraje, po których nigdy nie podróżował, Kraszewski, Kaczkowski, Jeż, nie widziawszy kraju przez kilkanaście lat — opisywali panujące w nim stosunki i typy społeczne, kiedy pisarz mógł psychologię zastąpić poetycznym frazesem, prawdę zewnętrzną lub wewnętrzną — myślą pocziwą. Nie mamy pisarzy, którzyby jak Flaubert dla napisania powieści historycznej odbywali długie studia na ruinach Kartaginy, ale nawet Jeske-Choiński pisząc powieść o trubadurach, objeżdża Prowansalję; nikt po dwadzieścia lat nie szlifuje swego stylu, u wszystkich bez wyjątku jest on nieskończenie naturalniejszy i wierniejszy, niż u skrajnych »realistów« przed dwudziestu laty. Nawet najmłodszy pisarze okresu reakcyi przeciw naturalizmowi korzystają z jego zdobyczy. »Wszystko — mówi słusznie Witkiewicz — co jest w sztuce fantastycznym, zmyślonem, jest tylko przedstawieniem, spotwornieniem stosunku zjawisk i przed-



miotów. Lecz ten świat fantastyczny nie byłby zrozumiały — owszem byłby całkiem dla umysłu widza, słuchacza lub czytelnika niedostępny, gdyby w ramach obrazu, posągu lub utworu poetycznego nie był przedstawiony z prawdą, przekonywującą o możliwości istnienia takiego fantastycznego świata». Bez poprzedniego okresu naturalistycznego nie byłby możliwy Przybyszewski, nie byłby możliwy Wyspiański. W sztuce, jak w naturze nic nie ginie i nie ma przeskoków. Naturalizm zobowiązał pisarzy do sumiennej obserwacji zewnętrznej, która przeszła też na wewnątrz, do logiki w rozumowaniu, do języka ścisłego, odzwierciedlającego dokładnie każde spostrzeżenie, każdy odcień, a w następstwie daje całe bogactwo barw, dźwięków, kształtów natury.

Ale więcej uczynić też nie zdołał. Z założenia i całej swej istoty jest zrezygnowany i zamknięty w sferze empiryzmu. Nie sięga w te krainy podobłoczne, których okiem nie zmierzymy, ani w te przepaści duszy, w które aparat fotograficzny jeszcze nie spogląda. Chwile prawdziwego natchnienia, odczucia, przecucia, intuicyi poetyckiej, jak błyskawice rozdzierające ciemności, więcej nam o duszy ludzkiej powiedzą, niż najmozolniej i najkunsztowniej sporządzony kinematograf.

I tylko wzniósłszy się nad smutek i rezygnację, wiejącą z filozofii naturalizmu, możemy czuć się wolnymi, wzbijać się ku wielkim ideałom. Naturalizm jest niewyciężony w krytyce, prawdziwie twórczym i uskrzydlającym jest tylko idealizm.

Zresztą z końcem lat osmdziesiątych wieje już reakcja przeciw naturalizmowi w całej Europie.

St. Witkiewicz urodzony na Żmudzi w r. 1851. Studya malarskie odbywał w Warszawie i w Monachium; w dziedzinie malarstwa zapisał się głównie jako pejzażysta. Objąwszy kierownictwo artystyczne *Wędrowca*, z prawdziwym fanatyzmem torował drogę szczerej, indywidualnej sztuce, tak swoimi artykułami krytycznymi,

jak i dobrem wykonaniem reprodukcji artystycznych dla swojego organu. Artykuły jego złożyły się na książkę *Sztuka i krytyka u nas* (II. wyd. 1899), która ma niemałe zasługi pedagogiczne. Dalsze pisma Witkiewicza: *Na przełęczy* (1891), gdzie ołówkiem rysuje a piórem wprost maluje piękności i pełnię natury Zakopanego — arcydzieło stylu polskiego! *Juliusz Kossak* (1900), przesadna nieco apologia; *Aleks. Gierymski* (1901), *Dziwny człowiek* (1903), *Jan Matejko* (1904).

Umiłowanie szczerości i indywidualności w artyzmie zaprowadziło Witkiewicza na pole, z którego następnie wyrósł największy jego czyn dla kultury polskiej. „W r. 1886 — opowiada — byłem poraz pierwszy w Zakopanem. Było to w zimie i po zawalonych śniegiem wirchach nie można było robić wycieczek, z konieczności więc zwracało się większą uwagę na samą dolinę i brzeżki północnych wzgórz, po których czepiają się góralskie chałupy... Zwiedzając chaty góralskie... uderzeni byliśmy nadzwyczajnym charakterem i ozdobnością tego budownictwa, oraz bogactwem ornamentyki, pokrywającej większość sprzętów codziennego użytku“. Stąd wziął Witkiewicz pochop do propagandy stylu „zakopiańskiego“ i z całym swym temperamentem oddał się w usługi tej idei. Po kilkunastu latach niestrudzonych studyów, prac i polemik, w których niesłychana bujność artystycznej natury pozwoliła Witkiewiczowi przerzucić się na pole budownictwa, ornamentyki dekoratywnej, wielostronnego przemysłu artystycznego — „styl zakopiański“ zwyciężył. Motywy jego i zasady przechodzą do budownictwa nie tylko drewnianego, lecz także do kamienic i kościołów, przechodzą do dekoracji, mebli, naczyń, biżuterii, są najcenniejszym elementem, z którego się rozwinię z czasem odrębny polski styl w sztuce stosowanej. Zapewne nie wszystkie prace twórcze Witkiewicza z tej dziedziny wytrzymają próbę czasu; zostaną one wzbogacone i zharmonizowane z motywami artystycznymi innych ziem polskich; są jednak fundamentalnemi i przyszłość niejedno na nich będzie budowała. Ten też ogólny charakter działalności Witkiewicza miała na myśli Akademia Umiejętności, wynagradzając jego obraz *Obłok*, stanowiący zresztą wraz z *Wiatrem halnym* koronę jego twórczości malarskiej.

Adolf Dygasiński urodzony 1839 r. w Niegosławicach, wychowanek b. szkoły głównej warszawskiej. Od r. 1874—79 posiadał w Krakowie księgarnię i wydawał czasopisma i przekłady dzieł naukowych duchem postępu natchnione; od r. 1879—1888 udzielał w Warszawie lekcji w szkołach prywatnych i brał żywy udział w ruchu publicystycznym; zgasł 1902. Wydał szereg wielkiej wartości dzieł pedagogicznych dla wychowawców, rodziców i młodzieży, przyswoił

literaturze szereg wybitnych dzieł z dziedziny lingwistyki, filozofii i dziejów cywilizacji, w pracach publicystycznych rozsypał cenne myśli, owiane miłością postępu, swojskością i ludu („Luźne myśli o postępie i konserwatyzmie“, *Wędrowiec* 1886), pełne współczucia dla wszystkiego, co żyje i cierpi („W niewoli u człowieka“, „Nędzarze życia“ 1898). W r. 1892, podczas najżywszego ruchu emigracyjnego chłopów z Królestwa do Brazylii, pojechał tam w ślad za wychodźcami i spostrzeżenia swe ujął w formie „Listów“ do *Kurj. Warsz.* i powieści: *Na złamanie karku*.

Utwory beletrystyczne D. zaczęły się ukazywać 1882 r. w *Przegl. Tygodniowym* i odrazu zwróciły na siebie uwagę oryginalnością tła i sposobem opracowania. Osobno wydał *Nowelle* (1884), *Z ogniw życia* (1886, 2 t.), *Z pól i lasów* (1890), *As* (1896), *Beldonek* (1888), *Z zagonu i bruku*, *Garstka*, *Krańcowy*, *Bracia*, *Tatary*, *Wywczasy młynowskie*, *Zając* (1889), *Goźdźka*, *Pan Jędrzej Piszczalski* (1890), *Pióro* (1898), *Dramata lubedzkie* (1898), *Złamane życie* (1898), *Margiela i Margielka*, (1901), *Wróble* (1901), *Łabędzia woda* (1901); już po śmierci wyszły: *Gody życia*; z pozostałych papierów *Chimera* drukowała fragment *Dębów*.

Dygasiński to jedna z najoryginalniejszych i najbardziej artystycznych organizacyj, jaką literatura przedostatniej doby posiadała. Więcej w nim poezji, niż w wielu głośnych poetach, więcej idei, niż w wielu naczelnym myślicielach. Inne czasy — inne warunki mogłyby z niego stworzyć indywidualność, która czynami i dziełami na długo zapisałaby się w pamięci narodu. Jako pedagog mógł stworzyć system wychowania i nauczania, stojący na wyżynie wiedzy europejskiej a odpowiadający najściślej indywidualności polskiej. Niezrównany znawca natury i ducha, w Anglii byłby znalazł środki do stworzenia gdzieś na pięknej polanie leśnej zakładu, skąd wypłynąłby świetny typ ludzi. U nas Dygasiński musiał uganiać się za lekcyami. Podobnie jako pisarz. Przeważna część jego prac nosi znamiona pospiechu, zaniedbania, pańszczyzny zarobkowej.

Pewna rozbieżność, niedozwalająca na harmonię, leżała w jego naturze; prąd czasu, nie sprzyjający sztuce, bardziej jeszcze ją wzmacniał! Długo walczył w nim: uczony i pedagog z pełnym intuicji i uczucia artystą. Pierwsi przekształcali niejednokrotnie nowelę w niemiłe rozprawy, apostrofy, lub uciekali się do obcych zupełnie jego indywidualności, przeto nieszczerých środków artystycznych (np. alegorya *On i Psyche*); drugi oparty na ogromnym zasobie obserwacji i doświadczeń życiowych, przenikał i malował życie. W formie zaniedbany prawie zawsze; kunszt słowa i plastyki, „obrobienie“ tak troskliwie

np. u Sygietyńskiego, dla niego prawie nie istniało, zwyczajnym jego środkiem artystycznym — wpadające często w ton gawędy opowiadanie. Rozporządzał natomiast innymi środkami, godnymi wielkiego artysty rzewnością i humorem. Uczuciowość jego energiczna, bez sentymentalizmu, udziela się w wielu nowelach z świata zwierzęcego lub dziecięcego, humor rozlany jest prawie we wszystkich utworach; przybiera on częstokroć charakter satyry i smaga niełitościwie obłudę, świętoszkostwo, kłamstwa życiowe (*Filozof i praczka*, *Zasady i mięso*), najczęściej zaś rozlewa się szeroką strugą zdrowej wesołości. Osoby i sceny, odtworzone z tym humorem (*O groch przy drodze*, figury w *Beldonku*, *Pieczonka z Dramatów*, *Orda-Drakiwicz z Piszczalskiego* i t. d.), należą do najlepszych w naszej literaturze.

Odczuwając i kreśląc najlepiej obrazy z królestwa zwierzęcego, Dygasiński, jak większa część naturalistów, długo nie przekraczał granic świata zewnętrznego; gdzie poza temi granicami jest jeszcze świat inny, głębszy, czysto duchowy, tam tracił pewność siebie i siłę. Najlepiej wypadają też u niego obrazy światów, niezbyt odbiegających od zwierzęcych, więc chłopów, włóczęgów, małomieszczan, o mało złożonym mechanizmie instynktów i odruchów, o tle barwnem i kolejach życia, zupełnie różnych od naszych szablonów cywilizowanych i anti-naturalnych. *Pan Jędrzej Piszczalski* ma być wcieleniem człowieka, który zachował w sobie jeszcze siłę niezdęprawowaną, tężyźnię i fantazyę rycerską, naturę szeroką i szlachetną — autorowi nie udało się jednak ani pogłębić go, ani uczynić sympatycznym; dobre są tam tylko postacie drugorzędne, jak wogóle w większych powieściach Dygasińskiego, gdzie brak subtelniejszego wycieniowania psychologicznego i starannego obrobienia nazbyt są rażące. Z tem wszystkim stworzył w dziedzinie noweli kilka arcydzieł.

Niespożyta natura pozwoliła mu jednak przechować na dnie duszy całą poezję, w którą go natura bogato uposażyła — wyśpiewać śpiew łabędzi: *Gody życia*. Pieśń to, na którą sięłożyło całe życie i nietylko własne; pieśń natchniona niezapomnianemi wrażeniami dzieciństwa, spędzonego w dolinie krakowskiej, nad Prądnikiem; wrażeniami długich dni i nocy, spędzonych na wędrówkach wśród gajów i borów ojczystych; rozmyślaniami umysłu wysokiej miary, bogatego w głęboką wiedzę.

Ale w pieśni tej czuć też coś więcej. Odzywają się tu, jak głuche szumy podziemnych potoków, jakieś echa, jakieś niejasne wspomnienia prabytów odległych, technienia ojców dawno pomarłych, szepty wieków pierwotnych, o których nie pamięta historia żywa, ta niezatarta, niewyczerpana księga świata, na którą się składa nie-

zmieniony w odmęcie czasu śpiew ptasząt, szum lasu i rzeki, ruch nieśmiertelny wszystkich pierwiastków życia, zogniskowanych w zespolonej z nimi, wiecznie młodej, zawsze świeżej duszy prawdziwego poety. Hymnem podniosłym, nabrzmiałym bezbrzeżną miłością, dochodzącą do zupełnego zlania się z wszechświatem a zarazem do synowskiego oddania się i uwielbienia, hymnem pełnym światła, barw i woni opiewa te wieczyste dzieje matki-ziemi, dziecięcia króla-ognia i królowej-wody. Mysikrólik staje się małym punkcikiem, jednym z nieskończonej ilości ogniów w łańcuchu stworzenia, bohaterem poematu jest życie, jako całość; treścią — gody życia.

Roztaczają się przed nami w czterech wielkich tych pieśniach, którymi są cztery pory roku. Widzimy więc Wiosnę, uśmiechniętą, wszystkimi czarami miłości, wdzięku młodego, szczęścia bezwiednego Lato — bujne, rozkwitłe, pełne; Jesień — kiedy natura po porodach starzeje się, płacze, pokrywa zmarszczkami, potem i szronem, aby w zimie białym okryć się całunem. To ziemia tak żyje, to dusza jej czuje, a życie to i czucie opowiadają, wyśpiewują, szemrzą miliony istot, które podsluchuje, maluje poeta. I cieszy on się ze wszystkim, co żyje, cierpi ze wszystkim co zgnębione i uświadamia sobie wszystko, co myśl pobudza. A cóż wobec bezmiernych tych walk, których pasmem jest wszechżycie, nie pobudza myśli? Poemat staje się zarazem skarbcem głębokiej mądrości. Jesteśmy przesiąknięci tą trwogą złowrogą, którą ptaszęta leśne przejmują srogi, posepny puchacz; odczuwamy wszystkie rozkosze miłości i przywiązania pary mysikrólików; jakby w losach osób najbliższych bierzemy udział w bytowaniu szarych śpiewaków leśnych, przeżywających chwile istotnego wniebowzięcia i tragedji straszliwych. Poeta rozszerza nam duszę, wlewa w nią potoki miłości i współczucia. Rośniemy, z nami rośnie świat, wizja nasza świata. Z całą tą przyrodą prastarą, szczerą i swojską, staje nam przed oczyma prastary, swojski świat dawnych zwyczajów, dawnych ludzi i nareszcie oni sami zjawiają się, przodkowie, bohaterzy, pierwsi tej ziemi ojcowie. Przeszłość z przyszłością łączy się widomym tym znakiem, którym jest lud żywy... a gdy on nawet jęczy w uścisku zimy — „niedola zdaje się istnieć jedynie dlatego, aby była bodźcem do tem gorętszych pragnień, do tem piękniejszych marzeń. Z owych pragnień i marzeń wyzwała się siła olbrzymia, której praca przeobraża życie zwątlone w postaci coraz wdzięczniejszej. Czyny!“

Bezmiar, nieskończoność zatapia wszelką małość, słabość wszelką.  
„Jak dobrze żyć w owym świecie! Na rozpacz niema czasu!“,  
„Takie są koleje w dziejach życia“, opowiedziane widocznie

bez obmyślanego z góry planu, z nawrotami, nierównościami, powtarzaniem, w gorączkowej, twórczej wizyi... przedśmiertnej.

Zapolska Gabryela z domu Piotrowska, urodz. 1860 r. w Kiwircie pod Luckiem. Kształciła się w zakładach wychowawczych lwowskich, pierwsze debiuty teatralne odbyła na scenie teatryku dobroczynności warszawskiego w r. 1880, następnie przeniosła się na scenę lwowską, skąd przez kilka lat przechodziła kolejno do teatrów wędrownych i stałych w Galicyi, Królestwie i Poznaniu. Od r. 1890—1895 przebywała w Paryżu, gdzie występowała w *Théâtre libre* Antoine'a; po spędzeniu kilku lat na scenie warszawskiej, krakowskiej i lwowskiej pracowała we Lwowie na polu dziennikarstwa. Dzieła. Powieści i nowele: *Małuszka* (1883), *Akwarele* (1885), *Kaśka Karyatyda* (1887), *Przedpiekle* (1889), *One* (1890), *Fantazje i drobnostki* (1891), *Szmat życia* (1893), *Menażerya ludzka* (1893), *We krwi* (1894), *Janka* (1895), *Wodzirej* (1897), *Antysemitnik* (1898), Utwory sceniczne. Udratyzowanie powieści *Małuszka i Kaśka Karyatyda*, *Żabusia* (1896), *Matka Szwarcenkopf* (1897), *Antek Nędza* (1896), *Jojne Firutkes* (1888), *Jan Kochanowski w Czarnolesiu* (1899), *Dziewiczy wieczór* (1899), *Życie na żart* (1901), *Ahasuer (Mężczyzna)* (1901), *Tresowane dusze* (1902), *Nieporozumienie* (1903). Utwory teatralne wyszły nakł. *Przegl. Tygodniowego* w 10 tomach 1903 r. Pod pseudon. J. Maskoffa wydała kilka dramatów i powieść *Zaszumi las* (1899).

Nowele Zapolskiej wywoływały za swem ukazywaniem się od r. 1883 wrzawę i rozmaite komentarze; publiczność nie była przyzwyczajona do bijącego z nich nadmiaru temperamentu, jaki przejawiał się głównie w wyborze tematów i opisów drastycznych, pomijanych zwykle przez powieściopisarzy. Istotnie było tu więcej drastyczności, niż ścisłego naturalizmu, był jednak i talent niepowszedni, był styl żywy, bujny, krwią kipiący i kolorami, były miejscami finezye psychologiczne niepowszednie (*Princessa*), wszędzie zaś przejawy prawdziwie kobiecego, dobrego serca, współczującego z nędzą, krzywdą, poniewierką (*Kaśka*) — bez zdolności do szerszej koncepcji człowieka i świata. Ta obraca się w granicach wyzywającego, polemicznego naturalizmu fejletonowego (*Menażerya ludzka*), który jednak nie zmieniając swej metody, powoli rozszerza sferę obserwacji, szlachetnieje w pojęciach ogólnych, aż w dwóch najlepszych powieściach autorki daje postacię wzniosłą cierpieniem, współczuciem, myślą (*Janka*, *We krwi*).

Temperament namiętny, nerwowy, nie pozwala też autorce pannaować nad językiem; siła jej nie leży w konturze, często niepewnym,

zatartym, lecz w kolorycie, drgającym całą gamą barw, rzucanych gorączkowo, często niekonsekwentnie, oszalamiających jaskrawością. Wrażliwość ta autorki prowadzi w pierwszej linii do impresjonizmu, który szczególnie za pobytu Zapolskiej w Paryżu rozwija się do stałej manieri, każącej malować samemi plamami barwnymi, co daje wy pukłość, żywość, wibrację barw, ale bardziej jeszcze zaciera ścisłość rysunku i myśli.

Większą zdolność do koncentracji i rzeźbienia postaci okazała autorka w pracach scenicznych. Pomaga jej w tem długoletnie doświadczenie aktorskie, nadające jej utworom wszędzie wielką teatralność, więc umiejętność poruszania jednostkami i tłumem, charakteryzowania figur czynami, cieniowania dykcji, wywoływania antytez, ruchu. Świadczy to o wielkiej pracy nad sobą, jak z drugiej strony o wnikanii w życie świadczy szeroki krąg obserwacji, zużytkowanych w tych sztukach. Obserwacya ta wzbogaca scenę, wprowadzając na nią żywy poprzednio odlogiem leżące, brak jej jednak głębi i uduchowienia. Jak wszelki naturalizm, tak i ten traktuje człowieka przedewszystkiem ze stanowiska stopnia i natężenia siły; ta też występuje na plan pierwszy — z ujmą dla treści subtelniejszej, nie rzucającej się w oczy, dla tej utajonej, w rzadkich chwilach objawienia występującej, którą trzeba widzieć oczyma duszy. Dlatego doskonałą sztuką Zapolskiej jest tragifarsa o *Żabusi*, żyjącej tylko naskórkiem, dlatego mijają się ze swem założeniem sztuki i powieści osnute na tematach obywatelskich. *Tamten* z dramatu mającego przedstawić stosunki młodzieży, przemienia się w dramat między przedstawicielami świata oficjalnego. Intuicya głęboka, z jaką autorka zdołała wcielić się w duszę obcą, budzi u znawców tej duszy najwyższe zdumienie. Pełnym siły jest jej obraz jednoaktowy: *W Dąbrowie Górniczej*.

Ostatnie utwory sceniczne Zapolskiej są związane z sobą pewną wspólnością ideową, jaskrawym poglądem na stosunek wzajemny płci. Typem — podług niej — Karol, ów „Mężczyzna“ *par excellence*, który ożenił się z próżną, nerwową Niną, znużywszy się nią, oddaje serce prostej, serdecznej Elce, nareszcie znudzony odwraca się od niej i ofiarowuje serce siostrze jej, poważnej, nierównie głębszej Julii. „Ahaswer miłości“ — w gruncie rzeczy egoista brutalny, zwier nie-nasycony, wiecznie spragniony nowych sensacji, świeżych emocyj; dla nich depce szczęście drugich, przyrzeczenia, obowiązki, po grobach stapa, po sercach... Podobnie w *Nieporozumieniu*. Jadwiga, przykuta do męża, brutalnego samoluba, rwie się do wolności, do wyzwolenia, aby żyć dla rzeczy wielkich i świętych, ale logika stosunków rzuca ją napowrót w uświecone kłamstwem „ognisko rodzinne“.

w którym dusza jej do reszty spopieleje; gdy spragniona pomocy idzie do adwokata Korskiego, takiego salonowego *beau parleur* o prawach ducha, ten brutalnie ją chce porwać w ramiona. Formalne tu akta oskarżenia, satyry chłoszczące.

Satyra może jednak być oświeceniem tendencyjnym, nie światłem jasnym. Założenie fałszywe autorki z góry jest widoczne. Wyznacza na reprezentantów rodu męskiego jednostki nieskończenie marne, zaś żeńskiego — ofiary. Karol nie jest Ahaswerem miłości, nie jest ani Grekiem lub człowiekiem renesansu, którego życie jest kultem pięknym zmysłów; nie jest tęsknotą za jakąś harmonią wieczystą. Płytki, mizerny frazesowicz, mniej może uchodzić za przedstawiciela rodu męskiego, niż Żabusia za przedstawicielkę kobiety, kobiecości. Zbyt sobie autorka zadanie ułatwiła. Między mężczyznami panuje przekonanie, które i w nauce znalazło uzasadnienie, że *tota mulier in sexu*. Przez odwrócenie stosunku niczego się jeszcze nie udowodni, jeśli przykłady realne z życia nie będą odmierzone obiektywnie, sprawiedliwie, albo jeśli pomijając naturalizm życiowy, typy nie będą podniesione do skali czysto-ludzkiej, abstrakcyjnej, do „nagiej duszy“. A i wówczas jeszcze będziemy dalecy od sądzenia, od postawienia kwestyi winy; staniemy jeno przed zagadnieniem metafizycznym, walką wieczną żywiołów, płci sobie wrogich, przed okrutną sfinksową tajemnicą natury...

Do metafizyki Zapolska się nie podnosi, pod względem życiowym wychodzi z założenia oczywiście tendencyjnego; z tem wszystkiem trzeba przyznać ostatnim jej utworom w właściwym ich zakresie wielką wartość sceniczną i żywotność ideową. Kwestyę bodaj pseudoahaswerów miłości, albo jednostki kobiecej, przywiązanej mechanicznymi obowiązками do spróchniałej instytucji rodziny (*Nieporozumienie*), albo też kwestyę korupcji prasy i opinii publicznej (*Tresowane dusze*) podniosła autorka śmiało, umiała je z niejednej strony nowem oświecić światłem, wykazać w nich mnóstwo kolizyj, dreszcz, grozę, rozpamiętywanie etyczne, dążności społeczne wywołujących. Pisane przytem efektownie, bez pretensyi do poezyi, zato bardzo teatralnie, utwory te przewyższają swą wartością zwyczajny ów repertuar francuski, którym się głównie sceny nasze żywią.

Antoni Sygietyński urod. 5 marca 1850 w Gosławicach, gub. warszawska. Bawił za młodu dłuższy czas w Niemczech i we Francyi, gdzie się kształcił w muzyce, której obecnie jest w konserwatorium warszawskim profesorem; we Francyi też poznał dobrze teorye i metody sztuki naturalistycznej, które w zupełności sobie



przyswoił. Powieści jego: *Na skałach Calvados* (1884), *Wysadzony z siodła* (1891), *Drobiazgi* (1900).

Sygietyńskiego można nazwać anatomem literackim. W krytyce nikt u nas nie potrafi lepiej od niego dokonać sekcji jakiegoś dzieła, wypruć z niego każdy nerw i mięsień, wykazać każde jego zboczenie z idealnej linii logicznej, opisać go prawidłowo, jasno i ściśle. Tak samo jako krytyk-anatom zachowuje się wobec swych bohaterów w powieści i noweli. Gdzie jednak przekraczamy granice anatomii deskryptywnej i elementarnej logiki — autor nic nam nie ma do powiedzenia. Świat jego beletrystyczny jest bez duszy; tego pierwiastka brak też krytykowi przy ocenie najnowszych dzieł sztuki, które są także więcej duszą. Pozbawiony ciepła wewnętrznego Sygietyński niezdolny jest natchnąć sympatją do narysowanych przez siebie postaci; gdzie próbuje być uczuciowym, poetycznym, staje się nienaturalnym retorem (*Aktorka, Po czasie*).

Józefa Sawicka-Ostoję urodz. w r. 1859 w Łopczynie, po złożeniu egzaminów gimnaz. w r. 1889, oddaje się w Warszawie pracy nauczycielskiej. Wydała: *Nowele i obrazki* (1886), *Nowele* (1889 i 1892), *Królewna* (1894), *Wychowanka* (1896), *Nad morzem* (1903). Pomniejsze jej utwory pełne drobiazgowej obserwacji i skupionego uczucia; zalety te nie wystarczyły jednak do tworzenia dzieł na większą skalę i dalszą metę. Powieści jej przepełnione drobiazgami,<sup>1</sup> nienaturalne skutkiem tłumienia żywszych uczuć, pozbawione rozleglejszych perspektyw stoją też znacznie niżej od jej nowel.

Zygmunt Niedźwiecki urodził się w Krakowie około roku 1865 i tu też walczy z losem, który mu nie szczędzi żadnej z gorzkich swych prawd życiowych. Zbiory jego nowel: *Słońce* (1890), *Jedyne dzieło* (1893), *U ogniska* (1894), *Grzech* (1895), *Sam na sam* (1895), *Topielec* (1897), *Pneumatyk nr. 301* (1897), *Liść figowy* (1900), *Fraszki* (1900), *Lekcja życia* (1903), *Erotyki* (1904).

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

## Treść tomu I.

### ROZDZIAŁ I.

#### Pozytywizm tryumfujący.

Str.

Pozytywizm tryumfujący. Postęp warszawski a konserwatyzm krakowski zgodne w swej rezygnacji polityczno-narodowej. *Wskazania polityczne* Świętochowskiego. Pozytywizm w praktyce. Typy młodzieży. Racyonalizm i utylitaryzm w Warszawie. Szkoła krakowska w polityce — religii — historyografii. Świadełstwo prof. Zdzienchowskiego. Pseudoromantyzm we Lwowie.

Reakcja. Ewolucja stosunków bytu. Powstanie kwestyi społecznej. Emancypacja kobiet. Znaczenie prądów „z nad Newy i z Genewy“. Ruch przeciw „stańczykom“ w Krakowie. Rozrost uczucia, jako wspólny mianownik nowych ruchów. Starzy i młodzi . . .

1

### ROZDZIAŁ II.

#### Obniżenie się ideałów.

Obraz literatury polskiej około r. 1880. Ideał narodowy i wszechludzki u romantyków a obecnie. Cofnięcie się wobec nowych prądów. J. I. Kraszewski i ostatnie jego powieści. Jan Zacharyasiewicz i apoteoza filisterstwa. T. T. Jeż. Ideał społeczny Jeża: *Syn Chorążego*.

W Galicyi — Michał Bałucki. Od mieszczaństwa do małomieszczaństwa. Liberalizm galicyjski i Jan Lam. Tragizm światopoglądu humorysty.

Wczorajsi młodzi w Warszawie. Eliza Orzeszkowa i jej powieści przeciw fali socyalistycznej. Przepaść między młodymi a starymi. — Walerya Marenné. Pozytywistyczny męczennik miłości. — Konkurs na ideał mieszczański. Zofii Urbanowskiej *Księżniczka*.

Pozytywizm konserwatywny. Józef Szujski. Jego *Promeusz a Długosz i Kallimach*.

Satyrycy epoki. Satyra we Lwowie. *Szczutek*. Chochlik. Rodoć. Satyra w Krakowie. *Dyabel*. Miecz. Pawlikowski. Kazim. Bartoszewicz. Poza Galicyą. Włodz. Wysocki. Klin. Fejletoniści.

Charakter literatury okresu. Nikt nie przerasta swego czasu. Rzut oka zagranicę. Nowe prądy artystyczne i społeczne. Rosya, Niemcy, Francya. Zola. Ibsen, jego walka z *upiorami* i jej znaczenie. Obniżenie się ideału.

Żywoty i dzieła . . . . .

### ROZDZIAŁ III.

#### Na wyżynach parnasu. Adam Asnyk.

Asnyk jako poeta okresu. — Rok przełomu. — Idee mesyjaniczno-romantyczne i reakcyja przeciw nim. Poezyja staje się indywidualistyczną i intelektualną. — Zastosowanie teoryj i wyników wiedzy pozytywnej w poezyi. — Wzniosłość charakteru Asnyka i odbitych w nauce jego ideałów. Rezygnacyja i harmonia. — Ich niedostateczność. Rezygnacyja wobec sfinksa kwestyi socyalnej.

Wiktor Gomulicki. Poezyja wielkomiejska. Gomulicki, jako parnasowiec. Wirtuozostwo formy — treść poezyi maleje.

Żywoty i dzieła . . . . .

### ROZDZIAŁ IV.

#### Epigonowie romantyzmu.

Skarłowacenie romantyzmu. — Ostatni i pogrobowcy. — Romantyzm uczuciowy; Leonard Sowiński, Włodzimierz Stebelski. Autor *Strof*. — Romantyzm salonowy; Czesław. — Romantyzm mistyczny bez wiary mistycznej; Deotyma. — Romantyzm archeologiczny; Belcikowski, Grabowski. — Romantyzm bohaterski; Aureli Urbański. Karol Brzozowski. Mięszaniny romantyczne; Wojciech Dzierduszycki. — Ostatni z wielkiej plejady; Matejko. Jego rozbrat z teraźniejszością.

Żywoty i dzieła . . . . .

## ROZDZIAŁ V.

Str.

### Reakcja uczucia. Nowe idee społeczne. Marya Konopnicka.

Wprowadzenie świeżego czynnika do poezji. Lud u romantyków a obecnie. *Z przeszłości*. Zejście na ziemię. Charakterystyczne *Czemu*. Kontrasty społeczne. Rozpacz i oskarżenie.

Pogłębienie się poezji. Od tendencji i zewnętrznych losów do wcielenia się w lud. Liryki i nowele. Zharmonizowanie idei społecznej z czystą sztuką. Rozkwit wszystkich sił duchowych Konopnickiej i skąpanie ich w źródłu ludowym. Wyszucie stąd epopei ludowej — stanowiącej uzupełnienie szlacheckiej. Znaczenie kulturowe »*Pana Balcera w Brazylji*«.

Żywot i dzieła . . . . . 105

## ROZDZIAŁ VI.

### Sztuka w życiu codziennem. Teatr.

Literatura życia codziennego, jako surogat sztuki. Warstwy, obce wielkiej sztuce. Surogat ten na scenie. Teatr w r. 1880 w Warszawie, Krakowie i Lwowie. W Warszawie wielcy artyści bez wielkiego repertuaru. Teatr w Krakowie za dyrekcji Koźmiana. Niższość kultury teatralnej we Lwowie. — Upadek poezji na scenie. Twórczość Fel. Faleńskiego. *Althea* Faleńskiego a *Meleager* Wyspiańskiego. — W. Rapacki, siła temperamentu w parze z teatralnością. — J. Łętowski.

Górowanie sztuk lekkich: operetki i farsy za wzorem francuskim. Fredro-syn, Abrahamowicz, Bałucki. Komedya salonowa. Mellerowa, Koziebrodzki.

Prawdziwy charakter sztuki wieku. Zdanie Wł. Bogusławskiego. Komedya społeczno-obyczajowa. Augier, Sardou, Dumas na naszym gruncie. Przeobrażenie się sceny. — Przedstawiciel sztuki szlacheckiej: Józef Błaziński. Charakterystyka. Błaziński, jako stojący między dwiema epokami bytu szlacheckiego. Życie bez złudzeń, sztuka szarej rzeczywistości. Pogłębienie jej plastyką charakterów. Zdrowy śmiech. — Edw. Lubowski: ubóstwo pomysłów, niski poziom uczuć, mętność myśli. — Zyg. Sarnecki. — D. Zgliński. Przeciw zdrożnościom tiers-etatu. — Typowy pisarz okresu: Kaz. Zalewski. Jego popularność i znaczenie. Brak poezji i podniosłości. Teren jego: bilans okresu pozytywistycznego. Postępowo-konserwatywne wyjście z walki tradycyj szlacheckich z demokracją pracy. *Friebe*. Trylogia: *Nasi zięciowie*. Zmienność poglądów. Sprzeczność między zasadami

a życiem. Niezdolność Zalewskiego do odtwarzania atmosfery czystej, Str. ludzi czystych, światopoglądu czystego.

Żywoty i dzieła . . . . . 121

## ROZDZIAŁ VII.

### Na wyżynach ludzkości. Aleks. Świętochowski.

Charakter twórczości Świętochowskiego. — Indywidualizm arystokratyczny, szybujący ponad ziemią, wpatrzony w ludzkość, nie w człowieka. Typ ten indywidualistyczno-racjonalistyczny wpływem epoki. Świętochowski, jako bojownik praw rozumu i człowieka. Prawo niezależności w teorii i w praktyce. Stosunek do przeszłości. Rozum, jako moderator praw absolutnych. Poznanie względności, zawodów, stron ujemnych indywidualizmu. Ewolucja światopoglądu w kierunku głosu miłości. Świętochowskiego *Duchy. Galilae vicisti* — w znaczeniu racjonalistycznym.

Żywot i dzieła . . . . . 144

## ROZDZIAŁ VIII.

### Dalsza reakcja uczucia. Trylogia Sienkiewicza.

Budzenie się w narodzie pierwiastku szlacheckiego. Znaczenie jego dodatnie: ożywienie poczucia narodowego. Utylitarny charakter powieści historycznej. Protest przeciw krytykowaniu przeszłości. Znaczenie jego ujemne: zwrot ku tradycjom szlacheckim. — Atmosfera dla indywidualności Sienkiewicza. Szlacheckie jego sympatie na ławie uniwersyteckiej. Podkład jego uczuciowy i zmysł rzeczywistości. Istota jego natury przytłoczona przez wpływy pozytywistyczne przebija się i walczy w pierwszych utworach, nareszcie zwycięża. — Znaczenie Trylogii. Homerycki jej charakter. — *Ogniem i mieczem. Pan Tadeusz*. Wysoki nastrój i mądrość Mickiewicza. Sienkiewicz i Prus. Sienkiewicz nie stoi ponad światem swoich powieści. Pokrzepienie z nich tylko dla umysłów niekrytycznych. Zasluga Sienkiewicza w rozbudzeniu uczuć narodowych. Słabość — w braku kierowniczej myśli. Świat jego w oświeceniu Zygm. Kaczkowskiego. Sienkiewicz wyobrazicielem przeciętności szlacheckiej.

Żywot i dzieła . . . . . 159

## ROZDZIAŁ IX.

### Reakcja uczucia. Walka idei społecznych.

Poezye Bol. Czerwieńskiego. Spotęgowanie zwrotu przeciw ideom mieszczańskim i stańczykowskim. — Nauki społeczne

rugują zamięłowanie do przyrodniczych. — Ruch ludowy w Galicyi. *Przegląd społeczny*. — Ciąg dalszy racjonalizmu w sztuce. Alfred Nossig i jego *Tragedya myśli*. — Zgłoszenie się konserwatyzmu po spadek pozytywistyczno-liberalny. Wsteczniectwo w Galicyi. Neo-konserwatyzm w Warszawie. Geneza i program neo-konserwatyzmu. — Wzmoczenie się uczuć zbiorowych. Zasługi Bismarka i jego polityki eksterminacyjnej. Rewizya programów. — *Głos* i ideał ludowy. Walka o ideał lud. *Hasło* Maryana Bohusza. — Poezye Jana Kasprowicza. Świeżość, rzeźkość, siła pierwiastku chłopskiego w jego twórczości. Lud, jako dźwignia przyszłości. Programowe *My i wy*. Poezya wsi. — Rewolucya na gruzach romantyki. Napierski. — Sny młodości. Fr. Nowicki. — A. Niemojewski. Temperament polski. „Rozumni szalem“. — Jeszcze apel do uczucia: *Szkice* Adama Szymańskiego.

Żywoty i dzieła . . . . . 174

## ROZDZIAŁ X.

### **Idealizm społeczny. Eliza Orzeszkowa.**

Punkt środkowy między utylitaryzmem a bezwzględnem uczuciem. Znaczenie kulturalne działalności Orzeszkowej. Jej niechęć do typów uczuciowych. Potępienie ruchów skrajnych. Odwrot. Apoteoza uczucia i synteza szlachecko-ludowa w „Nad Niemnem“. — Harmonia dwóch pokoleń w dążeniu do ideału.

Żywot i dzieła . . . . . 202

## ROZDZIAŁ XI.

### **Altruizm bohaterski. Bolesław Prus.**

Prus, jako pozytywista przerasta zawsze okres pozytywistyczny. Główny pierwiastek jego indywidualności: silne męskie uczucie. Stąd rozwój jego talentu po przejściu okresu pozytywistycznego. — *Powracająca fala* i *Placówka* jako syntezy uczuciowe. Synteza ta przeprowadzona negatywnie — w *Lalce*, pozytywnie w *Faraonie*. Wokulski i Ramzes, jako bohaterzy uczucia. — Świat, jako harmonia, wypływająca z świadomej miłości i wymiany usług.

Żywot i dzieła . . . . . 218

## ROZDZIAŁ XII.

### **Sztuka w życiu codziennem. Powieść.**

Charakter lektury powieściowej w latach osmdziesiątych. Powieści szlacheckie i wielkomiejskie. — Bykowski. Wilczyński.

36/11  
360

Charakterystyka Jordana, jako piewcy szlachty zamożnej, Kle- Str.  
mensa Junoszy, jako piewcy *Szyfów* i *Pajaków*. Filozofia, tem-  
perament i humor szlachecki. — Sewer. Odrębna jego indywidual-  
ność. Pierwiastki szlacheckie, skapane w kulturze europejskiej. Skala  
umysłu, obraz rozwoju ideałów. Odczucie duszy wsi polskiej. — Po-  
wieści i opowiadania Wołoskiego, Rogosza, Aëra, Ra-  
wity-Gawrońskiego.

Sily kobiece. Kościalkowska, Chłędowska, Ha-  
jo'ta. Powieść salonowa: Maryan Gawalewicz.

Żywoty i dzieła . . . . . 236

## ROZDZIAŁ XIII.

### • Naturalizm.

Skarga Sygietyńskiego na wybujałość tendencyjności w litera-  
turze i żądanie artystycznych dokumentów ludzkich. Geneza i zna-  
czenie naturalizmu francuskiego. Stendhal, Balzac, Zola, Daudet,  
Maupassant.

Grunt dla powieści naturalistycznej u nas. *Wędrowiec* i jego  
grupa. St. Witkiewicz. Atak jego na obóz idealistów. Zwycięstwo  
konsekwentnego realizmu w malarstwie. Chelmoński. Al. Gieryski.

Naturalizm w powieści. Adolf Dygasiński. Jego stosunek  
do przyrody polskiej. Mózg uczonego a serce poety. Dygasiński  
a Kipling. Gabryela Zapolska. Newroza wielkomiejska a tem-  
perament autorki. *On i ona*, jako tragedia *Menażeryi ludzkiej*. Nie-  
zdolność do wielkiej koncepcji człowieka i świata. Wyszlachetnienie  
talentu, opuszczenie pola erotyzmu — brak uczuć prawdziwie boha-  
terskich. *Tamten* — a bezwiedny kult siły. — Ant. Sygietyń-  
ski. Jego obiektywizm i metoda anatomiczna. Powieść-kinematograf  
bez głębi i ciepła duszy. — Ostoja. Liryzm pod maską przedmio-  
towości. Smutek zrezygnowany. — Z. Niedźwiecki. Uraganie  
zwierzęciu ludzkiemu. Jasny promień *U ogniska* robotniczego — na  
krótko. Konsekwencją, wstręt i mizantropia.

Zasługi naturalizmu polskiego. Zdobycie prawa bezwzględnej  
szczerości. Rozszerzenie sfery powieści polskiej, nałożenie na autorów  
obowiązku sumiennosci. Pierwiastki naturalizmu, jako pomost między  
starą sztuką a nową. Niezdolność naturalizmu do objęcia całej głębi  
natury ludzkiej i do jej uskrzydlenia.

Żywoty i dzieła . . . . .

